

415

Wolne pismo

ZBIORY OŚRODKA KART

wolne pismo



most

Numer 14-15

Warszawa 1987

SPIS TREŚCI

Adam Worta: Powtórka z historii /po wizycie Papieża/	3
Ernest Skalski: Choroba na śmierć	11
Jan Morawski: Czego chcą, czego się boją /za murami Kremla/	23
Jan Lewski: Rozum i upiory - notatki z ZSRR	34
Michał Łożeński: Era Facyfiku /2/	42
Tomasz Jerz: Po nas przyjdzie młodzież...	51
Z zaciśniętą obręczą - rozmowa z Gabrielem Janowskim, wiceprzewodniczącym "Solidarności" RI	66
wiersze Jerzego Narbutta	72
Karol Sękota: Między żywym Piotrowskim, a martwym Popiełuszką	73
<u>Folemiki</u>	
Jerzy Surdykowski: ...Wszystkie inne sprawy	77
Andrzej Szczypiorski: Spadek	86
Spokojna wiosna w Europie Wschodniej	90
Wiersze Jerzego Narbutta	94
<u>storia najnowsza</u>	
Marian Marek Drozdowski: Generał Leopold Okulicki - przyczynek do biografii	95
Marek Orzelski: Nożem w plecy	114
Wiersze Jerzego Narbutta	132

Norman Davies: Głos tego, który przeżył	133
Nadzieжда Mandelsztam: Usprawiedliwienie czasu	141
A.C.: Szczyt znaczy szczyt	150

Fakty - Sygnały - Opinie

"Solidarność" nie jest złamana - wywiad Lecha Wałęsy dla "Le Figaro"	156
Kit	159
Informacja wewnątrzpartyjna	164
Z przecieku...	166
Jak socjalizm pokonał literaturę	168
200 x CDN	172
Skazy na głośności - rozmowa z Natanem Szczarańskim	174
"Madam"	177
Pax Sovietica: "kwestia żydowska"	180
Trzy plus	183

© Copyright by MOST **wolne pismo**

Redagują członkowie NSZZ "Solidarność"

Adam Korta

Powtórka z historii

Papież odjechał i już nazajutrz rozpoczęto skomplikowane analizy efektów Jego pielgrzymki. Czy słusznie? Czy naprawdę potrzebne są pełne subtelności próby dzielenia włosa na czworo?

W czasie siedmiodniowej wizyty w Ojczyźnie Jan Paweł II odbył ponad trzydzieści spotkań, na których mówił to, czego oczekiwał naród, a nie władza. Lub wymownie milczał, jak w Majdanku, czy przy grobie ks. Jerzego. Kolejny raz okazało się, że naród rozumie Papieża i z kolei Jan Paweł II dobrze rozumie swój naród. Rozumie i wcale nie jest skłonny, jako najwyższy autorytet Polaków, namawiać ich do rezygnacji z przysługujących im praw.

Wizyta Ojca św. unaoczniała chyba wszystkim, że normalizacja to wyłącznie niekończące się sznury milicyjnych samochodów, zaś apatia społeczna Polaków, o której było od pewnego czasu bardzo głośno również na Zachodzie, jest po prostu zwykłym, ludzkim zmęczeniem. Zmęczeniem, które może ustąpić w momencie silniejszego impulsu.

W tym sensie trzecia pielgrzymka Jana Pawła II do Ojczyzny była wydarzeniem niezwykle doniosłym. Była takim wydarzeniem zarówno dla Kościoła, społeczeństwa, jak i dla władz. Te ostatnie, będąc gospodarzem terenu odwiedzanego przez Papieża, dążyły do takiej interpretacji pielgrzymki, która mogła sprzyjać ich legitymizacji. Doświadczenia dwu poprzednich pielgrzymek nie pozostawiły cienia wątpliwości co do celów, jakie komunistyczna władza PRL pragnie uzyskać goszcząc Następcę Świętego Piotra.

Papież przybył do kraju - co do tego wątpliwości również być nie mogło - jako pielgrzym nadziei i dialogu. Wszelako owe nadzieje i dialog nie jest jednolicie rozumiany przez tych, którzy są rządzeni. Nadzieja po stronie społeczeństwa,

x/ Na temat wizyty Jana Pawła II, zwłaszcza jeśli chodzi o jej "oprawę propagandową", piszemy również w bloku "Fakty - Sygnały - Opinie". /red./

a zwłaszcza jego świadomych, niezależnych sił, polega na rozpoczęciu nowego kalendarza historii. Wciąż chodzi o to samo - o utrwalenie instytucjonalnych form, ograniczających omnipotencję państwa, o uzyskanie możliwości organizowania się wspólnot społecznych w celu obrony uzasadnionych roszczeń, o budowanie zapór przeciw bezprawiu i prześladowaniu. Krótko mówiąc, w nadziei społecznej chodzi o naturalny zakres wolności podmiotowo traktowanego społeczeństwa.

Inna była wszelako nadzieja władzy. Ta z kolei ma pełną świadomość swego pochodzenia i umocowania. Wie również, że jeśli istnieje społeczna zgoda na to umocowanie, jest ona wymuszona i znoszona przez naród wskutek praktycznego braku możliwości wypowiedzenia posłuszeństwa. Nadzieja władzy dotyczyła więc akceptacji stanu istniejącego jako jedynie możliwego, jedynie dopuszczalnego w podzielonym politycznie świecie. Co więcej, była to nadzieja na umocnienie swej dominacji dokonane przy pomocy Kościoła - czynnika, któremu od zarania swego istnienia komunizm był zasadniczo wrogi. I takim pozostaje po dziś dzień, mimo iż usiłuje wpręgać Kościół w rydwan własnych celów.

Papieska pielgrzymka w Ojczyźnie, zarządzanej od czterdziestu kilku lat przez komunistów, zrodziła szereg nieporozumień wskutek wyjątkowości zaistniałej sytuacji. Znaleźli się tacy, którzy z trudnej sytuacji Gościa starali się wyłuskać to, co rzekomo świadczyło o trafności drogi, u kresu której widać wszechmocne państwo i amorficzny zbiór jednostek tradycyjnie zwanych obywatelami, ale w rzeczywistości pełniących rolę podanych. Specjaliści od przełamywania cudzych myśli, tej kompetencji co nowo mianowany minister ds. wyznań Władysław Łoranc, wytrawni propagandyści o wybitnych zdolnościach do wmawiania ludziom tego, w co sami nie są skłonni uwierzyć, usiłowali znaleźć w Papieżu sojusznika dla wygłaszanych przez siebie tez i twierdzeń. Również i tego, że jedyną sensowną i dopuszczalną płaszczyzną integracji społecznej są formy pozostające pod kontrolą władzy.

Czy to się mogło powieść? Z pewnością nie. Społeczeństwo, po kilkudziesięciu latach doświadczeń Przędzącego Ustroju, jest już jakby impregnowane na propagandowe pustosłowie i zakłęcia, mające swe ideologiczne proweniencje i polityczne korzenie. Tym niemniej, prób zawłaszczania nauki społecznej Kościoła dla celów temu Kościołowi obcych, usiłowań takiej interpretacji nauczania społecznego, które wprowadzają miły sercu każdej dyktatury chaos wartości, lekceważyć nie należy.

Dlatego poniższe uwagi pomyślane są jako przypomnienie dwu ważnych spraw. Po pierwsze, stanowiska Kościoła w stosunku do komunizmu w ogóle oraz, po drugie, stosunku Jana Pawła II do NSZZ "Solidarność" w czasach jej legalnego istnienia i w początkach stanu wojennego. Zamazywanie i przemilczanie czegośkolwiek w obu sprawach jest bowiem nadużyciem. Moralnym i politycznym. Dlatego taka powtórka z historii wydaje się być bardzo potrzebna. Zwłaszcza w świetle trzeciej pielgrzymki.

BŁĘDNA IDEA WYZWOLENIA

19 marca br. minęła okrągła rocznica wydania ważnego dokumentu kościelnego. Dokładnie pół wieku temu papież Pius XI ogłosił encyklikę "Divini Redemptoris", poświęconą dogłębną analizie komunizmu. Dokument ten jest wart szczególnej pamięci potomnych z dwu co najmniej powodów.

Pierwszym jest zapomniany fakt, iż encyklika Piusa XI jest jedynym całościowym i, od czasu swego powstania, wyczerpującym stanowiskiem Kościoła wobec komunizmu. Stanowiskiem nigdzie nie uchylonym, a więc w nauczaniu społecznym Kościoła obowiązującym również obecnie. Drugi powód, dla którego przypomnienie encykliki jest celowe, dotyczy jej treści. Obecna lektura encykliki jest zajęciem tyleż pouczającym, co wzbudzającym głęboki szacunek dla przenikliwości analizy papieża Piusa XI. Zdumiewa wręcz w tej lekturze rzetelność rozpoznania zjawiska, jak również trafne - bo zweryfikowane tragicznie przez minione półwiecze - prognozy i przepowiednie konsekwencji, jakie przyniesie ta nowożytna forma zniewolenia ludzi i całych narodów. Pięćdziesiąt lat temu nie było tej wiedzy, którą mamy obecnie. Niewiele było wiadomości o Archipelagu Gułag, nie było kubańskich obozów koncentracyjnych, khmerskiego ludobójstwa i tych wszystkich okropności związanych z nowym systemem społecznym, który opresję postawił za pierwszy kanon urzeczywistnianego przez siebie nowego wspaniałego świata.

Wielu rzeczy jeszcze wówczas nie było, bądź były ściśle nie skryte przed oczami tych, którzy mogli dawać świadectwo. Ale były już wyraźne zarysy tego wszystkiego, co miało się spełnić. Dola człowieka ujarzmionego, los zniewolonych narodów rysował się jednak już wówczas na tyle wyraźnie, iż skłonił najwyższy autorytet moralny Kościoła do wypowiedzenia wiekopomych słów przestrogi. Pius XI encykliką "Divini Redemptoris" śmiało i wyraźnie wyszedł poza ciasny krąg interesów konfesyjnych i przemówił w imię dobra moralnego całej ludzkości. Byłoby rzeczą lekkomyślną, gdyby to przesłanie uległo zapomnieniu. Właśnie iż sprawy, o których mówił tamten Papież nie uległy przedawnieniu do dziś.

Nazwał więc komunizm Pius XI "błędna idea wyzwolenia ludzi pogrążonych w nędzy" i stwierdził: "...fałszywy bowiem ideał sprawiedliwości, równości i braterstwa w pracy przepała wszystkie jego pomysły i całe działanie pewnym mylnym mistycyzmem, który daje tłumom, pozyskiwanym żądnymi obietnicami, zapach i sugestywnie szerzacy się entuzjazm...". Działanie entuzjazmu przegasił wskutek niespełnionych prorocstw, niezrealizowanych obietnic i czającej się zewsząd przemocy i dominacji. Tym niemniej o jego wykrzesanie walczą kolejne, przychodzące po sobie, zastępy pretorianów Przodującego Us-troju.

Pius XI znakomicie rozpoznał istotę zjawiska: zniszczenie dotychczasowego ładu społecznego, dokonane w euforii budowania rajy na ziemi. Właśnie dlatego komuniści:

"...dążą do zaostrzenia przeciwieństw pomiędzy poszczególnymi klasami społeczeństwa i do wytworzenia pozoru jakoby owa walka klasowa z całą jej nienawiścią niestety i szlakiem niszczenia była krucjatą w służbie rzekomego postępu ludzkości. Stąd wszelkie siły, przeciwstawiające się systematycznym tym gwałtom mają być jako wrogowie ludzkości, do szczytu wyłączone..."

Dostrzeżeniu destrukcyjnej, bez mała apokaliptycznej roli komunizmu w programowaniu i urządzaniu świata, towarzyszy wnikliwe zanalizowanie jego socjologicznej istoty.

"...Osobowość, wedle zapatrywań komunizmu - pisze Pius XI - jest tylko jakby kółkiem, wtłoczonym w tryby maszyny, dlatego nie przyznaje się jej żadnych praw przyrodzonych, lecz przyznaje się je społeczności..."

No ale może owe prawa społeczności są ważnym etapem w rozwoju? Zobaczymy tedy, jakie są te prawa przyznawane społeczności:

"...Komunizm przyznaje społeczności prawo - czytamy w encyklice - albo raczej nieograniczoną swobodę zaprzędania jednostek w jarzmo pracy kolektywnej, bez względu na dobro osobiste, a nawet wbrew ich woli, posuwając się do stosowania przemocy".

Nową ewangelię komunizmu Pius XI definiuje jednocześnie i bez jakichkolwiek złudzeń:

"...System ten pełen błędów i sofizmów, sprzeciwiający się tak objawieniu, jak i zdrowemu rozumowaniu; niszczący wszelki ład społeczny, podważający jego podwaliny; zapoznający prawdziwe pochodzenie i naturę i istotny cel państwa; odmawiający w końcu człowiekowi prawa, godności i wolności".

Propaganda komunistyczna przedstawia Piusa XI jako wojującego antykomunistę, przy czym trudno zaiste traktować tę charakterystykę jako uwłaczającą. Ale nawet w komunistycznym rozumieniu chybia ona celu. Toż przecież Pius XI - notabene Achilles Ratti, pierwszy nuncjusz apostolski w odrodzonej Rzeczypospolitej, który w sierpniu 1920 roku postanowił pozostać w Warszawie, kiedy korpus dyplomatyczny ewakuował się przed bolszewikami do Poznania - właśnie ten papież wkrótce po intronizacji w 1922 roku spotkał się w Genui z sowieckim ministrem spraw zagranicznych Georgijem Cziczerinem. Jednakże nie na dialogu zależało wówczas Sowietom. W poczuciu misji dziejowej, dążącej do opanowania świata, nieopierzony jeszcze, choć już groźny i opresyjny reżim, dialog z Watykanem zlekceważył.

To na marginesie. Wracając do encykliki, zacytujemy jeden jeszcze jej fragment i zadedykujemy go tym wszystkim, którzy mają oczy i nie widzą, mają uszy, a słyszeć nie chcą:

"...Z początku komunizm ukazał się taki, jakim był rzeczywiście - napisał 50 lat temu papież Pius XI w encyklice "Divini Redemptoris" - w całej swej potworności. Skoro jednak zauważył, że w ten sposób zniechęca do siebie narody, zmienił swą taktykę i spróbował pozyskać dla siebie wszelkiego rodzaju tłumy, ukrywając zamiary swe pod zasłoną różnych haseł, które same w sobie są dobre i pociągające. Wodzowie komunizmu zauważyli na przykład powszechną tęsknotę za pokojem i dlatego udają gośliwych rzeczników i popleczników idei pokojowych, ale w tym samym czasie pobudzają rzesze do walki klasowej, która do straszliwego rozlewu krwi prowadzi, a z drugiej strony, nie wierząc w pewność pokoju, uciekają się do nieograniczonych zbrojeń".

Taka jest natura komunizmu i jego istota rozpoznana pół wieku temu przez nauczanie społeczne Kościoła. Pięćdziesiąt lat to dużo, ale w ciągu tego czasu nie uległa zmianie ani istota Przewodzącego Ustroju, ani jego chrześcijańska ocena.

SOLIDARNY Z NARODEM

Praskie "Rude Prawo" napisało onegdaj, że ojcem chrześcijańskim "Solidarności" był Jan Paweł II. W zamierzeniu miał to być zarządzenie donos i obelga. W rzeczywistości był to komplement pod adresem papieża-Polaka i jego rodaków.

W poważnych, bezstronnych analizach sytuacji, jaka doprowadziła do polskiego Sierpnia '80 i powstania pierwszego od Władystywu do Łabę niezależnego związku zawodowego, wątek papieski zawiera niemało miejsca. I słusznie, gdyż kiedy przypomni sobie ostatnie lata gierkowskiej dekady i społeczny marazm zamazywany propagandą sukcesu, to w kontekście tamtej atmosfery wybór papieża-Polaka i niedługo potem pierwsza Jego Pielgrzymka do Ojczyzny w dość zasadniczy sposób zmieniły atmosferę społeczną i kondycję narodu. W tym właśnie sensie szczególnie wrogi Kościołowi w ogóle, a obecnemu pontyfikatowi w szczególności, "Rude Prawo" miało rację.

Wybór kardynała Karola Wojtyły na Stolicę Piotrową i pielgrzymka z czerwca 1979 roku rozbudziły narodową świadomość w narodzie, który w ten szczególny sposób odczuł swoją wolność, moc i odpowiedzialność za swe losy. Następnym tego była "Solidarność".

Ci, którzy liczyli na inny przebieg Trzeciej Pielgrzymki zapomnieli widać o stosunku Papieża do posierpniowych przemian w kraju oraz do wielomilionowej, niezależnej organizacji ludzi pracy. Przypomnijmy więc nieco faktów.

Pierwsze wypowiedzi Ojca św. o sytuacji w kraju mają miejsce jeszcze w sierpniu 1980, kiedy to konflikt społeczny i rozległe strajki osiągnęły, zdawało się, swoje apogeum. Już 20 sierpnia 1980 roku, podczas audiencji ogólnej Papież publicznie odmawia dwie modlitwy w intencji Ojczyzny i stwierdza:

dza:

"Niech te modlitwy powiedzą same za siebie, jak bardzo my, tutaj obecni w Rzymie, jesteśmy zjednoczeni z naszymi rodakami w Ojczyźnie, z Kościołem w Polsce i jak bardzo wszystkie jego sprawy są nam bliskie i drogie. Jak bardzo za nim wstawiamy się do Boga".

Sześć dni później, kiedy napięcie w kraju sięgnęło zenitu, Papież w telegramie do Konferencji Episkopatu Polski ponownie potwierdza łączność z narodem polskim, który "...podjął wspólne dzieło odnowy dla dobra społecznego". Jan Paweł II w trosce o pokojowy kształt polskich przemian wskazuje Kościołowi zadanie do spełnienia. Jest to zadanie roztropnej obecności i nie-dwuznaczne wskazanie miejsca Kościoła w tym decydującym momencie. 26 sierpnia Papież uważał, że miejsce Kościoła jest po stronie narodu walczącego o swe niezbywalne, suwerenne prawa.

Po pomyślnym, pokojowym zakończeniu strajków sierpniowych Jan Paweł II raz po raz daje dowody wspólnoty z Ojczyzną i Kościołem w kraju. 29 października 1980 roku, kiedy w kraju rosło znów napięcie wywołane niezarejestrowaniem NSZZ "Solidarność", na zakończenie audyencji ogólnej Papież zapewnia zebranych "o nieustającej modlitwie, która towarzyszy całemu narodowi, wszystkim moim rodakom, wszystkim bez wyjątku, w tych ważnych dniach i tygodniach, jakie przeżywa nasza Ojczyzna". Pamiętajcie, - dodawał Ojciec św. - że tutaj bije polskie serce, które po polsku czuje i po polsku się modli o sprawy polskie".

Ocenę wydarzeń w kraju Papież przedstawił w orędziu telewizyjnym do Polaków na Boże Narodzenie 1980 r. Sierpień i wydarzenia po nim następujące określił jako "...szczególne dzieło, dzieło jedności, dzieło pokoju, wzajemnego poszanowania i zrozumienia, dzieło nie skierowane przeciwko nikomu, nie przeciwko, ale dla: dla odbudowy, dla odnowy...". Było to jasne i bezdyskusyjne przesłanie solidarności z tymi wszystkimi, którzy podjęli i realizowali trudne dzieło odnowy w komunistycznym państwie.

Papież reaguje w newralgicznych momentach dotyczących sytuacji w kraju. W trakcie konfliktu bydgoskiego i związanego z nim realnie niebezpieczeństwa "bratniej pomocy", na jaką liczyła część ze szczytem skorumpowanego aparatu, Papież w liście do księdza Prymasa Wyszyńskiego pisze:

"... powszechna opinia narodów miłujących pokój wyraża się w przekonaniu, że Polacy mają ściśle prawa do tego, ażeby sami, własnymi siłami rozwiązywali swoje własne problemy. Wszyscy uznają, że jest to zadanie i obowiązek skierowany dla wspólnego dobra własnego społeczeństwa. Podstawowe prawa współzycia międzynarodowego domagają się, aby taki wysiłek narodu był uszanowany przez innych".

Papieski głos w sprawach kraju ojczyznoję był wówczas nie tylko świadectwem zaangażowania wobec rodaków. Zaangażowaniem swym Papież budził życzliwe poparcie światowej opinii wobec przemian dokonywanych w Polsce i bronił kraj przed ingerencją

zewnątrzną.

Jasny i nie wymagający specjalnych komentarzy był stosunek Jana Pawła II do NSZZ "Solidarność". Zanim jednak przypomnimy skrótkowo spotkania i wypowiedzi papieskie, cofnijmy się na chwilę do pierwszych dni lipca 1980 roku. Podczas swej brazylijskiej pielgrzymki i spotkania z robotnikami w Sao Paulo - a więc na kilka tygodni przed wydarzeniami na polskim Wybrzeżu - Papież wygłosił pamienną i znamieną homilię, w której rozwinął szeroko myśl dotyczącą prawa zakładania niezależnych związków zawodowych. Z całą mocą potwierdził wówczas "prawo pracowników do zrzeszania się w wolnych organizacjach, aby mogli wyrażać swe zdanie, bronić praw i w odpowiedzialny sposób przyczyniać się do dobra wspólnego". Trudno więc dziwić się, kiedy w niespełna cztery miesiące później, już po ostatecznym zarejestrowaniu "Solidarności", 12 listopada 1980 r. na audyencji ogólnej Jan Paweł II wyraził głęboką radość "...z tego rozumnego i dojrzałego porozumienia, do jakiego doszło między władzami, a powstającymi związkami zawodowymi, Niezależnymi Związkami Zawodowymi, które w oparciu o zatwierdzony statut rozpoczynają swą działalność". Podobnie zareagował Papież w kwietniu 1981 roku na wiadomość o rejestracji "Solidarności" Rolników Indywidualnych.

Podczas pobytu kierownictwa "Solidarności" z Wałęsą na czele w Rzymie w styczniu 1981 roku, delegacja Związku była przyjęta przez Papieża dwukrotnie: na audyencji specjalnej i na Mszy św. w prywatnej kaplicy papieskiej.

W specjalnej audyencji uczestniczyli również przedstawiciele PRL z Zespołu do spraw Stałych Roboczych Kontaktów ze Stolicą Apostolską, co w wymowny sposób podkreślało pełnoprawny charakter nowych związków; Papież dobitnie podkreślił rolę Związku w dokonujących się przemianach i jego prawo "do podejmowania solidarnej współodpowiedzialności za godność i owocność pracy". Równocześnie podkreślił fakt, iż "nie ma sprzeczności między tego rodzaju samorządną inicjatywą społeczną ludzi pracy, a strukturą ustroju, który odwołuje się do pracy ludzkiej jako podstawowej wartości życia społecznego i państwowego".

Z podobną, a może nawet jeszcze większą życzliwością odnosił się Jan Paweł II do "Solidarności" Rolników Indywidualnych. Zbrodniczy zamach na życie Ojca Świętego uniemożliwił Mu przyjęcie delegacji rolniczego związku na audyencji oficjalnej. Jednakże, mimo pobytu w szpitalu i mimo zawieszenia wówczas wszystkich audyencji oficjalnych, Papież zdobył się na wymowny gest: przyjął na krótkiej audyencji w klinice Gemelli delegację "Solidarności" rolniczej.

Po wprowadzeniu stanu wojennego niezbywalne prawo narodu i jego niezależnej organizacji były stale obecne w nauczaniu społecznym Papieża. Towarzyszyła temu akcja dyplomatyczna na Konferencji Bezpieczeństwa i Współpracy w Europie obradującej w Madrycie. Delegat Watykanu, abp Silvio Luoni, odczytał specjalną "Deklarację w sprawie Polski". Podczas audyencji

ogólnych Papież nadal przemawiał po polsku, mimo iż Polaków z kraju na audiencjach nie było. "W ich nieobecności - stwierdził Jan Paweł II podczas kolejnej audiencji - inni widzą ograniczenie i naruszenie prawa, jakie przysługuje wszędzie wolnym ludziom".

Poparcie dla "Solidarności" Papież głosił konsekwentnie do chwili delegalizacji Związku 8 października 1982 roku.

Po delegalizacji zaś przyłączył się do głosów oburzenia, jakie słychać było wówczas na całym świecie. Dwa dni po delegalizacji, podczas uroczystości kanonizacyjnych o. Maksymiliana Kolbego, określił wydarzenia "związane z odebraniem Związkowi Zawodowemu "Solidarność" prawa do legalnego działania" jako "pogwałcenie praw człowieka i społeczeństwa".

W kilka tygodni później, 16 listopada 1982 r., na konferencji KBWE w Madrycie, delegat Stolicy Apostolskiej o. Paul Grossrieder OP stwierdził:

"Począwszy od sierpnia 1980 roku byliśmy świadkami rozpoczęcia porozumienia i dialogu z różnymi organizacjami wyrażającymi wolę narodu. Rząd uznał fundamentalną wartość, czego wyrazem było przyznanie statusu prawnego samorządnym i niezależnym związkom zawodowym. W grudniu roku ubiegłego proces ten został gwałtownie zawieszony, na okres przejściowy, jak zapewniano w Warszawie. Czuliśmy w tym zachętę, aby nie tracić całej nadziei. I właśnie ostatnio został podpisany wyrok śmierci na "Solidarność" /.../ Ta nowa sytuacja stawia delegację Stolicy Apostolskiej wobec poważnych pytań. Bo jakie środki pozostają teraz narodowi, by mógł o sobie stanowić, jak przewiduje ta zasada nr 8 Aktu Końcowego?"

• • •

Tyle powtórek z historii. Tej dawniejszej, sprzed pięćdziesięciu lat, choć nie na tyle, by należało o niej zapomnieć. I tej niedawnej na tyle, by traktować ją ciągle jako współczesność.

Linia Kościoła Powszechnego i jego ocena współczesności, w której komunizm zajmuje wiele miejsca, jest jasna. W każdym razie taką być powinna dla wszystkich. Podobnie nie może być żadnych złudzeń co do etycznych opcji obecnego pontyfikatu.

Papież przyjechał do rodzinnego kraju przede wszystkim jako głosiciel Dobrej Nowiny. Przyjechał również jako najwyższy autorytet moralny. Przywiózł więc chrześcijański program odnowy, oparty na zasadach ewangelicznych, a nie na nienawiści i walce klasowej. Jako Syn Narodu, do którego przybył z Trzecią Pielgrzymką, znał dobrze sytuację i aspiracje umęczonego społeczeństwa polskiego. I żadne manipulacje oficjalnych gospodarzy administrujących terenami, które odwiedził, nie były w stanie odebrać najistotniejszego sensu wizyty: umocnienia Polaków w ich ciągle nie spełnionych nadziejach.

Adam Korta

Ernest Skalski

Choroba na śmierć

- Kiedy będzie dobrze?
- Już było - odpowiada radio Erewań.

Odpowiedź ta rodzi jednak nowe pytania: kiedy było dobrze? komu? i na czym to polegało? Strukturalny, historyczny kryzys światowego systemu komunistycznego jest faktem, o który już dżentelmeni nie toczą sporu. Jeśli jednakże chcemy wiedzieć, jakie są dalsze rokowania, nie wystarczą wyliczenia symptomów choroby. Trzeba znać punkt wyjścia, stwierdzić czy pacjent w ogóle był kiedyś zdrowy i na czym to polegało, jeśli miałby do tej dobrej kondycji powrócić.

I tu zaczynają się schody. Mniej więcej wiemy, kiedy był złoty wiek ateńskiej demokracji, apogeum Imperium Romanum, czy Rzeczypospolitej Szlacheckiej, choć może trudno byłoby ustalić cechy konstytutywne tych stanów. Z komunizmem mamy same trudności. Trwa on na tyle długo, że można mu już wystawić ocenę z jego historycznego znaczenia, a jednak podejrzenie krótko, jak na formację historyczną, która zdałyby przeżyć swój okres wzrostu, rozkwit i wkroczyć w etap dekadencji. Tak szybko w historii raczej nie idzie, nawet pomimo przyspieszenia.

Snując dalej porównania historyczno-medyczne, można by może stwierdzić, że to dopiero początki nowej formacji i burzliwe dolegliwości jej dojrzwania, albo też - z drugiej strony - uznać, że jest to twór ułomny w swojej istocie, który po krótkim a burzliwym życiu właśnie się zeń wyprowadza.

Z obu tych hipotez wypływają ważne - acz przeciwstawne - wnioski na przyszłość.

BŁĄD HISTORII Stefan Kisielewski twierdzi, że socjalizm to błąd historii, którego ona jednakże nie zbiera się szybko naprawić. Jeśli przyjmiemy zasadę błędu, to musielibyśmy uznać, że istnieje jakaś prawidłowość, od której się odeszło, pozwalająca stwierdzić, dlaczego przechodzenie od feudalizmu do kapitalizmu /termin ten wywołuje

spory, ale zostaliśmy przy nim, bo wiadomo przynajmniej, o co tu chodzi/ mieści się w regule, a budowanie socjalizmu jest błędem.

Można się spierać o to, czy każdy kolejny etap rozwoju ludzkości był z definicji lepszy od poprzedniego, ale daje się stwierdzić jaka jest ta prawidłowość. Otóż z ustroju na ustrój, w miarę upływu wieków, doskonalili się technologia, rośnie wydajność pracy, zwiększa się i różnicuje ilość dóbr, jakimi dysponują społeczeństwa. Można ten proces uważać ewentualnie za zgubny, ale nie można go nie zauważać. Następnie - aczkolwiek to już jest trudniej uchwytne i nie tak jednoznaczne - rośnie znaczenie jednostki ludzkiej, gruntuje się jej wolność, kształtują się i upowszechniają prawa i wolności człowieka. Jeśli budzi to wątpliwości, to proszę sobie wyobrazić położenie członka stada ludzkiego, a w tym stanie człowiek znajdował się przez ogromną większość swego przebywania na Ziemi... Proszę też porównać sytuację feudalnego chłopca - a była nimi przytłaczająca większość mieszkańców każdego kraju do czasów nowożytnych - z kondycją, niechby i manipulowaną, konsumenta i obywatela.

Te procesy nie rozkładały się równomiernie z roku na rok na całym świecie. Były okresy i obszary, gdy ulegały przyspieszeniu i przemiany dokonywały się wówczas w trybie rewolucyjnym. Były tzw. epoki długiego trwania - powolnych, zgoła niezauważalnych przemian i okresy zastoju czy dramatycznych cofnięć. /Mieści się zatem w takiej prawidłowości okres dyktatur Mussołini i Hitlera, traktowanych jako wyjątek./ Jeśli więc są jakieś prawa historii, to na pewno nie są one żelazne, ni konsekwentne. Raczej już - gumowe. Dają się odkształcać, ale w końcu, mniej więcej, dochodzą do zadanej formy, choć mogą na to zejść pokolenia. A to znaczy, że z tych prawidłowości nie bardzo można wysnuwać wnioski na polityczne kadencje, czy nawet na okres pokolenia, które wcale nie musi pozakładać swych uprawnionych interesów w ramach postępu cywilizacyjnego, nawet jeśli w końcu byłby on historycznie nieuchronny.

Spójrzmy więc teraz, jak na tym tle przemian historycznych wygląda komunizm jako praktyka, czyli innymi słowy - r e a l - n y s o c j a l i z m .

W sferze praw jednostki sytuacja wydaje się być klarowna. Komunizm w sposób jednoznaczny okazał się systemem opresywnym, zmniejszającym zakres praw i wolności człowieka, wręcz ubezwłasnowolniającym go.

W sferze materialnej sprawy wyglądają na bardziej złożone. Zaczniemy od tego, iż w ciągu trzech pokoleń istnienia komunizmu, żaden znaczący wynalazek, żadna nowatorska technologia, żadna licząca się teoria naukowa - jednym słowem nic, co składa się na postęp cywilizacyjny, nie powstało na jego obszarze. Mieliśmy natomiast genetykę, cybernetykę i socjologię jako burżuazyjne pseudonauki. Jak na przodujący ex definitione ustrój, jeden Łysenko w charakterze pozytywnego wkładu, to stano- wczło za mało.

Faktem jest jednak, że się produkowało i budowało, w pewnych okresach, nawet dość dużo. Że w większości krajów komunistycznych produktów pracy ludzkiej zrobiło się znacznie więcej niż w momencie przejmowania władzy, a w pewnych okresach wzrost ten był nawet dynamiczny. Nie mówimy już o tym, ile z tego, co zrobiono, zostało spożyte przez ogół społeczeństwa. I ile cukru ma mieszkaniac Kubę - cukrowej potęgi, jak zaopatruje się w węgiel mieszkańiec węglowej potęgi - Polski i ile ropy spalają w swych samochodach mieszkańcy największego na świecie jej producenta - ZSRR. Zajmijmy się tym, co jest w sumie i o co ma z tego choćby tylko komunistyczne państwo.

Musimy przy tym wziąć pod uwagę, że w ciągu tych dziesięcioleci świat nie stał w miejscu. I jeśli odrzucić fałszywą ze swej istoty statystykę, operującą porównaniami do roku 1913, czy do roku 1938, to zobaczymy, że postęp w krajach komunistycznych jest minimalny lub żaden, w stosunku do krajów naprawdę porównywalnych. Spójrzmy dziś na jednakowo zacofane pół wieku temu Polskę i Hiszpanię, na Czechy, przed wojną bogatsze i bardziej rozwinięte niż Austria, lub na przepaść między państwami niemieckimi. Intuicyjnie wydaje się, że może nieco lepiej uplasowały się na tle świata ZSRR i ChRL niż cesarskie Rosja i Chiny, ale w obu tych krajach zamęczono i zamordowano, jak najbardziej dosłownie, dziesiątki milionów ludzi, by osiągnąć tę problematyczną pozycję, z której kraje te są - poza Chinami - w ciągu ostatniego ćwierćwiecza spychane. /W latach 1980-86 ZSRR spadł z drugiego miejsca na czwarte, jeśli chodzi o wielkość produkcji globalnej, a jego udział w grupie państw uprzemysłowionych - USA, Japonia, EWG plus ChRL - spadł z 28 do 12 proc./ Zaś we wszystkich krajach realnego socjalizmu przerobiono i zużyto bezpowrotnie ogromne zasoby surowców, zastana nieraz historyczną infrastrukturę, zdewastowane w straszliwy sposób środowisko, wyeksploatowano siły dwóch co najmniej pokoleń, wyczerpano możliwości kredytowe - wszystko po to, aby osiągnąć stan obecnego kryzysu i perspektywę upadku cywilizacyjnego, który w większości tych krajów już się rozpoczął.

Wypada więc zatem zgodzić, że komunizm jest "błędem" historii, jeśli jej prawidłowością jest przechodzenie do wydajniejszych sposobów produkcji, jak i do poprawy kondycji osoby ludzkiej. Tak jak biologia ma nisze ekologiczne, w których egzystują dziobaki, a nawet może i yeti, tak istnieją nisze historyczne, z których największą i dość jednorodną okazuje się światowy komunizm; obszar zacofania cywilizacyjnego, obejmującego organizację produkcji i życia społecznego. Na tle znanych z historii i współcześnie obszarów zacofania wyróżnia się on swym dynamizmem - jak dotąd - oraz zwartą ideologią. Można powiedzieć, że jeszcze nigdy przedtem nie zwracano historii z taką energią i z takim przeświadczeniem, że tworzy się postęp.

W swym dziele "Zagadnienia leninizmu" Stalin, wyliczając aż siedem różnic między rewolucją kapitalistyczną i socjalistyczną, stwierdza między innymi, że system kapitalistyczny

powstaje jeszcze w łonie feudalizmu. Istnieją już nowe klasy społeczne i nowy typ stosunków między nimi, powstaje kapitalistyczny sposób produkcji, lecz wszystko to źle funkcjonuje i nie może się rozwijać przy feudalnych prawach i przywilejach, które rewolucja burżuazyjna znosi, wyzwajając nowy ustroj z krępujących go więzów. Natomiast w kapitalizmie żadnych elementów socjalizmu jeszcze nie ma. Dojrzewają jedynie sprzeczności kapitalizmu, lecz nowy ustroj powstaje dopiero na surowym korzeniu, po likwidacji starego. Praktycznie więc wystarczy wykorzystać moment sposobny dla zdobycia władzy gdziekolwiek i kiedykolwiek to się przydarzy, a potem już można sobie zbudować nowy wspaniały świat. Wszak Karol Marks zauważył, iż dotąd filozofowie objaśniali świat, a zadanie polega na tym, aby go zmienić. Nietrudno zatem o filozofów, którzy nie zrezygnują z okazji takiego eksperymentu, zwłaszcza że ma to uszczęśliwić ludzkość /wraz z nimi!/, a poza tym i tak - skoro się uda - stanowi jedynie możliwą konsekwencję odkrytych przez marksizm, niepodważalnych praw rozwoju historycznego.

Ponieważ jednak dawne klasy się na to nie godzą, trzeba je usunąć przemocą, o której tenże Marks powiedział, iż jest akuszerką historii. Wszelako akuszerka pomaga urodzić się płodowi, który już istnieje i jest zdolny do życia. W tym przypadku nie może ona zebrać narzędzi i zainkasować zapłaty, bo nowy ustroj nie chce bynajmniej sam powstawać. Jest on, jak wszelka utopia, idealny, lecz ludzie nie są idealni, nie pasują do tego systemu i trzeba ich odpowiednio przerobić. Wbrew nim, skoro nie wiedzą, co dla nich dobre. Ale partia, wyposażona za nich w ich historyczną świadomość, wie lepiej, co jest lepsze dla ludu, czy dla jego przyszłych pokoleń i dla ich dobra wobec nich też musi stosować siłę.

Musi więc istnieć silna, bezwzględna władza, legitymująca się historyczną wyższą koniecznością, natomiast bez konieczności kontrolowania swych postępów z bieżącymi interesami społeczeństwa, bo te są z definicji niesłuszne, jeśli nie pasują do dalekosiężnej koncepcji. Nie musi się też konfrontować z bieżącymi wynikami swych rządów, skoro cele są dalekosiężne i teoretycznie zawsze mogą być osiągnięte w przyszłości. W ten sposób polityczna dyktatura oligarchii staje się konstytutywną cechą komunizmu.

Gdyby się tylko do tego ograniczyło, komunizm nie byłby jeszcze komunizmem, lecz kolejnym wydaniem represyjnego autorytaryzmu. Coś w rodzaju Iranu za szacha czy Chomeiniego, gdzie bezwzględna władza toleruje rynek i jego prawa, czyli istnienie i funkcjonowanie niezależnych podmiotów gospodarczych. Nawet totalizm faszystowski we Włoszech i Niemczech zachowywał w zasadzie zastane stosunki gospodarcze. Żydowski sklepik dawało się aktywiście z SA, lecz się go nie likwidowało jako instytucji i nie uważało, że do państwa należy ma bezpośrednio sprzedać pietruszki i wody sodowej.

Komunizm ma większe ambicje i nastawiony jest przeciw kapitalistycznemu sposobowi produkcji, w którym widzi się jedynie wyzysk, chaos i marnotrawstwo. Oczywiście, jest w nim faktycznie wyzysk, chaos i marnotrawstwo, jak w każdym produkcie his-

torii. Kapitalizmu wszelako nikt nie wymyślił, nikt nie z a d e k r e t o w a ł. Tworzył się on w sposób żywiołowy, w miarę postępów cywilizacji, i jest naturalnym stanem społeczeństw ery przemysłowej. Zachowania ludzi, którzy w swej masie zawsze i wszędzie kierują się przede wszystkim swym interesem, na tym stopniu rozwoju określane są przez prostą zasadę: taniej kupić - drożej sprzedać. Przy tym obiektem kupna-sprzedaży jest również praca /nawet jeśli jej podmiotowy charakter - jak uczy Kościół - nie upoważnia, by ją przyrównywać do towaru, czyli produktu pracy wystawionego na sprzedaż/. Stosowanie tej zasady sprzeczne jest do maksymalizacji efektu, jeśli to możliwe, a jeśli nie jest możliwe, to do minimalizacji nakładów, a w tym wysiłków.

Sprawne funkcjonowanie nowoczesnej cywilizacji, skłaniającej raczej do maksymalizacji efektów i prowadzącej do rozwoju gospodarczego, opiera się na istnieniu rynku, na którym występują odrębne i różne podmioty gospodarcze, na którym realizuje się prawo wartości, pozwalające na obiektywną ocenę nakładów i efektów i na którym obowiązuje prawo podaży i popytu oraz przepływu kapitału tam, gdzie występuje większa efektywność.

Ten system regulacji nie może się utrzymać w systemie komunistycznym, gdzie występuje /w modelu idealnym; odskocznia jak dotąd nie zmieniają charakteru ustroju/ jeden podmiot gospodarczy, jakim jest państwo. Występuje zaś ono w tej roli dlatego, że zdobywszy pełnię władzy, nie spotyka już żadnych ograniczeń na drodze objęcia nią również gospodarki. Dlatego, że dla realizacji swych celów potrzebuje ogromnych środków i liczy, że jako jej właściciel najłatwiej je z niej wyciąśnie. Dlatego również, że ludzie, ciągle z tą "kapitalistyczną" czyli naturalną świadomością, chcą pracować przede wszystkim na siebie, a nie na cele, jakie stawia przed sobą i nimi komunistyczne państwo. By ich do tego zmusić, trzeba więc ich wszystkich ubezwłasnowolnić, zostać ich wyłącznym pracodawcą i monopolistycznym dostawcą, będąc zarazem sędzią i policjantem. Do tego trzeba zawłaszczyć gospodarkę i zmonopolizować wszelkie decyzje ekonomiczne w swych rękach.

A ponieważ z góry się przyjęło, że nowy ustrój jest z definicji lepszy i wydajniejszy, a do tego wygodniejszy dla rządzących, to można przez długie dziesięciolecia przeżywać kolejne "trudności wzrostu", aż do momentu, gdy już nie ma miejsca, ni czasu, na żaden manewr.

System ten, w którym władzę przez kilka pokoleń wszystko "nic nie kosztuje", w którym ludzie pracy by przeżyć muszą minimalizować wysiłek, musi być marnotrawny i nieefektywny do tego stopnia, że prawdopodobnie zużywa więcej wartości /surowce, praca, możliwości ekologiczne, kredyty/, niż tworzy w postaci substancyjnych budów i produktów. Zatem im szybciej i burzliwiej rośnie komunistyczna gospodarka, ku zachwytowi jej właścicieli i zdumieniu obserwatorów, tym bardziej przybliża się moment wyczerpania zastanych rezerw, którym nie jest w stanie zapewnić nawet reprodukcji prostej,

w długim historycznym okresie. Będąc zaś dalej tak samo nieefektywną i marnotrawną i walcząc o utrzymanie produkcji, zaczyna zierać się sama, zużywać swoją własną substancję, której rozpad obserwujemy, oraz przyrodę i ludzi, którzy żyją coraz gorzej i coraz krócej.

Z tego wszystkiego wynika, że doprowadzenie przez komunizm wszystkich opanowanych przez krajów do blokady cywilizacyjnej i progno upadku nie jest wynikiem błędów w ramach komunistycznej polityki. Nie bierze się z odejścia od Marksa, Lenina, z konserwatyzmu Breżniewa, woluntaryzmu Gierka, czy nawet anarchii "Solidarności". W tym się wyraża istota, e s e n c j a tego systemu. Taki jest immanentny mechanizm tego b ł ę d u h i s t o r i i .

KRYZYS W KRYZYSIE Czyżby zatem miało to znaczyć, że w komunizmie nigdy nie było dobrze? Większości w społeczeństwach na pewno nie. I choć czasami przekonywano ludzi, że żyją już w raju, to jednak przeważały powtarzane przez pokolenia obietnice, iż prawdziwe szczęście przyniesie ten ustrój dopiero po kolejnej pięcioletce lub zakończeniu jakiegoś mglistego etapu. Jeśli jednak pozbedziemy się złudzeń, że prawdziwym, a nie tylko deklaracyjnym, celem tego systemu ma być dobro jego poddanych, takie, jakiego by sobie oni życzyli, wówczas możemy postawić ten problem inaczej: niechby to nawet był system zacofany i niedobry dla ludzi, to czy - patrząc z punktu widzenia jego wewnętrznej celowości, z punktu widzenia interesów jego apologetów i beneficjentów - miał on okres swego rozkwitu, czy nie? I tu wypadłoby stwierdzić, że chyba miał. Dla każdego systemu, układu, struktury - jakakolwiek by ona była w stosunku do otaczającej rzeczywistości - tkuste lata to te, gdy następuje wewnętrzna konsolidacja i zewnętrzna ekspansja. Kraje komunistyczne bez wątplenia przeżywały takie okresy i to jeszcze całkiem niedawno. I nawet dosyć łatwo jest ukazać apogeum tego okresu w każdym z nich, gdy oba te czynniki kumulowały się. Dla ZSRR był to czas od zakończenia II wojny światowej do śmierci Stalina. Dla jego europejskich wasali lata 1948-1955 /aczkolwiek tu można mówić tylko o wewnętrznej ekspansji nowego ustroju na coraz szerszy obszar społeczny/. W Chinach były to lata Wielkiego Skoku i - po przerwie - rewolucji kulturalnej. Wszędzie krajowi było źle, lecz ustrojowi dobrze, co przypomina stosunki żywego organizmu z toczącym go nowotworem. Taka klarowna zależność zdaje się jednak występować tylko w tych szczytowych momentach. Potem to się komplikuje.

Komplikuje się zresztą wszystko. O ile moment apogeum jest wyrazisty, o tyle zakończenie owego szczytowania bywa rozciągnięte w czasie i zróżnicowane. Kryzys władzy w ZSRR powstał zaraz po śmierci Stalina w 1953 roku i trwał do obalenia Chruszczowa w roku 1964. Kryzys gospodarczy ujawnił się na początku lat sześćdziesiątych i przeszedł w faktyczną stagnację na okres dwóch dziesięcioleci, do wkroczenia znowu w ostrą fazę. Natomiast zewnętrzna ekspansja, polegająca na wzroście siły i rozszerzaniu się imperium, trwała do końca lat siedemdziesiątych.

tych - Kuba, Jemen Płd., Angola, Mozambik, Etiopia, Wietnam, Kambodża, Laos, Nikaragua, Afganistan.

Na Węgrzech, po katastrofie 1956 roku, system się ustabilizował w ramach kadarowskiego gulasz-socjalizmu do początku lat osiemdziesiątych, gdy zarysował się kryzys gospodarczy, a za nim społeczny i polityczny. W Polsce komunizm łapał oddech wraz z gomulłkowską liberalizacją i gierkowskim przyspieszeniem. Ale to wszystko wszędzie już chyba minęło. Nigdzie w krajach komunistycznych nie daje się zauważyć objawów konsolidacji ustroju i jego ekspansji. Wszędzie natomiast widzi się występujące w różnym nasileniu i w różnej postaci procesy dezintegracji i wycyfowania się, na razie w obszarów społecznych u siebie. Tak więc na immanentny kryzys cywilizacyjny, który komunizm przyniósł de facto opanowanym przez siebie krajom, nakłada się w ostatnich latach kryzys samego tego systemu, jego rozkład wewnętrzny. I tu widzimy, że - jak na razie przynajmniej - nie oznacza to niczego dobrego dla zniewolonych społeczeństw. Sytuacja jest pomyślna, acz nie bez wyjścia.

Punktem zwrotnym przy przechodzeniu do tego wspólnego już etapu upadania jest uświadomienie sobie tego faktu przez elity, czy choćby tylko przez ekipy rządzące. I praktyczne wyciągnięcie z tego wniosków. W Chinach dokonał tego Deng Xiaoping. W Rosji, rzecz jasna, Gorbaczow choć antycypował to już Andropow. W Polsce chyba jednak Jaruzelski, z tym, że dopiero Gorbaczow dał mu - niewykorzystaną jak dotąd - szansę na wyciągnięcie wniosków. Trudno przypuszczać, by nie widzieli tego stanu rzeczy kierownicy polityczni Jugosławii i Węgier, choć nie widać, by mieli w związku z tym jakies pomysły. Ale w Sofii, Bukareszcie, Pradze, Hawanie /Pankow to sytuacja bardzo specjalna/ zachowują się tak, jakby miano do czynienia co najwyżej z kolejnym wypadkiem przy pracy.

Komunistyczne państwa frontowe - Nikaragua, Angola, Mozambik, Kambodża - mają inne sprawy na głowie, o Laosie, KRL-D i Etiopii nic nie wiadomo. Doniesienia z Wietnamu mówią, że i tam dostrzeżono kryzys, zmieniono kierownictwo i zapowiedziano zmiany, jakby według wzoru chińskiego, choć z Chińczykami bardzo się Wietnamczyki nie lubią.

Przywódcy komunistyczni, nawet widząc kryzys komunizmu, nie czują się jak dotąd likwidatorami jego masy upadłościowej. Iluminacja ich polega na przyjęciu do świadomości faktów - dawno już oczywistych dla innych - a nie na zrozumieniu mechanizmów. Poza tym, oni wciąż jeszcze rozumują jak prezes General Motors /"co jest dobre dla GM, jest dobre dla kraju"/. Kryzys systemu i kraju postrzegają jako zjawisko jednorodne. Uważają, że kraj upada, bo zużył się aparat władzy, rozmyła jego motywacja itp. Kiedy zaś struktura władzy funkcjonowała mniej więcej zgodnie ze swym założeniem, to z krajem i społeczeństwem - rozumują - było o.k. i wypadałoby jakoś do tego wrócić modyfikując system. Czyli: wiele trzeba zmienić, by mogło być nie zmienione.

Tymczasem - powtórzmy - przez cały czas komunistycznego panowania narasta, choć nie od razu ujawnia się k r y z y s

c y w i l i z a c y j n y objętych nim krajów. Jest to proces powolny, jego obiektem jest świadomość i postawa pokoleń, materialny dorobek społeczeństw i nawet przyroda kraju - więc to, co się zmienia powoli. Natomiast sama struktura władzy zmienia się szybciej i tych kilkudziesięciu lat w pełni wystarcza na jej wstępy i upadek. Tego jednak Gorbaczow, Deng i Jaruzelski zdają się jeszcze nie rozumieć.

Mimo to w ich postawach jest coś jakościowo nowego w porównaniu z tymi, dla których zmiany w systemie były i są jedynie "dalszym doskonaleniem". Doskonaląc, wychodzi się z założenia, że już i tak jest dobrze, więc poprawiać się może powoli, zaś wszelkie ryzyko jest niepotrzebne i - eo ipso - szkodliwe. Jest to więc w gruncie rzeczy przepis na niekończącą się stagnację, według wzoru Gomułki czy Breżniewa. Gdy się zaś głośno przyznaje, że jest źle, planuje się de facto zauważalną poprawę i samemu wyznacza się sprawdzian, czyli jakiś moment rozliczeń.

I jest tu jeszcze jedna okoliczność, z której komunistyczni reformatorzy mogą sobie nie zdawać sprawy. A mianowicie, to, co podejmują jako wychodzenie z jednolitego dla nich krzyżu kraju i systemu, jawi się w gruncie rzeczy jako próba ratowania kraju kosztem systemu. To się już w historii realnego socjalizmu zdarzało, lecz tym razem zdaje się to mieć trwałe charakter i na tym chyba polega novum.

Alain Besançon w swej "Anatomii widma" zauważa, że w komunizmie istnieją dwa sposoby gospodarowania: wojenny komunizm i NEP. Przy wojennym komunizmie ustrój rozwija się wspaniale, ale nie wytrzymuje tego kraj i jego gospodarka. System zabija organizm, na którym pasożytuje. Gdy to dostrzega, wprowadza NEP: toleruje w pewnym zakresie naturalne prawa ekonomiczne i naturalne zachowania ekonomiczne jakiejś części społeczeństwa. Kraj odżywa, ale zaczyna się uwiad komunizmu i bezpośrednie interesy władzy zaczynają być zagrożone. Wtedy znów mamy wojenny komunizm. Ustrój odżywa, kraj się pogrąża.

Wyraźne i jednoznaczne NEP-y znamy, jak dotąd, dwa: Lenina w latach dwudziestych i Denga w osiemdziesiątych /zaś najkonsekwentniejszy komunizm mieliśmy w Kambodży Pol Pota/. A przeważnie to elementy obu tych sposobów przepływały się z różnym natężeniem i w różnych proporcjach w poszczególnych krajach i okresach. Jakikolwiek byłyby te zmiany, jeśli chodzi o ich natężenie i skuteczność, to zawsze są w jakimś /przeważnie niewielkim/ stopniu odchodzeniem od komunistycznego wzorca, ozięściowym negliżowaniem jego podstawowych zasad i sięganiem - na ogół niekonsekwentnym - do znanych i wypróbowanych instytucji, takich jak: rynek, wartość, bezpośredni interes.

Na ile to jest możliwe, zmiany te władza stara się ograniczać do sfery czysto gospodarczej, z zachowaniem wszystkich prerogatyw policyjno-politycznych. Musi bowiem ona zachować kontrolę nad tym, co się dzieje i możliwość odwrotu ku klasycznemu modelowi komunizmu. Poza tym, władza, jak dotąd, zadowolony daje sobie radę z ludźmi niż z gospodarką. Ludzi udaje się zniechęcać, oszukiwać, przestraszać. W ten sposób można ich

powstrzymywając od działań niekorzystnych dla władzy i ustępowania natury politycznej nie jawią się jako konieczne. Nie można ich jednak już zmusić, aby robili na dłuższą metę to, czego władza od nich wymaga, a co sprzeczne jest z ich doświadczeniem na co dzień interesem. Dotyczy to nie tylko tzw. szerokich rzesz ludzi pracy, lecz również osób i ich grup w aparacie władzy, załatwiających przeróżne swoje partykularne interesy. A więc po wyczerpaniu się możliwości terroru i agitacji, sięga się po pomysły, aby coś usprawnić organizacyjnie i wtedy jesteśmy na etapie reform decentralizacyjnych. Część uprawnień na mocy delegacji centrali przechodzi w dół, nie dając ogniwom żadnej realnej autonomii, nie kreując nowych podmiotów i w niczym nie zmieniając istoty gospodarowania. Potem się sięga po bodźce, ciągle jeszcze sądząc, że wystarczy coś wymyśleć, aby usprawnić rzeczywistość. NEP natomiast zaczyna się dopiero tam, gdzie dopuszcza się, choćby częściowo, autentyczne interesy i powiązania między ludźmi, czyli gdy komunizm oddaje jakies pole - niechby i margines - ze swego autentycznego stanu posiadania. Wtedy też można liczyć na jakies realne rezultaty, czego doświadczyła na sobie porewolucyjna Rosja i czego dziś doświadczają Chiny.

Forsując, wbrew oporowi własnego aparatu, NEP Lenin wyraźnie stwierdzał, że to zabieg taktyczny, obliczony na jakiś tylko czas i w tym - rzadkim - przypadku był szczerzy. Deng Xiao-ping traktuje swoje reformy jako trwałą element i przy skomplikowane rozgrywki z tą częścią aparatu, która poczuła się zagrożona i myśli o powrocie do nowej fazy komunizmu wojennego, przy czym wynik tych rozgrywek nie wydaje się być przewidziany. Ta różnica zrozumienia rzeczywistości i intencji Lenina i Denga /a chyba i Gorbaczowa/ zdaje się świadczyć o ewolucji, jaką przeżył komunizm. O tym, że jego światlejsi przywódcy już wiedzą, że przegrał on wyścig i walczą nie o warunki dalszej ekspansji, lecz o przetrwanie.

Jest to ocena intuicyjna, więc niekoniecznie musi być słuszna, ale wydaje się uprawniona. Prześledźmy może te zmiany na naszym polskim przykładzie.

W roku 1956 odejście od kolektywizacji rolnictwa, ateizacji społeczeństwa, uniformizacji kultury było dla jednych komunistów niewybaczalnym błędem, dla innych wymuszonym zabiegiem taktycznym, a dla tych najświatlejszych - rozłożeniem słusznego historycznego zadania na odpowiednio długi okres historyczny, aż społeczeństwo samo zrozumie, sytuacja dojrzeje itp. Tak czy inaczej, było to nieustannie wymuszane ustępstwo systemu, który był totalitarny w swym założeniu, zaś w praktyce ze swego totalizmu stosował tyle, ile mu się udawało. To znaczy - zatrzymywał się przed skutecznym oporem, cofał przed naporem, zaś przechodził do kontrofensywy i odzyskiwał utracony teren, gdy tylko układ sił stawał się dlań korzystniejszy.

Za Gomułki robił to dość energicznie, za Gierka jakby już nieco bardziej ospale, za Jaruzelskiego natomiast nie jest to takie oczywiste. Po 13 grudnia trwa proces słabnięcia opozycji i rozkręcania się kontrofensywy systemu. W prasie

opozycyjnej pojawiło się widmo stalinizmu jako punkt docelowy władzy, przed osiągnięciem którego może ją powstrzymać tylko opór społeczny. Tymczasem, mniej więcej od roku obserwujemy dość wyraźne zahamowanie tej ofensywy, choć opór społeczeństwa bynajmniej się nie wzmógł, a opozycja nie wzrosła w siłę - raczej przeciwnie.

Jest to jeszcze zdecydowanie za mało, by mówić o przełomie czy punkcie zwrotnym i na tyle jest to krótkie i niekonsekwentne, że może jeszcze być tylko koniunkturalnym przesunięciem akcentów. Ale nie można wykluczyć, iż jest to zmiana symptomatyczna dla procesu słabnięcia ustroju, mimo że ekipa mówi o jego wzmocnieniu, mieszając doraźną koniunkturę polityczną z procesem historycznym.

Lecz nawet czując się mocniej w siodło, czuje ona, że szkapę, którą ujeżdża, powoli pada. Najinteligentniejsza po wojnie ekipa - jak sama lubi o sobie mówić - okazała się na tyle inteligentna, że zaczęła sobie zdawać sprawę, iż polityczny sukces nie chroni przed postępującym upadkiem.

Zwolennicy "stalinowskiej" kontrofensywy nadal istnieją i jeszcze być może podnoszą głowę, lecz ich czołowi przedstawiciele zostali wewnątrz elity stłamszeni i odsunięci. Stracili też chyba swoje poparcie w Moskwie, jeśli nie liczyć lobby wielkoprzemysłowego, które walczy skutecznie o zachowanie struktury gospodarki, lecz nie ma programu politycznego. Ci, którzy obecnie dominują w aparacie wiedzą już, że wiele powinno być zmienione i nawet już wiedzą co, lecz jednocześnie mają świadomość łączących się z tym zagrożeń. Boją się otwarcia tamy przed dalszymi rewindykacjami społecznymi i utraty poparcia własnego establishmentu, którego kosztem musiałoby się to odbywać. W takiej sytuacji prowadzi się na ogół politykę niekonsekwentną - połowiczną, pełną wahań, która nikogo nie przyciąga, a wszystkich zniechęca, demonstrując zarazem słabość nadal niepopularnej władzy - nieraz nie tak wielką, jakby się mogło zdawać.

Ale tu już wkraczamy na grunt bieżących - rozpatrywanych w skali kilku lat - wydarzeń politycznych, których tak naprawdę nie można jednoznacznie przewidzieć. Zaś z historycznego punktu widzenia, okres obecny wygląda na próg, od którego system ostatecznie traci swój impet i praktycznie rezygnuje ze swej ekspansji. Tu nie chodzi o zapis w konstytucji, gwarantujący trwałość indywidualnych gospodarstw rolnych - nie takie rzeczy wypisywało się w komunistycznych konstytucjach. I nawet nie o to, że przestanie się to rolnictwo dyskryminować, bo się nie przestanie. Lecz o to, że aparat władzy zdał sobie sprawę, że się go już nigdy nie skolektywizuje, bo to by oznaczało śmierć głódową.

Będą zapewne jeszcze przepychanki z Kościołem, lecz już nie ma złudzeń, że kiedykolwiek się wykorzeni religię, a Kościół przekształci w skansen folklorystyczny. Niewykluczone nawet, iż wielu ludzi z elity władzy przeczuwa, że w ostatecznym wypadku autorytet Jana Pawła II i powaga Kościoła mogą być lepszą gwarancją bezpieczeństwa - m.in. ich samych - niżli watahy ZOMO.

Wydaje się nawet, że systemowa opozycja w obecnej postaci wraz z II obiegiem uznane zostały za trwały element inwentarza, którego tolerowanie przynosi mniejsze szkody, niż ewentualna likwidacja. Stąd pluralizm okazał się nagle systemową właściwością ustroju.

Wreszcie sprawa jakby uboczna, ale charakterystyczna. Nawet sektor prywatny, poza rolnictwem, zadomowił się, w gruncie rzeczy, na stałe. Oczywiście, nadal ma być szmaccarski i złodziejski, bo w ten sposób władza ma nad nim kontrolę, lecz już nie wyobraża sobie egzystencji bez niego.

Komunizm staje się zależny od obszarów społecznych i gospodarczych, których mu się nie udało zająć i zniszczyć. Szczególnie jest to widoczne w stosunkach z Zachodem. Kapitaliści byli do tego - zgodnie z uwagą Lenina - by kupić od nich sznur, na którym się ich powiesi. Ale komunizm już "wie", że nie zwycięży w świecie, że walczy o obronę swoich pozycji i że nie utrzyma się bez tegoż Zachodu: bez jego technologii, zboża, produktów przemysłowych, pieniędzy, bez wielostronnych kontaktów z nim. Zaczyna już jakby rozumieć, że trzeba będzie też za to płacić.

Pierwsza rata tej płatności to faktyczna rezygnacja z dalszej ekspansji na zewnątrz. Nie z powodu zmiany charakteru systemu, ale utraty możliwości. Komunizm przestał być atrakcyjny jako ideologia i wzór do naśladowania. Nie stać go już na udzielanie liczącej się pomocy gospodarczej i wywieranie presji ekonomicznej poza swoim terenem. Pozostaje mu jeszcze siła zbrojna w postaci globalnego i europejskiego szantażu oraz podtrzymywanie terrorystycznych reżimów i ugrupowań. Ale i na tym polu zapowiada się jego porażka. Przegrywając technologiczny i gospodarczy wyścig z Zachodem, głównie z USA, nie utrzyma się jako równorzędny partner militarny i polityczny. Nie mówiąc już o "wojnach gwiazdnych", które przerastają już chyba możliwości ZSRR, nawet jego broń konwencjonalna, którą zgromadził w takim nadmiarze, okazuje się /Liban 1982/ o wiele gorsza od zachodniej.

A przede wszystkim Gorbaczow wie, że ZSRR musi przerwać, lub znacznie osłabić, rozpoczęty przez siebie wyścig zbrojeń, jeśli ma uniknąć ruiny gospodarczej. I nic nie zyskawszy szantażem, zaczyna się przymierzać do ustępstw.

Osobowość Gorbaczowa i zaciekawienie, jakie sobą budzi, zamąca nieco klarowność sytuacji, lecz nie na długo i nie to decyduje. Ma on dobrą publicity, działa na jego rzecz ciągle jeszcze liczny i krzykliwy ruch pacyfistyczny, ale większość społeczeństw zachodnich wybiera przywódców, /Kohl, Thatcher, Mitterand i Chirac, Reagan i chyba jego następcę/, którzy skończyli z polityką ustępstw wobec ZSRR. Moskwa musi uważać na to, że im kto słabszy, tym bardziej się liczyć z twardym kursem wobec siebie. Zależność komunizmu od Zachodu będzie rosła i następna rata płatności może oznaczać ustępstwa już w obrębie obozu. Afganistań, to zdecydowany punkt numer jeden, ale już dziś odzywa - jeszcze nieśmiało - kwestia niemiecka. Gdzieś może być także miejsce na polską...

Być może, jest to jeszcze skakanie do konkluzji, jak mawiają Anglicy, ale jutro już tak nie będzie. Być może, trendy się jeszcze odwrócą, lecz na razie nic na to nie wskazuje i centralne ośrodki komunistyczne przestają chyba liczyć na cud.

Polska - najsłabsze ogniwo realnego socjalizmu lub najwesełszy barak w obozie - jest krajem, w którym komunizm poczynił najsłabsze postępy i w którym jego demontaż jest chyba najbardziej posunięty, nawet jeśli jest to tylko demontaż wstępny. Dziś już widzimy, że nasz kryzys, który tak nami wstrząsnął w 1980 roku, nie jest niczym wyjątkowym, ani najgorszym w obozie. Był jedynie pierwszym, czy też pierwszym, który musiał być oficjalnie uznany.

Mamy dziś w kraju dwa równoległe procesy. Jeśli spojrzymy w perspektywie kilkuletniej, to dostrzeżemy, że jednak rozszerza się i umacnia ów niekomunistyczny margines w życiu gospodarczym i duchowym, hamując drugi proces - materialnej i duchowej degradacji. Mimo to, ów proces upadku materialnego i demoralizacji, powodowany przez komunizm, trwa w dalszym ciągu i ma charakter przemożny. Kryzys szkodliwego systemu nie oznacza, że kraj przezeń opanowany wychodzi z kryzysu. Mimo enklaw normalności, nadal jesteśmy w "błędzie" i ponosimy tego skutki. W sferze materialnej, gdzie rzeczy są łatwiej uchwytnie, coraz dotkliwsze. Trudno powiedzieć, czy prędzej słońce wszędzie, czy rosa oczy wyje. Czy nawet w przypadku, gdyby górę wziął korzystny dla narodu proces odkomunizowania, uda się wrócić do normalności drogą ewolucji. Nie gwałtownie, lecz na tyle szybko, by nie zdażyć zostać naprawdę Bangladeszem Europy. Teraz, mówiąco rzetelnie, jeszcze nam ździebko brakuje. Nie wiadomo, czy po drodze nie czekają nas wstrząsy i jaki będzie ich przebieg. Historia pokazuje, że jej formacje mogą schodzić na uwiad, ale i w gwałtownych konwulsjach. Komunizm wydaje się już być chorym na własną śmierć, a historia zawsze znajduje sposób, by w końcu egzekwować swoje wyroki. Byłoby ładnie z jej strony, gdyby zrobiła to w miarę szybko i możliwie łagodnie...

Ernest Skalski

ZA MURAMI KREMLA

Jan Morawski

Czego chcą, czego się boją

**DLACZEGO
PIERESTROJKA?**

Ogarnięty stagnacją cywilizacyjną kraj o masie kontynentu dość nagle, w kwietniu 1985 roku, proklamował bardzo ambitne cele. W ciągu 15 lat, do 2000 roku, Gorbaczow chciałby: a/ tak przyspieszyć rozwój gospodarczy i techniczny, aby podwicić potencjał cywilizacyjny i zdolności produkcyjne ZSRR; b/ dzięki przebudowie gospodarki, otwierającej się na świat i na rynkowo-menedżerskie metody regulacji, wyraźnie zwiększyć wydajność i efektywność; c/ dokonać bliżej nieokreślonej demokratyzacji życia publicznego, czego głównym przejawem ma być zwiększona jawność, swoboda krytyki i debaty społecznej. Te trzy podstawowe cele programu M. Gorbaczowa skrótowo wyrażają słowa - symbole: **p r z y s p i e s z e n i e**, **p r z e b u d o w a**, **j a w n o ś ć**. Jest dość znaczące, że wykoniony 11 marca 1985 r. sekretarz generalny dostrzeżenie wzajemne związki między tymi wymiarami swego programu. Są one jednak, jak można sądzić z tonu przemówień, bardzo tradycyjnie pojmowane: celem głównym jest przyspieszenie /uskorenienie/ cywilizacyjne, aby zapobiec pogłębianiu się dystansu wobec rozwiniętego Zachodu. Także Lenin i Stalin uważali s z y b k i e t e m p o za podstawowy atut w praktyce, chociaż Lenin znał myśl Marksa, iż o przewadze systemów społeczno-gospodarczych decyduje nie tempo wzrostu ilościowego w gospodarce, ale społeczna wydajność pracy. Nowość podejścia Gorbaczowa wyraża więc nie cel, lecz środki. Środkiem priorytetowym ma być właśnie przebudowa struktur instytucjonalnych, a jawność i większa szczerota dyskusji - jedynie środkiem wspomagającym. Ostrożnie wyrażane ambicje demokratyczne w sferze kultury i polityki nie są ani główną, ani samodzielną wartością w projektach Gorbaczowa. Są wyrażeniem podporządkowane przebudowie gospodarki i przyspieszeniu cywilizacyjnemu.

Przyczyny zwycięstwa Gorbaczowa i jego programu po śmierci K. Czernienki są rozmaite. Można je podzielić na trzy grupy:

1. Wewnętrzne opóźnienia, strukturalne sprzeczności i nieefektywność modelu ustrojowego ZSRR;

2. Cywilizacyjna prężność świata zachodniego, który coraz wyraźniej stwarza wyzwania kwestionujące sensowność radzieckiej i - ogólniej - komunistycznej alternatywy;

3. Napięcia społeczno-polityczne w tzw. obozie państw komunistycznych, a szczególnie sugestywna siła polskiego Sierpnia i atrakcyjność alternatyw proponowanych przez dążenia "Solidarności".

Ozynnikiem najważniejszy, to przymusy sytuacyjne, coraz wyraźniejsze wtórne zacofanie ZSRR, splatające się z ciągle nie usuniętymi skutkami zacofania przedrewolucyjnego. Po blisko siedemdziesięciu latach politycznie forsowanej industrializacji, po straszliwych cierpieniach i wyrzeczeniach narzuconych przez pepresywną politykę, po kolejnych odkryciach tzw. błędów i wypaczeń /Stalina, Chruszczowa, Breżniewa/, powstał w tym kraju jedynie marnotrawny i ociężały przemysł. Powstało wiele kopalń, hut i fabryk, ale nawet ich wielka koncentracja nie spowodowała powstania społeczeństwa przemysłowego o swoistej kulturze gospodarowania, etyce pracy, postawach wobec czasu i przestrzeni... Centralnie planowane i politycznie kontrolowane społeczeństwo żyje dziś dla potęgi przemysłu i armii, niejako w s p ó k i s t n i e j e z przemysłem, lecz ma jedynie powierzchowne cechy społeczeństwa przemysłowego. Aby kraj agrarny przekształcić w przemysłowy, bolszewicy zdobyli władzę zręcznymi podstępami, a przemocą ją utrzymali i utrwaliли. Po drodze do nowoczesności, utożsamionej z przemysłową techniką wytwarzania, zniszczono zarodki społeczeństwa obywatelskiego, posiane przez rewolucję z lat 1917 r. Etosu społeczeństwa obywatelskiego już od dawna nie ma, a etos społeczeństwa przemysłowego jeszcze nie uzyskał dominującego wpływu na styl życia ludzi.

Ludzie ci mieli zapomnieć o swych etnicznych korzeniach, o kulturze narodów, w której się urodzili, o normach i wartościach naturalnie dziedziczonych z pokolenia na pokolenie. Mieli - zgodnie z projektem ideologicznym monopartii - być po prostu funkcjonalnym przedłużeniem ustroju politycznego, nazywanego dość przewrotnie r a d z i e c k i m. Stąd też miało to być nie społeczeństwo różnych narodów i warstw społecznych, lecz jednolite, zgodne, zdyscyplinowane społeczeństwo "ludzi radzieckich". Absurdalność tego pomysłu stanie się jaśniejsza, gdy rozważymy sens określenia "człowiek radziecki" jako ukomnego substytutu takich określeń, jak np. Rosjanin, obywatel, pracownik najemny. Przymiotnik "radziecki" pochodzi, rzecz jasna, od słowa "rada", które miało oznaczać główną instytucję systemu politycznego. Założyciele tego systemu tak wielką rolę przypisywali słowom "rada" i "radziecki", że tak właśnie określili zarówno państwo /Związek Radziecki, Kraj Rad/, jak i społeczeństwo /"naród radziecki"/ i każdą jednostkę ludzką /"człowiek radziecki"/. Rady, włącznie z najwyższą, nigdy - być może poza jesienią 1917 roku - nie były główną instytucją polityczną w tym państwie, lecz partia i policja. Ale nie na

tym polega przewrotność pomysłu kreującego "człowieka radzieckiego". Założmy przez chwilę, że rady były i są najważniejszą instytucją polityczną w tym kraju, tak jak w niektórych innych krajach taką instytucją tożsamościową jest np. parlament lub monarcha. Czy ktokolwiek powie, bez popadania w śmieszność, że w republice parlamentarnej żyją "ludzie parlamentarni", a w monarchii absolutnej "ludzie monarchiczni"? A przecież określenie "ludzie radzieccy" właśnie tak osobliwie przyszło na świat.

Nazwa głównej instytucji władzy w państwie może być podstawą opisu formy tego państwa, ale nie ludzi, narodów lub jednostek. Państwo może być parlamentarne, monarchiczne, samorządowe, a nawet radzieckie, jeśli ktoś chce. Ale człowiek i społeczeństwo nie mogą być opisani przez identyfikowanie ich z formą państwa; przez włączenie ich cech osobowych do nieosobowej struktury panowania. Mimo absurdalności tego zamysłu, państwo partyjne o nazwie ZSRR stale reprodukowało dwie kategorie ról: rolę ludzi partyjnych, będących funkcjonariuszami i strażnikami systemu oraz rolę ludzi radzieckich, pozbawionych inicjatywy, wpływu i odpowiedzialności, zmuszanych do rytualnego uczestnictwa w tysiącach rad i kolektywów, do podrzymywania pozorów, że to właśnie oni sami o czymś ważnym decydują.

I właśnie tu, w samym sercu tego systemu, jest źródło stagnacji cywilizacyjnej, małej efektywności, chronicznego kłamstwa, czy niezdolności do samodzielnego wyżywienia się tych narodów. Struktura, dzieląca ludzi na "ludzi partyjnych" i "ludzi radzieckich", sama blokuje się, a ideologia i przymus tylko stabilizują tę samoblokującą się maszynę. Głębokie źródło wysiłków reformatorskich i deklaracji elity partyjnej KPZR, to nie sprzeczność sił wytwórczych i stosunków produkcji, na co zwraca uwagę tzw. nowosybirski dokument prof. T. Zaszawskiej czy przemówienie Gorbaczowa.

Źródłem wyzwań dla potęgi ZSRR i jego elity władzy nie są powszechnie znane kłopoty gospodarcze, na co błędnie wskazuje wielu powierzczeniowych obserwatorów. Pierwotnym źródłem wyzwań, wymuszających próby reform, jest właśnie sukces... w tworzeniu społeczeństwa "ludzi radzieckich", które nie jest ani społeczeństwem przemysłowym, ani społeczeństwem obywatelskim. Im bardziej "ludziom partyjnym" udać się przekształcić milionowe rzesze w "ludzi radzieckich" /jako dodatki do instytucji pozorujących sprawowanie władzy/, tym bardziej konieczne są jakieś zmiany. Im bardziej te zmiany są konieczne, tym bardziej są utrudnione, a być może nawet niemożliwe. Anihilacja społeczeństwa i zastąpienie go podziałem funkcji między "ludzi partyjnych" i "ludzi radzieckich", to najgłębsza przyczyna reform odgórnych, a zarazem jedna z najważniejszych przeskąd na drodze takiego reformowania.

Źródło i bariera, początek i granice, są ulokowane w tej strukturalnej osobliwości systemu; przenikając się, tworzą błędne koło: to, co jest czynnikiem generującym poszukiwanie

zmian, zarazem jest czynnikiem niezmienności samoblokujących się systemów. Zamrożenie ludzkiej inicjatywy i odpowiedzialności, brak nawyku dotrzymywania zobowiązań, niefrasobliwy stosunek do marnotrawstwa czasu i wszelkich dóbr oraz ucieczka od wolności pod opiekunów skrzydła wielkich układow instytucjonalnych - oto kulturowe skutki istnienia ludzi instytucjonalnych bądź w formie "ludzi radzieckich", bądź "ludzi partyjnych".

Wyzwanie cywilizacyjne i strategiczne ze strony Zachodu i solidarnościowa rewolucja w Polsce, to czynniki wspomagające zwrot ku polityce reform. Ułatwiły one rozwój krytycznej świadomości i jej artykulację w niektórych kręgach elity umysłowej i politycznej. Krytyczne diagnozy prof. Aganbegiana i prof. Zaskawskiej, wcześniejsze od przejęcia władzy przez Gorbaczowa, to właśnie zwiastuny tej świadomości. Nawet jeśli są one wyrażane w języku urzędowej ideologii, to oscylują wokół podstawowych dylematów nadmiernej i zbyt rygorystycznej instytucjonalizacji osobowości i stosunków w dziwnym, smutnym i sztucznym świecie "ludzi radzieckich".

REFORMATORSKA EKIPA Dla oceny szans tego eksperymentu ważne jest kto jest promotorem zmian zmierzających do "socjalizmu rynkowego", skoro ma to "nie być coś przejściowego, co ma prowadzić do kapitalizmu" /prof. Abel Aganbegian na konferencji prasowej 28 czerwca 1987 r./. Uznanie regulacji rynkowej, samodzielnej roli pieniądza, indywidualnych postaw przedsiębiorczych, a nawet własności indywidualnej, to werbalne przewartościowanie doktryny, które pozwoliły uznać za "szluzne pojęcia" również s o c j a l i z m r y n k o w y i s a m o r z ą d n o ś ć. Jeszcze do niedawna w ZSRR, a nawet obecnie w NRD, Czechosłowacji, Bułgarii i Rumunii, socjalizm rynkowy jest oficjalnie potępiany jako rewizjonizm i burżuazyjne odstępstwo od jedynie szluznej doktryny.

Oczywiście ekipa Gorbaczowa, jak też on sam, wyłoniła się z nomenklaturowej warstwy "ludzi partyjnych". Inne drogi awansu politycznego są wszakże od dawna zamknięte, muszą więc i ci reformatorzy być produktem świata "ludzi radzieckich". Ekipa ta nie była od razu gotowa, personalnie i programowo, do działania razem z Gorbaczowem od wiosny 1985 roku. Buduje on tę grupę ze znaczną konsekwencją, chociaż stopniowo i bez wielkich czystek. Grupa o rynkowo-demokratyzacyjnej orientacji nie mogłaby się samorodnie ukształtować w partii takiej jak KPZR, bo leninowskie i stalinowskie zakazy frakcyjności utrudniają krystalizację alternatywnych idei wewnątrz partii. Jednakże podskórna, niejawna reorientacja musiała trwać dość długo, być może zaczęła się w kręgach centralnych jeszcze przed śmiercią Breżniewa w listopadzie 1982 roku. Epoka Andropowa /12.11.1982 - 9.02.1984/ i Czernienki /13.02.1984 - 10.03.1985/, to czas osobliwego interregnum, w którym ulega krytycznemu przewartościowaniu stagnacyjny konserwatyzm Breżniewa. Oczywiście, nie widać tej debaty w środkach informacji, czy choćby w biuletynach wewnątrzpartyjnych. Mimo niejawności była ona chyba skuteczna, skoro Gorbaczow - najmłodszy wiekiem i stażem członek

Biura Politycznego - już u boku Andropowa osiągnął bardzo wpływową pozycję w ekipie kremłowskiej.

Wielki dzień w karierze Gorbaczowa to 19 września 1978 roku, gdy w roli szefa rejonowego komitetu partii rytualnie powitał na dworcu kolejowym Mineralnyje Wody jadących na kucrację Breżniewa, Czernienkę i Andropowa. Zameldował im wówczas, że w jego rejonie zebrano 2550000 ton zboża, w tym aż 750000 ton ponad plan. Osiem tygodni później wszedł do centralnej elity w Moskwie. Andropow, jak się powszechnie przypuszcza, zadbał o to, aby 47-letni "młodzieniec" został sekretarzem KC KPZR, odpowiedzialnym za politykę rolną. Już po dwóch latach był członkiem Biura Politycznego. Szybko awansując, w 1982 roku związał się z Andropowem w walce o następstwo po Breżniewie, w 1983 roku poparł Czernienkę w konflikcie z marszałkiem Ogarkowem. W marcu 1985 r. Gromyko powiedział o Gorbaczowie: "towarzysze, ten człowiek ma przyjazny uśmiech, ale ma też żelazne zęby". Już w czerwcu 1985 roku mógł sam poznać siłę tych zębów, gdy utracił na rzecz E. Szewardnadze od dwudziestu lat pełnioną funkcję ministra spraw zagranicznych.

Wokół osoby Gorbaczowa, który w latach 1984-85 de facto był już drugim sekretarzem KC i jeszcze przy Czernience kierował sprawami kadrowymi, powstawała koalicja o wielkich wpływach. Miarą tych wpływów był nadzwyczaj szybki i zgodny proces decyzyjny w centralnej elicie, która już 4 godziny po śmierci Czernienki doprowadziła do jednogłośnej /jak zwykle/ akceptacji Gorbaczowa przez Plenum KC KPZR.

Aby zastąpić kolektywne kierownictwo własnym autorytetem, Stalin i Chruszczow potrzebowali pięciu lat, Breżniew - trzynaście, a Gorbaczow jedynie kilka miesięcy. Już w końcu czerwca 1985 roku usunął zupełnie lub przesunął na dalszy plan dwóch głównych rywali w Biurze Politycznym: G. Romanowa, 62-letniego byłego szefa partii z Leningradu, powiązanego z kompleksem militarno-przemysłowym oraz A. Gromykę, 75-letniego ministra spraw zagranicznych. We wrześniu 1985 r. zniknął z Biura Politycznego były premier N. Tichonow. Inne remanenty personalne po epoce Breżniewa były stopniowo, lecz konsekwentnie odsuwane z Biura i Sekretariatu KC: W. Griszin i K. Rusakow - 18.02.1986 r., tuż przez XXVII Zjazdem, D. Kunajew i M. Zimianin - 28.01.1987 r., marszałek S. Sokołow - 26.06.1987 r.; ten ostatni był protegowanym Romanowa i dlatego 23.04.1985 r. awansował na zastępcę członka Biura Politycznego. W przypadku Sokołowa dopiero ładowanie młodego obywatela RFN na Placu Czerwonym w awionetce "Ceasna" dało szansę wyeliminowania go z Biura i z pozycji ministra obrony.

Spośród starej gwardii Breżniewa w Biurze Politycznym nadal są obecni: A. Gromyko /77 lat, od 1985 r. przewodniczący Prezydium Rady Najwyższej/, W. Szczerbicki /69 lat, od 1972 roku I sekretarz KC KP Ukrainy, przedtem dwukrotnie premier tej republiki/, M. Sołomienczew /73 lata, w latach 1971-83 premier Federacji Rosyjskiej, od 1981 r. członek Biura Politycznego, od 1983 r. przewodniczący Komitetu Kontroli Partyniej przy KC KPZR/.

Na wolne pola kremłowskiej szachownicy stopniowo wchodziła koalicja Gorbaczowa, złożona z dwóch grup o wzajemnie powiązanych drogach kariery: grupy uralskiej i kaukaskiej. Grupa uralaska, dawniej stworzona przez A. Kirilenkę, obejmuje następujące osoby:

1. J.K. Ligaczow, ur. 1920, inż. budowy samolotów, od kwietnia 1983 r. kier. wydziału personalnego KC KPZR, od grudnia 1983 r. sekretarz KC KPZR, od 23.04.1985 r. - członek Biura Politycznego i de facto II sekretarz KC KPZR do spraw organizacyjno-kadrowych i ideologicznych, od marca 1986 - po XXVII Zjeździe - nadal członek Biura Politycznego.

2. N.I. Ryżkow, ur. 1929, inżynier, w latach 1950-1970 był między innymi majstrem zmianowym i głównym inżynierem Uralskich Zakładów Maszyn Ciężkich, produkujących czołgi T-34 i "J. Stalin 2", później był dyrektorem Zjednoczenia "Uralmasz", od 1975 r. - wiceministrem przemysłu maszyn ciężkich, od 1979 roku szefem Gospłanu, kierownikiem wydziału gospodarczego KC KPZR i sekretarzem KC; od kwietniowego plenum KC w 1985 r. jest członkiem Biura Politycznego, od 27.09.1985 r. - również premierem ZSRR.

3. B.N. Jelcyn, ur. 1931, inżynier budownictwa, od 1976 r. do kwietnia 1985 r. I sekretarz Obwodowego Komitetu KPZR w Świerdłowsku, od kwietnia do czerwca 1985 r. był kierownikiem wydziału budownictwa KC KPZR, czerwiec 1985 - sekretarz KC KPZR, grudzień 1985 r. - I sekretarz Moskiewskiego Komitetu Miejskiego KPZR, od 18.02.1986 r. - jest także zastępcą członka Biura Politycznego.

4. L. Zajkow, ur. 1923, inżynier, do 1976 r. pracował w przemyśle maszynowym, 1983-1985 był I sekretarzem Leningradzkiego Komitetu Obwodowego, od 1.07.1985 r. sekretarz KC KPZR do spraw przemysłu ciężkiego i zbrojeniowego, od marca 1986 r. jest ponadto członkiem Biura Politycznego.

5. J. Maslinkow, ur. 1937, inżynier mechanik, od 1974 r. był w ministerstwie przemysłu maszynowego dochodząc do stanowiska wiceministra, od 1982 r. był pierwszym zastępcą szefa Gospłanu, którym był wówczas obecny premier N. Ryżkow, od listopada 1985 r. jest wicepremierem ZSRR.

Grupa kaukaska w elicie kremłowskiej jest ilościowo skromniejsza. Są w niej nie tylko ludzie z Gruzji czy Azerbajdżanu, ale też Rosjanie i Ukraińcy, których kariera wiązała się ze Stawropolem /np. G. Razumowski/, W. Murachowski/. Według skali wpływów, grupa kaukaska mogłaby być tak uporządkowana:

1. E. Szewardnadze, ur. 1928, pedagog, generał policji, do 1972 r. szef KGB w Gruzji, 1972-1985 był I sekretarzem KP Gruzji, od lipca 1985 r. - minister spraw zagranicznych na miejsce A. Gromyko, 1981-1985 był zastępcą członka Biura Politycznego, a od lipca 1985 r. jest pełnym członkiem Biura.

2. G. Alijew, ur. 1923 r., historyk, był szef KGB i potem I sekretarz KP Azerbajdżanu, 1981-1985 był zastępcą członka Biura Politycznego, w 1982 r. został I wicepremierem ZSRR, a w marcu 1986 r. na XXVII Zjeździe uzyskał pełne członkostwo w

Biuurze Politycznym.

3. G. Razumowski, ur. 1936, inżynier agronom, w 1983 r. został I sekretarzem Krasnodarskiego Komitetu Krajowego KPZR, w okręgu sąsiadującym ze Stawropolem, gdzie w latach 1970-1978 kierował partią Gorbaczow. Z północnego Kaukazu powołany w czerwcu 1985 r. przez Gorbaczowa na stanowisko szefa wydziału kadr KC KPZR, od marca 1986 r. sekretarz KC KPZR.

4. W. Murachowski, ur. 1926, pedagog, po 1978 r. był następcą Gorbaczowa w Komitecie partyjnym w Stawropolu, od 31.10.1985 r. jest I wicepremierem, odpowiedzialnym za kompleksy agro-przemysłowe.

5. W. Worotnikow, ur. 1926, inżynier lotnictwa, w latach 1961-1975 w aparacie partyjnym w Kujbyszewie i Woroneżu, 1975-1979 był wicepremierem Federacji Rosyjskiej, od 1983 r. premier Federacji Rosyjskiej. Jeszcze przed XXVII Zjazdem w marcu 1986 r. wszedł do Biura Politycznego jako zwolennik linii Gorbaczowa.

O stylu pierwszych posunięć, kreujących nową ekipę, świadczy promowanie N. Ryżkowa. Po objęciu stanowiska sekretarza generalnego w marcu 1985 r. Gorbaczow już na kwietniowym plenum wprowadził do Biura Politycznego właśnie Ryżkowa /który nie był poprzednio zastępcą członka Biura/, szefa KGB od 1982 r. marszałka policji W. Czebrikowa oraz sekretarza KC J. Ligaczowa. Te pierwsze trzy promocje miały kluczowe znaczenie dla zrównoważenia bardziej ortodoksyjnych członków Biura, nadal dysponujących większością. 27 września 1985 r. Ryżkow był już premierem ZSRR na mocy decyzji 37-osobowego Prezydium Rady Najwyższej /jest to odpowiednik Rady Państwa w PRL/, bez zasięgnięcia opinii Plenum KC KPZR i samej Rady Najwyższej, gdzie Gorbaczow nie miał jeszcze pełnej kontroli. Taki sposób powołania premiera, poza Plenum KC KPZR, zastosowano po raz drugi w historii państwa bolszewickiego; pierwszy raz miało to miejsce w 1941 r., gdy Stalin zrobił się sam premierem bez choćby formalnego zatwierdzenia przez KC KPZR.

Szczególnie szybko awansują w latach 1986-1987 ludzie zaprzyjaźnieni albo z Gorbaczowem, albo z Ryżkowem, np. były zastępca Ryżkowa w Gosplanie, N. Slunkow, idzie jak burza: marzec 1986 r. to wejście do grona zastępców członka Biura Politycznego, styczeń 1987 r. - sekretarz KC KPZR, czerwiec 1987 r. - pełne członkostwo w Biurze. Tak samo można objaśnić awans prof. N. Tałyżina, który od października 1985 r. jest szefem Gosplanu i I wicepremierem, a od marca 1986 r. również zastępcą członka Biura Politycznego.

Wśród osobistych znajomych Gorbaczowa, dwóch dyplomatów - Jakowlew i Dobrynin - dobrze znających USA i Kanadę, stanowią dziś trzon aparatu ideologicznego i strategicznego. A.N. Jakowlew, obecnie 64-letni profesor historii, jeszcze jako doktorant w 1958 r. był przez rok w Columbia University w Nowym Jorku, gdzie poznał między innymi Henry Kissingera. W latach 1965-1973 był zastępcą kierownika wydziału

propagandy KC KPZR. Z powodu krytycznej opinii o tendencjach nacjonalistycznych w ZSRR, a zwłaszcza wśród Rosjan /artykuł w: "Litieraturnaja Gazieta", 15.11.1972 r./, stracił to stanowisko i został ambasadorem w Kanadzie. Wiosną 1983 r. w tej właśnie roli przygotował wizytę Gorbaczowa, jeszcze tylko jednego z wielu sekretarzy KC, w Kanadzie. Spodobał się bardzo. Tak więc Andropow, będący protektorem Gorbaczowa, sprowadził Jakowlewa do Moskwy i spowodował powołanie go na stanowisko dyrektora bardzo elitarnego i wpływowego Instytutu Gospodarki Światowej i Stosunków Międzynarodowych Akademii Nauk ZSRR. W grudniu 1984 r. jako specjalny doradca towarzyszył Gorbaczowowi w czasie oficjalnej podróży do Wielkiej Brytanii. Był to wielki sukces propagandowy samego Gorbaczowa i jego żony Raisy /notabene będącej w bocznej linii krewną A. Gromyki/. Po wiosennym plenum w 1985 r. Gorbaczow powierza Jakowlewowi - 18 lipca tegoż roku - wydział propagandy KC. Od tego momentu już trzy razy awansował go na wierzchołkach hierarchii partyjnej: XXVII Zjazd KPZR w marcu 1986 r. wybrał Jakowlewa na sekretarza KC, plenum styczniowe w 1987 r. dokooptowało go do grona zastępców członka Biura Politycznego, a plenum czerwcowe w tym samym roku dało mu pełne członkostwo w tym kręgu najwyższego wtajemniczenia.

Pod opiekuńczymi skrzydłami szefa KGB, Andropowa, /drugi po Berii szef tego superresortu, będący jednocześnie pełnym członkiem Biura Politycznego/ wyrosła zarówno kaukaska jak i świe-rdłowska koalicja personalna, do której dołączono światłych ekspertów, jak prof. Tałyzin, prof. Jakowlew, czy amb. Dobrynin. Ten układ dziś rządzi ZSRR, umacnia się na niższych szczeblach aparatu, rozbija koterie republikańskie /np. w Turkmenii i w Kazachstanie już to zrobiono, w Moskwie także, a Ukraina i jej oficjalny wódz, Szczerbicki, już czekają w kolejce/. Baza społeczna tego układu jest jednak ciągle niepewna, niejednorodna i nadal jakby wątpiąca w trwałość woli reform na szczytach władzy.

STYL REFORM Przynależność reform w państwie totalitarnym zależy od tego, ^{czy} nurt reformatorski w aparacie funkcjonariuszy ma władzę i czy jest ona dostatecznie trwała. Czy Gorbaczow i jego ekipa, po ponad dwóch latach od formalnej sukcesji, mają władzę pozytywną - a więc zdolność do przeprowadzenia w praktyce własnych idei i projektów zmian? Mieć władzę pozytywną - bez której reformy będą zablokowane - w ustroju monocentrycznym, to:

a/ mieć pewność, że większość w ośrodkach decyzji popiera przywódcę, a taką pewność daje tylko taki zwolennik, który został awansowany właśnie przez tego przywódcę;

b/ móc sprawić, aby aparaty wykonawcze, a zwłaszcza szefowie tych układów biurokratycznych, chcieli i umieli skutecznie realizować zamiary i decyzje przywódcy, a nie swoje własne interesy;

c/ móc tak reorganizować procedury, struktury i skład osobowy kluczowych instytucji systemu, aby odpowiadały one osobistemu stylowi przywódcy i jego głównym celom;

d/ móc i umieć tak pobudzić wiarę i nadzieję tysięcy zwykłych obywateli, pracowników i konsumentów, aby przezwyciężali swe autorytarne lęki przed zmianą i przed nowymi swobodami, aby swą inercyjność i odwieczne poczucie niemożności wyciszyli w imię większej wiary w swe własne inicjatywy i w szczerość intencji przywódcy.

Na żadnej ze wspomnianych czterech płaszczyzn Gorbaczow nie ma jeszcze ani dostatecznie dużej, ani odpowiednio trwałej władzy zmieniania sztywnych i sztucznych struktur. Analizując wymiar "a", czyli wprowadzenie swoich ludzi do Biura Politycznego, Sekretariatu KC i rządu, mówiliśmy o dwóch koalicjach, które poparły Gorbaczowa dwa lata temu. Po tym czasie sceptycyzm i obawy są może wyraźniejsze wśród pozostałości gwardii Breżniewa. Wśród głosujących, pełnych członków Biura Politycznego, po czerwcowym plenum w czerwcu 1987 roku Gorbaczow uzyskał jednak p o r a z p i e r w s z y wyraźną przewagę, wprowadzając aż trzech swoich bliskich współpracowników - Jakowlewa, Nikonowa i Slinkowa - za jednym zamachem. Już poprzednio miał tam Ryżkowa, Szewardnadze, Worotnikowa i Zajkova, których sam awansował. Możliwy jest oprócz starych, a zwłaszcza Gromyki, Szczerbickiego i Sołomiencewa, wobec śmielszych projektów Gorbaczowa. Poza wymienioną proporcją 8:3 jest jeszcze trzech głosujących w BP, których Gorbaczow sam nie kreował i przez to możliwe są ich dość niezależne zachowania. Ta trójka, to dwóch wodzów KGB - Czebrikow i Alijew oraz - last but not least - drugi członek Kremla, 66-letni Jegor Ligaczow. Ich postawa może być szczególnie ważna; Ligaczow nie był swobodnie wybrany na swą pozycję Nr 2 przez Gorbaczowa. W kwietniu 1985 r. Gorbaczow musiał z ludźmi Breżniewa zawrzeć kompromis, którego trzecią była właśnie szczególna rola Ligaczowa. Jeśli Nr 2 okazałby się nielojalny wobec Gorbaczowa, na co wskazywać mogą różnice w ich przemówieniach na styczniowym plenum w 1987 roku, to duże grupy zagrożonego aparatu mogłyby go poprzeć. Ligaczow popiera reformy w gospodarce, ale mniej entuzjastycznie myśli o demokratyzacji w partii i w państwie oraz jest sceptyczny wobec odwilży w kulturze. Gorbaczow dość mocno, przy najmniej werbalnie, podkreśla godność i inicjatywę jednostek i apeluje o "przedsiębiorczość socjalistyczną". Natomiast Ligaczow publicznie określił "indywidualizm" jako "zjawisko obce socjalizmowi". W sferze politycznej Gorbaczow chciałby ustalić wiek emerytalny dla polityków partyjnych; po przekroczeniu tego momentu musieliby ustępować ze stanowisk kierowniczych. Ligaczow powiedział w styczniu 1987 r. na plenum KC, że liczą się "prawdziwe efekty" pracy politycznej, a nie sam kalendarz. Mimo że zasada górnej granicy wieku nie została jeszcze wprowadzona, to Gorbaczow wprowadził ważne zmiany w procedurach politycznych: 1/ tajność wyboru sekretarzy w lokalnych organizacjach partyjnych, 2/ kilka tysięcy wielomandatowych okręgów wyborczych w ostatnich wyborach do rad narodowych, aby wyborca mógł wybrać osobę mu bliższą,

3/ obowiązek powszechnego korzystania z kabin, gdzie wyborca może dokonać skreśleń z listy kandydatów w wyborach lokalnych.

Jednak najsilniejszą barierą reform obecnie nie jest układ sił w Biurze Politycznym lub w Sekretariacie KC, lecz bierny opór tysięcy lokalnych funkcjonariuszy, ich lęk przed nowością i zwykła wyczyniona nieumiejętność. W większości republik 45-50 proc. lokalnych przywódców partyjnych zostało już wymienionych /na Ukrainie tylko 20-25 proc., bo Szczerbicki chroni lojalny wobec siebie aparat, wiedząc że Gorbaczow ma - nie licząc Czerdyni - wiele innych powodów, aby się go pozbyć z elity Kremleskiej/. Nadal jednak "człowiek radziecki" nie widzi, aby "człowiek partyjny" traktował inaczej jego naturalne, ludzkie potrzeby. Tradycja ostrożnej bierności zawarta jest też w rosyjskiej mądrości ludowej - "tiszje jediesz, dalsze budiesz", "posmotrim - uwidim". Zachęcany apelami i premiami człowiek pracy nadal nie wie, po co miałby więcej zarabiać /mówi więc "a mnie chwatit"/, skoro nie wzbogaca się oferta dóbr konsumpcyjnych.

Mimo to wzrost gospodarczy był w 1986 r., według ocen zachodnich, prawie dwa razy szybszy niż średnio w dekadzie 1975-1985 i osiągnął ponad 4 proc. Zaostrzenie państwowej kontroli jakości dóbr /tzw. gosprijomka/ niewiele pomogło jakości, choć ilość braków wynikających z nieodpowiedzialności "ludzi radzieckich" została trochę ograniczona. Zezwolenie kołchozom na sprzedaż do 30 proc. swej produkcji poza systemem dostaw dla skupu państwowego, miało zachęcić je do sprzedaży na targowiskach i rynkach lokalnych. Kołchoźnicy mogliby zarobić, a klienci mieć więcej żywności. Jednakże w 1986 r. tylko 3 proc. wytworzonej żywności trafiło na rynki lokalne, a reszta została znów wrzucona do worka państwowego skupu. Być może z tej nowej swobody sprzedaży nie opłaca się korzystać, bo mechanizmy konkurencji nie działają.

Wkrótce Rada Najwyższa, na zalecenie czerwcowego plenum KC KPZR, uchwali ustawę o przedsiębiorstwie. Nawet jeśli jest ona niedoskonała i ogólnikowa, jak większość aktów ustawowych w sferze gospodarki etatystycznej, to warto przypomnieć, co powiedział prof. A. Aganbegjan po tym plenum: "Pełna jedynowładność możliwa jest tylko na cmentarzu. /.../ jest dylemat: dyskutować jeszcze pół roku, czy przyjąć ustawę już teraz. Jeden z dyrektorów tak na to odpowiedział: lepsze już takie prawo, niż obecne bezprawie".

Intelektualna elita pracująca dla Gorbaczowa jest więc dość brutalnie szczerza w diagnozach i śmiało doradza np. przepisy dotyczące bankructwa przedsiębiorstw, likwidację zbyt wysokich dotacji do cen konsumpcyjnych, ogólną komercjalizację cen, wybory dyrektorów przez kolektywy pracownicze, czy zerwanie z autarkią gospodarczą przez dążenie do wymienialności rubla i zbliżenie się do struktury cen światowych.

Opory aparatu i obawy społeczeństwa, żyjącego tyle lat według wzoru "ruki po szwam", są nadal silne. Jeśli w ciągu najbliższych dwóch lat ekipa Gorbaczowa osiągnie konkretne efekty gospodarcze na niektórych - ważnych dla jakości życia - obsza-

rach, to być może lęk będzie silniejszy niż nadzieja, że pozór i sztuczność zaczną cofać się pod naporem autentyzmu i naturalności.

Granicą tej reformy jest jednak monopol władzy partii i istnienie instytucjonalnych interesów "ludzi partyjnych". Nawet Gorbaczow nie może, a zapewne też nie chce, naruszyć tego ideologicznego tabu. Drugim zakazem doktrynalnym ograniczającym "pierestrojkę" jest próba obrony mitu rewolucji. Właśnie dlatego reform nie nazywa się reformami, ale zmianą rewolucyjną, która jest dziwną rewolucją, skoro ma być jedynie nieustającą kontynuacją rewolucji sprzed 70 lat. Mit nieomyślnej partii i mit wiekopomnej rewolucji hamują rozwój pragmatycznej i krytycznej racjonalności, która jest koniecznym warunkiem udanych reform.

Jednym z dylematów elity reformatorów jest związek odgórnego kontrolowanych reform /czego chcą/ i oddolnie narastającej ewolucji /czego się boją/. Jeśli reformy będą tylko odgórne i nie pobudzą oddolnych energii, to nie uda się. Jeśli natomiast działania elit spowodują, że masy zapragną mieć swój podmiotowy udział w ewolucji systemu, to pojawia się widmo destabilizacji. Hic Rhodus, hic salta - a przyszłość pokaże, czy przeskoky te rzekę nawarstwionych urazów, samobronnego cynizmu, wyuczonych bezradności, bezinteresownego chamstwa... Kulturowe demony świata ludzi wepchniętych w drętwe instytucje zagrażają nielicznym aniżom zwiastującym cywilizację nowoczesną i efektywną. Bo przecież sami Rosjanie nader często wierzą, że "u nas wielegra stichija i bardak". A jeśli tak, to dziedzictwo złej przeszłości przeważa nad nadzieją na lepszą przyszłość. Czy trzytomowy "Wybór przemówień i artykułów" M. Gorbaczowa, opublikowany w czerwcu 1987 r., rzeczywiście otwiera szansę i da nadzieję? Czy tylko będą wydawane kolejne tomy tego autora, rzecz jasna w coraz piękniejszych okładkach?

lipiec 1987 r.

Jan Morawski

Jerzy Lewski

Rozum i upiory

O rewelacyjnych i rewolucyjnych zmianach, które zachodzą u naszych wschodnich sąsiadów, głośno nie tylko w Sojuszu, ale i poza jego granicami. Ea, nawet Rosiewicz ułożył sympatyczną piosenkę.

Radziecka prasa niemal codziennie przynosi jakieś rewelacje, które wpisują się w nową panoramę, określaną słowami "głośność" /jawność/ i "pierestrojka" /przebudowa/. Słowa używane w Moskwie stały się tak mocne, że w NRD czy Czechosłowacji nakłada się na nie tłumik, by nie mąciły spokoju rządzących starców i nie naruszały skostniałych porządków.

Słowa padające zza murów Kremla i okolic nie tylko budzą różnorakie nadzieje; towarzyszą im personalne przetasowania, a nawet procesy sądowe.

Toteż ze skwapliwością skorzystałem z turystycznej okazji, by to, co się dzieje w tym kraju, zobaczyć własnymi oczyma.

Z wielką niecierpliwością pcleciałem na południe, bo tak zaczynała się trasa naszej wycieczki. Ale we Frunze, w Kirgizji, kiedy zapytałem jednego z redaktorów miejscowej gazety, co zmieniło się na ich łamach w trakcie podjętej przez Gorbaczowa kampanii odnowy, odpowiedział po chwili zastanowienia: - Piszemy tak, jak pisaliśmy. My zawsze byliśmy blisko życia i ludzkich spraw...

Oni są rzeczywiście za "pierestrojką". Ale czekają chyba, aż przyjdzie do nich z Moskwy.

A w Moskwie? Kiedy tam przybyłem, myślałem, że znajomych dziennikarzy zastanę w stanie gorączki i podniecenia. Że będą rozdyktowani, zaangażowani, niecierpliwzi, aby do końca wykorzystać tę szansę pisania po nowemu, którą dano im odgórnie. Tymczasem, w swej podstawowej masie, spokojnie robią mniej więcej to, co robili. Są oczywiście tacy, którzy się angażują. Widać ich, są cytowani przez agencje światowe. Są całe redakcje pism, takich jak "Ogoniok" czy "Moskiewskie Nowosti", przeznaczonych przede wszystkim dla cudzoziemców, ale wychodzących również po rosyjsku. Jest "Litieraturnaja Gazieta", są ciekawe miesięczniki literackie. Ale tych, którzy się angażują, można ciągle p o l i c z y ć, wymienić po nazwisku - zaś

w związku dziennikarzy ZSRR jest 85 tysięcy członków...

Gorbaczow pragnie, by pisali ostro i śmiało. Z Moskwy wysłano nawet, zimą tego roku, kilkuset dziennikarzy w różne oddalone rejony kraju. Po to, by dopomogli w ożywieniu miejscowej prasy. Nie dało to dotychczas oczekiwanych rezultatów. Bo dziennikarze tak w ogóle, to są za "pierestrojką", gdyż są oni za każdą aktualną władzą. Większość z nich woli jednak poczekać, co z tego wszystkiego wyniknie. Trzymają się starego, rosyjskiego porzekadła - pożywiom, uwidim.

W związku literatów pytałem znajomych pisarzy, dlaczego tak niewielu z nich znalazło się na pierwszej linii. Przecież w końcu dla nich to kolosalna szansa. Można wreszcie nie bać się, można o wielu sprawach mówić otwarcie, likwidować białe plamy, przywracać właściwe znaczenie takim pojęciom, jak "praworządność", "demokracja", "prawa człowieka"...

- Nie gorączkuj się - usłyszałem w odpowiedzi od jednego z nich. - Czy wiesz jak szierarchizowany jest nasz związek? Czy wiesz ilu w Moskwie jest jego sekretarzy? Stu trzydziestu pięciu, bo mamy związek ogólnoradziecki, Federacji Rosyjskiej i oddział moskiewski. Czy to wystarcza za odpowiedź? Czy wiesz, jakie przywileje daje już sama przynależność do związku, nie mówiąc o funkcjach? Większość tych ludzi, jeśli odnowa się rozwinie, bezpowrotnie straci swoje profity. Ich żałosnych agitek nikt nie będzie wydawać. Mają więc podcinać gałąź, na której siedzą?

- A młodzi? - pytam jednego z działaczy komsomolskich w miasteczku rejonowym niedaleko Uralu. - Czy nie widzą dla siebie szansy w tej przebudowie? Może wreszcie od nich samych zacznie coś zależeć? Może, jeśli zaczną coś robić, będą mogli wpływać na sytuację, kształtować ją, a nie tylko wpisywać się w stworzone już, skostniałe układy. Przecież nie mają np. mieszkań, a perspektywy ich otrzymania są bardzo dalekie i niepewne, czy więc nie mogą zawiązać choćby spółdzielni młodzieżowej?

- Takich, którzy chcieliby rzeczywiście coś zrobić jest jeszcze niewielu - słyszę w odpowiedzi. - Młodych nauczone, że państwo powinno im dać, że im się należy. Więc większość woli czekać. Niektórzy zarabiają po 120 rubli miesięcznie. To mało, bardzo mało /średnia w ZSRR wynosi 160-180 rubli/. Ale kiedy proponuje im się: ruszcie się, pogłówkujcie, weźcie solidniej do roboty, będziecie zarabiać więcej - odpowiadają: - A nam i etogo chwacit. Nam wystarczy, po co się wysilać.

- Gdzież są więc te siły, na których ma się oprzeć "pierestrojka" w całym kraju? - zadaję męczące pytania moim ciągle nowym rozmówcom.

Chyba najtrafniejszą odpowiedź usłyszałem z ekranu w kinie "Strieła" na placu Smoleńskim w Moskwie. Szła kronika przed filmem. Młoda pisarka, rozprawiająca z reporterem o sprawach bieżących, powiedziała w pewnej chwili: - Eta łoż, w kotoroj my żyli, chuże Hiroszimy! Tak, te kłamstwa, w któ-

rych żyło i którymi wychowywano przez tyle lat społeczeństwo, dokonały większych spustoszeń niż bomba atomowa.

I chociaż dzisiaj można już mówić, bo cenzura praktycznie - poza wewnętrzną, redakcyjną - nie istnieje i chociaż wiele mówi się w prasie i w telewizji, trudno tę społeczną masę jakoś poruszyć. Gorbaczow mówi, że chce i dać wolność. Ale oni nie wiedzą jeszcze, co z tą wolnością zrobić. Jak jej użyć. Są szczęśliwi, że za nieostrożne słowo nie trafia się już do łagru. Ale są jeszcze ostrożni i nieufni.

Stąd też ciągłe nawoływania i zakłęcia z góry. Zapewnienia, że od "pierestrojki" nie może być odwrotu. Że to proces nie mniej ważny, niż sama październikowa rewolucja, że to już ostatni moment - jeśli nie my, to kto? Jeśli nie natychmiast, to kiedy?

Sam Gorbaczow jednak nie chce, czy też nie potrafi powiedzieć wszystkiego do końca. Zamiast analizy przyczyn, proponuje "powrót do Lenina". Może to taktyka? A może nieprzekraczalne granice?

Rozmawiałem w Moskwie ze słuchaczem wyższej szkoły partyjnej, zdającym właśnie końcowe egzaminy. Nie ma on zielonego pojęcia o tym, na jaki temat Aleksandra Kołłontaj i "opozycja robotnicza" toczyła spory z Leninem i Trockim. Nie słyszał o "Rewolucji rosyjskiej" Róży Luksenburg i o zarzutach, które postawiła Leninowi w sprawie terroru. O wydarzeniach w Kronsztadzie wie tylko tyle, ile napisano w "Krótkim kursie historii WKP/b/".

Myślę, że edukację historyczną, która przeorałaby umysły przynajmniej tych, którzy chcą myśleć, trzeba by zacząć od wydania w ZSRR /choćaby w drugim obiegu/ książki "Utopia u władzy" Hellera i Niekricza. Ci bowiem, którzy odsłaniają dzień w Rosji prawdziwą historię i chcą wymazywać "białe plamy", czynią to bardzo wstydliwie i bardzo powoli. Bo też mają się czego obawiać - musieliby "opłuć" wiele dotychczasowych świętości i stwierdzić, że - jeśli jest jeszcze coś do uratowania - trzeba by wszystko zacząć od nowa. Nawet ci historycy, którzy angażują się w "pierestrojkę", nie potrafią przeskoczyć samych siebie.

W czasie mego pobytu w Moskwie ukazał się - w stosunkowo mało znaczącym, ale centralnym i wielonakładowym dzienniku "Sowietskaja Industrija" - jeden z takich właśnie artykułów, które zyskują potem rozgłos międzynarodowy. Historyk, członek Akademii Nauk Aleksandr Samsonow, odpowiada na zamach tej gazety na list czytelnika, kierowcy Iwana Karasjewa, który proponuje, by postawić w Moskwie złoty pomnik Stalinowi. Między innymi dlatego, że w czasie ostatniej wojny żołnierze radzieccy szli do ataku z okrzykiem: "Za rodionu, za Stalina". Akademik Samsonow, autor wielu książek o II wojnie światowej, pisząc - oczywiście - że nie można wymazać wielu zasług Stalina, zajmuje się krytycznie jego działalnością jako naczelnego wodza. Przytaczając mniej lub bardziej znane fakty, obrażawia Stalina i stwierdza: "Jestem przekonany, że Stalin nie był ani genialnym wodzem, ani wielkim dowódcą, chociażby dlatego, że

popęlniał tragiczne w skutkach błędy”.

Ale nie tylko o postać Stalina tu chodzi. W tymże demaskatorskim i rzeczycielskim odkłamującym oficjalną historię artykule, pan Akademię pisze w pewnym miejscu: "Złożone, negatywne procesy pogłębiały się dlatego, że kontrola nad organami bezpieczeństwa państwowego ze strony partii i rządu została zastąpiona osobistą kontrolą Stalina, to zaś sprzyjało przestępczej działalności nie tylko Jagody, Jeżowa, Berii, ale i innych rzeczywistych wrogów ludu”.

Oto i mamy stereotyp - "wrogowie ludu", niedostatecznie wcześniej zdemaskowani przez partię. Panu profesorowi tak to się napisało, ale pokazuje to wymownie, jakie wewnętrzne ograniczenia tkwią jeszcze w tych, którzy rzeczywiście są za odnową i chcieliby odkłamywać historię.

To jest właśnie dla mnie jeden z przykładów tego strasznego spustoszenia, któremu uległy umasy nawet najlepszych.

To w sprawie historii. Zaś terazniejszość? Też, na wezwanie Gorbaczowa, dziennikarze, ludzie sztuki usiłują penetrować głęboko i bez zahamowań. Widziałem w jednym z moskiewskich kin - pokazany już zresztą na festiwalu w Krakowie - publicystyczny film reżysera Iotewskiego, Jurisa Pdniekša, pt. "Czy łatwo być młodym?". Pierwsza część tego filmu traktuje o chuliganach, narkomanach i ludziach nieprzystosowanych, ale nie po to, by ich potępić w tradycyjny sposób. Autor stara się zrozumieć i pokazać motywy postępowania trudnej młodzieży i oskarża nie ją, a społeczeństwo. Druga wielka sekwencja filmu dotyczy wojny w Afganistanie. Młodzi ludzie, na tle różnych, również bitewnych scen z Afganistanu wypowiadają się przed kamerą o bezsensowności ginięcia w tej wojnie /po co? w imię czego? - pytają/ i o tragedii tych, którzy wracają z niej do kraju okaleczeni fizycznie, a jeszcze bardziej psychicznie. Jest w tym filmie mocna scena odrzucenia przez chłopaka stojącego przed komisją poborową, karabinu. I jest jeszcze inna. - Dostałeś przecież order za służbę w Afganistanie - mówi reporter. - Tak, dostałem... - odpowiada młody, zdemobilizowany żołnierz. W tym momencie najazd kamery na rękę żołnierza. W półotwartej dłoni trzyma ten właśnie order w kształcie gwiazdy i kończy zdanie: - ... ale dotąd go nie przypiąłem i nie wiem, czy kiedykolwiek przypnę.

Ci młodzi, a zresztą nie tylko młodzi, którzy szukają jakichś wartości, czynią to na różne sposoby.

Byłem na cmentarzu Wagańkowskim w Moskwie, gdzie, między innymi, pochowano idola młodzieży i ludzi średniego pokolenia, Władimira Wysockiego. Był zwykły, wtorkowy poranek. Do grobu ciągnęły całe pielgrzymki, grupy wycieczkowe podjeżdżały specjalnymi autobusami. Było tych ludzi mrowie. Jedni odjeżdżali, przybywali następni. Za znakomity uważam pomnik Wysockiego, ale nie on wywiera największe wrażenie. Nad grobem wznosi się dywan, góra kwiatów /a o kwiaty w Moskwie nie jest bynajmniej łatwo/. I tłumy, tłumy, tłumy. Niektórzy

przychodzą tu z magnetofonami i to nie małymi, kasetowymi - o takie tu trudno - ale dużymi, szpulowymi. I nad tą, rzeczywiście narodową moglią słuchają pieśni poety, który jak nikt potrafił potracić najlepsze struny duszy tych, w których spustoszenie nie wypaliło wszystkiego.

Tu, w tym tłumie zaczyna się rozumieć, dlaczego płynące z głośnika magnetofonu słowa:

Wciąż nie wiem, choć pytałem osób sto
Zjawiska tego jaka jest przyczyna,
Że każda gama kończy się na "do"
Choć od "do" się właśnie rozpoczyna

odbierane są w specyficzny, niepowtarzalny sposób.

Ale przenieśmy się o trzy tysiące kilometrów, na południowy wschód.

W Ałma Ata, stolicy Kazachstanu, chętnie i dużo opowiada się - nawet nam, zwykłym turystom - o przebiegu wydarzeń z grudnia 1986 r. O 11 tysiącach demonstrantów na ulicach w kulminacyjnym momencie. Ale kiedy rozmowa schodzi na ocenę przyczyn tego, co się stało, moi rosyjscy rozmówcy z przejęciem i pełnym zaangażowaniem przekonują mnie, że wystąpienie Kazachów było efektem przygotowanego dużo wcześniej spisku elementów nacjonalistycznych. Że wszystko przygotowano już trzy miesiące przed grudniem. Ba, gotowi byli nawet podać numery samochodów, którymi jeździli spiskowcy i wyciągali z akademików na ulicę otumanioną młodzież. Taka jest zresztą i oficjalna wersja wydarzeń.

Kiedy próbowałem skłonić moich rozmówców, by zastanowili się nad tym, że nie prosto jest wyprowadzić na ulicę ludzi, w których nie ma wewnętrznej desperacji i że być może antyrosyjskie hasła, pod którymi występowali, miały jakieś głębsze przyczyny, słyszałem w odpowiedzi, że Rosjanie są nie tylko przyjaciółmi, ale i dobroczyńcami Kazachów. Padały przykłady, ile szkół i fabryk im zbudowano. Lista świadczonych dobrodziejstw była długa.

Oficjalny dokument na temat wydarzeń, wydany do użytku wewnętrznego przez KC partii tej republiki, zaczyna się stwierdzeniem, że leninowska polityka narodowościowa w ZSRR była i jest słuszna i konsekwentnie realizowana i cieszy się wśród wszystkich sowieckich nacji pełnym uznaniem.

Kazachowie mają jednak własną, i to zupełnie inną, ocenę dobrodziejstw świadczonych im przez wielkiego rosyjskiego brata.

Wydarzenia grudniowe miały zresztą również podłoże ekonomiczne. Rzecz w tym, że Kazachstan był przez długie lata faworyzowany przez Breżniewa, który tu właśnie startował do swej wielkiej, politycznej kariery. To faworyzowanie przynosiło Kazachom wcale nieźle profity. Kiedy zaś Breżniewa zabrakło, Kazachstanowi nie tylko odebrano przywileje, ale przy centralnym rozdzielnictwie zaopatrzenia w żywność i środków na gospodarkę, zaczęto traktować wręcz surowo. Oni - mówiono - przez tyle czasu otrzymywali więcej niż inni, niech więc teraz zacisną

pasa. W praktyce oznaczało to tragiczne wręcz braki na rynku - żywności w ogóle, a mięsa w szczególności. To zaciśkanie pasa stało się ważną przyczyną narastającego wzburzenia. A ponieważ wszystko zależało od wielkiego brata, zdjecie ze stanowiska sekretarza-Kazacha stało się tylko iskrą, która padła na wielkie pokłady zgromadzonego prochu.

A Rosjanie? Są po prostu rozgoryczeni i obrażeni, że Kazachowie niewdzięcznością odpłacają im za troskę i opiekę. Może ich ból ukoją nieco wyroki, które zapadły w procesie "prowodyrów" - jedna kara śmierci i kilka długoletniego więzienia.

Rosjanie w Ałma-Ata mają jednak świadomość, że nastąpiła jakaś zmiana jakościowa. - Ałma-Ata to już nie jest to samo miasto, które było - powiedział jeden z moich rozmówców. - Jestem Rosjaninem i urodziłem się w Riazaniu, ale po latach czułem się tutaj swojsko, u siebie. Teraz zaś, po grudniu, tego poczucia swojskości nie potrafię już odnaleźć.

- Mam żonę Kazaszkę - powiedział inny. - A naszej dziesięcioletniej córce rzucili w szkole w twarz koledzy: - Ty jesteś nikim! Nie jesteś bowiem ani Rosjanką, ani Kazaszką. Jesteś nikim.

Ałma-Ata jest dziś znów spokojnym miastem. Radykalnie poprawiło się zaopatrzenie. Na rogach ulic sprzedaje się pieczone na węglach szaszłyki. I każdy zwracał mi na to uwagę, jako na symbol, że coś tam jednak sobie wywalczyli.

Rosjanie z trudem przyjmują do wiadomości, że istnieje niezgodna z ich wyobrażeniami, "niesłuszna" rzeczywistość. Ale przecież nie są tak tępi, by nie wyczuwać "jak ich kochają". Ale jeśli dopuszczają nawet myśl o tym, że w polityce narodowościowej nie wszystko jest jak należy, winnych szukają poza sobą.

Niezwykle charakterystyczny jest w tej materii, opublikowany na łamach "Prawdy", artykuł ludowego poety Kirgizji, A. Tokombajewa pt. "Jedynie przyjaźń tworzy dobro":

"Moja rodzinna Kirgizja - stwierdza A. Tokombajew - była w niedalekiej przeszłości zacofanym krajem, którego ludność prowadziła na ogół koczowniczy tryb życia. Dzisiaj eksportujemy wyroby przemysłowe do dziesiątków krajów świata. Na początku stulecia nie mieliśmy praktycznie własnego piśmiennictwa, a obecnie książki pisarzy kirgiskich są wydawane w całym kraju i zagranicą. Należy być dumnym z tych osiągnięć. Są jednakże i procesy, które wywołują niepokój.

Dotyczy to również kwestii narodowej. Dla jej rozwiązania zrobiono wiele. Jednakże partia przeszerza, iż doskonalenie stosunków narodowościowych, podobnie jak każde żywe zjawisko, nieustannie stawia nowe problemy. Przemilczanie i upiększanie rzeczywistości nie prowadzi do niczego dobrego."

Dalej Tokombajew pisze:

"Obecnie toczy się wiele rozmów wokół problemu językowego, a przecież i ten stworzony został w dużej mierze przez nas samych. W latach sześćdziesiątych, ni z tego ni z owego, zaprzestano wykladać język kirgiski w szkołach rosyjskich /na terenie Kirgizji - J.L./ . Zniknęły nawet podręczniki i słowniki. A zrobiliśmy to my sami. Nikt nas nie przymuszał..."

To poczucie pewnego zażenowania, choć jednocześnie chęć zwaleni winy na innych, odczuwają najbardziej świątli, najwrażliwsi Rosjanie. Zaś ogólnie rzecz biorąc, uważam, że wyrazicielem powszechnych nastrojów był jeden z mych znajomych, dziennikarz moskiewski. Powiedział mi wprost: - My, Rosjanie, byliśmy przez długi czas zbyt dobrzy dla tych wszystkich Uzbeków, Kirgizów, Kazachów i innych Azjatów. Odmawialiśmy sobie wszystkiego, by pomagać im w rozwoju materialnym i umysłowym. Budowaliśmy im kanały nawadniające, fabryki i szkoły. A oni mają czelność nie tylko nas nie lubić, ale i obrażać. Tfu! Powinniśmy wreszcie pomyśleć o naszych własnych interesach. Nie tak byśmy dzisiaj żyli, gdyby nie ciągłe pomaganie Azjatów. Najwyższy czas z tym skończyć!

Muszę powiedzieć, że tę - w skrócie zreferowaną - z pasją wygłoszoną kwestię uznałem za logiczny rozwój sposobu myślenia, który dominował podczas mojej poprzedniej wizyty w ZSRR, przed sześciu laty. Wtedy mówiono mi wielokrotnie i to w różnych środowiskach. - Ech! Nie tak byśmy dziś żyli, gdyby nie trzeba było ciągle pomagać Polsce, Czechosłowacji, Bułgarii i innym...

Teraz Rosjanie doszli do wniosku, że również do własnych, nierosyjskich republik muszą dokładać. Co będzie dalej?

Faktem jest, że tak jawnego nacjonalizmu i szowinizmu rosyjskiego, tak otwarcie głoszonego, kiedyś się nie spotykało.

Na nim to właśnie wyrastają wszelkie państwowo-patriotyczne zjednoczenia, takie jak moskiewska grupa "Pamięć". Początkowo, kiedy ujawnili się jako grupa, występowała za poszanowaniem tradycji, wykazywała troskę o pomniki i architekturę, o historyczne dziedzictwo Rosji. Hałaśliwie deklarowali się za "pierestrojkę". Jeden z szefów "Pamięci", D. Wasiliew, po manifestacji, którą zorganizowali w Moskwie w obronie zabytków, powiedział: - Na ulicę wyszedł naród - najodważniejsza jego część, ludzie, którzy nie chcą dłużej tolerować biurokratów i innych wrogów, niszczących naszą historię i kulturę.

Ale, przez kilka miesięcy mniej lub bardziej jawnej działalności, "Pamięć" okrzepła i rozwinęła się ideologicznie. Poza Leninem, na którego się powołują, innym ich duchowym patronem stał się Stożypin. Uważają, że idee i doświadczenia Stożypina, jako postępowego reformatora, winny być wykorzystane w "pierestrojce".

Jednakże nie tylko takiego duchowego ojca wynaleźli. Szowinistyczna logika musiała doprowadzić ich dalej. Najnowszy szlagier propagandowy "Pamięci" to "Protokoły mędrców Syjonu". Jak się zaś nimi posługują? Oto jeden z przykładów. W "Protokołach" mówi się m.in. o "podziemnych tunelach", które powstaną we

wszystkich stolicach i zostaną wykorzystane aby zburzyć i zniszczyć miasta gojów, ze wszystkimi ich organizacjami i archiwami. Wspomniany Wasiliew tak skomentował to na jednym z zebrań grupy: - Kiedy przeczytałem Protokoły Mędrców Syjonu" z przerażeniem popatrzyłem na plan linii moskiewskiego metra. Wszystkie węzłowe stacje położone są wszak pod instytucjami partyjno-rządowymi!

Sala jest wzburzona. Wreszcie wiadomo kto i dlaczego niszczy Moskwę. Zebranie kończy się wspólnym odśpiewaniem marsza "Do ataku w stalowych szeregach...".

Tego było już za dużo nawet dla tych, którzy po cichu nie mieliby nic przeciwko temu, żeby odpowiedzialnością za niepowodzenia systemu znów obarczyć Żydów. "Pamięć" stała się zbyt hałaśliwa. Na łamach prasy, między innymi w "Izwiestnikach", poddano krytyce ideologię i działalność praktyczną grupy. Ale kiedy 6 czerwca - w rocznicę urodzin Puszkina - na placu jego imienia w Moskwie, tradycyjnie już zebrał się ludźmi, by słuchać recytacji wierszy poety, grupa "Pamięć" miała tam swoje "stoisko" - swoje dokumenty programowe, m.in. list do KC partii i prezydium rządu, porozwieszała na okolicznych drzewach.

Ale nie tylko "Pamięć" jest groźna. Groźne wydają się być i nastroje tak zwanych zwykłych ludzi. Wkrótce po wyczytaniu Mathiasa Rusta, który na samolocie sportowym wylądował na Placu Czerwonym, przez wiele dni ciągnęły tam całe tłumy ludzi, by zobaczyć to miejsce, pomówić o szczegółach. Słuchaliśmy prowadzonych tam rozmów. Treść większości z nich najlepiej oddaje lapidarna wypowiedź starszej kobiety, ubranej trochę z wiejska: - Kąkej pozor dla wsiej strany! - Co za hańba dla naszego kraju!

Nie mam wątpliwości, że zestrzelenie tego samolociku dała ta przyjaźnia z akceptacją i dumą.

Gdzie rozum śpi, budzą się upiory.

Oczywiście, obraz który przedstawiłem w tej relacji jest trochę jednostronny. Ale skupiłem się na tym, co niepokoi. Młodzież, nie tylko w miastach, jest otwarta na nowe idee, szuka prawdy o historii, szuka nowych wartości. Stąd między innymi zwrot ku religii, ku wartościom nieprzemijającym, zawartym zarówno w poezji Wysockiego, jak i w innych dziełach ręcznie przepisywanych, bo drugi obieg - "samizdat" - jest ciągle bardzo wąty. Młodzież słucha audycji zagranicznych, szukając w nich nie tylko mocnego uderzenia i heavy metall.

Andriej Sacharow ponownie wezwał w czerwcu Michaiła Gorbaczowa do zwolnienia wszystkich więźniów politycznych oraz do wycofania wojsk radzieckich z Afganistanu. - Reformy zainicjowane przez radzieckiego przywódcę - stwierdził w jednym z przemówień - są ważne i niezbędne. Jednakże to, co dotąd uczyniono, jest dopiero początkiem. Choć zwolniono ponad 160 więźniów sumienia, to sytuacja jest daleka od zadowalającej. Znamy nazwiska co najmniej 500 więźniów - powiedział. Być może o setkach innych w ogóle nic nie wiemy.

Kiedy pod koniec czerwca ogłoszono w ZSRR amnestię, z okazji 70-lecia władzy sowieckiej, początkowo nie mówiono o tym, że obejmie ona więźniów politycznych. Potem pojawiły się takie zapowiedzi. Ale realizowanie aktu amnestyjnego potrwa pół roku. Pozostaje tylko mieć nadzieję, że apel Sacharowa zostanie wzięty pod uwagę.

Teraz, po partyjnych i rządowych decyzjach dotyczących "pierestrojki" w gospodarce, przybywa Gorbaczowowi nowy front walki. Jej powodzenie zależy będzie nie tylko od tego, czy znajdzie dla niej sojuszników, ale przede wszystkim od tego, czy potrafi ich szukać poza tradycyjną nomenklaturą.

Jerzy Lewski

WYZWANIE XXI WIEKU /2/

Michał Łożeński

Era Pacyfiku

NOWA "STREFA Powszechnego Dobrobytu"

W Japonii szczególnie estymą społeczną cieszył się zawsze wojownik, w Chinach zaś mąż uczony. Po wojnie w obu krajach nastąpiła pewna reorientacja. Zdaje się wszak, że ostatnimi czasy znowu w tej materii następują, co prawda ledwo dostrzegalne, ale zmiany.

Kłęska w wielkiej wojnie na Pacyfiku, która miała obalić rządy tradycyjnych mocarstw imperialistycznych i zjednoczyć ludy tego regionu pod egidą Nipponu, a która wtrąciła Japonię w odmet nieszczęść i grozy dwóch eksplozji atomowych, niezwykle poważnie nadwyrężyła tak pozycję wojskowych, jak i realność wspomnianej koncepcji w rodzaju "Strefy Powszechnego Dobrobytu Ludów Azji". Lecz wśród wojskowych japońskich byli również "dysydenci", ludzie światli, odważni i dalekowzroczni.

"Przeegraliśmy wojnę nie dlatego, że zabrakło nam męstwa. Przeegraliśmy dlatego, że nasi nieudolni przywódcy wciągnęli nas do wojny, do której nie byliśmy przygotowani /.../ Musimy obecnie wszystko zacząć

od nowa! Dokonamy tego dzieła nie siłą oręża, lecz tworząc podwaliny przyjaznych stosunków z narodami Azji. Już wkrótce - może za 10 lat - powrócimy do tego, co było!"

- tak mówił emerytowany generał Ichihara Kanzi, osobisty wróg b. premiera, gen. Tojo; a przemawiał pod koniec 1945 r. do 20 tysięcy swoich zwolenników, głównie żołnierzy, obdarzonych, wynędzniałych i pozbawionych w s z y s t k i e g o, nawet pracy. Fantasta?!

Po upływie 48 godzin od pamiętnego orędzia cesarza o kapitulacji, z 14 sierpnia 1945 r., zebrała się pięćdziesięciosobowa "rada mędrców", która przystąpiła do analizy sytuacji ekonomicznej i społeczno-politycznej pokonanego kraju oraz do... opracowywania projektów nowej ekspansji w Azji, tym razem - pokojowej. Obradom przewodniczył mażó wówczas znany profesor Saburo Okito, na Zachodzie określany mianem "ojca japońskiego cudu gospodarczego". /Nawet nie uśmiecha się uprzejmie, nie wzrusza ramionami, kiedy słyszy to od dziennikarzy zagranicznych. To oni wszakże wymyślili ów "cud", a w Japonii "cudów" nie ma i być nie może.../. A więc również "fantasta"? W pewnym sensie tak. Pod koniec lat sześćdziesiątych, a więc wówczas, kiedy Japonia była w trakcie dynamicznej realizacji swego zuchwałego wyzwania, Okito powiedział:

"Trzy najbliższe dziesięciolecia mogą przynieść więcej wstrząsów niż 3 miliony lat, które upłynęły od chwili, kiedy człowiek pojawił się na ziemi. W ciągu dziesięciu lat komputer przekształci wszystko. Japonia dziesięciokrotni swój potencjał przemysłowy jeszcze przed końcem bieżącego stulecia. Już dzisiaj, dzięki największej w historii wszystkich czasów gęstości zaludnienia, stanowi ona jedyne w swoim rodzaju warsztat eksperymentalny. Japonia nie może zadowolić się naśladowaniem innych. Musi sama wymyślać rozwiązania."

Hakkan Hedberg, słynny autor "Japońskiego wyzwania" kreślił swego czasu taką oto wizję:

"Jest to program, któremu nie przeciwstawi się ani Europa, ani Ameryka. Około 1990 roku gospodarka narodowa państw azjatyckich będzie sterowana z Tokio, a gospodarka południowoamerykańska stanie się znacznie mniej sterowana przez Waszyngton i Wall Street. Rolę tę przyjmie Japonia".

Z kolei w książce Włodzimierza Nowczuka pt. "Wyzwanie ósowieconych samurajów" czytamy:

"Japończycy twierdzą, że Zachód nie jest w stanie zrozumieć rzeczywistych potrzeb Azji w dziedzinie dóbr materialnych, a tym bardziej pojęć aspiracji Azjatów w dziedzinie wartości duchowych. Utrzymują oni, że sami przeszli podobną "drogę przez mękę", a więc oni, i tylko oni powołani są do kształ-

towania przyszłości krajów azjatyckich, do zgodnego współdziałania w dziele uniezależnienia Azji Wschodniej².

Japończycy, którzy odrzucili sowiecki model rozwojowy, lansowany przez Rosjan po wojnie w Radzie Sojuszniczej /można sobie wyobrazić, jak by wyglądali, gdyby przyjęli.../, zahamowali rozprzestrzenianie się nastrojów radykalnych w warunkach szczególnie sprzyjających zaraz po klęsce. W krótkim czasie wytraćili miejscowym komunistom szereg atutów, którymi oni dysponowali, jak bezrobocie, braki żywności, unieruchomione fabryki, powszechna frustracja, bądź rezygnacja. Zrozumieli wnet, co należy czynić, by "powrócić do tego, co było" w stosunkach z krajami Azji Południowo-Wschodniej, a jednocześnie zahamować rozprzestrzenianie się wpływów komunistycznych w tej części świata. Twierdzili oni w latach pięćdziesiątych i sześćdziesiątych /obecnie właściwie ustała ku temu potrzeba/, że: "Głód rodzi bunt i sprzyja infiltracji komunistycznej ideologii".

Liczne podróże azjatyckie kolejnych premierów japońskich, jak: Kishi, Sato, Fukuda, Mikki, Tanaka i Nakasone, za którymi postępowali japońscy handlowcy i przemysłowcy, stworzyły to, co określano później mianem "dyplomacji ekonomicznej", prawdziwego filaru nośnego efektywnej współpracy gospodarczej w strefie Pacyfiku.

Japonia nie należy do ASEAN-u, czyli Stowarzyszenia Narodów Azji Południowo-Wschodniej /Filipiny, Indonezja, Malezja, Singapur, Tajlandia/, ale jest niezwykle silnie związana z każdym z tych krajów członkowskich.

Japonia odgrywa czołową rolę /obecnie większą, aniżeli USA/ w Azjatyckim Banku Rozwoju, powołanym do życia w Manili w 1965 roku. O jej pozycji w ABR decyduje wysokość wkładów i akcji. Do ABR należą 30 krajów, w tym 18 regionalnych i 12 pozaregionalnych. Rosja Sowiecka, która początkowo uczestniczyła w pracach przygotowawczych /po rozmaitych ideologicznych "filipińkach"/, nie podpisała w końcu porozumienia założycielskiego. Bez Japonii natomiast dziś nie może być realizowany żaden poważniejszy projekt inwestycyjny finansowany przez ABR.

Właściwie można powiedzieć, że w s z y s t k i e instytucje regionalne, powołane do życia w celu kooperacji i rozwoju krajów etowarzyszonych, były dziełem Japończyków, że wymienimy chociażby Fundusz Rozwoju Gospodarczego Azji /poprzednik ABR/, bądź Instytut Naukowo-Badawczy Gospodarki Krajów Rozwijających się.

Swego rodzaju ukoronowaniem dyplomacji ekonomicznej i zarazem propozycją przejścia do następnej fazy politycznej współpracy krajów azjatyckich stała się "Doktryna Fukudy", przedstawiona przez ówczesnego premiera japońskiego w 1977 roku na sesji specjalnej ASEAN-u, aczkolwiek, jak się mówiło wyżej, Japonia nie jest członkiem tego stowarzyszenia.

Ale co mają z tego Azjaci, ci od pokoleń ciężko pracujący, ludzie o nader skromnych potrzebach materialnych i niezbadanych aspiracjach duchowych? Wydaje się, że z różnych względów

warto poświęcić nieco uwagi Korei Południowej i Tajwanowi, które to kraje, obok Hongkongu i Singapuru, należą dziś /od szeregu lat/ do nowoindustrialnych państw o najwyższej na świecie dynamice rozwojowej. "Cztery małe smoki", jak określa te kraje prasa zachodnia, w pewnym sensie powielają model rozwojowy Japonii i dobrze na tym wychodzą. Lepiej w każdym bądź razie, aniżeli te kraje, które /z wyboru lub nie/ powielają model sowiecki.

O południowokoreańskim przyspieszeniu pisało niedawno /listopad 1986 r./ amerykańskie czasopismo "US News and World Report". Przypomniało ono m.in., że dochód narodowy na głowę w Korei Południowej wynosił w 1960 roku 80 dol., dziś zaś przekroczył 2000 dol.! Dynamika jej wzrostu gospodarczego od lat przekracza 10 proc. rocznie. Wiele lat temu Japończycy rzucili hasło: "Export First!". Wówczas - mimo wszystko - było dość łatwiej sprzedawać na świecie, tymczasem Korea Południowa wyeksportowała w 1985 roku, tylko do USA, towary wartości 5 mld dol., a więc tyle, ile wynosi cały eksport PRL do KK.

Zakłady telewizyjne Gold Star, pracując 24 godziny na dobę, wytwarzają ok. 6 mln kineskopów rocznie, których odbiorcami są najbardziej renomowane firmy na świecie. Koreańczycy z Południa budują w Kanadzie i Arabii Saudyjskiej; na Morzu Północnym czynne są platformy produkowane przez przemysł koreański. Ich elektronika staje się niebezpieczna dla wyrobów "Made in Japan". Reklama wspomnianej firmy Gold Star głosi: "Najlepsze w świecie produkty za najniższą cenę". W Korei Południowej powstają nowe zakłady z udziałem kapitału japońskiego i amerykańskiego. Repatrianci koreańscy z USA i innych krajów rozwiniętych mówią o perspektywach uruchomienia produkcji robotów i obrabiarek laserowych.

Jednakże w czterdziestomilionowej Korei Południowej występują nadal napięcia socjalne. "Im bardziej rozwija się gospodarka, tym większe jest niezadowolenie" - twierdzi opozycjonista Kim Dae Jung. Powiedzmy, niezadowolenie permanentnie podsycane przez "zadowolonych" Koreańczyków z Północy, których przywódcy lata całe twierdzili, że "na Południu panuje nędza, wyzysk i jedynie obecność okupantów amerykańskich umożliwia utrzymanie tego nieludzkiego reżimu", że prawdziwy postęp jest właśnie na północ od 38 równoleżnika, w KRL-D, która właśnie - dodajmy - "zwyczajnie" zaczęła odmawiać spłaty tak kolejnych rat, jak i odsetek od zaciągniętych na Zachodzie kredytów zagranicznych, i w której od końca wojny obowiązuje system kartkowy. Dość.

"Południowokoreańscy robotnicy zdają się być jedynymi, przy których Japończycy mogą wyglądać na leniwych..." - stwierdza wspomniane pismo amerykańskie.

Korea Południowa jest poważnie zadłużona /ok. 20 mld dol./, ale jest w pełni wiarygodnym partnerem i nie ma kłopotów ani z uzyskaniem nowych kredytów, ani też z obsługą starych.

Daleko im jeszcze - południowym Koreańczykom - do Japończyków, którzy w 1986 roku pod względem średniego dochodu /17 tysięcy rocznie/ wyprzedzili Amerykanów /16 tysięcy dol. rocznie/. Niemniej, jest to "cud".

Koreańczykom z Północy, którzy mają dochód trzykrotnie mniejszy, pozostaje jedynie "obgryzać paznokcie" i wielbić z całym oddaniem "Wielkiego Wodza" oraz jego "Wspaniałego Syna" - następcę i kontynuatora marszu z nikąd do nikąd.

Tajwan - "wyspa szczęśliwa", jak ją nazywają skorzy do u niesień dziennikarze. No cóż, ale faktem jest, że dochód per capita na Tajwanie jest bez mała dziesięciokrotnie wyższy, a niżeli w Chinach kontynentalnych, o czym obywatele ChRL dobrze wiedzą. Wysokość tajwańskiego handlu zagranicznego już na początku dekady /przeszło 30 mld dol./ była większa od wartości obrotów towarowych ChRL /ok. 30 mld dol./. Rezerwy dewizowe Tajwanu w roku ub. przekroczyły 31 mld dol., co dało wyspie drugie miejsce na świecie, za RFN. Nadwyżka eksportu tajwańskiego nad importem w handlu z USA wyniosła w 1985 r. 13 mld dolarów.

Zdumiewające jest to, iż przegrany na kontynencie reżim kuonmintangowski, w ciągu krótkiego okresu również dokonał swego rodzaju "cudu". Przede wszystkim już w 1949 roku przeprowadzono na wyspie głąboką reformę rolną, która nie tylko stała się podstawą dla samowystarczalności kraju /choć, oczywiście, miało miejsce silne nasycenie rolnictwa środkami produkcji/ i jego siedemnaście milionowej ludności, ale przyczyniła się waleń do sfinansowania rozbudowy przemysłu lekkiego, przetwórczego i takich nowoczesnych gałęzi, jak elektronika. Przez to Tajwan jest mniej /a właściwie nie jest/ zadłużony w porównaniu z Koreą Południową. Prowadzi on handel z całym światem, w tym również z "wroga" ChRL.

Spadkobierca zmarłego marszałka /właściwie Generalissimusa/ Czang Kaj-szeka, jego syn - Czang Tsin-go, niegdyś komunista, dziś jawi się jako swego rodzaju "oświecony dyktator" o bardzo demokratycznym stylu sprawowania władzy; ciągle podróżuje po wyspie i chętnie wdaje się w przypadkowe zgoła kontakty z ludnością.

W ozasie, kiedy 10-letni plan rozwoju gospodarczego ChRL, "ukochane dziecko" starego Denga, którego realizacja rozpoczęła się w 1978 r. i którego "filozofia" polegała na "czterech modernizacjach", nieco stracił na impecie /niektórzy eksperci na Zachodzie twierdzą, że "powłóczy nogami"/, Tajwan przeżywa prawdziwą prosperity, a jego przywódca nie zapowiada już "wyzwolenia kontynentu"; podobnie jak w Pekinie nic dziś nie słychać o "wyzwoleniu Tajwanu". Bo i po co? Na pewno w stolicy Tajwanu, Tajpeh, z satysfakcją czytano "Żenmin Żibao" - organ KPCh - z 7 grudnia 1984 r., w którym stwierdzono: "Marksizm nie może rozwiązać problemów Chin /.../ Przywiązanie do pewnych dogmatów marksistowskich jest naiwne i grupie. Marks nie mógł przewidzieć wszystkich tendencji współczesności". Nic innego nie twierdził stary Czang w swojej pracy-testamencie pt. "Losy Chin".

Kiedy mówimy o tym, że klucze do przyszłości Pacyfiku znajdują się w Pekinie i Tokio, należy pamiętać, że USA - "państwo dwóch oceanów" - u schyłku XX wieku wykazuje rosnące zainteresowanie gospodarczą i polityczną przyszłością tego regionu. Punkt ciężkości wyzwania technologicznego, któremu również USA muszą stawić czoła, wyraźnie przesunął się na zachodnie wybrzeże tego kraju, na którego stany przypada ok. 80 proc. całości amerykańskich obrotów towarowych z krajami Pacyfiku. Od 1984 roku powstał w USA i rozwija ożywioną działalność Komitet Współpracy Ekonomicznej z krajami Pacyfiku.

Amerykane są w pełni świadomi nie tylko realiów ekonomicznych, lecz mają również obecnie, jak się wydaje, bardziej klarowną wizję polityczną w swoich stosunkach z krajami Pacyfiku. Dopinguje ich w tym nie tylko konkurencja Japonii i jej naśladowców - krajów nowo uprzemysłowionych /a mówi się, że w przypadku utrzymania obecnego tempa rozwoju Tajwan i Korea Południowa mogą prześcignąć USA na przełomie pierwszej i drugiej dekady III tysiąclecia pod względem dochodu per capita/, ale także p e n e t r a c j a s o w i e c k a, sięgająca od połowy lat osiemdziesiątych już Pacyfiku Południowego!

W tej części regionu nie podobna bowiem pominąć roli i znaczenia - tak aktualnie, jak i w perspektywie - "kontynentu przyszłości" - Australii oraz Nowej Zelandii. Australia, to wszakże obszar ok. 8 mln km kw., którego ludność wynosi zaledwie 25 milionów. Natomiast Nowa Zelandia - to 269 tys. km kw. i ok. 5 mil ludności. Oba kraje należą do Brytyjskiej Wspólnoty Narodów, lecz mają silne powiązania z USA, zwłaszcza do niedawna, kiedy istniał jeszcze /i formalnie istnieje nadal.../ pakt ANZUS. Jak pamiętamy, Nowa Zelandia zakwestionowała prawo amerykańskich okrętów atomowych do zawijania do jej portów. Amerykanie odpowiedzieli na to faktycznym wyłączeniem niepewnego sojusznika z udziału we współpracy wojskowej w ramach ANZUS.

Truizmem byłoby powtarzać, że o wszystkim decyduje wszelako gospodarka - jej stan i perspektywy rozwoju, które są niemożliwe bez efektywnego udziału w międzynarodowym podziale pracy. Gospodarka Australii w znacznej zaś mierze zależy od eksportu surowców, który w nadchodzących latach nie będzie "lokomotywą" ciągnącą kraj. Australia ma ogromny deficyt w obrotach towarowych z zagranicą. Jej zadłużenie zagraniczne wzrosło z 7,3 mld dol. w 1980 r. do 52 mld dol. w 1986 roku. Jest to odpowiednik 37 proc. GPN brutto. W 1987 roku obsługa kredytów pochłonie 40 proc. wpływów z eksportu, co jest o 15 proc. więcej, aniżeli stanowi tzw. granica alarmowa. Przy dynamice wzrostu wynoszącej w ostatnich latach 3-5 proc. rocznie, sytuacja Australii jest dość skomplikowana.

Nie będziemy tu omawiać szerzej stanu spraw Hongkongu ani Singapuru. Hongkong - to jednak Chiny w płaszczyźnie ekonomicznej, a to ma decydujące znaczenie. 20 mln "huatiao", czyli Chińczyków zamorskich, nie uznających podziałów na

"wyspę" i "kontynent", pracuje wytrwale dla swego kraju; wielu spośród nich to wielcy finansisci, kupcy, przemysłowcy. Jest rzeczą charakterystyczną, że "hutiao", niejako tradycyjnie, z rezerwą traktują Japończyków. Tak też potraktowali oni /i wywarli odpowiedni wpływ na postawę rządów regionalnych/ japońską koncepcję utworzenia czegoś na kształt Wspólnego Rynku, czyli PAFPA - Pacific Free Trade Area oraz następną propozycję powołania OPTAD - Organisation for Pacific Trade and Development. W końcu z propozycji tych powstała nieformalna instytucja - Pacific Economic Cooperation Conference, na której forum omawia się promocję handlu wzajemnego, sprawy transferów w dziedzinie nowoczesnej techniki i technologii oraz polityki inwestycyjnej, problemy kooperacji w rolnictwie, w dziedzinie wydobycia surowców i w energetyce. Prace Konferencji będą zależały w znacznym stopniu od ewentualnego udziału w niej państw ASEAN. Wówczas też bardziej wyraziście zaznaczą się kontury przyszłego k a d u P a c y f i k u, którego filozofią /jedynie słuszną w dobie współczesnej/ będzie j e d n o ś ć w r ó ż n o r o d n o ś c i.

ZAMIAST PODSUMOWANIA

Jaki będzie świat na przełomie XX i XXI wieku? Nie próbujemy nawet znaleźć w miarę przekonującej odpowiedzi na to pytanie. Jedno wszakże jest pewne, że jego przyszły kształt, a co za tym idzie długofalowe perspektywy, w decydującym stopniu będą zależały od rozwoju sytuacji w strefie Pacyfiku, gdzie prawdziwym cudem jest jednoczesne p o k o n a n i e n e d z y i p o w s t r z y m a n i e k o m u n i z m u. Niemniej jednak, pozostają dwie kwestie o znaczeniu nie dającym się przecenić: "kwestia rosyjska" i "kwestia chińska".

Dylematy Rosji Sowieckiej - ostatniego imperium na kuli ziemskiej, potęgi bez wielkości, kraju o gasnącej dynamice rozwojowej, państwa, które utraciło zdolności kreatywne - sprządzają się do odpowiedzi na kilka pytań zasadniczej treści:

- czy Rosjanie istotnie zrozumieli, gdzie leżą granice ich możliwości?
- czy zrozumieli, że istnieją granice arbitralności w stosunkach państwo-obywatel?
- czy zechcą zrezygnować ze swego zakodowanego mesjanizmu, tradycyjnego ekspansjonizmu i hegemonizmu?

Ze wszech miar słusznie powiedział Aleksander Sołżenicyn: "Nawet Rosja m u s i z n a ć m i a r ę r z e c z y !"

Nieco inaczej, jak się wydaje, przedstawiają się dylematy Państwa Środka. Pierwsze dwa z powyższych pytań można by było odnieść również do Chin. Można też zaryzykować twierdzenie /nawet ryzyko nie jest zbyt wielkie/, że Chińczycy, a przede wszystkim pragmatyczni przywódcy chińscy, dobrze pamiętają zwycięstwo, nadzieje i rozczarowania, które stały się ich udziałem w ostatnich dziesięcioleciach. Mają świeżo w pamięci paranoję "Wielkiego Skoku" i amok "rewolucji kulturalnej". Na-

ją przed oczyma drogę ku wielkości, którą za życia jednego pokolenia!/ odbyła Japonia i na tej drodze widzą Tajwan - i n t e g r a l n ą, ich zdaniem, część Chin. Wiedzą, że nie powinna powrócić obsesja "niebezpieczeństwa amerykańskiego", natomiast stale muszą mieć na uwadze z a g r o ż e n i e z P ó ł n o c y. Lecz - mimo pragmatyzmu i gorzkich doświadczeń - nie przestali oni być wyznawcami ideologii, rozpadającej się na ich oczach w konfrontacji z rzeczywistością. Z coraz większą rezerwą mówią o marksizmie; wymyślili "socjalistyczną gospodarkę towarową" /oczywisty dziwny terminologiczny/; zasmakowali konsumpcyjnego stylu życia; zaczęli swobodniej dyskutować, a nawet wysuwać żądania tak ekonomiczne, jak i polityczne, czego przykładem mogą być burzliwe demonstracje studentów w wielu ośrodkach akademickich.

I aczkolwiek wszystko wskazuje na to, że proces przemian jest tu nieodwracalny, to jednak r e a k c j a n o m e r k l a t u r y jeszcze przez pewien czas może wywierać presję na przebieg reform, a nawet na pozycję Chin na arenie międzynarodowej.

Wydaje się zatem, że jeden z kluczy do sytuacji w strefie Pacyfiku znajduje się w Pekinie. A drugi? Jednak - w Tokio!

A Waszyngton? Zbyt długo Amerykanie znajdowali się /podobnie jak Rosjanie/ w niewoli pewnych dogmatów, oczywiście nie ideologicznych, lecz wynikających z anachronicznej myśli politycznej. Nie oni, lecz b. premier japoński, Sato, podczas wizyty w USA w 1969 r. mówił:

"Oba wielkie mocarstwa, leżące naprzeciw siebie po obu stronach Pacyfiku, /.../ które są pierwszym i drugim mocarstwem wolnego świata /.../ utworzyłyby n o w y i a d. oparty na pokoju i dobrobycie".

Amerykanie zrozumieli, przynajmniej, jeżeli chodzi o polityków. Już w 1970 roku w Orędziu do Kongresu Richard Nixon powiedział:

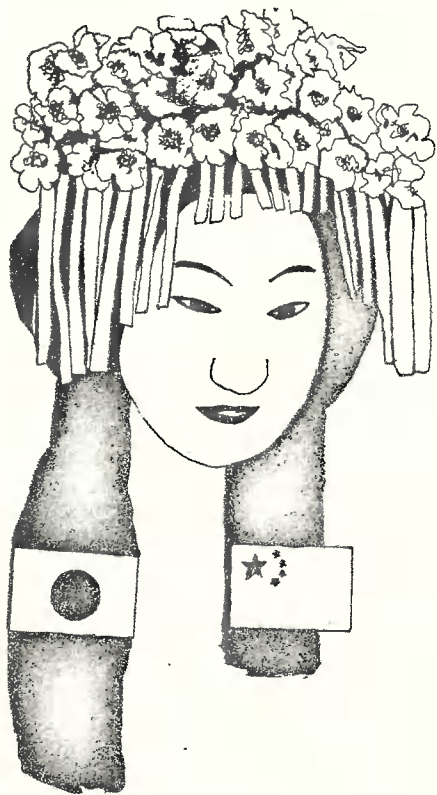
"Partnerstwo Japonii z nami stanie się kluczem do sukcesu Doktryny Guamskiej /.../ Nasza polityka wobec Japonii w minionych latach ukazuje naszą koncepcję twórczego partnerstwa, do jakiego zmierzamy w stosunkach ze wszystkimi krajami azjatyckimi".

Doktryna Guamska... Jej najgłębszy sens i wyraźna wymowa nawiązuje /znowu paradoksalnie/ do znanego, sformułowanego przez Chińczyków, a niejako przechwyconego przez Japończyków w dobie ich ekspansji, hasła: **AZJA DLA AZJATÓW!** Dział, w czasach zasadniczych przewartościowa i aktualizacji znanych z przeszłości treści, wielkie mocarstwa pozaazjatyckie /abstrahując od czynnika geograficznego/, należące do odrębnych cywilizacji, mogą i powinny wziąć efektywny udział w tworzeniu nowego ładu Pacyfiku, uwzględniając przy tym szczególną specyfikę regionalną i narodową. Mogą i powinny być r a z e m, nie zaś "na czele", niczego nie narzucając, wszystko zaś respektując.

Podział na Północ /bogata/ i Południe /biedne/ straci na ostrości przede wszystkim za sprawą nowego ładu Pacyfiku, tak jak właśnie na tym obszarze staje się anachronizmem słynne credo Rudyarda Kiplinga o "zakodowanym" niezrozumieniu między Wschodem a Zachodem.

Styczeń, 1987 r.

Michał Łożeński



Tomasz Jerz

Po nas przyjdzie młodzież ...

Po nas przyjdzie młodzież - co do tego, w sumie wielce banalnego stwierdzenia, wszystkie strony polskiego konfliktu są zgodne. Stąd też - między innymi - swoista moda na młodzież, dziennikarskie i naukowe próby analizy i syntezy, bardziej lub mniej dokładne klasyfikacje. Stąd popularność słów w rodzaju: "pozyskiwanie" /opozycja/, czy "wychowywanie" /władza/. Fakt pozostaje faktem, iż kto zgrabniej rozegra batalię o serca i umysły młodzieży, ten w przyszłości - chyba wcale nie tak odległej - może być pewien sukcesu. Kto jednak to zrobi? Pytanie jest cały czas otwarte.

POLSKIE KRZYSY Spośród wszystkich krajów bezpośrednio zależnych od Związku Sowieckiego proces rozkładania tak zwanego "realnego socjalizmu" jest w Polsce najbardziej zaawansowany. Nie miejsce tutaj, by szczegółowo przedstawiać przyczyny, przebieg i skutki kolejnych zakrętów naszej powojennej historii. Wystarczy wspomnieć, iż wszystkie dotychczasowe polskie kryzysy przebiegały według sztywnego schematu - od żądań ekonomicznych i czysto rewindykacyjnych do polityki /wyjątkiem potwierdzającym regułę jest Marzec 1968/.

Kolejna wspólna cecha, to względna /w zależności od realiów cenowo-płacowych/ stagnacja postulatów ekonomicznych, przy wyraźnej eskalacji żądań politycznych. Rzeź ciekawa - nawet najbardziej radykalne postulaty i deklaracje z lat 1980-1981, czyli najgłębszego polskiego kryzysu /grupy postulatycznie wykraczające poza system, na przykład KPN, były w stosunku do związkowej masy zdecydowaną, choć krzykliwą, mniejszością/, mieściły się w konstytucyjnym porządku państwa.

wa. Nie wynikało to bynajmniej z elastyczności obowiązującego prawa, ile ze świadomie samoograniczającej się rewolucji.

Sądzę, iż właśnie przełom lat osiemdziesiątych jest praprzyczyną dzisiejszej mody na młodzież i niemal powszechnego zainteresowania jej problemami czy stanem świadomości. Wówczas to bowiem, po raz pierwszy w historii PRL, zaczęło w społecznym obiegu informacji, a także w środowiskach opiniotwórczych, funkcjonować wieloznaczne pojęcie "młody robotnik". Ta zbitka słowna stała się równoważnikiem pozytywnych zmian, załączków i dynamicznego rozwoju ruchu "Solidarności", a nawet - w niektórych umysłach - funkcją przyszłej, niekomunistycznej władzy.

Również przy poprzednich kryzysach sporo uwagi poświęcano młodzieży, jednak - z racji ich przebiegu, zdeterminowanego lokacją społecznego zaufania - były to głosy powstające z inspiracji władzy, oscylujące wokół nowomowy i nic nie znaczących, sloganowych obietnic. Tak w 1956, jak i w 1970 roku, młodzież wyprzedzała swój kapitał, mimo iż stanowiła, choćby z racji liczebności, zaangażowania, przynależnej wiekowi buntowniczości, główną, pozytywną siłę sprawczą konfliktów.

Podobnie jak poprzednie kryzysy, tak i Sierpień 80 był zdominowany przez młodzież. Ludzie między 20 a 30 rokiem życia decydowali o przebiegu strajków, treści postulatów, związkowej aktywności, czy wreszcie demokratycznym wyborze władz "Solidarności". Nie przez przypadek o bohaterach Sierpnia, a również stanu wojennego, opinia publiczna wypowiada się w sposób - w stosunku do społecznych autorytetów i przywódców wielomilionowego ruchu - niezwykle familiarny. Zbigniew Bujak na zawsze pozostanie Zbyszkiem, Frasyniuk - Władkiem, Szumiejko - Gienkiem itp. Zdrobnienia imion są przecież immanentnym atrybutem młodości.

Młodzież, uprawomocniona legalnymi i demokratycznymi wyborami do władz Związku, stała się w ciągu jednego niemal dnia negocjacyjnym partnerem nomenklatury, reprezentując podstawowe interesy społeczne. Co jeszcze istotniejsze, po raz pierwszy w powojennej historii Polski, mogła w sposób całkowicie autentyczny, decydować o swoim losie, sięgnąć niezdobytym przedtem szczytów samostanowienia i dorosłości. Kilkanaście miesięcy "Solidarności" znakomicie przyspieszyło proces pokoleniowego dorastania i obywatelskiej odpowiedzialności za losy kraju. Przy czym owo dorastanie odbywało się przy akompaniamencie niedojrzałości, ubranej w krótkie spodenki dziecka wymagającego opieki. Częstokroć bowiem o kształcie ruchu związkowego, niezależnych organizacji studenckich, niektórych zrewoltowanych komórek partyjnych, decydowali ludzie zmuszeni do korzystania z materialnej pomocy rodziców, pozbawieni własnych mieszkań - słowem, w znacznym stopniu niesamodzielni i ubezwłasnowolnieni. Mimo to, okazało się, że aktywność społeczna może - choćby czasowo - rekompensować materialny niedostatek, przy dostrzeganiu nawet znikomych szans na sukces i poprawę sytuacji.

PO
13 GRUDNIA

Prawdopodobnie nikt nie potrafił przewidzieć, jakie drugofalowe skutki społeczne przyniesie wprowadzenie stanu wojennego. Nie sprawdziły się hurra-optimistyczne prognozy czynnego /co nie musi oznaczać zbrojnego/ oporu, a także skrajnie pesymistyczna wizja pokuszonego, bezrefleksyjnego ulegania władzy. Zamiast tego doczekaliśmy się wszechpanującego zniechęcenia, apatii, kryzysu wartości moralnych, co przede wszystkim stało się udziałem właśnie młodzieży. Stan wojenny jeszcze bardziej zantagizował rządzących i rządzących, lecz z drugiej strony stał się impulsem pogłębiającym podziały w niezależnym ruchu związkowym i całym społeczeństwie. Niemniej, sztyld "Solidarności" - dziś używany w charakterze słowa-wytrychu przez krańcowo różne od siebie grupy - ciągle przydaje społecznego zaufania i wiarygodności. Z dziesięciomilionowej organizacji pozostał niezniszczalny mit, jej najtrwalszy i najbardziej istotny dorobek.

Rozbicie Związku, abstrahując od policyjnych represji, poszło jakby w dwóch podstawowych kierunkach. Z jednej strony pojawiły się organizacje o profilu czysto politycznym, ukazujące niemal pełne spektrum współczesnych kierunków ideologicznych, od socjalistów, przez chrześcijańsko-demokratyczne centrum, po neoliberalnych konserwatystów. Prawdziwym okazało się przypuszczenie, iż totalitarna władza rodzi totalitarne społeczeństwo. Pewną popularność zyskały te odłamy politycznej opozycji, które - z reguły w nacjonalistycznej powłoce - reprezentują autorytarny program. Wprawdzie antydemokratycznymi hasłami dzisiaj już nikt nie stara się zdobywać zwolenników, jednak faktycznie mit silnej i wszechogarniającej władzy mieści się w polskim wachlarzu postaw antykomunistycznych.

Wszystkie te grupy, mimo różnic ideologicznych i quasi-partyjnych podziałów, mają jedną cechę wspólną. Otóż za cel nadrzędny, a zarazem warunek konieczny do urzeczywistnienia swoich programów, uważają zniesienie panującego systemu ustrojowego, praktycznie nie wykluczając wszystkich dostępnych środków, łącznie z walką zbrojną /LDP "Niepodległość", "Solidarność Walcząca"/, wykraczając poza narzucony porządek konstytucyjny.

Drugim głównym kierunkiem podziemnej i jawnej opozycji są grupy czysto związkowe, o mocno ograniczonym polu działania i organizacje parasyndykalistyczne. Są to przede wszystkim zakonspirowane komisje zakładowe "Solidarności". W dużym streszczeniu, ich program bieżący, jak i przyszłościowy, ogranicza się do ochrony praw pracowniczych i działań rewindykacyjnych w sferze materialnej.

W przedstawiczej mozaice poczesne miejsce zajmują rady pracownicze tych przedsiębiorstw, gdzie samorząd załogi został zdominowany przez byłych działaczy, członków, bądź sympatyków "Solidarności". W tym przypadku postawy roszczeniowo-związkowe /nie wnikając w sympatie polityczne/ ustąpiły miejsca postawom związkowo-gospodarskim. Dobro przedsiębior-

stwa postrzega się nie tylko poprzez zarobki i zabezpieczenie socjalne pracowników, lecz również bierze się pod uwagę efekty ekonomiczne, rentowność i przyrost produkcji, korzystne inwestycje, czy wreszcie zmianę profilu wytwórczości.

Również nowym zjawiskiem jest, bezprecedensowy w dziejach PRL, Ruch Wolność i Pokój, adresowany przede wszystkim do młodzieży. Choć głównymi animatorami WiP-u są ludzie, których polityczna edukacja przypadła na okres legalnego działania "Solidarności", kreujący podówczas Niezależne Zrzeszenie Studentów, to jednak ich kierunek i metody działania bardziej przystają do formuły zachodnich ruchów pacyfistycznych i ekologicznych, niż tradycyjnie pojmowanej polskiej opozycji, nastawionej głównie na samopomoc i samoobronę społeczną.

Nad tym wszystkim unoszą się "kombatanckie" autorytety, ośoby wiodące swój rodowód polityczny jeszcze z czasów przedsiernpniowych, jak i szesnastu miesięcy "Solidarności" oraz członkowie instytucja, Lech Wałęsa. Z dużą dozą prawdopodobieństwa można przyjąć, iż są oni w większości zwolennikami reform gospodarczych i ich politycznych reperkusji, swoistej "finlandyzacji" Polski, zmian systemowych w granicach panującego porządku międzynarodowego.

Trudno dyskutować, jak wielkie jest społeczne oddziaływanie opozycji pogrudniowej wszystkich kierunków. Sądząc z wyników wyborów do rad narodowych i sejmu, liczbę ludzi podatnych na wpływy opozycji i gotowych podjąć ryzyko bojkotu, można szacować na kilka do kilkunastu milionów. Traktując jako główny wyznacznik obieg prasy niezależnej i wydawnictw bezdebitowych, liczba ta ulega znacznej korekcie in minus. Rzecz jasna, iż aktywna działalność w opozycyjnych grupach związkowych i politycznych dotyczy - w porównaniu do powyższych ocen - jedynie niewielkiego ułamka /trzeba zauważyć, że dla niektórych grup opozycyjnych wystarczającą miarą aktywności jest deklaratywne istnienie/. Pozostaje więc tak zwana "milcząca większość", z pewnością nastawiona antykomunistycznie /treść rozmów w kolejkach, zwyczajowo, ale i ostentacyjnie praktykowana religijność/, lecz zarazem bez jasno skryształizowanego oblicza, czystej gradacji postaw i wartości. W przypadku nagłego kryzysu, załamania obecnej ekipy, reakcje "milczącej większości" można przewidzieć jedynie w wypadku mniej lub bardziej wiernego powtórzenia się modelu poprzednich przesileń.

POGRUDNIOWA MŁODZIEŻ Podobnie jak reszta społeczeństwa, także roczniki wkraczające w dorosłe życie po wprowadzeniu stanu wojennego, są z zasady antykomunistyczne, przy czym takie postawy nie muszą wyrażać się w konkretnych działaniach opozycyjnych, lecz głównie w werbalnej krytyce systemu. Jedynie początek stanu wojennego uaktywnił post-solidarnościami roczniki. One to właśnie stanowią o liczebności demonstracji ulicznych 1982 roku, malowały napisy na murach. W wielu szkołach ponadpodstawowych, a więc wśród ludzi mających wtedy mniej niż 20 lat, wytworzyła się szczygólna moda na czynny udział w manifestacjach - przechwalano się ilością zerwanych czerwonych flag, rzuconych kamieni itp. Malejąca popular-

ność manifestacji jest także funkcją postępującego marazmu i zniechęcenia wśród młodzieży.

Potwierdzeniem tych tez niech będą ubiegłoroczne badania ankietowe, przeprowadzone w szkołach wyższych na zlecenie Rady Naczelnej Zrzeszenia Studentów Polskich /wyniki częściowo przedstawione i omówione w prasie oficjalnej/. Badania wskazują, iż są w kraju takie ośrodki akademickie, gdzie żaden student nie identyfikuje się do końca z marksizmem, choć spora część akceptuje - nawet podświadomie - wybrane dogmaty i hasła ideologii państwowej. Nie ma najmniejszych podstaw, by przypuszczać, iż w środowisku młodzieży robotniczej i szkolnej nie dzieje się podobnie.

Około 78 procent studentów uważa, iż nie mają najmniejszego wpływu na wydarzenia w kraju, zaś aktywność społeczna, również ta niezależna, zajmuje w budżecie czasu wolnego miejsce ostatnie. Ceni się natomiast wartości moralne katolicyzmu - badania wykazały bardzo wysoki stopień szacunku dla pozycji i działalności Kościoła.

Młodzież akademicka chce się dorobić, szanuje gospodarność. Niemniej, wychodzi z przekonania, iż uzyskanie niezależności finansowej i godziwego standardu życia jest w Polsce praktycznie niemożliwe /znacznie więcej niż 50 procent młodych ludzi chce czasowo wyjechać na Zachód w celach zarobkowych/.

Skutkiem takich postaw jest nieznaną w dotychczasowej historii PRL poziom nihilizmu, apatii, bierności, niedostatek wiary we własne siły i lepszą przyszłość. Młodzież sądzi, iż wszystkie drogi prowadzące w kierunku samorealizacji - wyliczając wyjazd na saksy - są z góry skazane na niepowodzenie, a w beznadziejnej sytuacji pomoc może jedynie przypadek, szczęśliwy zbieg okoliczności. Na przykład w hierarchii celów życiowych podstawowe miejsce zajmuje stworzenie i kultywowanie właściwie funkcjonującej rodziny, będącej sposobem realizacji elementarnych, ale i pierwszoplanowych wartości. Jednak nawet w tak niewielkim wymiarze, jak własny dom, młodzież napotyka trudności, których z wielu niezawinionych przyczyn nie może samodzielnie, a także przy materialnej pomocy rodziców, pokonać.

Chęć działania na szerszym forum społecznym: uczelni, zakładzie pracy itp., przy wykluczeniu z pola zainteresowania członkostwa w oficjalnych organizacjach, prowadzi nieuchronnie do konfliktu z obowiązującym prawem, jest wybrem, którego skutkami mogą być szykany i represje. Zaledwie garstka może się na coś takiego świadomie zdecydować. Kolejnym przejawem narastającej w zawrotnym tempie frustracji jest upadek autorytetów. Jedynym człowiekiem, darzącym niemal powszechnym i bezgranicznym zaufaniem jawi się Jan Paweł II, głównie dlatego, że jego pielgrzymki do kraju odbierane są jako niezbędne zastrzyki nadziei, której młodym brakuje bardziej niż cegokolwiek innego. Jest to jednak autorytet bardzo odległy i prawie mityczny, więc siłą rzeczy zyskuje więcej szacunku, niż wiernych naśladowców. Liderzy generacji trzydziestolat-

ków są dla pogrudniowej młodzieży swego rodzaju muzealnymi zabawkami, polityczną dekoracją, zaś w opinii sporego odłamu nie służą nawet przechowywaniu podstawowych dla społeczeństwa wartości i prezentacji oczekiwanych postaw życiowych i obywatelskich. Nie jest autorytetem pogardzana szkoła i lekceważony nauczyciel, nie są nimi rodzice. Prawdopodobnie jedynym powszechnym zbieżnym punktem międzypokoleniowych wartości jest pozycja Kościoła i dobra materialne, do których przeważająca większość młodzieży nie ma praktycznie dostępu. Stąd, pomijając skuteczną indoktrynację, postawy roszczeniowe i wyczekujące, idealistycznie, acz prymitywnie pojmowany egalitaryzm.

Oczywiście, taka ocena dotyczy młodzieżowej "milczącej większości". Zgodzić się jednak należy z faktem, iż ekonomiczne determinanty stawiają młodzież - również jej część aktywną - w szczególnie niekorzystnej sytuacji, z której właśnie "milcząca większość" nie widzi po prostu wyjścia. Jednym z objawów takiego przekonania jest stale zwiększający się zasięg patologii społecznych, dotyczący coraz to młodsze roczniki.

Druga strona tego samego medalu, to przypisywana młodzieży buntowniczość, bezkompromisowość, potrzeba dokonywania zmian. Z tego też względu niektórzy odnajdują drogę ku samorealizacji w działalności społecznej i politycznej, wykazując przy tym zdecydowanie większą dynamikę niż starsze generacje. Ruch Wolność i Pokój lub odrestaurowane Niezależne Zrzeszenie Studentów, zarówno w formule uczelnianej, jak i ogólnokrajowej, stanowią wyśmienity przykład radykalizacji postaw młodzieżowych. Obowiązkiwo służby wojskowej, mimo identycznego jak dziś poziomu niechęci do armii i militarnego wychowania, nie przeciwstawiano się nawet w czasie "Solidarności". Również NZS jest całkowicie nową strukturą, głoszącą znacznie radykalniejsze hasła, niż legalnie działająca przed kilku laty organizacja o tej samej nazwie. Akompaniują temu niezależne formacje uczniów szkół średnich, a także niechętnie władzy ruchy afiliowane przy Kościele.

Nie sposób precyzyjnie określić społeczny zasięg przedstawionych zjawisk - aktywna działalność w organizacjach przykościelnych może mieć większe pole oddziaływania niż wszystkie inne grupy opozycyjne razem wzięte. Bezdiskusyjne wydaje się natomiast, iż powstały one w szczególnie ciężkich warunkach zewnętrznych, tak więc ich twórcy - abstrahując od młodzieżowej brawury lub niedoceniania ryzyka - muszą mniej lub bardziej dokładnie być świadomi ewentualnych kosztów osobistych niezależnej aktywności.

Osobnym rozdziałem są subkultury młodzieżowe /od kilku lat coraz mniej popularne/ i zachowania postsubkulturowe. Ich wpływ są z całą pewnością znacznie szersze, niż zasięg postaw typowo opozycyjnych, choćby z tej racji, iż stanowią wierzchołek kultury młodzieżowej, obejmującej dokładnie całą generację /moda, muzyka, wygląd zewnętrzny, język i sposób zachowania/.

Subkultury znajdują się jakby pod podwójnym pręgierzem. Z jednej strony nie lubi ich władza, gdyż zwyczajnie nie mieszczą się w dogmatycznych schematach wzorów osobowych "realnego

socjalizmu". Piętnuje je także znakomita większość dorosłych, przy czym powody takiego podejścia są tutaj bardziej zróżnicowane. Jedni sądzą, nie bez pewnej dozy słuszności, że subkultura są mechanicznym, atrakcyjnym, więc szalenie niebezpiecznym nośnikiem patologii społecznych, na przykład narkomanii. Dla innych czynna akceptacja lansowanych przez kulturę alternatywną wzorów równa się oderwaniu młodzieży od spraw bardziej dla kraju istotnych, niż treść rockowej piosenki. Jeszcze innych razi w subkulturach zewnętrzny wygląd ich uczestników, ostentacyjne łamanie utartych zwyczajów i konwenansów.

Mimo deklarowanej obojętności na sprawy polityki, subkultura doczekały się politycznego odprysku. Jest nim Ruch Społeczeństwa Alternatywnego, działający głównie w Trójmieście i Wrocławiu.

Następną grupą są członkowie istniejących oficjalnie politycznych i społecznych organizacji młodzieżowych. W skali kraju to z pewnością ewidentny margines, nie należy jednak lekceważyć i takich postaw. Młodzi komuniści /bądź tylko cwani karierowicze/ to faktyczni następcy władzy, a z racji zaistniałej sytuacji ekonomicznej i uszczuplonego dostępu do podstawowych dóbr, głosiciele poglądów skrajnie zachowawczych, zwolennicy systemu przywilejów, związanych z członkostwem w organizacjach. W ruchu młodzieżowym silnie zażyłowane są tendencje wspierające niemal stalinowski model totalitaryzmu, zaś styl działania zachował, a nawet udoskonalił, kumotersko-nepotyczny trend epoki Gierka.

Lecz obok organizacji filialnych wobec PZPR znajdują się także ruchy jak MONAR czy ekolodzy z grupy "Wolę być". Przy całej złożoności sytuacji, wynikających głównie z kontrtowersyjnych społecznie postaw liderów takich związków - dobre stosunki w aparacie władzy, udział w oficjalnym, a więc sterowanym odgórnie życiu społecznym kraju - większość celów przyświecających obu organizacjom jest z całą pewnością społecznie użyteczna. MONAR i "Wolę być" aktywizują młodzież wokół wartości, które z całym spokojem umieścić można w antytotalitarnym bloku postulatów. Sprzeciw wobec patologii społecznych i ochrona środowiska naturalnego, przy sprytnie pomyślanej oprawie zewnętrznej - łańcuchy rak, koncerty rockowe, sprzedaż choinek w doniczkach, opasywanie wstążkami stoisk handlujących zabawkami militarnymi, a także namacalne efekty takiej działalności, muszą być ocenione pozytywnie.

NASTĘPNY Nie trzeba pracować na etacie wróżki, by przewidzieć, iż Polska ma przed sobą jeszcze co najmniej jedno historyczne przesilenie. Kłopot w tym, iż nikt nie potrafi określić charakteru przełomu oraz jego przybliżonej daty. Jasne jest natomiast, że jeżeli moment wybuchu nastąpi dopiero za kilka lat, jego przebieg będzie w głównej mierze zależał od społecznych zachowań dojrzewającej po 13 grudnia młodzieży.

Teoretycznie można przedstawić trzy podstawowe scenariusze

szę przyszłego kryzysu. W pierwszym wypadku nie stanie się zwyczajnie nic - społeczna, polityczna i gospodarcza stagnacja w porównaniu do permanentnego rozwoju krajów zachodnich jest także kryzysem. Polska będzie w dalszym ciągu pogrążyć się w apatii, spadnie do poziomu najbiedniejszych i najbardziej zacofanych krajów Trzeciego Świata, tyle że nie zmieni położenia geograficznego. Wówczas to na długie dziesięciolecia utracimy jakiegokolwiek szanse zbliżenia się do krajów o przeciętnym rozwoju w skali światowej, po prostu wypadniemy ze współczesności.

W drugim wariancie, niezdolna do autentycznej reformy władza wpędzi kraj w taki zaułek, z którego jedynym wyjściem będzie zbiorowy protest społeczny. Jest to scenariusz "babskiej rewolucji" - sytuacji, w której puste lodówki, głodowe pensje, brak perspektyw życiowych, zmuszą ludzi do otwartego sprzeciwu. Rzeź jasna, iż gwałtowne wystąpienia społeczne można zdusić siłą - oddolna rewolucja antytalitarna, bez czynnego wsparcia, lub choćby przychylniej neutralności wojska, stała się niemal w stu procentach fikcją, odkąd wynaleziono karabiny maszynowe - lub raz jeszcze próbować wymuszonego, nawet szczątkowego porozumienia, zasiąść do negocjacyjnego stołika.

Prawidłowością polskich kryzysów jest wysuwanie w momentach przełomowych coraz szerszego pakietu żądań politycznych. Możliwe jest więc, iż w takim wypadku postulaty ekonomiczne i polityczne zdecydowanie wykrócą poza granice nowej elastyczności ustroju /"realny socjalizm" jest mimo wszystko systemem reformowalnym/. Społeczna emancypacja pójdzie tak daleko, że cała sprawa zakończy się albo klęską władzy i zmianą porządku konstytucyjnego, albo następnym 13 grudnia, zażatwionym innymi rękoma i innymi metodami.

Taka sytuacja jest chyba najbardziej prawdopodobna ze względu na utrzymujący się brak pomysłów i działań skutecznie reanimujących polską gospodarkę i zarazem najłatwiejsza do prawidłowego rozegrania przez opozycję, chyba że natychmiastową odpowiedzią władzy będzie goła przemoc. Ekonomiczna degrengolada i coraz powszechniejsza nędza utrwala w pierwszej fazie kryzysu dychotomiczny podział struktury społecznej: naród - rządzący. Ubóstwo zjednoczy wszystkich wokół postulatów rewindykacyjnych i roszczeniowych, zaś późniejsze podziały będą klarowniejszym obrazem sytuacji z 1980 i 1981 roku. Nie będzie to natomiast dokładna powtórka Sierpnia. Przy postępującej stagnacji ekonomicznej władza nie spełni bowiem rewindykacyjnych żądań społecznych nawet w tak skromnym zakresie, jak uczyniła to w czasach "Solidarności". Być może, kolejny "karnawał" potrwa nieco dłużej - większy radykalizm wymaga gruntowniejszych przygotowań do pacyfikacji - lecz jego koniec będzie prawdopodobnie jednakowy.

W obu przedstawionych sytuacjach młodzież - mimo iż siłą rzeczy będzie podstawową grupą dotkniętą apatią lub stanie się iskrą powodującą wybuch - jest "nasza", w znakomitej większości opowie się przeciwko monolitycznej, bo zjednoczonej wobec zewnętrznego zagrożenia, władzy. Prawdopodobny jest jednak i trzeci wariant, w którym tak władza, jak i społeczeństwo, będą zmuszone podzielić się, przy czym jego finał wcale nie musi

oznaczają sukcesów reformatorów "realnego socjalizmu", czy przeciwników panującego ustroju.

KOMUNIZM Od pewnego czasu ekipa Jaruzelskiego stara się
OSWIECONY wprowadzić w życie takie mechanizmy reformy gos-
podarczej i wypływające z nich ulgi polityczne
na rzecz społeczeństwa, które mogłyby podnieść o kilka kre-
sek jej zerowy autorytet, nakręcić koniunkturę gospodarczą,
bez istotniejszych zmian systemowych, a zarazem nie antago-
nizować niechętnej jakimkolwiek nowościom frakcji partyjno-
państwowego betonu. Brak jasnego, precyzyjnego programu po-
woduje, iż jedynym widocznym skutkiem reformy gospodarczej
są kolejne podwyżki cen, przyjmowane przez ludzi z zadziwia-
jącą pokorą, za którą kryje się jednak systematycznie wzras-
tający poziom nienawiści. Niekonsekwentne i sprzeczne ze so-
bą decyzje władzy sprawiają również, iż wielkie lub dobrze
prosperujące zakłady pracy znakomicie bronią się przed wzra-
stającymi kosztami utrzymania, wyprzedzając kolejny skok cen
znaczny podwyżkami płac. Skutkiem takiej polityki gospodarczej
jest jedynie pogłębianie się kryzysu.

A mimo to - choćby w formie czysto deklaratywnej - widać
pierwsze jaskółki dość gruntownej przebudowy ekonomiki pań-
stwowej. Stąd, na przykład, pogłoski o zmianach w ekipie rzą-
dzącej, gdzie nieudolnych aparatczyków lub zwolenników sta-
rego kursu, mają zastąpić ludzie o szerszych horyzontach gos-
podarczego myślenia. Stąd również liczne informacje w pań-
stwowych środkach masowego przekazu o fatalnie prosperujących
zakładach, odmienianych plałtach i odmowie kredytów banko-
wych. Tłumaczy się tym poniekąd stosunkowo dobra atmosfera
otaczająca prywatne inwestycje kapitałowe, spółki polonijne
i joint-ventures.

Jakkolwiek niekonsekwencja i obawy przed kontrakcją par-
tyjnego betonu zamazują i tak mało klarowny obrazek postulo-
wanej reformy, to jednak stosowane przez władzę półśrodki w
miarę czytelnie wytyczają kierunek przemian. Dość nieoczeki-
wanie wysiłki rządowych reformatorów zyskały ceny atut z
komunistycznej centrali - wyjątek w historii bloku wschod-
niego - w postaci obecnej polityki Gorbaczowa i sowieckiej
"pierestrojki". Tak więc wiele przesłanek wskazuje, iż przy-
szłym modelem gospodarczym "realnego socjalizmu" będzie pań-
stwowy liberalizm, ze wszystkimi konsekwencjami tego syste-
mu. Oczywiście, w przypadku dalszego lansowania doktryny ko-
munizmu oświeconego, a przede wszystkim ewidentnej koniecz-
ności otwarcia Polski i całego bloku na Zachód, władza musi
w pewien sposób opuścić społeczeństwu. Nie będzie to z pew-
nością wiele, niemniej w narodowym bilansie zysków liczą się
i takie gesty, jak zwolnienie więźniów politycznych, zanie-
chanie ostrych represji w stosunku do działaczy niezależnych,
pewne rozluźnienie cenzury.

Wszystko to razem - w przekonaniu władzy - ma służyć ak-
tywizacji gospodarki, uzyskaniu kredytów dewizowych i dostę-
pu do nowoczesnych technologii, lecz dla ewentualnych part-

nerów z Zachodu ekonomiczna i polityczna kosmetyka, to na razie zbyt mało, by inwestować w bankruta.

Jeżeli jednak obiektywne warunki zmuszą komunistów do bardziej zdecydowanych kroków w kierunku liberalizacji i urentowania gospodarki, kiedy ekonomia wymusi zamknięcie upadających zakładów - a są to także sztandarowe firmy-giganty, zatrudniające tysiące pracowników - wówczas może dojść do nieznanych w historii PRL sojuszków społecznych i całkowicie nowej, odmiennej od sztywnej struktury "realnego socjalizmu", strategii. Upadnie zatem mityczny w podstawowych zakresach, podział na dwie, w miarę spójne i jednolite strony konfliktu.

NIEPRZEWIDZIANE KONFIGURACJE Upraszczając sprawę - zwolennicy starego kursu, a więc antyreformatorskiej, zachowawczej polityki, należący do władz partyjno-państwowych wyższego i średniego stopnia, znajdują się w naturalnym sojuszu z grupami opozycyjnymi o charakterze związkowym. Groźba masowych redukcji etatów i bezrobocia stanie się kolejnym impulsem dla syndykalistycznie zorientowanej opozycji do działań rewindykacyjnych, żądających przywrócenia pełnego zatrudnienia i zabezpieczeń socjalnych, a więc w swej istocie przeciwnych przemianom. Po drugiej stronie barykady znajdują się reformatorzy wszelkiej maści, począwszy od rządowych twórców projektów zmian przez - dziś używające szyldu "Solidarności" - rady pracownicze, do ugrupowań ewidentnie antykomunistycznych, widzących lepszą przyszłość Polski w znacznej redukcji uprawnień ekonomicznych państwa i wspieraniu społecznych inicjatyw gospodarczych. Rzecz jasna, iż owe sojusze nie muszą być i prawdopodobnie nie będą jasno precyzowane i artykułowane. Co więcej, będą to alianse szukające wspólnej płaszczyzny głównie w sprawach związanych z ekonomią, zaś w kwestiach politycznych całkowicie odmienne. Dwutorowa polaryzacja postaw - za i przeciw reformie gospodarki - będzie więc raczej pozorna, zaś ilość przeciwstawnych interesów grupowych zwiększy się niepomniernie.^{x/}

Wszystkie zatem, formalnie lub nieformalnie zorganizowane strony polskiego, przyszłego kryzysu muszą znaleźć się wcześniej czy później w nieuchronnym konflikcie, podsycanym dodatkowo przez podziemne dziś grupy polityczne, o których nie bardzo wiadomo, którą główną orientację - ze względów czysto taktycznych - uznają za własną. Nie jest również zbyt jasne, jaki zasięg społeczny reprezentować będą ogniskujące się dziś wokół podziemnych tytułów prasowych quasipartie. Jedno jest natomiast więcej niż pewne. Wszyscy zainteresowani będą liczyć na młodzież, przy czym oczywiście wydaje się, iż partyjni dogmatycy i ugrupowania syndykalne mają w tej walce zdecydowanie większą, mimo iż takie sojusze będą dla młodego pokolenia kolejną, tym razem największą z dotychczasowych, katastrofą.

^{x/} Por. analizę przeprowadzoną przez Jerzego Surdykowskiego w broszurze pt. "Nie bez końca... Memoriał dla władz PRL", Wydawnictwo "Most", Warszawa 1987. /red./

Dla ilustracji tej tezy warto posłużyć się nawet pobieżną analizą ostatnich wyborów do rad narodowych i sejmu, prześledzić skład członkowski niezwiązków, by zorientować się, że w każdej z tych wielce żądnych imprez główną rolę odgrywają grupy społecznie upośledzone. Niejedna notka w pranie drugiego obiegu obwieszcza z niekłamana satysfakcją o procentowym udziale emerytów i rencistów w organizacjach Miódowicza. Również podczas niezależnej akcji, kontrolującej przebieg elekcji, obserwatorzy punktów wyborczych dostrzegli znaczną liczbę ludzi starych i inwalidów, podążających spełnić "obywatelski obowiązek".

Taka sytuacja wynika przede wszystkim ze strachu, który jednak przedstawia się diametralnie inaczej, niżli postrzega to większość opozycji. Jest to prosta kontynuacja niedowładu podziemnej "Solidarności", mającej w etykiecie pomoc społeczną, która nie stworzyła, bo zwyczajnie nie była w stanie, parasola ochronnego nad środowiskami wymagającymi socjalnego wsparcia. Wiadomo przecież, iż na wózek inwalidzki czeka się kilka lat, zaś zasiłki dla emerytów, rencistów i niepełnosprawnych równają się skromnej jałmużnie. Instynkt samozachowawczy grup upośledzonych podpowiada, iż lepiej być posłusznym władzy, która odpowiedzialna jest za tragiczną sytuację, lecz mimo wszystko pozwala przeżyć, niż wiązać się z opozycją o praktycznie zerowych możliwościach pomocy. Taki obraz nie jest deprecjacją niezależnej działalności związkowej, lecz przypomnieniem ogólnie znanego faktu, iż opiekę społeczną sprawują w Polsce komuniści, monopolistyczny dyspozytor dóbr, który zawsze może cofnąć łaskawy datek. Jeżeli - sądząc po wynikach wyborczych sondaży - znaczna część elektoratu, czyli właśnie "milczącej większości" uległa wojskanej przez mass media propagandzie strachu i poszła do urn, trudno dziwić się grupom wegetującym na granicy biologicznego minimum, dla której groźba sankcji za nieposłuszeństwo równa się groźbie pozbawienia prawa do życia.

Dzisiejsza sytuacja ludzi starych i chorych tylko pozornie nie ma żadnych związków z jutrzejszą sytuacją młodzieży. Pewne jest, iż każdy ze scenariuszy, tyjących przyszłej Polski, zakłada na czas bliżej nieokreślony dalszą obniżkę stopy życiowej. Wiadomo, że będzie gorzej, lecz jeżeli to "gorzej" dotyczy wszystkich, w imię populistycznie podjmowanego egalitaryzmu, jeżeli przed krachem nie ustrezą się wszystkie kategorie grupowe i społeczne, wówczas łatwiej taką sytuację przetrzymać, nawet zaakceptować. Liberalizacja gospodarki musi oznaczać dalsze ograniczenie konsumpcji i stanowcze wypieranie poza margines przywoitaj - w kategoriach "realnego socjalizmu", czyli faktycznie w okolicie minimum biologicznego - egzystencji grup upośledzonych, których skład socjalny będzie się stale poszerzał. A wówczas sytuacja młodzieży będzie więcej niż tragiczna.

Na całym świecie przeważającą liczbę bezrobotnych stanowią ludzie młodzi. Nie wykluczone, że Polskę może ogarnąć szal uzdrawiania gospodarki poprzez redukcję etatów, gdyż wyrzucanie na bruk jest najprostszym mechanizmem podnoszenia

rentowności produkcji. Co innego jednak, z czysto materialnego punktu widzenia, oznacza status bezrobotnego w państwach wysoko uprzemysłowionych, bogatych, o dobrze rozwiniętym systemie zasiłków, niż w Polsce, ekonomicznym bankrucie, europejskim nędzarzu.

Do istniejących dziś frustracji i poczucia bezsilności dojdą nowe, znacznie poważniejsze elementy. Ograniczony rynek pracy spowoduje, iż przeważająca część młodzieży będzie zmuszona jeszcze bardziej zweryfikować w dół swoje aspiracje życiowe. Zmniejszony wymiar konsumpcji, wynikający z postulatów i praktyki reformy gospodarczej oraz warunków stawianych przez zachodnie organizacje kredytowe, spowoduje dalsze zaciskanie pasa, w którym z czasem może zabraknąć miejsca na nowe dziurki. Niby to żadna różnica, że na samodzielne mieszkanie przyjdzie czekać miast trzydziestu pięćdziesiąt lat, bowiem i tak uzyska się je o wiele za późno. Jednak w warstwie emocjonalnej znaczy to bardzo dużo - przeto cała sytuacja sprzyjać będzie wyjątkowo perfidnej, demagogicznej, lecz socjotechnicznie prostej rozgrywce propagandowej, w której zwolennicy uzdrowienia gospodarki poprzez czasowe ograniczenie konsumpcji, nie znajdują wiarygodnych argumentów na swoją obronę. Wystarczy rzucić łatwe do spełnienia hasła, iż wszystkim należy się po równo, czyli tak samo nędznie i biednie, by przyciągnąć młodzież do skrajnie zachowawczego obozu. Nie zaąpią się na to z pewnością elitarne grupy młodego pokolenia, lecz liczne rzesze średniaków, de facto stanowiących o obliczu społeczeństwa. I nic nie szkodzi, iż taka argumentacja jawi się jako monstrualne oszustwo, bez poparcia w zdrowym rozsądku i pragmatycznej, acz rozłożonej na wiele lat, logice. Znacznie prościej jest wytłumaczyć, iż człowiek jest oszukiwany i poniżany, gdyż nie ma pracy i środków do normalnego życia /swoją drogą, dla osób o wysokim poziomie społecznej wrażliwości jest to dowód nie do obalenia/, niż przyczynić się do zdemaskowania prawdziwych intencji sił przeciwnych reformie. Nie na darmo hasła komunistyczne odznaczają się dużą nośnością, w zestawieniu z programami innych skrajnych ugrupowań, gdyż tylko one żerują na fałszywym przekonaniu, iż bogatsi muszą zawsze i wszędzie oszukiwać biedniejszych.

CO DALEJ - Jedyną receptą na zapewnienie zwycięstwa reformatorom w wyżej opisanej sytuacji jest swoisty protekcjonizm, stosowany wobec młodzieży. Nie chodzi tu wyłącznie o realizowanie materialnych żądań roszczeniowych, przede wszystkim dlatego, iż z próżnego w puste trudno cokolwiek przekładać. Wiadomo również, że ludzie obdarzeni przez naturę smykałką do robienia interesów, poradzą sobie sami, zmieszczą się w granicach kreślonych przez państwo-liberalną gospodarkę, choćby ich działania były w sposób oczywisty zgrane z systemem /obecna sytuacja prywatnej inicjatywy, która broni a nawet rozszerza swój stan posiadania dzięki łapówkom, korupcji, politycznej spolegliwości, a więc respektowaniu komunistycznych zasad gry/. Również dzisiejsi aktywiści młodzieżowych grup opozycyjnych oraz - w znacznej mierze - organizacje oficjalnych,

mogą znieść pogorszenie się warunków życia, gdyż zrekompen-
sują to sobie w pozamaterialny sposób, postawią na społeczną
aktywność lub dostępne im przywileje.

Główne rozdzanie idzie więc - jak zawsze - o młodzieżową
"milczącą większość", osoby dziś zdeorientowane i zagubio-
ne, a jutro ludzi omamionych złudną fatamorganą prymitywnego
egalitaryzmu. Bardzo konkretnych działań na rzecz młodzieży
nie zastąpią anarchizujące wpływy subkultur, oddziaływanie
grup politycznych i moralne wsparcie katolicyzmu. Młodemu
pokoleniu potrzebny jest finezyjny, niemniej skuteczny, pa-
rasol ochronny, którego zasięg winien wyznaczać tak sens
ewentualnych pomysłów na działanie, jak i swoista cezura
wieku i pozycji materialnej. Jest to tym bardziej istotne,
bowiem w niektórych środowiskach rysuje się pogląd, iż w Po-
lsce nie ma tak zwanego "problemu młodzieży", że ludzi - na-
wet w tej samej grupie wiekowej - należy dzielić według fi-
nansowego dorobku, który większość osiągnęła jeszcze w oza-
sach gierkowskich. Taka opinia bagatelizuje sprawę, nie do-
strzegając tych grup wiekowych, które przed społeczno-gospo-
darczym kryzysem lat osiemdziesiątych były po prostu dzieć-
mi, niemniej zawiera dużą dozę prawdy. Otóż wśród dzisiej-
szych trzydziestolatków znajduje się liczny krąg ludzi, któ-
rzy z niezawinionych przez siebie przyczyn są materialnie
niesamodzielnymi, co odczuwane jest jako bolesne upokorzenie,
a więc siłą rzeczy wesprą oni rewindykacyjne żądania roczni-
ków pogrudniowych. Są to przy tym ludzie czynnie uczestni-
czący w solidarnościowej odwilży, zatem także od nich zale-
ży, jaki obraz mitu wolnych związków zawodowych zostanie za-
szczęplony w świadomości generacyjnych następców. W takim
wypadku może doznać niekorzystnego - z polskiego punktu wi-
dzenia - uszczerbku legenda "Solidarności", dostrzegana je-
dyndnie w wymiarze rewindykacyjnym, bez odwoływania się do
społecznie szerszych aspektów.

Jaki zatem kształt winien przybrać ów protekcjonizm, by w
przyszłym, raczej nieuchronnym konflikcie młodzież opowie-
działa się w stronę przemian, czyli odpowiedzialnie włą-
czyła się w nurt walki o swoje obiektywne interesy? Pierwszą
rzeczą jest przełamanie skostniałych schematów obyczajowych,
których bezpośrednim skutkiem jest brak tolerancji w stosun-
ku do inności, alternatywy, awangardy, co nie oznacza bynaj-
mniej biernej akceptacji wszystkich przejawów kulturowych
zachowań młodzieży. Jest to kwestia szalenie delikatnej na-
tury - można przedobrzyć w każdą stronę - wymagająca rewizji
obowiązującego modelu wychowania i edukacji. Wychowywanie
według schematu: Bóg, Honor, Ojczyzna, mimo niewątpliwiej
szlachetności zamiarów, w modelowym rozwiązaniu niepokojąco
przypomina komunistyczny wzorzec społecznej edukacji i
kształtowania postaw, wynoszący na piedestał doskonałości
uzurpacyjnie kierowniczą rolę partii i wszystkie następstwa
związane z taką percepcją rzeczywistości. Jeżeli więc nie-
konwencjonalne zachowania nie narażają na konkretne ubytki
pozycji starszych i kulturowego dorobku poprzednich pokoleń,
w czym mieści się tu i pogrudniowa formuła opozycji, zach-

chowania takie powinny być akceptowane w wielości postaw społecznych.

Analogiczne problemy występują w przypadku krytykowania przez młodzież systemu oświatowego, który - prócz narzucanych odgórnie programów i dyrektyw ministerialnych - opiera się w znacznej części na osobowości nauczyciela. Być może, że wszystkie zarzuty kierowane pod adresem szkoły nie są zasadne i w pełni udokumentowane, jednak ich gruntowna analiza, także na forum publicznym z czynnym udziałem młodzieży, sprzyja "zawieszeniu broni", wzajemnemu zaufaniu, rozszerzeniu sfery tolerancji. Do skostniałego układu dołącza autentyczne partnerstwo i możliwość współdecydowania - nieodłączne atrybuty dojrzałych, społecznie zaangażowanych postaw. Jak bowiem można wymagać od młodzieży większej aktywności, jeżeli na tak ograniczonym poletku, jakim jawi się szkoła, odmawia się im prawa do samostanowienia, samorządności, wolności wyboru.

Po wtóre, należy wspierać, lecz bez moralizatorsko-dydaktycznych zapędów, rodzące się spontanicznie społeczne inicjatywy młodego pokolenia. Nie jest tutaj ważne, czy sprawa dotyczy zorganizowania nowego przeglądu muzyki alternatywnej, odmowy służby wojskowej, działalności na rzecz ochrony środowiska naturalnego, niekonwencjonalnych form życia zbiorowego lub wspierania bytowych postulatów więźniów kryminalnych. Każda tego typu aktywność nie służy umacnianiu struktur "realnego socjalizmu", unifikacji kulturowej wokół komunistycznych wzorów i mimo że w intencjach czy deklaracjach animatorów daleko odbiega od polityki, stanowi immanentną część działań na rzecz upodmiotowienia społeczeństwa. Dokładnie w ten sam sposób wymienione zakresy młodzieżowej aktywności postrzega władza - podobne szykany spotykają zarówno członków Ruchu "Wolność i Pokój", jak i anonimowych reprezentantów alternatywnych działań kulturowych, a różni je tylko skala i brutalność represji.

Kłopot w tym, że młodzieżowe pomysły na aktywność, są rozproszone - ich twórcy niewiele wiedzą o ruchach podobnego profilu, które dzieją się nawet w bliskim sąsiedztwie. Efektywna wymiana informacji jest tutaj oczywiście zadaniem samej młodzieży - "wspierać" nie oznacza tego samego, co "wyręczać".

Tym niemniej ważne jest, by do każdej inicjatywy podchodzić z należytą powagą. Wiele z nich z całą pewnością umrze w zardku, lecz inne mogą rozwinąć się, zyskać zwolenników. Wspieranie takich działań, czy przez fachową, acz przede wszystkim pożądaną pomoc, czy przez życzliwą neutralność, praktycznie nic nie kosztuje, a już na pewno nie wymaga wyrzeczenia się własnych, kształtowanych przez lata, w innych warunkach, ideałów. Pozwala jednak na poznanie przez młodzież smaku aktywności, szanowanej ze względu na kulturową i społeczną przydatność oraz autentyczność, umożliwia szerokie odkrywanie tych obszarów, które dziś pozostają nietknięte, lecz są atrakcyjne ze względu na kierunek zainteresowań i życiowych preferencji.

Niestety, znaczna część takich inicjatyw mieści się w granicach w pewien sposób administrowanych przez władzę. Raz je- szcze komuniści wygrali przetarg o prawo pierwokupu, angażując

ku temu minimalne środki i energię. Festiwal rockowy w Jarocinie odbywa się pod egidą miejscowego ZSMP. Że z całej sprawy niewiele wynika, gdyż kontestujące zespoły wypiewają ze sceny piosenki drażniące ucho nawet najbardziej liberalnego cenzora? W tym wypadku zawłaszczenie jest równie bezprawne, jak - przyjmując wyrównawczy przelicznik - uzurpacja praw do święta 1 maja. Podobnie przegrany przez opozycję jest MONAR, pozornie określony wobec społeczeństwa poprzez wodzowskie zachowanie i koneksje w aparacie władzy Marka Kortańskiego, przy jednoczesnym zapominaniu o szeregowych członkach, znajdujących się prawdopodobnie pod urokiem swojego guru, a mimo to mieszczących się w profilu postaw antytotalitytarnych. Po cóż więc w przyszłości odbijać z rąk władzy podobne inicjatywy, skoro wówczas mogą to być działania spóźnione, chybione, narażone na fiasko.

Taki wymiar protekcjonizmu może być realizowany choćby od zaraz, bez narażania się na ryzyko. Wymaga bowiem jedynie przewartościowania uznawanych dziś postaw, zaś przeciw czynnikom oficjalnych ograniczy się zapewne do prawie niedostrzegalnych kontrposunięć. Przykładowo, wiele postulatów wrocławskiego Międzyszkolnego Komitetu Oporu, opublikowanych w "Tygodniku Mazowsze", można zrealizować przy dobrej woli nauczycieli, rady pedagogicznej, wsparciu rodziców.

Znacznie trudniejsza wydaje się natomiast ochrona materialnej pozycji młodzieży. Jednak działania na polu wspierania inicjatyw gospodarczych również nie są utopijne i pozbawione praktycznego sensu. Sprawa zasadza się przede wszystkim na społecznej nośności pomysłów, przy zapewnieniu udziału w przedsięwzięciach gospodarczych ludzi przeciętnych, a więc podstawowego trzemu "milczącej większości" oraz skutecznej reklamie podejmowanych działań. Służyć temu mogą publikacje w pierwszym i drugim obiegu informacji, dotyczące indywidualnych i zbiorowych inicjatyw ekonomicznych. Istnieje duża szansa, iż przy odpowiednio zorganizowanej kampanii propagandowej uda się upowszechnić ciekawsze i możliwe do realizacji pomysły, zainteresować nimi masowego odbiorcę. Jest to aktywność stawiająca na samodzielność młodzieży, jej zdolność do samoobrony przed perspektywą dalszej pauperyzacji. Szczególnie ważne wydaje się popularyzowanie inicjatyw zbiorowych, które z definicji muszą być skierowane również do średniaków.

Pojedynek o młodzież już się rozpoczął. Władza dysponuje w nim silnymi atutami, choćby w sferze nadawania przywilejów i promocji pokornych. Druga strona posiada wielki kapitał w postaci zaufania społecznego, wiarygodności liderów i powszechnej niechęci do "realnego socjalizmu". Dlatego też wynik tego pojedynku jest ciągle jeszcze wielką niewiadomą. Można go wygrać, ale można też przegrać. Najpierw jednak trzeba tę walkę podjąć, bowiem rzeczą mało rozsądną jest od dawanie wyniku rozgrywki walkowerem.

Z zaciśniętą obręczą

Rozmowa z Gabrielem Janowskim
wiceprzewodniczącym "Solidarności" RI

MOST: - Przyzna Pan, że w "miejskich" oczach wieś rysuje się jako niena i gorsze miejsce do życia? Mimo pewnych niedostatków, powietrze czyste, dobra stoła w zasięgu ręki i nieregulamentowane, ceny skupu korzystnie rosną...

Gabriel Janowski: ...a z telewizyjnych reklam można wynieść, całkiem błędne, mniemanie o możliwościach banku spółdzielczego, udzielającego wszechstronnej pomocy kredytowej na zakup ziemi, maszyn, samochodów itp. Stąd rodzi się opinia, że rolnik idzie do banku, pełnymi garściami bierze kredyty, potem kupuje ciągnik i jeździ sobie. A to nieprawda. Jest fundusz reklamowy, więc reklamuje się banki, natomiast w bankach nie ma pieniędzy, więc z uzyskaniem kredytów są ogromne kłopoty, nawet w przypadku takich inwestycji jak zabudowania gospodarcze, na przykład obory /choć ciągle są niedostatki mięsa/. I zapewniam panią, że wbrew pozorom w dalszym ciągu rolnictwo indywidualne nie ma deklarowanych swobód ani pomocy, natomiast jest ciągle trzymane za gardło, żeby się rolnik przypadkiem nie wzbogacił, żeby nadmiernie nie inwestował i nie rozwijał gospodarstwa.

M.: A co z cenami skupu, podwyższonymi w lipcu?

G.J.: - Podwyżka cen skupu produktów rolnych - jak to już nieraz bywało w przeszłości - nie pokrywa podwyżki cen s r o d k ó w do produkcji, co łatwo obliczyć. Otóż ceny skupu wzrosły o 20 procent, natomiast: ceny pasz przemysłowych, podstawowych w hodowli pogłównia, wzrosły o 38 procent, nawozów mineralnych o 50 procent, środków ochrony roślin o 40 procent, a ciągników o 25 procent. Ma więc pani skalę regulacji cenowej, którą w oficjalnej propagandzie przedstawia się jako korzystną dla rolnictwa, gdyż mówi się tylko o podwyżce cen skupu. Tymczasem w odczuciu wsi jest to drenaż tego ostatniego, w miarę wydajnego organizmu, jakim jest rolnictwo. Wiadomo, że już niczego nie wyciągnie się z emerytów, urzędników, istnieje pewna obawa przed nadmiernym wykorzystywaniem robotników, natomiast utarło się przekonanie, że bezkarnie można uderzać w wieś, która nie odpowie strażkiem i nie zmusi dyrekcji do podwyżek płac. Tyle, że jest to polityka krótkowzroczna, nie tyl-

ko w sferze ekonomii, ale i psychologii. Rolnik czuje się oszukany i okradziony, nie ma poczucia bezpieczeństwa, zatem wstrzymuje się z inwestowaniem i planowaniem produkcji z myślą o jej rozwoju - proszę bowiem pamiętać, że nie jest to produkcja jednosezonowa. Zresztą ciężko jest inwestować przy niskich zyskach. I w tym miejscu znów powróciłbym do optyki "miejskiej". Otóż utarło się przekonanie, że zysk służy hulankom przedsiębiorcy, a prawda jest taka, że hula utracjusz, a nie gospodarz, który znaczną część zysku lokuje w kolejnych inwestycjach. Rzecz w tym, że na te inwestycje ma coraz mniej. I podobnie jak następuje dekapitalizacja przemysłu, zjawisko to występuje na wsi. O ile jednak wielka awaria w stolicy czy ruina fabryki jest zjawiskiem spektakularnym, o tyle dekapitalizacja majątku na wsi jest mniej widoczna, a że jest to suma przypadków indywidualnych, mało kogo obchodzi.

M.: - Póki jest co jeść... Ale z mięsem jest gorzej, co widać w sklepach.

G.J.: - A właśnie. Zaczęliśmy rozmowę od kwestii skupu, czyli w gruncie rzeczy od poziomu produkcji. Jest gorzej niż było. Poglówie bydła i trzody zmniejszyło się przeciętnie o 5 procent, a w niektórych rejonach, głównie tam, gdzie są skomascowane PGR-y, do 10 procent /w szczecińskich PGR-ach notuje się na przykład 8-procentowy spadek/. To jest dowód, że produkcja zwierzęca jest mało opłacalna, z tym, że szybciej odchodzą od niej duże przedsiębiorstwa, niż tradycyjne gospodarstwa wiejskie, które prowadząc wielokierunkową produkcję, zmnisjszają hodowlę, nie pozrywając się jej całkowicie. Więc t r o c h ę mięsa jest... Mało to jednak pocieszające, że nie ma silnych stymulatorów produkcji najbardziej oczekiwanej i społecznie niezbędnej.

M.: - Słowem, na mięso nie liczymy. A na co możemy liczyć?

G.J.: - W dalszym ciągu na zielony, warzywno-owocowy rynek, bardzo dobrze zapatrzony, zbliżony do wolnego rynku i rozwijający się w miarę prawidłowo.

M.: - Co to znaczy w miarę prawidłowo i skąd to odstępstwo od zasady?

G.J.: - Po prostu przez 40 lat rynek ten nie był poddany nadmiernym restrykcjom dotyczącym ustalania cen, obrotów, zrzeszania się itp. Rolnicy mogli działać wedle własnego zamysłu i potrzeb rynkowych, a ceny kształtowały się w sposób naturalny, w pewnych okresach bardzo wysoko, a teraz jako ceny opłacalne, nie różniąc się drastycznie od cen innych towarów ustalanych przez państwo. W tym sensie rynek ogrodniczy jest przykładem wolnego rynku i kształtuje go relacja podaży i popytu, a także sezonowego urodzaju.

M.: - Ale ten obszar produkcji podlega tym samym ograniczeniom, co inne, na przykład niedostatkom węgla czy energii.

G.J.: - To prawda, w tym sensie ta produkcja nie jest kawtniejsza, natomiast tym lepiej widać, co się dzieje, gdy

produkcja mimo wszelkich trudności nie jest sterowana przez państwo. Na podaż większości produktów rolnych, poczynając od mleka a kończąc na mięsie i zbożu, państwo wpływa poprzez własną politykę cenową, a ceny ustalane są na granicy opłacalności lub poniżej, więc siłą rzeczy rolnicy odchodzą od tych dziedzin do bardziej opłacalnych, jak np. produkcja roślinna czy nazienna. Gdy sytuacja pogarsza się w sposób widoczny, państwo dokonuje podwyżek cen, ale zawsze jest to działalność spóźniona i stąd ciągły brak mięsa, mleka czy zboża.

M.: - Słowem, istnieje silna korelacja między ingerencją państwa a spadkiem produkcji?

G.J.: - Tak. I to dotyczy również dystrybucji produktów, ich przechowywania czy przetwarzania. Ponieważ państwo uparło się, że w tzw. kluczowych obszarach produkcji rolnej weźmie ciężar przejścia produktów na siebie, brakuje wszystkiego, gdyż zawsze znajdują się ważniejsze inwestycje i wydatki niż młyny czy silosy do przechowywania zboża. I generalnie ocenia się, że wskutek złego przechowywania marnuje się około 30 procent produkcji rolnej... I a propos marnotrawstwa. Niedawno na spotkaniu z ZMW pan sekretarz Michałek pytany, dlaczego jest tak źle z zaopatrzeniem w środki produkcji dla rolnictwa, odpowiedział, że zwiększenie środków zwiększyłyby produkcję rolną, której nie sposób zagospodarować!

M.: Zapewne był to dowcip.

G.J.: - Trafiający w sedno. Gorzej, że państwo nie chce się pozbyć tego balastu, mając dobre przykłady w dziedzinach, z których zarządzania częściowo zrezygnowało. Myślę znów o ogrodnictwie, w którym spółdzielczość ogrodnicza - jak na upaństwowioną samorządna, z tradycjami wywodzącymi się z międzywojnia - pełni rolę poważnego organizatora zaplecza produkcji. I ma przechwalnie-chłodnie czy magazyny, które funkcjonują w miarę dobrze.

M.: - A ogrodnicy i tak narzekają.

G.J.: - Bo na przykład brak przetwórci, bo nie ma nowoczesnych metod przechowywania produktów. To są różne sprawy - aspiracje, a porównanie możliwości zagospodarowania produktów w różnych sferach rolnictwa.

M.: - Wyrazem aspiracji jest ułeczką młodzieży, a szczególnie młodych kobiet ze wsi.

G.J.: - Bo współczesna wieś nie stwarza perspektyw i to w dwu kategoriach. Po pierwsze - aspiracji cywilizacyjnych, po wtóre - możliwości pracy.

Idąc tym tropem, wieś w stosunku do miasta przedstawia ogrom zaniedbań, sięgających XIX wieku. Weźmy kilka przykładów: wodociągi i zaopatrzenie domów w wodę - jesteśmy na szarym końcu w Europie. Tylko 20 proc. miejscowości wiejskich ma sieć wodociągową, a tylko 5 proc. kanalizację. Około 27 proc. gospodarstw rolniczych ma łazienkę, a 3,2 proc. miejscowości wiejskich ma gaz. Liczba samochodów, które na wsi trzeba trakto-

wać jako narzędzie pracy - niewielka. Telefony - 13,5 proc. na wsi, w tym rolnicy niecałe 3 proc. /!/. Sieć sklepów i poziom zaopatrzenia - haniebny. Służba zdrowia, służba w całej Polsce, na wsi jest w stanie opłakanym. Podobnie dzieje się w szkolnictwie, nie mówiąc o odległości dziecka do szkoły - na każdej drodze spotka pani wędrujące kilometrami dzieci. Posługują się haskami, gdyż każde z wymienionych hasań jest problemem na osobną rozmowę... A wspomniała pani na początku rozmowy o "zdrowej wsi". Stan zdrowia rolników jest bardzo zły, nie dlatego, że brakuje żywności, ale że jedzenie nie jest konieczną potrzebą, zaspakajną dorywczo, kiedy praca na to pozwala. A praca w prymitywnych warunkach wsi jest ciężka.

M.: - Co problem, to choroba... Ale przecież wieś się bogaci.

G.J.: - Głównie w opinii miasta, opinii urabianej przez propagandę, ale tyczącej niewielkiego obszaru Polski. Rzeczywiście, opinia o wsi zamożnej jest prawdziwa w stosunku do poznańskiego oraz podmiejskich regionów intensywnego ogrodnictwa, natomiast tragiczna jest sytuacja na ziemiach północnych, wschodnich i zachodnich. Ta tzw. "podkowa śmierci" powiększa się również i dlatego, że młodzież opuszcza wieś, a niebawem będzie to problem narodowy. Kto bowiem zagospodaruje opuszczone ziemie?

M.: W czasach "Solidarności" mówiło się o kolonizacji tych części Polski.

G.J.: - Planując moc kredytową i materiałową dla tych, którzy zdecydują się na powrót do wsi, lub zacząć na niej od nowa. Ale to przecież nie było wszystko. Zgłaszaliśmy wówczas konieczność odbudowania infrastruktury wsi, czyli rozwiązania drugiego bloku problemów, o którym wspomniałem, mianowicie stworzenia miejsc pracy. Trzeba bowiem założyć, że rolnik ma jednego "następcę" i w sytuacji, gdy wieś nie stwarza możliwości pracy, reszta dzieci odchodzi do miasta. Tymczasem istnieją dziesiątki możliwości pozostania w usługach, w przetwórstwie, w całej obsłudze wsi. Nie widzę na przykład przeszkód, aby na wsiach powstawały małe spółdzielnie wytwarzające sery albo małe zakłady produkujące narzędzia rolnicze, lub kilkosobowe przedsiębiorstwa komunikacyjne obsługujące niewielki region jednym autobusem czy kilkoma nyskami. A wiadomo, jak okropnie zła jest komunikacja na wsiach... Są miejscowości, w których autobus kursuje tylko 4 razy na dobę. Mówiąc o marnotrawstwie płodów rolnych, wspomniałem o brakach w infrastrukturze przemysłowej wsi. Zniszczono ją w latach czterdziestych, likwidując prywatne przedsiębiorstwa. Tak na przykład zniknęły młyny - dziś mieliśmy zboże w Czechosłowacji i ZSRR - a przy okazji zachwiano stosunki wodne, zniszczono małą retencję i dziś mamy wielkie kłopoty z wodą. Brak wody odnotowuje się w 25 proc. miejscowości wiejskich. Głównie tam, gdzie rozwinął się przemysł, ale nie tylko.

Zniszczono potencjał przetwórczy i dziś eksportujemy su-

rowce lub produkty przetworzone prymitywnie.

Zniszczono handel i dziś rolnik sam sprzedaje mięso.

M.: - I chwiała Bogu, że może sprzedawać. Bez handlu.

G.J.: - W pani myśleniu wyraża się takie straszne, socjalistyczne obciążenie, że handel musi oszukać.

M.: - Albo wyeksportować.

G.J.: - Ale bez handlu nie będzie normalnego rynku. I kto powiedział, że handel musi być państwowy? Na całym świecie handlowiec jest pośrednikiem między producentem i konsumentem i przynosi pożytek obu stronom. Dlaczego u nas ma być inaczej?

M.: - Na razie tak się składa.

G.J.: - A rolnik, zamiast siedzieć w gospodarstwie i zajmować się produkcją, dzieli mięso na targu. Zresztą bardzo nieporadnie. A tuż po wojnie, kiedy nie było problemów z mięsem, Warszawa zaopatrywana była w wyroby masarskie z Karczewa, który w trzy lata, do 1948 roku, z zaniedbanego, zaccfanego miasteczka, przeobraził się w kwitnącą, zamożną miejscowość podwarszawską. Czy sądzi pani, że dziś nie byłoby to możliwe, gdyby zorganizować miejscowe przetwórstwo, operatywny handel? Zapewniam, że stać byłoby na to wiele wsi.

M.: - A kto chodziłby do państwowego skupu?

G.J.: - A po co? Jestem zdania, że państwo nie powinno zajmować się obrotem zbożem i mięsem. Jeśli to się zostawi chłopom i przedsiębiorcom, będzie lepiej i dostatniej.

M.: - Póki co, choćby ograniczenia formalno-prawne nie pozwalają na taki rozwój wsi, o jakim Pan mówi. Ale nie jest to jedyna przeszkoda, co bowiem można zbudować przy takich niedostatkach węgla i energii, jakie obserwujemy? Która z małych mleczarni czy przetwórni przeżyje stałe włączania prądu? A węgiel? Wielodobowe kolejki po odbiór przydziałów? Jak tu myśleć o nowoczesności?

G.J.: - Co się tyczy węgla, to tylko w 1982 roku, gdy nie eksportowano go na Zachód, był do kupienia bez problemów. To był jeden jedyny rok w całym czterdziestoleciu. Co do energii - elektryfikację uważano, wedle tezy leninowskiej, za postępowy rewolucyjny. Jednak w perspektywie kolektywizacji, a pewnie nie przewidując tak szybkiego cywilizacyjnego rozwoju, wykonano ją skromnie, na miarę kilku żarówek w gospodarstwie.

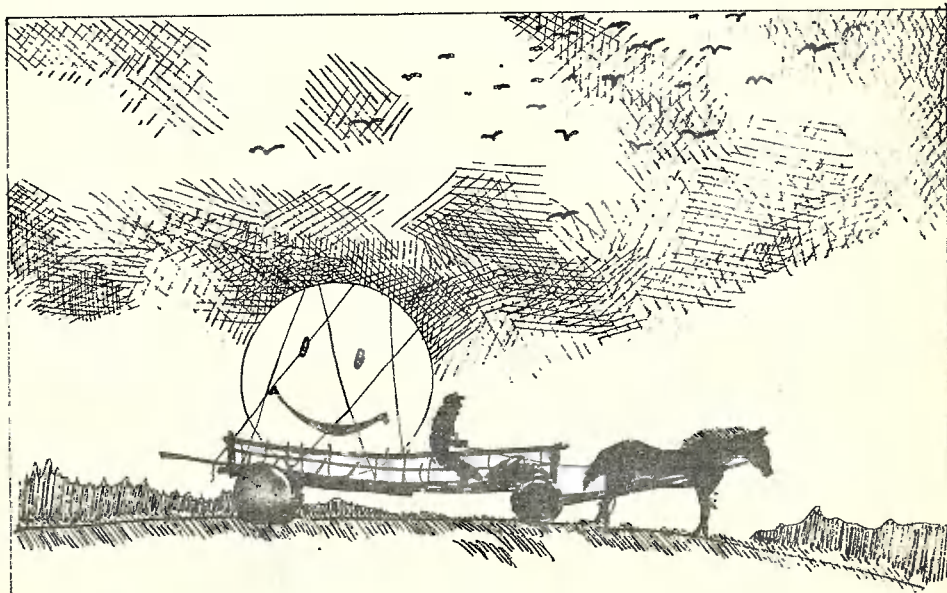
M.: - Ale historia potoczyła się inaczej. Gospodarka wiejska potrzebuje energii o dużej mocy i niezawodnie dostarczonej. I o to pytam, co bowiem można zbudować bez energii i węgla?

G.J.: - To właśnie wydaje mi się problemem, który powinno rozwiązać państwo, odciążone od zajmowania się takimi sprawami, jak kierowanie zbiorem zboża i zakupem mięsa. W tym przypadku konieczna jest zmiana polityki tak wobec wsi, jak i wobec gospodarki surowcami. A idąc dalej, nacisk całego społeczeństwa - nie tylko rolników - aby ta zmiana dokonała się jak najszybciej. Mówię o całym społeczeństwie, bo miasta jako wielkie

organizmy, w których dodatkowo mieszkają ministrowie, nie doznają takich ograniczeń jak wieś, a ich mieszkańcy nie zdają sobie sprawy z zależności między dostawami energii, a produkcją żywności. Tymczasem z energią elektryczną jest źle, a z węglem jeszcze gorzej. Na cele domowe rolnik może wykupić - jeśli się doczeka - 1300 kg węgla na rok, na sztukę pogłowa do tej pory przydział wynosił 350 kg, a obecnie 300 kg. Nie mówimy tu o utrudzeniu ludzi czekających na dowóz węgla, utrudzeniu, połączonym ze stratą czasu, z własnymi kosztami, których nikt nie rekompensuje. I powstaje pytanie, skąd biorą się kłopoty z węglem? Moim zdaniem jest to jeden z elementów utrzymywania wsi "w ryzach" i niepewności. Inną zaś kwestią jest eksploatorska gospodarka surowcowa, w myśl której sprzedaje się za granicę węgiel zamiast jego udziału w przetworach rolnych. W latach sześćdziesiątych tylko eksport cebuli na Zachód dorównywał wartościowo eksportowi węgla. Niedawno dowiedziałem się, że za eksport goździka do ZSRR otrzymujemy równowartość kilograma mazutu. Nawet jeśli byłoby to pół kilograma, to wiadomo, że wpływ z tytułu eksportu produktów rolnych są nieporównanie wyższe, od wpływów z eksportu surowca, a wpływy z przetworów byłyby jeszcze większe. I zapewniam, że potencjał ludzki, potencjał pomysłowości i przedsiębiorczości na wsi jest wystarczający, aby w sprzyjających warunkach zarówno wzbogacić rynek wewnętrzny, jak i eksport. Ale z zaciśniętą obręczą nie da się tego zrobić.

M.: - Dziękujemy za rozmowę.

Rozmawiała: Es



Jerzy Narbutt

SÓL ZIEMI

Którzy, bezprawiu mówią NIE
to choćby nawet słabi byli
to choćby nie najmądrzej żyli
solą tej ziemi
są

tak Bóg
prosto po liniach pisze krzywych

KIMKOLWIEK JESTEŚ

Kimkolwiek jesteś - ty, który tu stoisz -
jakkolwiek życie układa się tobie,
pamiętaj: żyjesz póki się nie boisz,
a gdy się lękasz - to jakbyś był w grobie.

To, co chcesz zyskać, czego nie chcesz stracić
- wszystko, cokolwiek świat ci z czasem sprzeda -
ma swoją cenę i będziesz ją płacić,
lecz W O L N E J M Y Ś L I, to już za nic nie daj.

Karol Sękota

Między żywym Piotrowskim, a martwym Popiełuszką

Chcą dialogu i porozumienia. Chcą dyskusji światopoglądowych, gwarantując poszanowanie poglądów odmiennych od oficjalnej ideologii, byle tylko nie podważały "konstytucyjnego porządku". Twierdzą, że dyskutować można o wszystkim w sferze problematyki politycznej, społecznej, gospodarczej itd. Obiecują uważnie wsłuchiwać się w głosy społeczeństwa.

Zażółmy, że jest możliwe wypracowanie w owych sferach kompromisu, że gospodarka, stojąca na głowie, zostanie postawiona na nogach, że częściowo ustąpią z wszechobecnej nomenklatury, pozwalając społeczeństwu na jakąś formę podmiotowości, na możliwość współrządzenia. Zażółmy rozwiązania nieprawdopodobne, aby wskazać na jeden aspekt dialogu, który nigdy nie doprowadzi do kompromisu. Są to sprawy moralności. O zasadach etycznych się nie dyskutuje: można je respektować lub odrzucać. Tertium non datur.

Polska, dzięki swej tysiącletniej historii, przynależy do kultury śródziemnomorskiej, łacińskiej i judeochrześcijańskiej. Kultura owa wpoła w przeważającą część społeczeństwa polskiego zespół norm etycznych, obyczajowych, zachowań tradycyjnych, a nawet odruchów kierowanych podświadomością /np. zdjęcie nakrycia głowy przed kościołem, sztandarem, pogrzebem/, które można określić jako "polską normę". W Polsce jest nie do pomyślenia, aby syn, który zadenuncjował przed policją polityczną własnego ojca, doczekał się czegoś innego, jak jednoznacznego potępienia. W ZSRR Pawka Morozow za ten właśnie czyn został postawiony na wielu pomnikach i stał się wzorcem Komsomołu.

Zgoda, nie każdy Polak, nawet jeśli przynależy do Kościoła katolickiego, respektuje normy patriotyczne i postępuje wedle wskazań Ewangelii. Czterdzieści lat deprawacji nie pozostało bez skutków namacalnych. Ale czym innym jest łamanie norm etycznych, czym innym czyn kryminalny, a zupełnie czym innym - zakwestionowanie kanonu kulturowego i taka zmiana kodeksu etycznego, aby dotychczasowe przestępstwa stawały się

cnotę. Właśnie, czymś takim jest nowa moralność, nazywana wymiennie komunistyczną lub socjalistyczną.

Nieprawdą jest twierdzenie komunistów, że ich ideologia oparta jest na ateizmie. Ateizm to niewiara w Boga. Natomiast komunizm jest antyteizmem, jest walką z boskością, walką z każdą religią, walką z sacrum. Konsekwentny ateizm stawia Człowieka w centrum Wszechświata jako miarę Wszechrzeczy. Etyka ateistyczna może nawet nie różnić się w swych pryncypiach z nakazami etyki religijnej, z tą różnicą, że sędzią ludzkich czynów jest nie Bóg, lecz rozum. Z nakazu rozumu wywodzą ateści godność osoby ludzkiej. Oczywiście, ateści formatu Kotarbińskiego czy Camusa. Natomiast antyteizm w wydaniu komunistycznym, jaki znamy w teorii oraz praktyce, jest przekreśleniem totalnym każdej refleksji metafizycznej, wykraczającej ponad "racjonalnie pojmowane" potrzeby człowieka. I to nie człowieka, jako jednostki czy osoby. Człowiek dla filozofii komunistycznej jest jedynie częścią zbiorowości. Dobro człowieka jest zatem podporządkowane dobru zbiorowości, najpierw klasy, "podstawowej" kategorii społecznej.

Ateista doszukuje się w człowieku znamion boskości, twierdzi, że to nie człowiek powstał na obraz i podobieństwo Boga, lecz odwrotnie: Bóg miałby być personifikacją najszczytniejszych ludzkich ideałów. Komunista pluje na te ideały. Jego obowiązkiem jest czuć wobec Boga szczerą nienawiść. W jego słownictwie panuje jako wyjaśnienie każdej działalności człowieka - INTERES. Interes, czyli korzyść materialna. Wszystko, na co spojrzysz komunista, czy to będzie urząd społeczny, filozofia, religia, kultura, dzieło sztuki czy praca przy warsztacie, wszystko jest wykrumaczalne w kategorii interesu: klasowego, narodowego, wreszcie najmniej poważanego - osobistego. "Wielkie dzieło Marksa" jest niczym innym, jak apoteozą INTERESU. Marksizm to doszowana, totalna przyziemność. Rozwój ludzkości wynika zatem z walki sprzecznych interesów klasowych, a klasy określa stosunek własności do środków produkcji.

Moralność socjalistyczna? Proszę pokazać choćby jedno dzieło, w którym zebrano by i skodyfikowano zasady tej moralności? Jest to zadanie logicznie niemożliwe, skoro nie ma i być nie może żadnych norm uniwersalnych, ogólnoludzkich, ponadczasowych. Groszą przecież, iż etyka odzwierciedla aktualny interes klasy panującej! Najzupełniej serio wyklada się w komunistycznej szkółce, że przykazanie "nie kradnij" powstało w interesie własności prywatnej, że to "posiadacze" narzucili biedakom nakaz poszanowania czyjegós majątku.

Jedyną normą uznawaną przez komunistów jest norma skuteczności. Ponieważ celem finalnym komunizmu jest opanowanie całej kuli ziemskiej, wszystko, co realnie przybliży ten cel, jest "etyczne". Prawda i dobro stały się pojęciami instrumentalnymi, co wyraźnie wypowiedział Lenin. Dla komunistów będących przy władzy następuje wymiennosc pojęcia "dobra klasy robotniczej" z dobrem elity władzy, dlatego zgodnie z definicją lenińską - prawda i dobro są tym wszystkim, co służy umacnianiu elity władzy. Nie ma zatem żadnych "norm obiektywnych", "natu-

ralnych" czy "transcendentalnych". Mord polityczny, kradzież, fałszywe świadectwo, łamanie przysięgi, oszustwo, grabież, napaść, tortury, zbrodnia sądowa czy denuncjacja własnego rodzica - stają się czynami usprawiedliwionymi "wyższym dobrem komunizmu".

Drugą, prócz skuteczności, normą komunistów jest niejawność działania, utajnianie celów, czyli KŁAMSTWO. Uzasadnieniem wszechobecnego kłamstwa jest teza o "nierozumieniu przez człowieka jego obiektywnego dobra", czyli konieczność ustawicznej manipulacji jednostką metodami propagandy i socjotechniki "dla jej obiektywnego dobra".

To nie są pomówienia. To jest zawarte w doktrynie leninowskiej czarno na białym. Historia wewnętrzna ZSRR i jego dyplomacji na arenie międzynarodowej pokazuje dokładnie realizację tych założeń doktrynalnych. Wszystko, cokolwiek podlegało "władzy radzieckiej", było realizowane z myślą o rozszerzeniu obszaru władzy elity rządzącej. Żaden pakt ani traktat /z wyjątkiem paktu Mołotow-Ribbentrop, jako umowy równego z równym, dwóch bratnich totalitaryzmów/ nie został przez ZSRR dotrzymany.

W sumie, komunizm przy władzy jest tożsamy z amoralnym bezprawiem. Jest to naga siła fizyczna i kto silniejszy, ten dyktuje słabszym ich obowiązki służebne. I o czym tu dyskutować?!

Przecież, zgodnie ze swoją doktryną, komuniści traktują każdy kontakt z niekomunistą jako walkę, z zamiarem powalenia i zniszczenia przeciwnika! Przecież wszystkie piękne słówka, nawet te odkurzone, wydobyte z "przewyciężonego" skarbcza kultury ludzkiej przez komunistów, są jedynie dymną zasłoną, za którą kryje się INTERES. Przecież w miejsce nakazu miłości bliźniego - wstawili obowiązek nienawiści do wroga!

My mówimy: godność ludzka. Oni nie znają tego pojęcia, a jedynie "zajmowane stanowisko w hierarchii władzy". Kto stoi wysoko, ten godny, kto nisko, ten rab. Jak kto spadnie, to automatycznie staje się śmieciem, co widać na co dzień w ich własnych szeregach. Dziś marszał, głównodowodca, jutro - gnój, ścierwo, nic.

My mówimy: pluralizm. A oni wiedzą, że władzy nam się zachciewa! Poddany ma służyć pana, bo tylko pan ma prawo do poglądów.

I tak jest ze wszystkim. Antyteistyczny komunista nie jest w stanie zrozumieć potrzeb duchowych wyższego rządu, nie wierzy w możliwość jakiegokolwiek bezinteresownego działania w imię wyższych ideałów, a zwłaszcza w imię respektowania nakazów boskich, zawartych w religii, jakakolwiek by ona była. Każdy działa wedle własnego interesu, chyba że wariat, a z takim szkoda gadać. Każdy zaś interes sprzeczny z interesem klasy rządzącej jest oczywiście brudny, nikczemny, sprzedajny, niski i wredny.

Komunista nie może zrozumieć, że można kochać prawdę dla niej samej. Że można dążyć do dobra dla samego dążenia. Jeżeli rozumie - przestaje być komunistą. Tak to już jest, że chrześcijanin może stać się kotrem wbrew i na przekór zasadom chrześcijańskim, a komunista może stać się arcyprzyzwoitym człowiekiem tylko jeśli zdradzi komunizm. Świat wartości ludzkości, arcyłudzkiej, jest dla komunisty zamknięty. Pojęcie działania bezinteresownego jest dla komunisty sprzecznością logiczną, jest to po prostu bezruch w ruchu, czyli nonsens. I nie chodzi im w propozycji dialogu o wysłuchanie naszych racji, ale o pozbawienie nas tej nieznośnej, niezrozumiałej dla nich postawy etycznej, która każe nam żyć "wbrew obiektywnemu interesowi"! Przecież chcą nam dać stanowiska, pieniądze, talony, paszporty, przyjmą nas do wszelakich skorumpowanych związków i stowarzyszeń, które mają swobodny dostęp do dóbr doczesnych; w zamian za co? Za taki drobiazg, abysmy stali się jako oni: cyniczni karierowicze bez żadnych zasad moralnych, w pełni dyspozycyjni. Posłuszni. Byleby tylko nasze twarze stały się jako ich: zmięte maski skrywające pustkę. Przecież taką mamy sytuację geopolityczną, przecież takie są możliwości historyczne, przecież tylko służalczość daje nam gwarancję przetrwania u boku Wielkiego Socjalistycznego Imperatora! Na cóż się buntować, skoro nie ma żadnych szans? Czyż nie lepiej być żywym Piotrowskim, niż martwym Popiełuszką?

Proponują nam dialog, bo nie mogą nas wszystkich powystrełać. Chcą zatem przynajmniej rozstrzelać nas moralnie, pozbawić tego, co im zostało odebrane: radości istnienia w ładzie moralnym, gdzie prawo - prawo znaczy, a sprawiedliwość - sprawiedliwość...

Karol Sekota



Jerzy Surdykowski

... Wszystkie inne sprawy

W ubiegłym roku w numerze 39/40 niezależnego miesięcznika "Vacat" /tekst był również drukowany w paryskim "Kontakcie"/ opublikowałem artykuł "Lukacs, Kornai i wszystkie inne sprawy", poświęcony nie tyle twórczości znakomitych Węgrów, ile dylematom, wobec których stoi człowiek piszący i wyrażający poglądy w systemie komunistycznym. Rzeczone postacie służyły mi za egzemplifikację możliwych postaw i ich konsekwencji. Etatowy pogromca "sił antysocjalistycznych" w warszawskiej "Kulturze", Łukasz Budny, zauważył ów tekst i dość nawet rzetelnie zacytował istotny jego fragment /"Kultura" nr 3 z br., "Noty, notki"/. Odpowiedziałem listem, gdzie wyrażam nadzieję na nadejście czasów, w których publikowanie moich tekstów - takich jak choćby wspomniany wyżej - możliwe będzie w oficjalnie się ukazującej i każdemu dostępnej prasie. Łukasz Budny list zamieścił /"Kultura" nr 11/ opatrując go komentarzem, iż czasy takie już nadeszły i jego pismo gotowe jest do eporu.

Trzeba więc podjąć rzuconą rękawicę. Przyznam, że czynię to z pewną niechęcią tak do pisma w jego obecnej postaci, jak do publicystyki Łukasza Budnego. Ot, w tym samym 11 numerze, w trzecim już odcinku "Moja własna silva rerum", zaczepia on Jana Józefa Lipskiego i innego autora pozacenzuralnego obiegu, występującego jako "Leopolita", nie usiłując nawet podejmować merytorycznej polemiki z ich poglądami i twierdzeniami, lecz pogrążając swych przeciwników w mętym barszczu pomówień, personalnych aluzji i zupełnie nietrafnie dobranych historycznych analogii. Przykład to niestety typowy i dla pisma, i dla autora, a nie na tak przecież prowadzony i nie na takim poziomie publiczny spór wyrażałem w swym liście nadzieję. To, że sam zostałem potraktowany rzetelniej, nie łagodzi zasmucenia niezachęcającym kontekstem, który Pan właśnie na łamach "Kultury" tak uparcie tworzy, panie... przepraszam, Łukaszu Budny. Otóż właśnie... W tymże odcinku pańskiej "silva rerum" daje Pan do zrozumienia, iż wie, kim jest osoba, która występuje w pozacenzuralnym obiegu, "osłoniwszy Żysinę pseudonimem Leopolita"; przyjąwszy pańską koncepcję i ja mógłbym dać do zrozumienia, iż wiem, kto kryje się pod pseudonimem Łukasza Budnego. A może tak

byłoby lepiej? Może byłoby lepiej dla rzetelnej dyskusji o Polsce - o ile na się w ogóle rozpocząć - dla spotkania w tej dyskusji i w tym publicznym, otwartym sporze różnych "obiegów" i różnych sposobów myślenia, aby i Pan wystąpił z podniesioną przyłbicą, tak jak i ja już dawno pozbyłem się swego pseudonimu, pod którym początkowo występowałem w niecenzurowanym obiegu^{X/}. Czego się Pan obawia? Przecież to nie przeciwko Panu, lecz przeciwko takim jak ja, którzy nie mieszczą się w oczkach cenzuralnego sita, wymierzone jest prawo operujące sankcją do niedawna więzienia, a teraz już "tylko" kolegium. Pewnie wówczas - wobec przeciwników, których Pan dziś zwalcza - broniłyby Pana nie tylko dzisiejsze niezbyt mądre z nimi utarczki, ale może i ludzka pamięć, sięgająca przecież głębiej poza rok 1981. Ja na przykład powinienem był wówczas stwierdzić, że w tamtych czasach czegoś się od Pana nauczyłem i coś Panu zawdzięczam, panie... przepraszam, Łukaszu Budny. Do zdejmowania cudzych masek nie jestem upoważniony. Rękawicę trzeba podjąć na takim, na jakim została rzucona boisku. Polemistów nikt sobie nie wybiera. Tedy do rzeczy.

Domagam się tylko - skoro twierdzi Pan, że "czasy nadeszły" - by mój tekst był opublikowany w całości, zaś te fragmenty, które ewentualnie zakwestionuje cenzor, zaznaczone zgodnie z ustawą. Takie przynajmniej uprawnienia daje mi obowiązujący system prawny i zamierzam z nich korzystać. Polemika ze mną, jej forma i treść jest już pańską sprawą. Mam tylko nadzieję, że nie będzie to polemika tego typu, jaką prowadzą Wacław Mejsbaum i Aleksandra Żukrowska w wydanej niedawno książce "Literat cywilizowanego świata Leszek Kołakowski a kryzys myśli mieszczańskiej" /KlW, Warszawa 1985/, gdzie wprawdzie cytują /rzetelnie/ na str. 149 kilka istotnych zdań z "Głównych nurtów marksizmu" Kołakowskiego /Instytut Literacki, Paryż 1978/, a mianowicie:

"Wielu autorów piszących na te tematy /wśród nich piszący niniejsze/ jest zdania, że system sowiecki ukształtowany za rządów Stalina był kontynuacją leninizmu i że państwo, którego Lenin dał polityczne i ideowe podwaliny, nie mogło być utrzymane się inaczej aniżeli w stalinowskiej formie; nadto, że to, co się nazywa "stalinizmem" /w sensie wąskim, tj. systemem rządzenia do 1953 roku/ w żadnym istotnym punkcie nie zostało usunięte w rezultacie reform epoki postalinowskiej. Punkt pierwszy został w pewnym stopniu uzasadniony w rozdziałach poprzednich, wyjaśniających rolę Lenina jako twórcy doktryny totalitarnej oraz załączków państwa totalitarnego".

Zaraz jednak potem nierzetelnie odwracają się plecami od meritum zacytowanej wypowiedzi, imputując autorowi przeróżne - mniej lub bardziej uzasadnione - intencje i nie znajdziesz ani

^{X/} "Łukasz Budny" - to jeden z licznych pseudonimów prof. dr. Witolda Nawrockiego, którymi podpisuje on szczególnie "pryncypialne" teksty. Nawrocki w nieodległej przeszłości był kierownikiem Wydz. Kultury KC PZPR, gorliwie pacyfikującym po 13 grudnia niepokorne środowiska twórców. Obecnie zaś jest dyrektorem IBL i redaktorem naczelnym warszawskiej "Kultury" /red./

zdania ustosunkowującego się do owego meritum, które sprowadza się do prostego stwierdzenia, że dzisiejszy "realny socjalizm" jest "stalinizmem bez Stalina", ukształtowany bowiem został w okresie panowania "wielkiego językoznawcy", kiedy to okrzepły istniejące do dziś /choć pod nieco przemałowanymi szyldami/ jego struktury organizacyjne, uformowała się strzegąca tych struktur i swojej w nich pozycji "nowa klasa" partyjnych biurokratów, a demokratyczne swobody gwarantowane przez konstytucję i porozumienia międzynarodowe sprowadzone zostały do zakłamanej fasady urzędowo odklepywanych gestów, której jedynym filarem jest cenzura, a drugim służba bezpieczeństwa. Ideowych i politycznych podwalin dla tej organizacji państwa i dla tego sposobu rządzenia nie wymyślono w czasach "błądów i wypaczeń", nie wyskoczyły jak Minerwa z pomnikowej głowy Stalina, lecz łatwo można je znaleźć w pracach teoretycznych i w praktycznym działaniu politycznym Lenina, uważanego przecież za twórcę i obrońcę "socjalistycznej demokracji". Nie trzeba dodawać, że to wszystko skutecznie - jak dotąd - broniło się przed reformami i reformatorami, trwając na przekór ludzkim nadziejom i daremnie upływającym dziesięcioleciom.

I tak oto znaleźliśmy się wobec sedna naszego sporu.

Sedno to nazwałbym "dziedzictwem platońskim" komunizmu. Polega ono na przekonaniu, że istnieje w społeczeństwie wybrana grupa, warstwa lub klasa, która z racji swego pochodzenia, dziejowej misji lub szczególnej wiedzy, władna jest narzucać swą wolę innym. To Platon właśnie w swym "Państwie" - pewnie w najlepszej wierze - opisuje projekt takiego idealnego państwa-miasta, w którym ową wybraną grupą mają być filozofowie, z racji wiedzy lepiej i szlachetniej pojmujący, czego zwykłym obywatelem trzeba. Ta gnostyczna pokusa ciągnie się przez całe dzieje ludzkiej myśli i ludzkich poczynań politycznych: od teokracji, gdzie rządzić mieli kapłani takiej lub innej religii, kierując się nadprzyrodzonym objawieniem, przez systemy arystokratyczne, kastowe, aż do marksistowskie przekonania o szczególnej misji dziejowej proletariatu. Zawsze jednak, w każdym takim systemie, grupom społecznym nie będącym nosicielami tej wyjątkowej misji pozostawało tylko dobrowolne lub wymuszone podporządkowanie się "przodującej sile", obojętne, czy była to panująca rodzina, czy predystynowana do wyłącznego rządzenia partia. Nie neguję dobrej woli i szlachetnych nawet intencji tych /choć nie wszystkich!/ gnostyków różnej ideowej barwy, ale - niestety - społeczna materia, którą wedle swej "wyższej wiedzy" usiłują oni przykrawać, reaguje na ich uszcześliwiłskie poczyny paroksyzmem niszczących drgawek, a mocniej przydużona zastyga /na jakiś czas/ w martwocie narzuconego bezwładu; tak piękna utopia platońskiego państwa filozofów - skoro znajdzie się u władzy - okazuje się Świętą Inkwizycją albo Archipelagiem Gułag. O niczym innym nie mówi - choćby - przypomniana po latach, wiekopomna powieść Borysa Pasternaka "Doktor Żiwago".

Nie ma tu miejsca, by pastwić się nad niedostatkami Mark-

sa - którego zresztą uważam za wielkiego i przełomowego dla XIX wieku filozofa - nad dzisiejszym anachronizmem podziałów klasowych, które faktycznie istniały w połowie "stulecia pary", nad jego mieszczańskim /tak, tak.../ zapatrzeniem w krzepę proletariusa, który siłą swego rewolucyjnego zrywu i potęgą przebudzonego intelektu raz na zawsze unieważni antagonistyczne sprzeczności społeczeństwa przemysłowego, nad niedocenieniem /choć raczej: zlekceważeniem/ roli świadomości, nad podsztytą gnostycznym mesjanizmem utopią bezkonfliktowego ustroju, jaki miałyby nastąpić zaraz po dokonaniu rewolucyjnego "skoku z królestwa konieczności do królestwa wolności". Ale Lenin właśnie - zarówno jako teoretyk, jak i twórca oraz przywódca partii bolszewickiej - rozwinął i umocnił to właśnie, co u Marksa było tylko zapowiedzią przyszłych nieszczęść. Niechętnie się dziś wspomina, że państwo zarządzane przez wybieralne rady, zaproponowane przez Lenina w broszurze "Państwo i rewolucja" w 1917 roku, bardziej przypomina Samorządną Rzeczpospolitą z programu "Solidarności", niż "realny socjalizm" z jego leninowskim rodowodem. Rychło się jednak okazało, że w wybranych przez lud organach przedstawicielskich inna niż bolszewicka ukonstytuowała się większość; bawszględna wola utrzymania władzy kazała więc rozpędzić Konstytuante, a rady podporządkować prymatowi partii i terrorowi "czerezwyczałki". Nie zapominajmy też, że jednym z pierwszych postanowień leninowskiej władzy był dekret o cenzurze. To, co się działo dalej pod jego kierownictwem i za przyzwoleniem jego "ad hoc" konstruowanych teorii, było już tylko budowaniem fundamentów pod stalinizm, pod "centralizm biurokratyczny" nowego ustroju, aż do dziś gniotący nas wszystkich swym bezwładnym ciężarem.

Jedyna, zdyscyplinowana i dyspozycyjna partia, z coraz mocniej się rozrastającym aparatem zawodowym, gdzie dyskusje kończą się z chwilą podjęcia uchwały, która z samej swej istoty ma być emanacją dziejowej misji i rewolucyjnej świadomości proletariatu, traktująca inne organizacje nie jako reprezentacje odmiennych interesów, lecz jako swą transmisję do gorzej uświadomionych mas, musiała doprowadzić do tego, do czego doprowadziła i jedynie rzeczą przypadku było, czy na jej czele stał polityk elastyczny i przewidujący jak Lenin, który w ostatnich latach życia potrafił - przez okres NEP-u - cofnąć się choć trochę na tory zdrowego rozsądku, czy despotyczny autokrata Stalin, brnący konsekwentnie w absurd terroru, centralizacji, zaskorupienia. W takiej to tylko partii można było po leninowsku twierdzić, że jedynie splot teorii i rewolucyjnej praktyki daje patent na przejrzystość myśli i słuszność działań, wszystko inne potępiając jako "mieszczańskie". Tylko taka partia mogła samozwańczo uznać się za depozytariusza sensu dziejów, władnego oceniać nie tylko filozofię, historię i kulturę, ale stanowiąc o ludzkich losach. Taki przecież jest sens leninowskiej "partyjności", tak została rozpisana na szczegółowy plan polityczny jego niebezpieczna - powtórzona za Engelsem - teza, że proletariat sam z siebie nie jest w stanie osiągnąć właściwej świadomości, musi być ona doń wniesiona przez partyjną awangardę. A Lukacs - cóż - dał temu najpełniejsze i najdalej idące uzasadnienie, pisząc, iż nie jest mo-

żliwe rzeczywiste zrozumienie spuścizny teoretycznej Marksa bez praktycznego zaangażowania się w działalność partii komunistycznej, tworząc koncepcję "totalitét" - nadrzędnej całości doktrynalnej, z punktu widzenia której można dopiero prawidłowo oceniać jej fragmenty i okrucy bieżącego życia. Tak powstał spójny system, odporny na krytykę niezaangażowanych w rewolucyjny proces, nie oświeconych - niby mistycy swą iluminacją - wiarą w "totalitét", sankcjonującą zniewolenie większości przez mniejszość.

To właśnie dlatego socjaldemokrata Kautsky /niegdyś współpracownik Lenina/ mógł w 1919 roku tylko napisać smętnie: "bolszewizm w Rosji zwyciężył, ale socjalizm poniósł straszliwą klęskę". To ta właśnie wiara uskrzydlała w 1920 roku żołnierzy Tuchaczewskiego, rojących swój rewolucyjny sen o tym, jak przez podbitą Warszawę i Toruń połączą swój święty promień z tłącą się wciąż jeszcze rewolucją niemiecką. To w jej imię można było jednocześnie w głódzie i chłódzie wznosić "wielkie piece Magnitogorska" z wierzsa Broniewskiego i w tym samym czasie masakrować "gorzej myślących" niedowiarków. To ona właśnie, ta nadrzędna lukacsowska "totalitét" sankcjonowała radzieckie czołgi w Berlinie w 1953 roku, w Budapeszcie w 1956 /przed nimi właśnie Lukacs, jako minister kultury w rządzie Imre Nagya, musiał szukać azylu w ambasadzie jugosłowiańskiej/, w Pradze w 1968 roku. Kiedy bowiem sami robotnicy usiłowali przywołać do porządku partię mieniącą się ich własną, właśnie "totalitét" pozwalała za Heglem zawołać: "tym gorzej dla faktów", przejść do porządku nad nadziejami większości i zmieżdżyć - jak w Polsce 1981/1982 roku - najbardziej masowy ruch robotniczy w historii "realnego socjalizmu".

Dlatego właśnie nie jesteśmy już z Łukaszem Budnym w tej samej partii, bo przecież nic innego jak rzeczywistość zwerfikowała tę - pewnie i szlachetną - wiarę niegdysiejszych "ojców założycieli", a rewolucyjny szok wcale nie do "królestwa wolności", jak się okazało, prowadził. To przecież nikt inny jak Lenin napisał kiedyś - tyleż lekkomyślnie, co trafnie - że o wszystkim w ostatecznym rachunku zadecyduje praktyka.

No i zdecydowała.

Proszę przy tej okazji przypomnieć sobie, jak zastanawiająco zbieżne są hasła, pod którymi w XIX wieku - w czasach największej ekspansji i najlepszych nadziei ruchu robotniczego - prowadzili buntujące się masy ówczesni socjaliści, z hasłami rozbitej w mającą się za socjalistyczne państwo "Solidarności": wolne związki zawodowe, samorząd, wolność słowa i stowarzyszeń, podwyżka płac i skrócenie czasu pracy, precz z represjami dla "politycznych", no i wybory - choćby nawet nie całkiem wolne, ale przynajmniej bardziej sprawiedliwe! Proszę pomyśleć o ciągnięciu się przez całą nowożytną historię ludzkości procesie uzyskiwania podmiotowości przez zniewolone dotąd klasy czy grupy społeczne w mniej lub bardziej "platońskim" państwie: od monarchii absolutnej, poprzez systemy "oświecone" i konstytucyjne, poprzez republiki

początkowo jeszcze z różnego rodzaju barierami i cenzurami wy-
borczymi, aż po wolne wybory z prostą zasadą - "jeden głos,
jeden człowiek". Procesowi temu przynajmniej od połowy XIX po
pierwsze dekady XX wieku przewodzili socjaliści i faktycznie -
wypada powtórzyć za Katskym, że największą klęskę poniósł soc-
jalizm w Rosji 1917 roku. Proces poszerzania społecznej pod-
miotowości został - na niezliczonych połaciach Azji i środko-
wo-wschodniej Europy - cofnięty, a dla tych, którzy wciąż
upierali się przy "wstecznych" hasłach uruchomiono obozy pracy
i kolumny czołgów. Czy w świetle tego wszystkiego, po doświad-
czeniach tylu dziesięcioleci niepokojącej praktyki, da się
jeszcze obronić komunistyczna teza, że prawdziwa podmiotowość
jest do uzyskania po drugiej stronie owego rewolucyjnego sko-
ku, który wciąż trwa? Bo ja jestem za podmiotowością tu i teraz!

Dziś - po siedemdziesięciu latach doświadczeń komunizmu ra-
dzieckiego, a czterdziestu trzech polskiego - próżno szukać
gorącego oddechu tamtej wiary. Mówi się nie o ideologii, ale o
realiach. Ekipa Gorbaczowa - której poczynaniom przyglądam się
z rosnącą nadzieją, ale i z głębokim sceptycyzmem, wynikającym
z niepowodzeń wszystkich dotychczasowych usiłowań reformato-
rskich - zamierza znów przedstawić zwrotnicę na tor zdrowego roz-
sądku, jak Lenin w czasach NEP-u. Ale w o ileż gorszych czyni
to warunkach, nie porównując nawet dzisiejszej szansy z szansą
Lenina, ale choćby z szansą Chruszczowa z czasów zaprzepaszc-
zonej "odwilży" po XX zjeździe KPZR. Ideologia wypłowiła.
"Totalitát" się nie sprawdziła. A przede wszystkim gospodarka
- ta podstawa wszystkiego - grzęźnie w bezwładzie centralizmu,
nieefektywności i marnotrawstwa, okazując się kamiennie odpor-
na na wszelkie innowacje, co urasta do rozmiarów katastrofy
wobec wkraczających w kolejną rewolucję techniczną gospodarek
nawet już nie USA czy Japonii, ale - wstyd przyznać - Tajwanu
czy Korei Południowej. Jak ktoś kiedyś trafnie napisał: "epoka
stali i stalówek skończyła się ze śmiercią Stalina". Tymczasem
w 34 lata po śmierci "wielkiego językoznawcy" wciąż tkwimy w
skamielinach stalinowskich struktur. Jeśliby nawet przyjąć
marksowsko-leninowski paradygmat, który - jak inne paradygmaty
- daje się utwierdzić tylko aktem wiary, to praktyka okazała
się dla tej wiary i tego paradygmatu aż nadto bezlitosna.

Dlatego trzeba dziś mówić nie o ideologii, ale o realiach.

Polska w okresie I Rzeczypospolitej, a w każdym razie w
wiekach XV-XVII była - obok Anglii - jednym z dwu najbardziej
zaawansowanych eksperymentów demokratycznych na skalę wielkie-
go państwa, ówczesnego mocarstwa. Eksperyment angielski się
udał, proces reform nie został zatrzymany i ostatecznie wypełnił
szacowną monarchiczną fasadę najzupełniej republikańską i
demokratyczną treścią. W I Rzeczypospolitej - mimo iż pod pew-
nymi względami wyprzedzała ówczesną Anglię - proces ten roz-
chwiał się, ugrzązł w magnackim egoizmie, nie ostał się wobec
trudności zewnętrznych i wewnętrznych. Ale pozostała świadom-
ność, bo - cokolwiek by złego nie powiedzieć o szlachcie i kul-
turze szlacheckiej - wyjątkowo duża liczebność tej warstwy
sprawiła, że jej kultura stała się podstawą dzisiejszej kultury
ogólnonarodowej, mającej tradycje i standardy demokratyczne,

zapisane w samych swych podstawach. Jeszcze w pierwszej połowie XIX wieku procentowy udział w społeczeństwie pełnoprawnych obywateli brytyjskich, spełniających wymagania cenzusu wyborczego, był mniejszy niż udział "obywateli szlacheckich" w społeczeństwie I Rzeczypospolitej trzy wieki wcześniej! A ta świadomość - by nie wspomnieć jeszcze o tradycji chrześcijańskiej, niosącej ze sobą naukę o prawach osoby ludzkiej - to także realia. Pokazały to aż nadto dowodnie czasy "Solidarności". Tylko szalony krawiec będzie usiłował przykroić swego klienta do rozmiarów garnituru, nie zaś odwrotnie. Rządząca partia komunistyczna - za błogosławieństwem swej doktrynalnej "totalitāt" - aż nadto długo i z kiepskim skutkiem prowadziła politykę "szalonego krawca". Czas pogodzić się z realiami.

I tak właśnie wyobrażam sobie proces reform.

Jaka demokracja? "Made in USA", czy "socjalistyczna"? A jeśli tak, to na ile socjalistyczna? Nie mam recepty na demokrację. Spór, jaki dziś dzieli świat, nie jest bitwą pod Armagedon. Zachód ma aż nadto wiele własnych kłopotów i zagrożeń. Model liberalnego kapitalizmu jest dobrym i wciąż zdolnym do sprostania kolejnym wyzwaniom, rozwiązaniem dla USA, Anglii, czy innych podobną drogą podążających krajów, o podobnych tradycjach. Tyle o nim wiemy. Wszystko inne może być tylko hipotezą lub aktem wiary.

O szanującym realia i zdrowy rozsądek modelu polskim trzeba by było dopiero otworzyć nową dyskusję, bo ostatnia została dość nagle i jednoznacznie przerwana w dniu 13 grudnia 1981. Musi ona jednak ponad wszelką wątpliwość szanować faktyczny pluralizm tego społeczeństwa, który nie da się sprowadzić tylko do dozwolonego dziś na zasadzie /choć też nie do końca/ dualizmu katolicko-marksistowskiego; pomiędzy kolorem czarnym a czerwonym jest jeszcze wiele odcieni ideowych w Polsce, których reprezentanci też muszą mieć prawo do publicznego głosu i samoorganizacji. Musi też przyszły model polskiej demokracji uwzględnić pełną reprezentację faktycznie występujących w społeczeństwie interesów, w swej większości bynajmniej nie politycznych; musi zaistnieć miejsce, gdzie te interesy będą jawnie dyskutowane i uzgadniane przez wybieralnych /a nie mianowanych, jak na listach PRON-u/ reprezentantów. Musi jeszcze zaistnieć wiele rzeczy, powstać wiele nowych instytucji...

Od "dziedzictwa platońskiego" w jego najbardziej zaskorpiałym wydaniu, dzisiejsza Polska odeszła już pewien kawałek, trzeba sprawić, by ruch po tej drodze stał się nareszcie szybszy od biegu upływającego daremnie czasu, by przestał być tylko odgórną "liberalizacją", by stał się procesem reform, w którym ujawniają się i instytucjonalizują rzeczywiste siły społeczne, zainteresowane reformami i ich powodzeniem. Historia reform i reformatorstwa nie zna bowiem takiego przykładu, kiedy proces tego typu byłby skutecznie przeprowadzony przez grupę, której większość interesów związana jest ze starym porządkiem, a reformy przeciwko tym właśnie interesom są skierowane. Muszą się na tej drodze znaleźć

i gwarancje zachowania decydującego wpływu na władzę przez rządzącą dziś partię, ale też musi znaleźć się miejsce dla opozycji, dla konkurencji osób i programów.

Nade wszystko zaś - jako pierwszy i wciąż nie dokonany krok na tej drodze - trzeba /co można dokonać jednorazową decyzją władzy/ odblokować proces porozumiewania się i jawnej dyskusji. Celowo nie używam tego najmłodniejszego polskiego zaklęcia, jakim jest słowo "porozumienie". Aby dojść do porozumienia, trzeba najprzód zacząć się porozumiewać, kiedy zaś dopuszczony jest tylko jeden głos, bądź głosy niewiele odeń odbiegające - porozumienie myli się z podporządkowaniem. Przed siedmiu laty strajkujący robotnicy Gdańska żądanie wolności słowa umieścili na wyższej pozycji swej skynnej listy 21 postulatów, niż żądanie podwyżki płac. To jest także rzecz z zakresu realiów. Dla mnie zaś - jako dla pisarza - jest to zobowiązanie, któremu od tamtego czasu usiłuję dochować wierności.

Jestem socjalistą i cieszyłbym się, gdyby to wszystko okazało się nadal socjalizmem i dawało się w ten sposób nazwać, bez obawy kłamstwa, bez tego wyjątkowo niemoralnego przekonania, że nadajemy rzeczywistości fałszywe miano dla stumanienia "gorzej wiedzących", nie objętych "platońskim dziedzictwem" powołanej do rządzenia grupy. Ale "socjalizm" jest słowem jak mało które w PRL skompromitowanym i to także trzeba przyjąć jako składnik świadomościowych realiów. Jeśli ustrój socjalistyczny w tym kraju okaże się stabilny dzięki filarom innym niż siła cenzury, ZOMO-wskie pałki i represyjne prawodawstwo, to musi różnić się od tego "realnego" jak dzień, no - powiedzmy - niekoniernie od nocy, ale przynajmniej od późnego popołudnia.

Ten kraj i to społeczeństwo przeżyły już aż nadto wiele straconych szans, zaprzepaszczonej nadziei, zmarnowanych okazji. Władysław Gomułka wyniesiony został na najwyższy w państwie fotel nie tyle przez manipulacje na szczycie partii, ile siłą ogólnonarodowego zrywu: oto po raz pierwszy i ostatni polska ulica zaśpiewała "sto lat" przywódcy komunistycznej partii, a gdyby po Październiku zdecydowano się na wolne wybory, zapewne po raz jedyny i również bezpowrotnie ostatni, ta właśnie partia odniosłaby w nich zwycięstwo.

Gomułka odszedł w niesławie jako kat robotników Wybrzeża.

Przeszawne "Pomożemy!" w odpowiedzi na apel nowego I sekretarza padło już inaczej: z ociąganiem, nieskwapliwie. Ale przynajmniej ludzie mieli jeszcze uzasadnioną nadzieję na zdrowy rozsądek i poszanowanie podstawowych realiów.

Gierek odszedł w niesławie jako grabarz polskiej gospodarki.

Po raz ostatni polska ulica zaśpiewała spontanicznie "Międzynarodówkę" w 1976 roku i była to protestująca ulica radomska. Potem było już tylko "Boże coś Polskę...". Polski plebej uczy się powoli, ale nieodwołalnie. W 1981 roku na zjeździe "Solidarności" wygwizdane tych, którzy do jej ducha socjalistycznego programu usiłowali wprowadzić słowo "socjalizm".

Nas już nie stać na kolejny kryzys. W XIX wieku wyniszczał nas upływ krwi w kolejnych powstaniach, teraz chodzi o daremny

upływ poczucia sensu. To prawda, że za każdym razem oddalaliśmy się choć trochę od przeklętego "platońskiego dziedzictwa" w twardegożowym opakowaniu, ale za jaką cenę?

Zacznijmy nareszcie szanować realia, zwłaszcza dotyczy to władzy, tym bardziej, że to - wciąż uczące się na własnych nieszczęściach - społeczeństwo za każdym razem pokazywało, że jest dojrzałe i nie przekracza granic, których przekroczyć nie należy. Zacznijmy wreszcie szanować realia, chyba że godzimy się na wstrząs straszniejszy od wszystkich poprzednich, niszczący, do gruntu antykomunistyczny, idący z bebeczów, nie z rozumu.

Po tej nieszczęsnej sekwencji kryzysowej, znaczonej datami kolejnych "polskich miesięcy", wszystko już jest chyba jasne i nikt nie ma złudzeń. Jeśli powiedziałem tu, że czuję się socjalistą, to nie znaczy, że stoję tylko trochę na prawo od komunistów: dzieli mnie od nich ideowa przepaść nie do zasypania, o której tu była aż nadto dosadnie mowa. To, na czym możemy budować nasze ewentualne porozumienie, to szacunek dla realiów - wszystkich. Tylko na drodze realiów i zdrowego rozsądku, nie usiłując przekonać się nawzajem co do swych ideologicznych i moralnych zawierzeń, możemy otworzyć postulowaną tu drogę, zacząć budować polski model socjalizmu zreformowanego i otwartego. I im mniej będziemy nazywać go "socjalizmem", tym lepiej dla jego faktycznie socjalistycznych treści.

Powiedziałem swoje, teraz czekam - panie Łukaszu - na mający się rozpocząć merytoryczny spór.^{x/}

Jerzy Surdykowski

^{x/} Jak widać bezskutecznie. Publikowany przez nas tekst Jerzego Surdykowskiego nie doczekał się, rzecz jasna, druku na łamach "Kultury". /red./

Spadek

W nr. 5-6 "Most" opublikował poważnie zniekształcony przez złe, niechlujne tłumaczenie, tekst mego artykułu, pomieszczonego na łamach FAZ we wrześniu 1985. Skoro prasa drugiego obiegu chce publikować taki tekst, to są proste sposoby, by dysponować rzetelnym przekładem, jeśli w ogóle przekład jest konieczny, zważywszy, że oryginał jest przecież polski. Podczas lektury mego artykułu na łamach "Mostu" sam nie byłem w stanie pojąć, o co właściwie idzie. Moje opinie można uważać za niesłuszne, ale trudno mnie podejrzewać o rażąco niezręczną i nieochołą stylistykę.^{x/}

Andrzej Jerzewski /"Most" nr 9-10/ w pewnym sensie padł ofiarą tej przekładowej komedii omyłek. Gdyby uważnie przeczytał mój artykuł na łamach FAZ, zapewne zrozumiałby więcej z opinii i poglądów tam wyrażonych. Ale nie zamierzam w tej replice zażądać się fatalnym przekładem. Bo w istocie pewne myśli, które drażnią Jerzewskiego, są przecież moimi myślami. Otóż rzeczywiście stoję na stanowisku, że opozycji w takim rozumieniu, jakie obowiązuje w krajach demokratycznych /a artykuł był pisany dla czytelników w RFN/, w Polsce nie ma i chyba jeszcze długo nie będzie. W myśl powszechnie na świecie obowiązujących zasad słownictwa politycznego, opozycja jest to zorganizowana siła społeczna, która dąży do przejęcia władzy w państwie. Może się to odbywać na drodze parlamentarnej albo w wyniku gwałtownego przewrotu. Czy Jerzewski jest zdania, że mamy dziś w Polsce taką opozycję? Czy sądzi, że istnieją /nie w perspektywie historii, ale dziś, tu i teraz/ możliwości parlamentarnej walki o władzę albo szanse rewolucyjnego przewrotu?

Fakt istnienia konspiracyjnych partii politycznych, o czym Jerzewski wspomina, nie zmienia wcale sytuacji. Po pierwsze bowiem - partia, aby zdolna była przejąć władzę, bądź na drodze demokratycznej, bądź w wyniku społecznej rewolucji, musi stanowić określoną siłę polityczną. Musi istnieć w masowej świadomości, choćby - na początek - jako program, który dotarł do szerokich kręgów obywateli. Partia, która ma charakter gabinetowy, nawet jeśli posiada grupkę sympatyków, notabene bardziej potencjalnych niż rzeczywistych, nie stanowi żadnej re-

^{x/} Tekst zaczerpnięty został z wewnętrznych biuletynów KC PZPR, publikujących dla aktywu przedruki i tłumaczenia dotyczących Polski artykułów z prasy zachodniej. Przepraszamy Autora. /red./

alnej siły politycznej. Żeby nie było nieporozumień, podkreślam, iż szanuję takie inicjatywy i uważam je za pożyteczne, ponieważ bez nich naród byłby w przyszłości nieprzygotowany na różne historyczne opcje i ewentualności. Mądre społeczeństwo, nawet w najtrudniejszych czasach, nie rezygnuje z politycznego myślenia, z dyskusji o przyszłości. Ale to jeszcze nie jest polityczna opozycja, lecz wciąż tylko opozycja moralna i intelektualna, a zatem opozycja w sferze postaw i myśli, a nie na obszarze walki o władzę.

Bo polityka dotyczy wyłącznie problematyki władzy, są to metody walki o zdobycie władzy oraz o sposoby jej sprawowania, kiedy się już tę władzę posiada. Myślenie o przyszłych losach narodu oraz kształtowanie właściwych postaw wobec rzeczywistości, nie tworzy zatem opozycji politycznej, lecz stanowi ważną pracę intelektualną i wychowawczą. I to jest dzisiaj Polsce potrzebne! Tym właśnie zajmują się różne grupy nieformalne, z których jedne, jak słyszę, zwą się partiami politycznymi, inne zaś, może mniej ambitne, zadowolają się skromniejszym terminem - opinii obywatelskiej. Więc raz jeszcze powtarzam, że opozycji politycznej w rozumieniu, jakie się temu określeniu nadaje na świecie, w Polsce nie ma, bo jej być nie może, z uwagi na sytuację geopolityczną i etap historyczny. Bo nie ma możliwości parlamentarnej walki o władzę, a o starciu zbrojnym nawet myśleć nie wolno. To znaczy, dla jasności, myśleć oczywiście wolno, ale jest to myślenie szalone, sprzeczne z naszym interesem narodowym. Trzeba natomiast myśleć i działać dla przyszłości kraju. Jak? Na to recepty nie mam i nie chcę mieć. W jednolitości wietrzę totalitarny nawyk, który uważam za rzecz najbardziej szkodliwą dla Polski.

Jeszcze kilka słów o zarzutach Jerzewskiego. Otóż nie godzi się przypisywać oponentowi poglądów, których on nie głosi, a następnie z takimi poglądami twardo polemizować. Jest to bowiem styl bolszewicki, nieuczciwa metoda polemiczna. Jerzewski twierdzi, że ja uważam "porządek jałtański za niezmienny i obce namiestnictwo za swoją władzę". Takie sformułowanie to zwykłe nadużycie. Na łamach FAZ, a także w żywym przekładzie na łamach "Mostu", napisałem tylko tyle, że "Jałty moimi dziesięcioma palcami nie obalę". Otóż powtarzam raz jeszcze, że Jałty nie obalę, nawet jeśli mi będzie pomagał Jerzewski i te wszystkie partie polityczne, na które on się z namaszczeniem powołuje. Jak dotychczas, na straży Jałty stoją nie tylko radzieckie czołgi i rakiety, ale również "pershingy" i "cruzy", zainstalowane od Sycylii po Szkocję. Stwierdzenie tej oczywistości wcale nie oznacza, że porządek jałtański uważam za niezmienny i nienaruszalny. Mówię tylko, że koń jaki jeest, każdy widzi...

Co się zaś tyczy obcego namiestnictwa, które uważam za swoją władzę, to odpowiadam - znów zgodnie z rzeczywistością - że w Polsce, póki co, jest taki rząd jaki jest, i taki ustrój, jaki jest. Ten rząd jest uznawany przez cały współczesny świat, bo świat ma to do siebie, co powinien mieć do siebie także Jerzewski, że uznaje rzeczywistość. a

nie uznaje iluzji. Bądź co bądź Jan Paweł II też rządowi w Warszawie nie uważa za obce namiestnictwo, czemu dawał wyraz w sposób dobitny i nie budzący wątpliwości. Mnie się ten rząd wcale nie podoba, ale to jeszcze nie znaczy, że jeśli coś mi się nie podoba, to po prostu nie istnieje. Byłoby dobrze, gdyby Jerzewski zrozumiał, że myślenie polityczne i marzenia senne to co innego!

Kiedy byłem mały, wyobrażałem sobie, że jestem cesarzem Indii. Ale potem się okazało, że nim nie jestem. Po prostu stałem się dorosły. Jerzewski pisze, sądzę że z myślą o mnie: "Żywić jakiegokolwiek złudzenia co do możliwości zasadniczych zmian w sposobie sprawowania władzy przez komunistów, to znaczy być politycznym ślepcem". W artykule dla FAZ wcale o tej sprawie nie pisałem. To znów próbka polemiki z cieniem, zgodnie z totalitarnym stylem bycia. Aby jednak Jerzewski nie marnował po próżnicy argumentów, teraz powiem, że i owszem - skłonny jestem tak właśnie myśleć. Gdybym myślał inaczej, musiałbym się już dawno powiesić. Bądź co bądź przeżyłem w Polsce ludowej czterdzieści dwa lata i jeszcze, jeśli Bóg da, trochę pożyję. I pamiętam przeszłość. I wiem, że się te rządy komunistyczne zmieniały, właśnie pod naciskiem społeczeństwa, że się musiały adaptować do społecznych żądań, że musiały się przekształcać, bo naród przekształcenia wymuszał. Bywało tu niekiedy strasznie, bywało znośnie, nigdy nie bywało dobrze i nigdy tak, jakby tego pragnęła większość społeczeństwa. Ale kto twierdzi, że władza komunistyczna nie zmienia się, ten po prostu pogardza własnym narodem. Bo cóż innego naród czynił, jeśli nie ustawiczne wysiłki, by władzę okiełznać, uczynić bardziej znośną? Czy rzeczywiście Jerzewski jest zdania, że pokolenia polskie, od roku 1945 poczynając, składały się z samych oportunistów, sługusów, duchowych karłów, intelektualnych pętałów, którzy jedli z pańskiej ręki, merdali ogonami i wielbili knut?! Czy rzeczywiście sądzi, że robotnicy Poznania w 1956 niczego w Polsce nie zmienili? Czy uważa, że ci pisarze, uczeni, działacze - wielu wówczas z kręgów PZPR - nie wydarli władzy sporego sekwensu praw obywatelskich i ludzkich w Październiku 1956? Czy istotnie bez żadnego sensu różni ludzie szarpali się w walce w latach 1968, 1970, 1976, wreszcie zaś w 1980-1981, a także po stanie wojennym? Czy to były czcze ig-raszki, które niczego w Polsce nie zmieniły? Jeśli Jerzewski może publikować dziś na łamach "Mostu", powinien chyba zrozumieć, że to jest rezultat ciężkiej pracy, walki i ofiar minio-nego czterdziestolecia. Jerzewski pisze rozumnie, że "każdy ruch wyzwolenia musi mieć swój początek w niezgodzie na niewolę". Warto, by pamiętać, że nie on pierwszy tę niezgodę mani-festuje, że byli przed nim inni, których to niekiedy drożej kosztowało. Więc zalecam odrobinę umiaru i powściągliwości. Bo tu właśnie bije źródło mego najgłębszego niepokoju. Jerzewski mówi dużo rzeczy rozumnych i trafnych. Ale mówi też rzeczy bar-dzo niemądre, bo niedojrzałe. Jest mianowicie przekonany, że ma monopol na szlachność. O moich poglądach powiada - "to coś więcej niż błąd!".

Ileż razy ja to już słyszałem! I nie chcę podobnych opinii słuchać ze strony niezależnych publicystów. Nic gorszego nie

może się człowiekowi przytrafić jak ten brak tolerancji, ta zaciekłość w obronie własnych opinii, rzekomo jedynie słusznych i jedynie zbawiennych. Jerzewski nie ma słów potępienia dla sowietyzacji Polski, ale nie zauważa, że sam dał się po trosze zsovietyzować. Jużem się w jego oczach otarł o zdradę interesu narodowego, bo ośmielał się myśleć odrobinę inaczej.

Tak oto nauka nie poszła w las. Rośnie nam nowe pokolenie, zainfekowane bolszewickim stylem myślenia. Maluczko, a doczekamy paradoksalnego odwrócenia ról. W komunistach bez reszty wygasza żarliwość ideowa. Cierpią na typowy objaw politycznej zgrzybiałości - cynizm. Cyniczny stosunek do świata owocuje niekiedy wyrozumiałym lekceważeniem, bo przecież cynik już żadnych świętości nie broni. Może się więc zdarzyć - co nie daj Boże! - że komuniści okażą więcej tolerancji dla przeciwnych poglądów, niżeli młodzi i ogromnie żarliwi antykomuniści, wychowani w duchu nietolerancji i pychy. Będzie to wielkie bolszewików za grobem zwycięstwo. Ich samych zabraknie, ale pozostanie spadek sekciarskiego, totalitarnego myślenia. Okropna perspektywa! Żywię jednak nadzieję, że Jerzewski spadek ten odrzuci. Wtedy dogadamy się bez trudu...

Andrzej Szczypiorski

Spokojna wiosna w Europie Wschodniej

Mój drogi,

/.../ Posyłam ci artykuł, który wczoraj ukazał się w prasie, w "The New York Times" /z 26 IV 1987 r./, dotyczący Europy Wschodniej. Nie ma on charakteru napaści politycznej, przedstawia po prostu niezwykle poważne problemy, dotyczące gospodarczej przyszłości Europy Wschodniej. A te sprawy, jak mi się zdaje, powinny każdemu leżeć na sercu.

Jest to w istocie ten rodzaj artykułu, który w całości powinien być przedrukowany w "Trybunie Ludu" po to, by zarówno rząd, jak i społeczeństwo, zdały sobie wreszcie sprawę z powagi istniejącej sytuacji.

Nie jest jeszcze za późno, by podjąć w tym względzie jakieś zasadnicze środki zaradcze, natomiast jeśli się tego nie zrobi, to wkrótce Europa Wschodnia stanie się regionem zupełnie zacofanym gospodarczo, który zostanie daleko w tyle za innymi i w którym nie będzie już żadnego postępu technicznego.

/Fragment listu Zbigniewa
Brzezińskiego do jednego
z przyjaciół w Polsce/

Korzystając z oferty adresata, zamieszczamy poniżej pełen tekst przesłanego przez Zb. Brzezińskiego artykułu z "The New York Times". Tytuł oryginału brzmi: "Reflektory, które trzeba zapalać w samo południe. Spokojna wiosna w Europie Wschodniej." /red./

Według teorii marksistowskiej, w krajach socjalistycznych nie mogą pojawić się problemy ochrony środowiska, ponieważ człowiek i natura żyją tu we wzajemnej harmonii. Niestety jednak - drzewa, rzeki i powietrze w Europie Wschodniej zupełnie Marksa nie rozumieją.

We wszystkich bowiem krajach tego bloku skażenie atmosfery, ziemi i wód - na równi z powszechnym upadkiem gospodarczym tego obszaru - zbierają od lat osiemdziesiątych swe posępne żniwo. We Wschodnich Niemczech na przykład - zgodnie z wynikami badań przeprowadzonych przez grupę specjalistów z RFN, zajmujących się problemami ochrony środowiska - choruje, umiera lub jest po prostu martwych 90 proc. rosnących tu drzew. W Polsce, w Węgrzech, w ZSRR i w Bułgarii wzrosła też gwałtownie śmiertelność mieszkańców. We wszystkich też krajach bloku wschodniego szerzą się choroby takie jak rak, schrzienka skóry i serca, wywołane bezpośrednio skażeniem środowiska.

W Czechosłowacji zagrożenie zdrowia ludzi wywołane skażonym powietrzem stało się już tak alarmujące, iż na początku 1986 roku rząd /jak to wynika z partyjnych, nierozpowszechnianych dokumentów/ rozważał nawet możliwość masowej ewakuacji ludności z regionów o dużej koncentracji przemysłu.

W Polsce, jak przewidują eksperci, wszystkie drzewa na Plantach w Krakowie w 1990 roku będą już praktycznie martwe. Ponadto eksperci PAN oceniają, iż szkody wywołane skażeniem kosztują już Polskę kwotę stanowiącą 10 proc. dochodu narodowego brutto.

W Lipsku, niegdyś jednym z najładniejszych miast w Niemczech, który jest dziś ośrodkiem przemysłu chemicznego, pomniki i budynki usytuowane od strony wiejących, zatrutych wiatrami z fabryk wiatrów, wyglądają jak gdyby były spalone w ogniu - podczas gdy ich oszronione ściany są gładkie i jasne. W Molbis, gdzie wieją wiatry od strony Lipska, powietrze jest tak zanieczyszczone chemikaliami, że kierowcy samochodów muszą czasami zapalać reflektory w samo południe. Sąsiedzi nie widzą się nawzajem z domów, a turyści odwiedzający miasto, którzy spędzą w nim noc, mają rano silne torseje.

W Pradze radzi się matkom, by nie dawały swym dzieciom wody z kranu, nawet po przegotowaniu. W północnych Czechach, najbardziej uprzemysłowionym obszarze tego kraju, ludzie żyją o 10 lat krócej, niż w jego pozostałych częściach. Dwa-krotnie wyższy jest też tutaj procent zachorowań na raka żołądka i choroby psychiczne. Według dr. Zdenka Badury, eksperta od ochrony środowiska naturalnego w Czechosłowacji, pojawiają się też wciąż nowe, nieznanne choroby. Zwiększyły się również ogromnie aktywność wirusów, które wywołują nieznanne dotąd dolegliwości.

W niektórych regionach północnych Czech widoczność jest prawie zerowa. W górach Erzgebirge, położonych na granicy czesko-wschodniemieckiej, powstało już na skutek zatrucia powietrza /kwaśne deszcze/ prawdziwe cmentarzysko drzew. Im

zresztą idzie się wyżej w góry, tym las przybiera coraz bardziej czerwony kolor. Na szczytach niektórych gór nie przeżyło ani jedno drzewo - jest tam tylko pustkowia z kilkoma zaledwie pniakami.

W Krakowie, jak stwierdza raport Zrzeszenia Prawników Polskich, mieszkańcy tego miasta ośmiokrotnie częściej chorują na raka, na choroby wieńcowe i serca, niż w innych częściach kraju, zaś śmiertelność noworodków przekracza tu trzykrotnie poziom krajowy. W 1985 roku, w raporcie sporządzonym przez PAN, stwierdzono na Górnym Śląsku "katastrofalny wzrost liczby dzieci opóźnionych w rozwoju".

W Polsce występuje ponadto katastrofalny brak wody. Tylko bowiem woda z 1 proc. wszystkich tutejszych wód zdatna jest do picia, a prawis połowa rzek i jezior jest tak zatruta, że w ogóle do niczego się nie nadaje. Czasowy brak wody dotknął już około 120 miast i około 10 000 mniejszych miejscowości. PAN w swym raporcie ostrzega również, że jeśli sytuacja taka będzie trwała nadal, to "za 5 lat w ogóle nie będzie wody nadającej się do spożycia".

Dlaczego w Europie Wschodniej występuje tak niezwykle silne skażenie powietrza, wody i gruntów? Otóż, po pierwsze, dlatego że od 1980 roku, tj. od czasu gdy ZSRR raptownie ograniczył dostawy ropy naftowej, NRD, Polska i Czechosłowacja zwiększyły zużywanie węgla kamiennego. By jednak otrzymać energię z jednej tony takiego węgla, trzeba przeznaczyć na to i spalić 5 ton miękkiego węgla brunatnego, który bardzo silnie zanieczyszcza powietrze siarką. Poza tym fabryki w Europie Wschodniej pracują na przestarzałych maszynach, które w ogóle nie mają filtrów. Dlatego powietrze jest coraz bardziej zanieczyszczone, a niebo nad tymi krajami stale chmurne.

Problem jednak polega nie tylko na tym. Otóż rządy krajów Europy Wschodniej są zarazem tymi, które walczą z zanieczyszczeniem środowiska i jednocześnie same je zatruwają. Stale bowiem zwiększają produkcję kosztem ochrony środowiska naturalnego. Niektóre zresztą z tych rządów do niedawna jeszcze stanowczo negowały istnienie problemu zagrożenia środowiska. W NRD, na przykład, zniszczenie lasów przypisywano burzom i obfitym opadom śniegu. Jeden zaś z czeskich ideologów partyjnych uważał, że skażenie środowiska to wina "osób żyjących niezgodnie z zasadami socjalizmu, których nie brak jeszcze w naszym kraju".

W większości państw bloku wschodniego polityka ochrony środowiska polega przede wszystkim na wznoszeniu modłów o silne wiatry. Fabryki w Czechosłowacji nie są też często w ogóle zobligowane do stosowania się do przepisów chroniących przed skażeniem powietrza, o ile zadeklarują, że ich produkcja "leży w interesie całego społeczeństwa". Na Węgrzech ponadto połowa fabryk silnie zatruwa środowisko naturalne, ale nic się nie robi by temu zapobiec. A w Polsce urzędnicy kontrolujący emisję trujących wylęgów są często wyłączone po to, by oszczędzać energię.

Skażenie powietrza może być znacznie zredukowane - nies-
tety, tylko przez zastosowanie kosztownych, produkowanych na
Zachodzie, urządzeń kontrolnych. Tymczasem narody żyjące w
Europie Wschodniej nie stać jest na to, by wydać owe kilka-
dziesiąt miliardów dolarów i poddać kapitalnemu remontowi
fabryki, oczyścić rzeki i zastosować kapitalistyczne trans-
formatory.

Tak więc socjalistyczna nędza będzie prawdopodobnie prze-
znaczeniem i zgubą środowiska naturalnego w Europie Wschod-
niej. Obszar ten jest bowiem miejscem spadającej gwałtownie
produkcji, rosnącej liczby staroświeckich i przestarzałych
maszyn i upadającej infrastruktury. Jedyne kraj w Europie
Wschodniej, w którym poziom życia mieszkańców się nie obniża
to NRD, ale "prosperity" ta wynika z jałmużny, jaka płynie
tu z Niemiec Zachodnich oraz stąd, iż pobiera się 15 000 dol-
arów od głowy za każdego obywatela NRD, któremu pozwala się
emigrować do RFN.

Podczas gdy na Zachodzie i w innych krajach następuje co-
raz ściślejsza integracja gospodarcza i wzrasta tempo prze-
mian technologicznych, Europa Wschodnia staje się obszarem
zaczofanego getta gospodarczego. Jedyne korzyści, jakie kraje
tego bloku odniosły w ostatnich latach z handlu międzynarodowego,
to wykwalifikowana siła robocza i niskie tempo zarob-
ków. Teraz jednak, gdy gwałtownie wzrosła liczba państw
uprzemysłowionych i to się skończyło.

We wszystkich więc wspomnianych krajach Europy Wschodniej
wciąż wzrasta skażenie atmosfery i sytuacja ta, przynajmniej
przez najbliższe kilkanaście lat, będzie się nadal pogar-
szać, przede wszystkim z powodu masowego stosowania węgla
brunatnego. Pałace problemy ochrony środowiska naturalnego
były jednym z czynników, który przyczynił się do powstania
ruchu "Solidarność" i nadal interesują one opozycję w Pol-
sce. W Czechosłowacji, na Węgrzech i w całej Europie Wschod-
niej organizacje dysydenckie rozpowszechniają informacje o
zagrożeniu zdrowia mieszkańców przez skażenie atmosfery i
wywierają presję na rządy swych krajów, by się wreszcie tymi
problemami zajęły. Rządy te jednak tymczasem aresztują owych
ekologicznych opozycjonistów - ale trudno jest im ukryć
dziesiątki milionów umierających drzew.

Władze w krajach Europy Wschodniej mają więc poważne kłó-
poty. Muszą bowiem wkrótce albo dokonać kosztownych inwesty-
cji na budowę urządzeń kontrolujących chemiczne wylizy i
ścieki z fabryk, albo stanąć wobec problemu katastrofalnych
chorób społecznych i ewentualnych rozruchów zdesperowanych
obywateli. Żeby jednak móc zapłacić za te kosztowne inwesty-
cje, rządy te muszą gwałtownie obniżyć poziom życia mieszka-
ńców, co znowu grozi społecznym wybuchem.

Skażenie środowiska może więc być gwoździem do trumny
wschodnioeuropejskiego socjalizmu. Blok ten bowiem nigdzie
nie znajdzie zbytu na węgiel brunatny i umierające drzewa.

Trum.: Magda

Jerzy Narbutt

NOWE SUPLIKACJE

Od zła wszechczasów:
od beznadziejności
od rządów pięści,
od rządów kuglarzy,
co chcą żonglować prawdą i człowiekiem -
wybaw.

Od zła tych czasów:
od braku powietrza,
od wód nieżywnych,
od trucizny w kranach
i od żywności, co śmierć niesie w sobie -
wybaw.

Od strasznych czasów:
od wojny okrutnej,
która wyniszczy wszystko, co na ziemi,
i od pokoju, co nie jest pokojem,
co chce bez wojny świat ten w piekło zmienić -
wybaw nas, wybaw.

Marian Marek Drozdowski

Gen. LEOPOLD OKULICKI

przyczynek do biografii^{x/}

Tragizm historii najnowszej Polski znajduje wyraz w tragicznych losach żołnierzy Rzeczypospolitej ginących w niezbadanych okolicznościach lub w samotności. Los marszałka Edwarda Rydza Smigłego, gen. Władysława Sikorskiego i gen. Leopolda Okulickiego, ostatniego Komendanta Głównego AK, jest tego potwierdzeniem.

Tragizm gen. Okulickiego ma wiele aspektów, na które będę się starał zwrócić uwagę, cytując obficie dokumenty i relacje. Interpretację faktów pozostawiam Czytelnikowi, szanując prawo każdego z nas do własnej interpretacji historii.

I ŻOŁNIERZ II RZECZYPOSPOLITEJ

Urodził się 15 listopada 1899 r. w małej wiosce Bartociach koło Okulic, w pow. bocheńskim, w rodzinie biednego chłopa. Ojciec robił wszystko, by syn ukończył gimnazjum w Bochni. Tutaj zamieszkał w internacie, spotykając się ze starszymi kolegami zaangażowanymi w ruch strzeleckim. Ojciec nie był w stanie opłacać internatu; ekwiwalent opłaty realizował w postaci dostaw uprawianych przez siebie jarzyn.

Wielki wpływ na młodego gimnazjalistę wywarł polonista, zakochany w pisarzach romantycznych i powstaniach dziewiętnastowiecznych, prof. Fiszer. Okulicki słuchał go zafascynowany, gdy dzwonił dzwonek siedział dalej zrozpaczony, że lekcja już minęła. Był typem emocjonalnym. Gdy profesor mówił o represjach po powstaniu 1863 r., młody Leopold płakał wraz z nauczycielem. Już jako 16-letni chłopiec zgłosił się do Legionów, lecz nie został przyjęty ze względu na wiek.

^{x/} Szcik publikujemy bez wiedzy i zgody Autora. /red./

"Był średniego wzrostu, lecz niezwykle silny. Ramiona miał tak szerokie, że jego marynarka, niezależnie od wielkości, zawsze wydawała się pękać w szwach. Twarz jego, o cerze matowej, była raczej brzydka. Gdy się jednak na niego spojrzęło, uderzały przede wszystkim oczy, głęboko osadzone, bardzo błyszczące i tak bladoniebieskie, że prawie bezbarwne.

Lubił pić i bawić się. Był to człowiek bardzo wesoły, otwarty i szczery". /1/

Mimo wieku udało mu się dostać do Legionów. Walczył w rejonie Karpat. W 1919 r. podczas wojny z Ukraińcami odznaczył się niezwykle odwagą i energią. Był dwukrotnie ranny podczas obrony Lwowa. Oto relacja z tamtych lat:

"Był on wówczas kadetem w 6-tej kompanii 4-go pułku bocheńskiego. Wszystkim naszym ruchom przeskadzało gniazdo karabinów maszynowych wroga. Dowódca szukał ochotnika, który próbowałby zniszczyć je granatem. Okulicki natychmiast się zgłosił. Podczas gdyśmy go w miarę możliwości zabezpieczali, wyruszył z workiem granatów i zaczął się czołgać do pozycji wroga. Gdy znalazł się już dostatecznie blisko, zobaczyliśmy, jak wstał i skoczył, rzucając jednocześnie granaty. Był jednak tak szybki, że osiągnął gniazdo karabinów maszynowych w chwili, gdy granaty wybuchły. Pozycja została wzięta, lecz Okulicki na skutek wybuchu jednego z jego własnych granatów został ranny - na szczęście nie ciężko". /2/

Po zakończeniu wojny polsko-radzieckiej Okulicki studiował w Wyższej Szkole Wojennej. Koledzy znali jego wrażliwość na Rosję, jego odwagę, prostolinijność i lojalność. Jerzy R. Krzyżanowski, autor jego zbeletryzowanej biografii pt. "Generał", pisze:

"Od polityki stronił, jak na prawdziwego żołnierza przystało. Jego powołaniem była wierna służba i nic poza nią. Kiedy po śmierci marszałka Piłsudskiego legionowi koledzy przypuścili szturm do rządowych posiad, oraz częściej widywało się ich na wpływowych stanowiskach, on konsekwentnie szedł w górę wytyczoną drogą czysto wojskowej kariery. Niespodziewane powierzenie mu szefostwa sztabu 13 Dywizji Piechoty, a potem przeniesienie do Sztabu Głównego, potraktował jako tę właśnie naturalną drogę, którą świadomie kroczył od lat dziesięciu, gdy po ukończeniu Wyższej Szkoły Wojennej, jeszcze przed majowymi wypadkami, pracował najpierw w sztabie DOK III, a potem jako major dyplomowany dowodził batalionem 75 pułku piechoty w Rybniku Śląskim".

/3/

Tuż przed wojną ppłk Okulicki mianowany został szefem Wydziału Sytuacyjnego Oddziału III Sztabu Głównego, którym dowodził płk Stanisław Kopański. Okulicki był jego zastępcą. Podlegali mu referenci do spraw poszczególnych armii. Studiował ich meldunki w podziemiach budynku przy ul. Rakowieckiej. /4/

WOJENNE LOSY

Do 7 września 1939 r. w Sztabie Głównym studiował Okulicki dramatyczne meldunki dowódców cofających się armii. Po ewakuacji Kwatery Głównej, 7 września, pozostał z gen. Stachiewiczem w Warszawie wraz z kilkoma oficerami z oddziału operacyjnego. Wspominając ten fakt gen. Kopański pisze:

"Brak mi było w dalszym ciągu kompania, tego dzielnego i ofiarnego żołnierza, mego zastępcy z okresu przedwojennego, którego temperament nadawał się lepiej do wykorzystania w warunkach wojennych niż w systematycznej i wytrwałej pracy sztabowej. Nie mogłem się wówczas domyśleć, że się zobaczymy zaledwie za trzy lata w dalekim Iraku". /5/

Przydzielony później do Dowództwa Obrony Warszawy, Okulicki był zwolennikiem aktywnych działań garnizonu warszawskiego przeciwko 4 dywizji pancernej, która 9 września poniosła na Woli porażkę. Nie wiedział on o działaniu nazajutrz na przedpolach Warszawy czterech dywizji niemieckich. Później, na wieść o bitwie nad Bzurą, domagał się od gen. Czumi i gen. Rómmla zaczętych działań warszawskich oddziałów na rzecz armii "Poznań" i "Pomorze". Proponował w tym celu wykorzystać grupę kawalerii gen. Andersa, tworzoną w rejonie Otwock-Wiązowna.

Od 7 do 14 września Okulicki pełnił funkcję Szefa Sztabu odcinka "Warszawa-Zachód", dowodzonego przez ppłk. dypl. Mariana Porwita. /Dowódcą artylerii odcinka był tu ppłk dypl. Adam Dżianott./ Współpracował on w tym charakterze z dowódcami obrony Żoliborza /ppłk dypl. Walerian Tewszadze/, Woli /ppłk Józef Kalandyk/ i Mokotowa /ppłk Walis Chmura/. Godzi się przypomnieć, że na odcinku Woli walczył dowódca 3 batalionu 40 pp, mjr Antoni Sanojca, późniejszy członek KG AK. /6/

Po okrajeniu stolicy ppłk Okulicki dowodził samodzielnym zgrupowaniem. Jego punkt dowodzenia mieścił się przy ul. Górczewskiej 122. W skład tego zgrupowania wchodziły: odcinek "Gorce" - dowodzony przez mjr. Józefa Spychalskiego, odcinek "Fort Wolski" - dowodzony przez mjr. Feliksa Mazurkiewicza i odcinek "Przedmieście Wola" - dowodzony przez mjr. Stanisława Piękosia oraz Lotniczy Oddział Szturmowy mjr. Zygmunta Zborowskiego i Oddział Saperski mjr. Tadeusza Chlebowskiego. /7/

Jak pisze Ludwik Głowacki:

"Ppłk dypl. L. Okulicki otrzymał rozkaz w ciągu nocy z 16 na 17 września wyruszenia z Warszawy w stronę Bzury południowym skrajem Puszczy Kampinoskiej. Płk dypl. M. Porwit oddał mu jako siły: batalion stożeczny mjr. J. Spychalskiego /na forcje Bema/, 1 batalion 360 pp mjr. F. Mazurkiewicza, 4 batalion 360 pp mjr. S. Piękosia oraz wszystkie pozostałe cząłki 7 TP. Wspomniane natarcie miał zapewnić

ppłk dypl. Adam Dzianota zgrupowaniem /119 pac i 47 dac/ mjr. Leona Fryca. Zadanie było następujące: "Natrzeć po osi Gorce-Blizne dla ściągnięcia jak najwięcej sił niemieckich na siebie". /8/

Natarcie ppłk. Okulickiego ruszyło 18 września, posuwając się stosunkowo szybko. Zdobyto Jelonki i Chrzanów Nowy. W działaniach wyróżnił się oddział lotników pod dowództwem kpt. Antoniego Klimasa. W nocy z 18 na 19 września batalion stołeczny mjr. Spychalskiego zajął Balice.

W tym samym czasie część armii "Poznań" oraz 15 dywizja piechoty z armii "Pomorze" dotarły pod Modlin.

Przed świtem 19 września grupa kawalerii gen. Abrahama, po krótkich walkach, zajęła Sieraków. Podjęła ona dalszy marsz przez Łaski na Warszawę. Później zgrupowanie ppłk. Okulickiego broniło pozycję "Blizne-przedmieście Wola", które znalazło się na styku 19 i 31 niemieckiej dywizji piechoty. Panował tutaj względny spokój do 28 września. Nazajutrz zgrupowanie musiało odparć silne natarcie nieprzyjaciela. W tymże dniu ppłk Okulicki zorganizował przeciwnatarcie z rejonu katolickiego omentarza Wolskiego w kierunku parowozowni Czyste. Wyrządziło ono przeciwnikowi duże straty.

Rozkazem z 29 września gen. Rómmel nadał ppłk. dypl. Okulikowi order Virtuti Militari IV klasy.

W ostatnich dniach wrześniowej obrony Warszawy komendant główny Służby Zwycięstwu Polski, gen. Michał Tokarzewski, mianował Okulickiego komendantem okręgu łódzkiego. Natychmiast więc po zakończeniu walk przebrał się po cywilnemu i objął nowe stanowisko służbowe, traktując je jako kontynuację zmagani wrześniowych. On pierwszy wpadł na pomysł, aby volksdeutschow, którzy pozostali w stosunku do Polski lojalni, wprowadzić do administracji okupacyjnej i wykorzystać jako informatorów. Nie mając talentu do działań konspiracyjnych, w obawie przed wykryciem szybko musiał opuścić Łódź i powrócić do Warszawy. Kilka miesięcy później, 2 listopada 1940 r., Stefan Rowecki, nowy komendant SZP, wysłał Okulickiego do Lwowa, gdzie został bardzo szybko, bo 23 stycznia 1941 r., aresztowany, zaś siatka SZP prawie całkowicie rozszyfrowana ze względu na działalność agentury. Po aresztowaniu NKWD wywoził Okulickiego do szynnej Łubianki, gdzie został poddany torturom. Te osobiste przeżycia miały niewątpliwie wpływ na poglądy polityczne Okulickiego. Później, na przyjęciu na Kremlu, Stalin trzykrotnie stukał się z nim kieliszkiem, mówiąc, że przypomina mu przewodnika, który prowadził go przez granicę z Galicji do Kongresówki.

Okulicki był czynnie zaangażowany w organizację armii gen. Władysława Andersa. /9/ Przeżywał boleśnie negatywną ewolucję radzieckiego aparatu administracyjno-wojskowego w stosunku do Polaków i rosnące szykany. Nie był żołnierzem-intelektualistą, typu gen. Kutrzeby czy gen. Sosnkowskiego, ważącym "za" i "przeciw". Był prostolinijny, lojalny i pozbawiony jakiegokolwiek przebiegłości. Niektórzy koleddy zarzucali mu naiwność i upartość, nadmierną twardość. Gen. Anders widząc, że Okulicki

nie jest gotów do kompromisów w imię swego ideału Polski, czuł się zmuszonym odwołać go z funkcji Szefa Sztabu Armii Polskiej w ZSRR. /10/

"...Płk Okulicki - podkreśla Krzyżanowski - został głównym organizatorem armii. Podczas gdy generał Anders krążył między Buzuorkiem, ambasadą w Kujbyszewie i Moskwą, na sztab spadł oazy ciężar organizacji spraw nie tylko wojskowych, ale i społecznych, i tych najpotrzebniejszych, najważniejszych w tej chwili drobnych problemów zapewnienia tysiącom mężczyzn, kobiet i dzieci dachu nad skołatanyimi głowami i kociołka ciepłej strawy z wojskowej kuchni". /11/

Załatwienie tych spraw rodziło wiele konfliktów.

Po ewakuacji armii Andersa na Bliski Wschód płk Okulicki dowodził 7 Dywizją Piechoty, która w listopadzie 1942 r. znalazła się w Iraku. 6 Dywizją kierował wówczas gen. Tokarzewski, a 5 gen. Bohusz-Szyszko.

Żona Okulickiego, wraz z synem Zbigniewem, pozostała w Tel-Awivie, dokąd dostała się po opuszczeniu kraju we wrześniu 1939 r. Tutaj syn ukończył polskie gimnazjum, a następnie zgłosił się do szkoły podchorążych artylerii, walczył w kampanii włoskiej w 1 kompanii pułku artylerii lekkiej.

Już wiosną 1944 r., po długich rozmowach z gen. Sosnkowskim w Londynie, a następnie w bazie lotniczej w Brindisi, gen. Okulicki przygotowywał się do swej misji polityczno-wojskowej w kraju - przeciwstawienia się tendencjom kompromisu na rzecz ZSRR i komunistów polskich.

WPLYW GEN. OKULICKIEGO NA WYBUCH POWSTANIA

Gen. Tatar relacjonuje, że Okulicki przed swym odlotem do Polski widział się kilka razy na dłuższych spotkaniach z gen. Sosnkowskim w Londynie, a następnie w Brindisi, skąd odlatywał do Polski. Oceniał go jako człowieka nieodpowiedzialnego, który dysponował tajnym szyfrem, umożliwiającym bezpośrednie porozumienie z gen. Sosnkowskim. Tatar, stary oficer armii rosyjskiej, widział w Okulickim pilsudczyka, o garniętego romantyzmem szaleństwa. Wraz z Mikołajczykiem i Grabskim był on zwolennikiem kompromisu ze Stalinem, w którego realność wierzył. Jego zdaniem, Okulicki miał zrobić w Warszawie to, co zamierzał w II korpusie gen. Sosnkowski: powiedzieć "nie" polityce ustępstw Mikołajczyka wobec Stalina.

Płk Antoni Sanojca, szef oddziału organizacyjnego KG AK, tak relacjonuje rozmowę z Okulickim:

"W połowie czerwca /1944 r./ Okulicki spędził jedną noc u mnie. Rozmawialiśmy właściwie przez całą noc. Zaczął wyklądać mi tezę gen. Sosnkowskiego. Wyjaśnił mi, że powinniśmy zaprzestać walki z Niemcami w celu zaoszczędzenia naszych sił do walki z Rosją.

Rosjanie, według niego, przedstawiali znacznie większe niebezpieczeństwo niż Niemcy, którzy już byli pobici. W tym punkcie zwrotnym wojny - mówił przekazując mi instrukcję Sosnkowskiego - naszym jedynym obowiązkiem jest chronić masę biologiczną narodu polskiego.

Po drugim, lojalnym przedstawieniu tej tezy wyłożył mi swój punkt widzenia, który był diametralnie różny. Według niego powinniśmy bić się z Niemcami, tak, by pozostać w walce aż do końca. Mówił, że będziemy może osamotnieni, że alianci zachodni może nam nie pomogą, podobnie jak i Rosjanie, lecz że nie jest to ważne. Już w 1939 roku biliśmy się sami, takie jest nasze przeznaczenie.

Następnie gwałtownie skrytykował dowództwo, używając bardzo ostrych słów: sklerotyicy, tchórze itd. Wypomniął mi, że wyłączyli Warszawę ze strefy walk z powodu obecności ludności cywilnej. Właśnie dlatego - powiedział - ponieważ Warszawę zamieszkuje milion ludzi, którzy ani na chwilę nie zaprzestali walki, nie mamy prawa w ostatnim momencie kazać im złożyć broń. Warszawa - ciągnął - musi walczyć niezależnie od ceny. Czułem się trochę onieśmielony jego stanowiskiem, ponieważ jednak ja także chciałem się bić, powiedziałem, że się z nim zgadzam. Znałem go jeszcze przed wojną i miałem do niego duże zaufanie." /12/

Latem 1944 r. dla Okulickiego - stwierdza jeden z relacjonistów Steinera - Niemcy już nie istniały; myślał wyłącznie o Rosjanach. On nie ucierpiał tyle od Niemców co Warszawa i rodacy z terenów niemieckiej okupacji.

Okulicki znał decyzje Teheranu, którego istotę widział w zgodzie aliantów zachodnich na przynależność Polski do radzieckiej strefy wpływów. Był o tym informowany przez gen. Sosnkowskiego. Miał też żal do Mikołajczyka, że ukrywał przed Delegaturą Rządu i Komendą Główną AK oraz żołnierzami polskimi we Włoszech i Anglii rzeczywistą sytuację polityczną. Okulicki wierzył w szybki wybuch nowego konfliktu, związanego z buntem aliantów zachodnich wobec polityki faktów dokonanych prowadzonej przez Stalina. Przekonywał po kolei poszczególnych członków KG AK, że:

"Trzeba wywołać powstanie w chwili opuszczenia stolicy przez wojska niemieckie, a przed przybyciem Armii Czerwonej. Ta Warszawa, którą zna cały świat - mówił - to miasto niezwykłe, powinno sprzeciwić się decyzjom teherańskim z bronią w rękę i pokazać swoje poświęcenie, jak trzeba bronić wolności. Walka ta, według niego, będzie głośna na cały świat i poruszy niewątpliwie sumienie aliantów". /13/

Powstanie miało udokumentować światu rzeczywisty charakter polityki Stalina wobec Polski. Okulicki nie odrzucał hipotezy o propolskiej interwencji Zachodu na rzecz władz polskich, zainstalowanych w Warszawie lub o zgnieceniu tych władz przez Armię Czerwoną na oczach całego świata. Gen. Komorowski i De-

legata Rządu RP Stanisława Jankowskiego uważał za ludzi bojących się wziąć odpowiedzialność za kraj. Sugerował zastąpienie ich ludźmi zdecydowanymi, o silniejszych indywidualnościach. W rozmowie z płk. Kazimierzem Irankiem-Osmeckim, szefam oddziału II /wywiad, kontrwywiad/ KG AK, Okulicki stwierdził, że powinniśmy się przygotować do walki z Rosjanami na śmierć i życie. Jako istotnego argumentu używał Okulicki tragicznego losu żołnierzy 27 /Wołyńskiej/ dywizji AK /aresztowanie jej oficerów i żołnierzy 17 lipca/, wskazywał też na brak sprzeczności między walką o Warszawę a sugestią gen. Sosnkowskiego, by tuż przed wkroczeniem Armii Czerwonej zająć Wilno, Lwów lub inne miasta. /14/

Obojętność Zachodu na dramat żołnierzy Wileńszczyzny dla wielu wydawała się potwierdzać argumentację Okulickiego, który po dramacie Wilna miał powiedzieć:

"Musimy stoczyć wielką bitwę o Warszawę i to niezależnie od ceny. Niech się wałą mury, niech płynie krew, tylko nasza walka, nasza śmierć, nasza ofiara może zmienić stanowisko wielkich mocarstw". /15/

Nie przekonany przez Okulickiego płk Janusz Bokszczanin - szef operacji KG AK - podkreśla w swej relacji:

"Człowiekiem, który wszystko zorganizował, który przekonał wszystkich prócz mnie i kilku innych, był Okulicki. On miał wpływ na gen. Komorowskiego, który w przeciwieństwie do gen. Roweckiego nie był silną indywidualnością, niepodatną na wpływy. Był człowiekiem chwiejnym, delikatnym, nie chcącym nikogo urazić, o dużych zdolnościach dyplomatycznych." /16/

Zdaniem płk. Osmeckiego, który w końcu po wahaniach przyjął argumenty Okulickiego "za powstaniem":

"Naszym błędem było, że sami nie zrozumieliśmy tego wcześniej, na długo przed 20 lipca 1944 r. Wtedy było już za późno. Z chwilą, gdy w marcu /1944r./ zapadła decyzja, że w Warszawie nie będzie miała miejsca żadna walka, najlepszych oficerów zrzuconych z Anglii wraz z większą częścią broni, którą otrzymaliśmy, wysłano na tereny wschodnie, gdzie mieli służyć jako dowód naszej tam obecności. Na początku czerwca, dwa lub trzy dni przed przybyciem Okulickiego, wysłaliśmy jeszcze wielki transport broni w okolice Białegostoku. Całkowicie pochłonięci operacją "Burza", która miała znaczenie drugorzędne, zapomnieliśmy o Warszawie, o duszy kraju". /17/

Okulicki odrzucał plan powstania gen. Tatara, wyjścia z miasta i zaatakowania Niemców od tyłu, wspólnie z Armią Czerwoną. Podkreślił, że "z politycznego punktu widzenia Warszawa musi być oswobodzona przez Polaków i tylko przez Polaków". Dramat Wilna przemawiał za odrzuceniem planu Tatara.

Płk Bokszczanin, który powołuje się na krytyczny stosunek gen Roweckiego do Okulickiego /gorąca głowa, rębajło/, ma do niego żal za przekreślenie pierwotnych planów powstania /Ro-

weekiego i Tataru/ i za zidealizowanie roli ludności cywilnej w przyszłym powstaniu, ludności pozbawionej broni, jak większość żołnierzy AK.

Plan Okulickiego przewidywał, że powstanie będzie trwać trzy, cztery, maksimum siedem dni. Pozwoli ono zająć miasto oraz pewną liczbę punktów strategicznych w najbliższej okolicy. Dzięki zaskoczeniu zniszczy wszystkie siły wroga. Plan ten akceptował zastępca gen. Komorowskiego, gen. Pełczyński. /18/ Na naradzie KG AK, 21 lipca, na której wstępnie zdecydowano, by podjąć walkę powstańczą w Warszawie, Okulicki, używając argumentów historycznych, politycznych i psychologicznych, wymógł na Komorowskim decyzję, która miała być przedyskutowana z politykami. /19/

Po południu tegoż dnia odebrano gen. Łaszczowi dowództwo nad Warszawskim Okręgiem AK, powierzając je "Monterowi" - płk. Chruścielowi. W ten sposób, po wyeliminowaniu gen. Tataru i płk. Bokszczanina, przysłała kolej na trzeciego przeciwnika powstania, który nazwał je wówczas - ze względu na brak środków - samobójstwem narodowym. Godzi się przypomnieć, za relacją płk. Osmeckiego, że na pierwszej naradzie Okulicki zbagatelizował jego informacje o koncentracji nie zidentyfikowanych niemieckich dywizji pancernych w rejonie Wiskowa i Jabłony. /20/

Wielkiego sojusznika miał Okulicki, jako zdecydowany zwolennik powstania, w szefie BIP-u, płk. Janie Rzepeckim, który w powstaniu widział ważny argument dla premiera Mikołajczyka podczas jego negocjacji ze Stalinem na Kremlu. /21/

Na naradzie KG AK 25 lipca Okulicki i Rzepecki proponowali dzień 28 lipca jako dzień rozpoczęcia powstania. Płk. Osmecki potwierdził na niej informacje o koncentracji niemieckich dywizji pancernych. Płk Bokszczanin i płk Fluta-Czachowski akcentowali konieczność dużej ostrożności. Gen. Komorowski nie podjął ostatecznej decyzji co do daty. Na tej naradzie pod dyktando Okulickiego sformułowano tekst depechy do Londynu: "Jesteśmy gotowi do rozpoczęcia walk w Warszawie. Przygotujcie się do wysłania brygady do bombardowania obiektów, które wskażemy!" /22/

Nazajutrz płk Fluta-Czachowski na naradzie z udziałem Delegata Rządu, Jankowskiego, poddał krytyce plan Okulickiego.

Dnia 27 lipca rząd radziecki uznał PKWN za jedyny i legalny rząd polski, zaś rząd polski w Londynie dał kierownictwu podziemia carte blanche co do terminu i sposobu rozpoczęcia walk. /23/

Apele powstańcze komunistycznej radiostacji "Kościuszko" z 29-30-31 lipca 1944 r. i plakaty podpisane przez komendanta PAl, płk. Juliana Skokowskiego, dostarczały nowych argumentów na rzecz koncepcji Okulickiego, który podkreślał, że jeżeli Komenda Główna AK nie wezwie do powstania, zrobią to komunisty. Jedni członkowie KG widzieli w tym prowokację, drudzy tym bardziej wskazywali na konieczność przystąpienia do natychmiastowej akcji.

29 lipca Zdzisław Jeziorański /Jan Nowak/, emisariusz z Londynu, na spotkaniu w KG AK w swym raporcie mówił o podziale Europy na strefy okupacyjne, o tym, że Polska za zgodą aliantów znajdować się będzie w radzieckiej strefie okupacyjnej i radzieckiej strefie wpływów. Poinformował także o rozmowach premiera Mikołajczyka z radzieckim ambasadorem w Londynie, Lebiediewem, i o tym, że polski premier, przebywając na Kremlu "będzie usiłował doprowadzić w Moskwie do układu ze Stalinem, który pozwoli na współpracę wojskowa i koordynację operacyjną między AK i Armią Czerwoną oraz na utworzenie po uwolnieniu Warszawy, tu na miejscu, rządu opartego przede wszystkim na czterech głównych stronnictwach z udziałem komunistów jako piątego członu". /24/

Nowak poinformował KG AK, że powstańcza Warszawa nie może liczyć na masowe zrzuty broni i na przysyłanie Brygady Spadochroniarzy oraz polskich dywizjonów lotniczych, będących częścią RAF-u.

Na wieść o ruchach Armii Czerwonej na przedpolach Warszawy, meldowane gen. Komorowskiemu w czasie wysłuchiwania relacji kpt. Nowaka, płk "Sęk" /Janusz Bokszczanin/ wypowiedział z naciskiem: "Dopóki Rosjanie nie położą ognia artyleryjskiego na miasto na lewym brzegu Wisły, nie wolno nam się ruszyć". /25/ w rozmowie w cztery oczy z gen. Pełczyńskim, Nowak stwierdził m.in.:

"Jeżeli jednak "Burza" w Warszawie została pomysłana jako demonstracja polityczno-wojskowa, to nie będzie ona miała żadnego wpływu na politykę sojuszników, a jeśli chodzi o opinię publiczną na Zachodzie, będzie to dosłownie burza w szklance wody. Nie powinniśmy mieszać dwóch rzeczy: polskich komunikatów radia londyńskiego i relacji prasy i opinii anglosaskiej /.../; /jednak/ jeśli wybuch walk ujawni całą siłę AK i poparcie, jakim cieszy się ona w społeczeństwie, niewątpliwie ułatwi to Mikołajczykowi rozmowy w Moskwie i jego grę polityczną z Anglosasami. Związszcza, jeśli uda się opanować stolicę własnymi siłami." /26/

Informację swą powtórzył Nowak kierownictwu BIP-u i Stanisławowi Jankowskiemu, eksponując w niej tezę, że "ugoda Mikołajczyka ze Stalinem oszczędziłaby może częściowo biologiczną masę narodu, ale w praktyce zamknęłaby okres współpracy naszej z Anglosasami". /27/

W czasie powstania, 24 września, kpt Nowak meldował się u "Niedźwiadka"-Okulickiego w budynku Centrali Telefonicznej na Piusa 19.

"Generał - wspomina Nowak - robił wrażenie człowieka pełnego animuszu. Był w dobrym nastroju. Zbliżający się koniec powstania najwidoczniej nie zdołał go złamać, a rozmowę rozpoczął od zapowiedzi: Za kilka dni Warszawa klapnie /.../ Ale niech się pan nie boi - dodał - zanim wywiesimy biały chorągiew, Roko-

ssowski zostanie uprzedzony, a jeśli otrzymamy od niego jakąkolwiek zapowiedź, że Rosjanie wznowią działania, rozmowy kapitulacyjne zostaną natychmiast zerwane". /28/

NA CZELE KOMENDY GŁÓWNEJ AK

Już 7 października 1944 r. Okulicki meldował centrali londyńskiej, że opuścił Warszawę 2 października z zadaniem objęcia dowództwa nad całością prac konspiracyjnych w Polsce i że montuje sztab KG AK w rejonie Częstochowy. /29/ W depeszy z 8 października sugerował przerwanie wykonania "Burzy" i ograniczenie działań przeciwko Niemcom do czynnego zwalczania ich ekspedycji karnych i pacyfikacyjnych oraz dywersji. /30/ Żądał także szybkiej pomocy PCK dla ludności Warszawy, przede wszystkim zgrupowanej w Pruszkowie. Informował szczegółowo o radiotelegraficznych akcjach represyjno-propagandowych przeciwko AK i działaniach samoobronnych.

W początkach października 1944 r. Okulicki przekazał następującą ocenę sytuacji kpt. Nowakowi przed jego powrotem do Londynu:

"Warszawa była centralnym węzłem, w którym zbiegały się wszystkie nitki. Już w momencie wybuchu Powstania i odłączenia miasta od reszty kraju ten węzeł pękł i sieci rozsypały się na wszystkie strony, bo dowództwo właściwie przestało istnieć. W terenie każdy komendant okręgu rządził się po swojemu i sam decydował. Armia Krajowa była kadłubem bez głowy.

Proszę sobie wyobrazić - zaznaczał Okulicki - w takiej klęskowej sytuacji zaraz po wyjściu z Warszawy usiłując uchwylić to wszystko w ręce, powiązać w jakąś całość, odbudować sztab i cały zniszczony aparat, przywrócić dyscyplinę i w takim momencie przychodzi z Londynu rozkaz Kopańskiego, w którym podporządkowuje AK wprost gen. Tatarowi w Londynie. On ma z tej odległości dowodzić, rządzić całością. Był /Okulicki/ tak wzburzony, że na chwilę przerwał." /31/

Okulicki zdawał sobie sprawę, że jego miejsce w KG AK chce zająć płk Jan Skorobohaty-Jankowski /"Vogel"/ lub też ppłk kawalerii Zygmunt Marczewski /"Kazimierz"/. Okulicki, po dymisji gen. Sosnkowskiego, liczył tylko na poparcie prezydenta Władysława Raczkiewicza; do innych przywódców londyńskich nie miał zaufania.

Delegat Rządu RP, wicepremier Jankowski, przeciwników Okulickiego nazywał warchołami, którzy w gorących sporach po klęsce powstania chcą z niego zrobić "kozła ofiarnego" by wyeliminować go z podziemia. Jankowski nie uchylał się od odpowiedzialności za wybuch powstania. /32/

Z krytyką decyzji powstańców w rozmowach z Nowakiem wystąpili przywódcy Stronnictwa Narodowego - Aleksander Zwierzyński i Stanisław Jasiukiewicz. Zupełnie odmienne stanowisko

zajmowali przywódcy PPS z Zygmuntem Zarembą na czele.

Najostrzej krytykował Okulickiego ppłk Marczewski, uważając, że wszyscy bliscy współpracownicy Bora jako "sprawcy przedwczesnego powstania stracili zaufanie w społeczeństwie". Zdecydowanym przeciwnikiem nominacji Okulickiego był premier Mikołajczyk, który widział w nim niebezpiecznego pilsudczyka. Okulicki zabiegał o to, by każda jego ważniejsza decyzja miała poparcie Delegata. Nastawiony był na opór i przyszłą walkę z Armią Czerwoną i dywizjami Wojska Polskiego oraz z PKWN. Dalsze ofiary i straty w walce z Niemcami nie miały już dla niego politycznego sensu. Był jednak zdecydowanym przeciwnikiem współpracy z Niemcami. Potępiał ludzi, którzy gotowi byli na przekreślenie całego antyniemieckiego dorobku walki. Dostrzegał wykom dokonany przez NSZ i Brygadę Świętokrzyską.

"Armia Krajowa - mówił - musi się ograniczyć do obrony ludności przed niemieckimi represjami, a cofające się oddziały niemieckie rozbrajać tam, gdzie to będzie możliwe bez większych strat. Zdobytą broń głęboko ukryć. Prędzej czy później przyda się znowu. Wokół wystąpień przeciwko Niemcom trzeba robić więcej szumu i propagandy, zwłaszcza na Zachodzie, biorąc przykład z Czechów. Dalsze ujawnianie się wobec Rosjan - dowodził Generał - w świetle dotychczasowych doświadczeń straciło sens". /33/

Myśląc o głośnym rozwiązaniu AK po wkroczeniu Armii Czerwonej planował stworzenie kadrowej, podziemnej organizacji - zalążka przyszłych sił zbrojnych.

W przeciwnieństwie do Jankowskiego nie wierzył by można przy pomocy anglosaskich aliantów budować przyszłość Polski. Przyszłość tę łączył z klęską ZSRR w przyszłym konflikcie wojennym, który nastąpi za kilka lat. /34/

Okulicki starał się przed zimą 1944/1945 rozkładać zmobilizowane w czasie powstania oddziały leśne AK, by nie sciągnąć na chałupy chłopskie ciężarów i represji. Były one i tak poważnie obciążone udzielaniem schronienia uciekinierom z Warszawy. Wydał także rozkaz powstrzymywania się od wszelkich akcji zaczepnych wobec partyzantki AL. Niepokoiły go potrojone wówczas dostawy sprzętu radzieckiego dla tej partyzantki i wzmożona aktywność PPR.

Akcję "Burzy" na wschodzie w lipcu 1944 r. uważał Okulicki za błąd, ponieważ tempo ofensywy radzieckiej było tak szybkie, że zachodnie echa tej akcji były bardzo skromne.

Okulicki nie bał się odpowiedzialności za Powstanie. Krytykował on długie wahania gen. Komorowskiego w sprawie wyznaczenia godziny "W". Zarzucał mu kunktatorstwo i brak zdecydowania.

"Jako komendant główny AK - wspomina Nowak - "Niedźwiadek" prowadził tryb życia wymagający daleko idących osobistych wyrzeczeń. Urzędował w jakimś pożydowskim mieszkaniu na parterze, w jednej nie opa-

lonej izbie. Nagie, brudne ściany, na podłodze miednica i wiadro z wodą, pod ścianą stół i kilka krzeseł. Ostatni Komendant Armii Krajowej żył w warunkach granicznych z nędzą.

Krzętała się w tym mieszkaniu "Janina" /Janina Pronaszkowa/. Szczupła, przystojna, młoda jeszcze pani - zawsze pogodna, spokojna - kursowała nieustannie między Częstochową a Krakowem, Piotrkowem i Pruszkowem. Funkcję łączniczki, a raczej szefa łączności, pełniła jednocześnie z obowiązkami sekretarki i gospodyni dbającej, by "Niedźwiadek" miał gorący posiłek i wszystko, czego mu potrzeba". /35/

Myślał on wówczas o wielu sprawach, m.in. o powołaniu Biura Historycznego dla opracowania dziejów Powstania. Wybór na kierownika tego Biura padł na płk. Adama Borkiewicza, autora monumentalnego opracowania "Powstanie Warszawskie". Paraliżował także niemieckie próby powołania Polskiego Komitetu Narodowego w Krakowie z udziałem przedstawicieli kleru. Z kiesy AK wspierał dyskretnie akcję charytatywną RGO, PKG i arcybiskupa Adama Sapiehy.

W listopadzie 1944 r. Okulicki dowiedział się, że jego jedyny i ukochany syn, dwudziestoletni Zbyszek, zginął jako żołnierz II korpusu we Włoszech. /36/ Był to dla niego wielki wstrząs osobisty.

"Poczta "Niedźwiadka" - wspomina Nowak - odebrałem z rąk "Janiny" /Pronaszkowej/ w kaplicy Jasnogórskiej. Umówiliśmy się wcześniej rano. W chwili, gdy przy odgłosie trąb i bicia w kotły zasłona obrazu zaczęła wolno unosić się w górę, a oczy modlącego się tłumu utkwione były w spokojnym Obliczu Królowej Korony Polskiej, "Janina" wsunęła mi pod ławką do ręki zawiniątko i po chwili wyszła z kaplicy. Po raz ostatni modliłem się wtedy przed Cudownym Obrazem, prosząc Częstochowską Pannę, aby ta poczta za jej przyczyną dotarła do swego przeznaczenia". /37/

Wśród przetrzuczanych dokumentów był list napisany przez gen. Okulickiego 9 grudnia 1944 r. do prezydenta Raczkiewicza. W liście tym Powstanie nazywał Okulicki "bitwą warszawską" dla podkreślenia, że była ona fragmentem walki prowadzonej z Niemcami od 1 września 1939 r. Ważny jest - stwierdzał - dorobek moralny tej bitwy. Powstanie będzie owocowało w przyszłości. Po upadku Warszawy - pisał Okulicki - w społeczeństwie zaczęły się szerzyć nastroje klęskowe i silniej wystąpiły objawy pięcioletniej demoralizacji, a w szeregach AK na prowincji wystąpiły poważne objawy rozprężenia. Pisał następnie Okulicki o implikacjach rozkazu gen. Kopańskiego, przekazującego gen. Tatarowi dowództwo nad AK, o ograniczeniu swoich kompetencji. W fakoie tym widział on genezę głębokiego kryzysu organizacyjnego AK, likwidację jednolitego dowodzenia. Na zakończenie listu pisał:

"Sytuacja obecna jest tak wyjątkowo ciężka i krytyczna zarówno dla całej Polski, jak w życiu każdego z

nas, że wobec powagi chwili żadne osobiste uprzedzenia i niechęci nie mogą odgrywać jakiegokolwiek roli i muszą ustąpić na rzecz zgodnego współdziałania dla przeciwwstawienia się zagrażającym niebezpieczeństwom." /38/

W załączniku przedstawiającym wytyczne pracy propagandowej Okulicki podkreślał, że bitwa o Warszawę /niesłusznie nazwana powstaniem/ była konieczna, aby przekonać świat, że chcemy żyć jako wolny naród.

Dopiero 22 grudnia, a więc po zmianie gabinetu Mikołajczyka na gabinet socjalisty Tomasza Arciszewskiego, prezydent Raczkiewicz mianował "Niedźwiadka" - gen. Okulickiego Komendantem Sił Zbrojnych w kraju na całość terytorium Polski i na wniosek Delegata Rządu na Kraj rozszerzył jego uprawnienia, dając mu prawo awansowania oficerów do stopnia podpułkownika włącznie i prawo nadawania odznaczeń Virtuti Militari w ramach przyznanego przez Centralę kontyngentu. /39/

Okulicki w dniu swej nominacji meldował do Centrali o terrorku Niemców, zaznaczając m.in.:

"Terror okupanta wobec ludności i kultury polskiej trwa w niespotykanych dotąd rozmiarach. Po kapitulacji - palenie Warszawy, wywiezienie większości zdolnych do pracy warszawiaków do Rzeszy na roboty fortyfikacyjne pod ogniem artyleryjskim, zorganizowanie rabowania olbrzymiego mienia prywatnego i publicznego, częściowo dla zasilenia Winterhilfe w Rzeszy. Palenie muzeów, bibliotek, kościołów, szpitali. Niszczenie pomników przeszłości. Wysadzenie większych gmachów. Niwelowanie miasta. Poza Warszawą jednolite brutalne metody wysiedlenia ludności z terenów przyfrontowych, przy czym zasadę stanowi rozbijanie rodzin". /40/

W nowej depeszy z 11 stycznia 1945 r. Okulicki informował:

"Masowe wyłapywanie warszawiaków, między innymi z 6/7.I. całonocna obława w Krakowie. Głośnikowa akcja propagandowa przeciw warszawiakom. Wcielenie pod przymusem i podstępem do ochotniczej służby pomocniczej. Wzmoczona akcja propagandowa do współpracy z Niemcami. Doniszczono Warszawę. 27.XII. spalono Belweder, 31.XII. zniszczono pomniki, wysadzono Sztab Główny oraz ruiny Teatru Wielkiego /.../ Wzrost roboty PPR i AL na terenach przyfrontowych. Wzmoczona inwigilacja AK. Obawy puczu komunistycznego na Śląsku. Dalsze objawy współpracy NSZ z Niemcami". /41/

Godzi się przypomnieć, że zimą 1945 r. ruszył gen. Okulicki na stare kieleckie szlaki. Odwiedzał m.in. oddziały 2 i 7 dywizję AK, wskawiony bitwami pod Krzepinem i Chotowem 2 pułk majora "Nurta", chlubiący się tradycją legendarnych "Jędrusiów", 25 pułk majora "Leśniaka", 72 pułk majora "Stefana", 74 pułk majora "Rozbola" - bohaterskie oddziały ziemi kieleckiej.

6 stycznia 1945 r. gen. Kopański telegrafował do Okulickiego: "Napływające od was dane pozwalają przypuszczać, że w najbliższym czasie może rozpocząć się ofensywa sowiecka. Wyda-
je się, iż na terenach Polski główny wysiłek pojdzie w części
południowej, w kierunku na Śląsk. Należy wydać odpowiednim ok-
resem potrzebne zarządzenia... zgodnie z instrukcją". /42/

Dwa dni przed wysłaniem tej instrukcji gen. Okulicki spotkał się z podpułkownikiem angielskim, Hudsonem, szefem misji brytyjskiej do Polski, dawno tu oczekiwany. Wkrótce misja, której zadaniem była ocena sytuacji w Polsce dla potrzeb rządu brytyjskiego, została internowana i wysłana do Moskwy, skąd wróciła do Londynu. /43/ 31 stycznia informował Londyn o zakończeniu AK tempem radzieckiej ofensywy styczniowej. /44/ W następstwie tej ofensywy, 19 stycznia Okulicki wydał rozkaz o rozwiązaniu Armii Krajowej, w którym czytamy:

"Walki z Sowietami nie chcemy prowadzić, ale nigdy nie zgodzimy się na inne życie, jak tylko w całkowicie suwerennym, niepodległym i sprawiedliwie urządzonym społeczeństwie Państwie Polskim /.../ Żołnierze Armii Krajowej! Daję Wam ostatni rozkaz. Dalszą swą pracę i działalność prowadźcie w duchu odzyskania pełnej niepodległości Państwa i ochrony ludności polskiej przed zagładą. Starajcie się być przewodnikami Narodu i realizatorami niepodległego Państwa Polskiego. W tym działaniu każdy z Was musi być dla siebie dowódcą".
/45/

Po tym rozkazie, który był szokiem dla wielu oficerów i żołnierzy AK, przyszyły wieści o Jałcie. Rząd Polski w Londynie zareagował na uchwały w Jałcie protestem z 13 lutego 1945 r., w którym zaznaczał:

"Metoda ta w stosunku do Polski jest nie tylko zaprzeczeniem elementarnych zasad, które obowiązują sojuszników, ale stanowi niewątpliwie porzucenie litery i ducha Karty Atlantycznej oraz prawa każdego narodu do występowania w obronie własnych interesów.

Rząd Polski oświadcza, że decyzje Konferencji Trzech dotyczące Polski nie mogą być uznane przez Rząd Polski i nie mogą obowiązywać Narodu Polskiego". /46/

Sukcesy styczniowej ofensywy Armii Czerwonej, rozwiązanie AK, Jałta - pogłębiły konflikty zarówno w polskim podziemiu, jak i też w polskim Londynie. Generalnie, Stronnictwo Ludowe, Stronnictwo Pracy i część działaczy Stronnictwa Narodowego były za powrotem Mikołajczyka do rządu i -za kompromisem z ZSRR. Tymczasem ani prezydent Raczkiewicz, ani premier Tomasz Arciszewski i członkowie jego gabinetu, ani Komitet Zagraniczny PPS w taki kompromis nie wierzyli, podobnie jak Komenda Główna AK na czele z gen. Okulickim.

Bardziej elastyczne stanowisko zajął CKW PPS w kraju, skupiony wokół Kazimierza Pużaka i Zygmunta Zaręby. Informował on Komitet Zagraniczny PPS w Londynie:

"Uchwaliliśmy podjąć jawną pracę z chwilą powołania nowego rządu, przewidzianego uchwałami krymskimi. Rada Naczelna w połowie marca /.../ Protestując przeciwko narzuconym uchwałom konferencji krymskiej, GKW uznał za konieczne wykorzystanie nawet mętnych gwarancji swobód dla zorganizowania życia narodu, dziś anarchizowanego i niszczonego. Z chwilą utworzenia Tymczasowego Rządu Jedności Narodowej postanowiliśmy jednomyślnie rozpocząć szerszą akcję jawną, pod hasłami swobód demokratycznych, niezależności rządu i reform". /47/

Na depezę Okulickiego i Jankowskiego w sprawie ujawnienia się KG AK i Krajowej Rady Ministrów z końca lutego 1945 roku, premier Arciszewski odpowiedział:

"Zdecydowaliśmy, że Komendant ujawnić się nie powinien. Natomiast ujawnienie się Krajowej Rady Ministrów, z pozostawieniem zastępstwa, zdecydowane być winno stosownie do okoliczności po ewentualnym utworzeniu tzw. Rządu Tymczasowego w Warszawie i po porozumieniu się z nami". /48/

W atmosferze aresztowań działaczy i oficerów podziemia, 6 marca 1945 r. płk Pimienow wystosował do gen. Okulickiego zaproszenie na rozmowę z gen. Iwanowem Sierowem. Zaproszenie to doręczył Okulickiemu oficer PAL Stanisław Piętkos, ps. Skała. W zaproszeniu Pimienow pisał m.in.:

"Wzajemne zrozumienie i zaufanie pozwolą załatwić bardzo poważne sprawy i nie dopuścić do ich zaostrenia /.../ Co do mnie, to ja jako oficer Armii Czerwonej, któremu przypada w udziale tak ważna misja, daję wam pełną gwarancję, że od momentu, kiedy wasz los będzie zależny ode mnie /po przyjeździe do nas/ będziecie w całkowitym bezpieczeństwie". /49/

Jednocześnie po tym zaproszeniu Okulicki otrzymywał dziesiątki meldunków od komendantów okręgów AK o poborze żołnierzy AK do armii, o badaniu ich poglądów politycznych, o aresztowaniach i groźbie likwidacji oficerów AK. /50/

Premier Arciszewski był poinformowany o zaproszeniu płk Pimienowa na rozmowy przywódców podziemia z gen. Iwanowem. 15 marca 1945 r. Mikołajczyk zalecił działaczom Stronnictwa Ludowego ujawnić się, pisząc m.in.:

"Klucz do sytuacji, niestety, w obecnej sytuacji leży w kraju, więc głównie w waszym ręku. Bierźcie inicjatywę w ręce, póki nie za późno, idąc na lojalne ułożenie stosunków polsko-sowieckich. Tym samym powiążecie wasze działania z naszymi i umożliwicie nam wydatne popieranie waszych wysiłków". /51/

25 marca gen. Okulicki poinformował Sztab Naczelny Wodza o zamierzonym wzięciu udziału w rozmowach z gen. Iwanowem, pod naciskiem Krajowej Rady Ministrów i Rady Jedności Narodowej.

"Sowiety - pisał - obiecały dać możność porozumienia się z wami Delegatowi Rządu i po 2 przedstawicielei stronnictw polskich. W tym celu mają 29 III dostarczyć samolot. Być może, że i ja będę mógł przybyć. Zagwarantowaliśmy Sowiетom zachowanie tajemnicy pertraktacji i odlotu do was." /52/

Gen. Okulicki poszedł na rozmowy i wraz z innymi przywódcami Polski podziemnej został podstępnie, wbrew deklaracjom, przywieziony 29 czerwca 1945 r. do Moskwy i osadzony w więzieniu na Żubiance. /53/

W czasie podstępnego lotu do Moskwy Okulicki zagroził głośną, protestując przeciwko rewizji osobistej.

Przebieg procesu Okulickiego i towarzyszy znany z ich relacji, nie opublikowanych dotychczas w kraju, oraz z tzw. "Sprawozdania sądowego w sprawie organizatorów, kierowników i uczestników polskiego podziemia", wydanego przez Komisariat Ludowej Sprawiedliwości ZSRR w Moskwie w 1945 r.

Odpowiadając prokuratorom radzieckim, gen. Okulicki oświadczył m.in.:

"Proces ma charakter polityczny. Chodzi w nim o ukaranie polskiego podziemia. Rzecz w tym, że podziemie posiada znaczny kapitał zdobyty w walce z Niemcami. Temu nikt nie może zaprzeczyć i nie mogą być przytoczone żadne dowody na to, że polskie podziemie nie walczyło z Niemcami w ciągu pięciu lat. Nie ma powodu by pobawić nas tego kapitału. Byłoby to dla mnie bardzo bolesne. Byłoby to pozbawienie kapitału, który pociągnął za sobą bardzo wiele ofiar, kapitału, w którego zdobyciu brali udział nie faszysti, reakcyoniści, lecz najlepsi przedstawiciele polskiego narodu i polskich demokratów. Oskarżenie o współpracę z Niemcami jest gorsze niż pozbawienie nas tego kapitału, to pozbawienie honoru. Ale, panie prokuratorze, takie poważne oskarżenie to oskarżenie narodu, wyraźne oskarżenie trzystu tysięcy żołnierzy Armii Krajowej, oskarżenie polskiego narodu o to, że naród polski brał udział w podziemnej walce." /54/

W uzasadnieniu wyroku, w którym skazano gen. Okulickiego na 10 lat więzienia, czytamy m.in.:

"Terrorystyczne, dywersyjne grupy "Armii Krajowej" na tyłach czynnej armii radzieckiej na terytorium zachodnich obwodów Ukrainy i Białorusi, na Litwie i w Polsce dokonywały systematycznie w ciągu 1944 roku i na początku 1945 roku aktów terrorystycznych na żołnierzach i oficerach Armii Czerwonej i dywersji na liniach komunikacyjnych czynnej Armii Czerwonej. Oddziały "AK" dokonywały również zbrojnych napadów na radzieckie instytucje wojskowe i cywilne. Według niepełnych danych w okresie od 28 lipca do 31 grudnia 1944 roku zabito przez oddziały "AK" 277 i raniono 94 oficerów i żołnierzy Armii Czerwonej". /55/

W trakcie przygotowań do procesu 16-tu, Mikołajczyk 15 kwietnia opublikował deklarację na łamach "Timesa", w której czytamy:

"Uważam, że bliska i trwała przyjaźń z Rosją, w szerszych ramach przyjaźni wśród Zjednoczonych Narodów, jest kamieniem węgielnym przyszłej polityki polskiej /.../ Popieram decyzje powzięte na Krymie o zwołanie konferencji czołowych osobistości polskich w celu stworzenia rządu jedności narodowej, który by możliwie szeroko i prawdziwie reprezentował naród polski, który by miał uznanie trzech głównych mocarstw". /56/

Rozmowy Mikołajczyka w sprawie składu Tymczasowego Rządu Jedności Narodowej odbywały się w dniach trwania procesu 16-tu...

O dramacie aresztowanych poinformowała przedstawiciele Narodów Zjednoczonych na konferencji założycielskiej ONZ w San Francisco Rada Jedności Narodowej, przypominając w swym apelu z 3 maja 1945 r.:

"Komendant rozwiązanej Armii Krajowej, przedstawiciele polskiej partii niepodległościowych, przyjęli w porozumieniu z rządem w Londynie zaproszenie reprezentanta naczelnego dowództwa armii sowieckiej, gen. Iwanowa, na rozmowy /.../ Strona sowiecka zapewniła naszej delegacji swobodę bezpośredniego porozumienia się z rządem w Londynie, obiecując udostępnienie komunikacji samolotowej oraz pełną gwarancję bezpieczeństwa osobistego. Dnia 26 marca br. delegacja nasza została wywieziona z miejsca wstępnych narad sowieckich samochodami i od tej chwili ani kraj, ani też rząd polski w Londynie, mimo interwencji ambasadora brytyjskiego w Moskwie, nie posiadają żadnych wiadomości o przebiegu pertraktacji, ani nawet o miejscu pobytu i warunkach życia delegacji Polski Podziemnej". /57/

Oficjalny komunikat TASS o aresztowaniu gen. Okulickiego i innych przywódców Polski Podziemnej, w odpowiedzi na interpelacje brytyjskie, ukazał się 5 maja 1945 r. i mówił o "ohydnym obliczu gen. Okulickiego".

"Grupa gen. Okulickiego - podkreślał komunikat - a szczególnie on sam, oskarżeni są o przygotowywanie aktów dywersyjnych na tyłach Czerwonej Armii, skutkiem czego ponad 100 oficerów i szeregowych Armii Czerwonej zostało zabitych". /58/

Nazajutrz po tym komunikacie rząd Tomasza Arciszewskiego w apelu do przewodniczącego Konferencji w San Francisco zwrócił się z prośbą o poczynienie starań dla zwolnienia aresztowanych przywódców Polski Podziemnej. /59/

W obronie gen. Okulickiego i innych przywódców interweniował u prezydenta Trumana i u premiera Churchilla 16 czer-

wca 1945 r. prezydent Raczkiewicz, który zaznaczał:

"Proces przeciwko przywódcom politycznym jednego z Narodów Zjednoczonych przed sądem drugiego - musi być uważany jako wrogie wystąpienie przeciwko Narodowi Polskiemu, sprzeczne z proklamowanymi zasadami Narodów Zjednoczonych o celach wojny i pokoju. Proszę więc Pana, Panie Prezydencie, aby użył Pan wszelkich możliwych środków jakie są w pańskiej dyspozycji, by zapobiec tak bolesnej niesprawiedliwości, która może spotęgować poczucie, że Naród Polski jest traktowany w sposób krzywdzący i wywołać głębokie oburzenie całego cywilizowanego świata". /60/

Ani Churchill, ani Truman nie interweniowali osobiście u Stalina w obronie polskich przywódców, zrobili to jedynie za pomocą swych ambasadorów. Niestety, w tej sprawie nie było oburzenia cywilizowanego świata, który zaakceptował powołanie Tymczasowego Rządu Jedności Narodowej z udziałem Mikołajczyka, Kiernika i Stańczyka.

Na wieść o powołaniu wspomnianego rządu Rada Jedności Narodowej i Krajowa Rada Ministrów postanowiły rozwiązać się. W odezwie do narodu, z 1 lipca 1945 r., Rada podkreślała:

"Zwabioną podstępnie "szesnastkę" więzi się i stawia ją przed sąd obcego mocarstwa, gdzie oskarża się ją o różne niepopoknione zbrodnie, zmusza się do okrutnego samoponiżenia i skazuje w sądzie rosyjskim. Jak maltretowano tych ludzi, jakie stosowano sposoby, aby doprowadzić ich do tego stanu? Ponura tajemnica tego znana jest tylko tym, którzy inscenizowali już podobne procesy trockistów i wodzów Armii Czerwonej.

Nie chcemy wglądać w kulisy metod obecnego reżimu rosyjskiego. Wiemy tylko jedno, przebiera się miara cierpliwości Narodu Polskiego. Możemy znieść wszystko prócz jednego, prócz deptania naszego honoru i poniżania godności narodowej". /61/

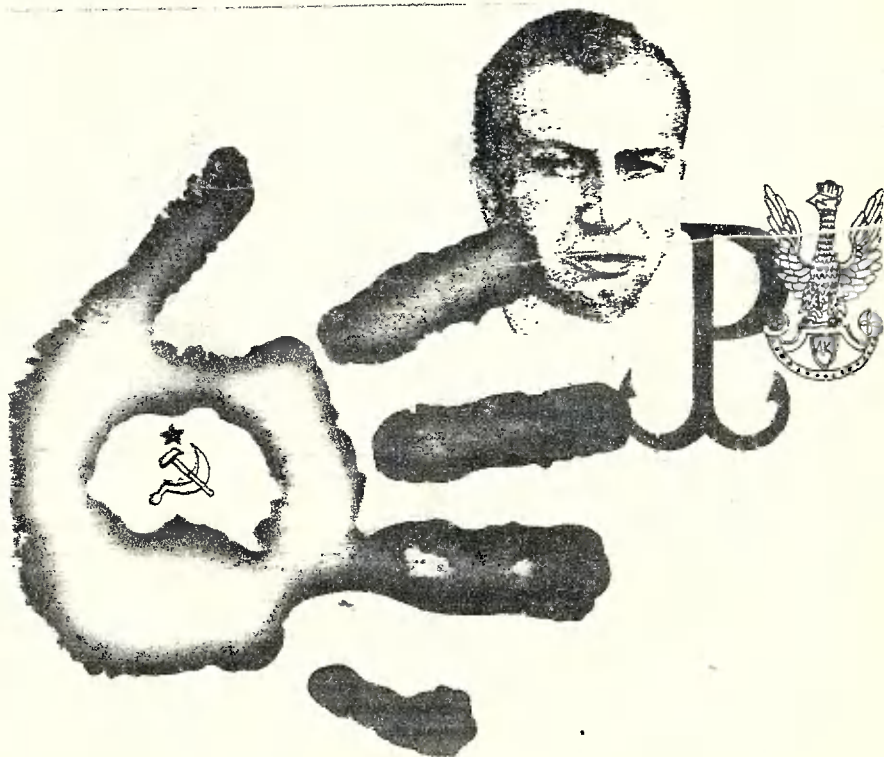
Wiernym tej deklaracji pozostał do ostatnich chwil swego życia gen. Leopold Okulicki - tragiczny bohater Polski Walczącej. Zmarł w więzieniu w niewyjaśnionych okolicznościach 24 grudnia 1946 roku.

Czy zmarł na serce, czy został zastrzelony, jak twierdzą koledzy? Nie wiemy. Mniejmy nadzieję, że wkrótce znać będziemy szczegóły tragicznej śmierci Generała.

Marian Marek Drozdowski

Przypisy w artykule Mariana Marka Drozdowskiego odnoszą się do następujących pozycji bibliograficznych:

1. Armia Krajowa w dokumentach 1944-1945, tom V, Londyn 1981 /przyp.: 29, 30, 40, 41, 42, 45-53, 56-61/.
2. Ludwik Głowacki: Obrona Warszawy i Modlina 1939, na tle kampanii wrześniowej. Warszawa 1985 /przyp.: 6-8/.
3. Stanisław Kopański: Wspomnienia wojenne 1939-1946. Londyn 1972 /przyp.: 4, 5, 33, 43, 44/.
4. Jerzy R. Krzyżanowski: Generał. Londyn 1980 /przyp.: 3, 11, 55/.
5. Jan Nowak /Zdzisław Jeziorański/: Kurier z Warszawy, Londyn 1978 /przyp.: 9, 24-28, 31, 32, 34-39/.
6. Kazimierz Sosnowski: Materiały historyczne. Zebrał i przypisami zaopatrzył Józef Matecki. Londyn 1966. /przyp.: 54/.
7. J. F. Steiner: Warszawa 1944. Powstanie. Warszawa 1984 /przyp.: 1, 2, 10, 12-23/.



Nożem w plecy

Sposoby postępowania, które w czasach wojny peloponeskiej stanowiły regułę, w nowszej dobie historii zdarzają się już tylko jako wyjątek. Lecz próżno przeczyć aż za dobrze stwierdzonym faktom: nawroty barbarzyństwa, działanie wbrew dorobkowi kultury są możliwe.

/Paweł Jasienica - "Rozważania o wojnie domowej"/

Ilu było tych Kmiciców! Nie ma książki poświęconej partyzantskim dziejom II wojny światowej, aby nie znalazło się co najmniej kilka osób używających tego pseudonimu, zaczerpniętego z powieści Henryka Sienkiewicza. Świadczy to niewątpliwie o pochyłości "Potopu", ale także i o czymś więcej. Kmicic to również określony typ bohatera: lekkoduch, zawiadziak, hajdamacka dusza, niekiedy okrutny, ale pełen brawury, a nieraz i dzikości, bezwzględny a jednocześnie tkliwy, grzeszny, ale i pokutujący. Pasuje to więc do tego specyficznego rodzaju wojska, w którym normy moralne ulegają nadwątleniu, prawo nabiera specyficznego posmaku, wyrok splata się z egzekucją. "Partyzanci - pisze Tadeusz Konwicki - nie przeprowadzają wielkich bitew i nie zajmują wielkich obszarów. Oczywiście, czasem się zdarzało zdobywanie miasteczek, ale tylko po to, żeby na przykład rozbić więzienie lub urząd gminny, a potem jak najszybciej się wycofać. Można było rozbić posterunki milicji, a nie zajmować okopy i trwać. Jest to więc rodzaj wojny włóczągowskiej, policyjnej i egzekucyjnej. W sumie więc partyzantka posiada zupełnie odmienne oblicze i charakter." /1/

^{x/} Fragment książki przygotowywanej przez autora /pseudonim/ na temat dziejów wileńskiej Armii Krajowej. Całość ukaże się w druku nakładem Wydawnictwa MOST. Tytuł fragmentu i śródtytuły pochodzą od redakcji. /red./

Antoni Burzyński wychował się na Sienkiewiczzu, ale swój pseudonim przybrał nie tylko z sentymentu do bohatera "Potopu"; ukrywał się w 1939 r. w Kiejdanach, miejscowości upamiętnionej w Trylogii i stąd może ów pseudonim. Charakterologicznie w niczym nie przypominał Kmicica, był raczej spokojny i zrównoważony. Wczesnie stracił ojca i chowany był w duchu patriotycznym przez matkę, która z trudem dźwigała ciężar utrzymania dość licznej rodziny; dużo czytał, lubił przede wszystkim utwory historyczne. Był towarzyski, ale raczej małomówny. Jak na młodego oficera, posiadał głęboką wiedzę i sporą dawkę inteligencji. Władał biegle tureckim i rosyjskim, potrafił również porozumiewać się po niemiecku. Po ukończeniu gimnazjum im. Zygmunta Augusta w Wilnie, 20 września 1933 r. wstąpił na Dywizyjny Kurs Podchorążych Rezerwy Piechoty 5 p.p. Legionów i uzyskał tytuł podchorążego rezerwy oraz stopień wojskowy plutonowego z cenzusem. Podjął pracę w wileńskiej DOKP i rozpoczął studia w Wyższej Szkole Nauk Politycznych przy Instytucie Naukowo-Badawczym Europy Wschodniej w Wilnie. Ukończył ją w przededniu wojny. Zaświadczenie, wydane zamiast świadectwa o absolutorium, nosi datę 1 września 1939 r. /2/

W 1938 r. otrzymał awans na podporucznika. W kampanii wrześniowej wziął udział jako adiutant płk. Stanisława Szulejki, z którym 18 września przekroczył granicę litewską i został internowany w obozie w Kułatowie /Kulautuva/, 20 km na zachód od Kowna. Dzięki pomocy rodziny Oszurków z Żejm, od których otrzymał cywilne ubranie i dokumenty na nazwisko Czechowicz, udało mu się wydostać z obozu. Po ucieczce przez pewien czas tułał się po Litwie w zamożnych domach ziemiańskich, u państwa: Kozaryków, Kilczewskich, Montwiłłów. W grudniu 1939 r. powrócił do Wilna i na Boże Narodzenie ożenił się z córką emerytowanego kapitana, Stanisławą Bukowską, tak jakby chciał zakpić z losu, na przekór wojnie żyć normalnie.

Kiedy rozpoczął pracę w podziemiu, dokładnie nie wiadomo. Żona wspomina jego towarzyskie kontakty z płk. S. Szulejką i mjr. Antonim Olechnowiczem, jednym z pierwszych organizatorów podziemia, a później ostatnim dowódcą AK na Wileńszczyźnie. Wiadomo, iż Antoni Burzyński planował wyjazd na Zachód w 1940 r. z płk. Szulejką. Antoni nie pojechał jednak; zwierzył się natomiast żonie, że został na miejscu wskutek nalegań kolegów. Jacy to byli koledzy, nie wiadomo. W każdym razie po zajęciu Wileńszczyzny przez Niemców był już wciągnięty w życie konspiracyjne.

Jesienią 1941 r. został aresztowany przez litewską "Saugumą" /służbę bezpieczeństwa na usługach niemieckich/, ale po kilku dniach wypuszczono go. W kilka dni później opuścił Wilno, urządzając się w Swirze, miasteczku położonym ok. 70 km na północny wschód od Wilna, nad jeziorem o tej samej nazwie, zaś jego żona zamieszkała w posiadłości swego stryja, w położonym między Łyntupami i Postawami Polesiu.

W Świrze pracuje w zarządzie drogowym, ale przede wszystkim organizuje siatkę konspiracyjną, w skład której wchodzi ludzie ze Świra i Kobylnika. Właśnie do Kobylnika przenosi się Burzyński pod koniec 1942 r. i tu, pod przybranym nazwiskiem Nurmo, pracuje w gospodarstwie rybackim nad jeziorem Narocz.

Ma 28 lat. Studia politologiczne, odbyte w Instytucie Naukowo-Badawczym Europy Wschodniej - o którym Jerzy Putrament wyrażał się ironicznie, że był siedliskiem antykomunizmu - otworzyły mu oczy na świat, zaś przedsmak tego, czym może być nowoczesne barbarzyństwo dał mu kontakt z litewską Saugumą i smutne doświadczenia pierwszej okupacji sowieckiej. Do bibliotek instytutu, w latach trzydziestych, schodziła się cała lewica wileńska, bo były tu książki zakazane o ZSRR i o Rosji, w których zaczytywały się panienki z dobrych domów. Na uczelni tej wykładał m.in. prof. dr Marian Zdziechowski, surowy krytyk Traktatu Ryskiego i doskonały znawca Rosjan, ostrzegający przed komunizmem na długo przed wojną.

Niewiele wiemy o poglądach Antoniego Burzyńskiego. Był intelektualistą, ale przede wszystkim był pragnącym działać człowiekiem czynu i to go wyróżniało spośród tylu innych. Idea utworzenia oddziału partyzanckiego była jego własnym pomysłem, ale uzyskał nań dość szybko zgodę Komendy Wileńskiego Okręgu Armii Krajowej.

POCZĄTKI PARTYZANTKI NA WILEŃSZCZYZNIE

W dyskusjach, jakie toczyły się na temat tworzenia oddziałów partyzanckich w sztabie wileńskiego AK, do końca 1942 r. przeważało stanowisko negatywne. Do upadku Francji ludzono się ciągle jeszcze, że wojna nie potrwa długo, a więc tworzenie oddziałów byłoby bezsensowne. Potem uważano, że jest jeszcze za wcześnie na tworzenie oddziałów leśnych, że pociągnęłoby to za sobą niepotrzebne straty w ludziach. Sytuacja na froncie wschodnim była jeszcze niestabilizowana, Niemcy odnosili sukcesy i nie było jasne, jak daleko uda im się posunąć i czym skończy się kampania rosyjska. Istniało niebezpieczeństwo, iż zakończenie kampanii na Wschodzie może nastąpić bardzo szybko i powracająca, zwycięska armia niemiecka może spokojnie przecesać lasy, likwidując oddziały partyzantów sowieckich. Wszystko to razem skłaniało do ostrożności w rozbudowie ruchu partyzanckiego. Istniała zresztą wyraźna instrukcja rządu, która mówiła o tym, że walka czynna w kraju ma się sprowadzać przede wszystkim do samoobrony, że "należy się powstrzymać od wszelkiej akcji, która by mogła spowodować represje zarówno niemieckie, jak i sowieckie wobec ludności polskiej". 737

Było to w owym czasie stanowisko realistyczne i słuszne. Wielokrotnie wykorzystywano je później jako argument przeciwko Armii Krajowej, zapominając zarówno o czasie, w jakim te instrukcje były wydawane, jak i o okolicznościach.

W diametralnie różnym położeniu znajdowały się oddziały partyzantki sowieckiej. Zaskoczenie Rosjan agresją niemiecką było całkowite.

"Zdaje się - pisał Józef Mackiewicz - że w ogólnej ucieczce tylko NKGB zachował postawę, czuwając, by możliwie mała liczba skazańców uszła przewidzianej kary. Cała reszta rozpadła się w oczach. Ludzie partyjni uciekali piechotą, z teczką w rękę, przez rojsty, na przejał! Po rowach leżała amunicja, zepsuteczołgi, połamane wozy, rozdęte na upale trupy koni. Zbuntowany oddział żołnierzy litewskich zdążył jeszcze zaatakować bolszewików w koszarach za Wilią i koło mostu tzw. "strategicznego". I to już był prawie koniec. Kancelarie, archiwa, maszyny do pisania z wkręconym papierem, rodziny oficerów, wszystko to pozostało." /4/

Ataku się nie spodziewano i 22 czerwca 1941 r. o godz. 3.30 rosyjskie oddziały, wycofujące się w nieładzie i w panice, pozostawiły liczne pododdziały, z których nie wszystkie jednak dostały się w ręce niemieckie. Posuwanie się Niemców było tak szybkie, że w terenie, na tyłach frontu, pozostały całe kompanie Armii Czerwonej, nie mówiąc już o licznych maruderach. Te właśnie niedobitki stanowiły podstawę przyszłego ruchu partyzanckiego. Zresztą tych źródeł było więcej: żołnierze, którzy wydostali się jakoś z kotłów niemieckich, członkowie aparatu partyjnego i administracyjnego, którzy nie zdążyli się ewakuować, żydzi zbiegli z gett i jeńcy wojenni, którym udało się uciec z niewoli. Wszyscy ci ludzie przeżyli trudne pierwsze miesiące, a zwłaszcza zimę 1941 roku, tylko dzięki pomocy ludności cywilnej, białoruskiej i polskiej. Zanim bowiem te pojedyncze grupki okrzepły, zanim powstały i zorganizowały się brygady partyzanckie, musiał upłynąć pewien czas, a żyć trzeba było każdego dnia.

Nic więc dziwnego, że w tym pierwszym okresie oddziały te nie podejmowały żadnych większych akcji przeciwko Niemcom. Nastawione były przede wszystkim na przeżycie. Ich naczelnym zadaniem było przetrwać, znaleźć oparcie w terenie. I takie oparcie znajdowały, a mamy tego liczne przykłady. Mówił zresztą o tym w swoim sprawozdaniu Szef Centralnego Sztabu Ruchu Partyzanckiego, P. Ponomarenko /25 XII 1942 r./:

"Ludność wsi polskich aktywnie wspiera partyzantów, przekazuje oddziałom informacje o zdrajcach, zawiadania o pojawieniu się w okolicach oddziałów policji itd... Oddziały polskiej samoobrony /chodzi o sieć terenową AK - przyp. aut./ prowadzą walkę przeciwko Niemcom i policjantom o niezależną Polskę. Do swoich oddziałów przyjmują Polaków i Rosjan, głównie jeńców wojennych. Stosunek uczestników polskiej samoobrony do partyzantów radzieckich jest najbardziej przyjazny... /podkr. aut./ Kierownicy organizacji związanych z wileńskim centrum twierdzą, że sympatyzują z oddziałami partyzanckimi i gotowi są im pomóc materialnie i ogólną informacją. Niektórzy obszarnicy, mający kontakt z tymi organizacjami, przekazali oddziałom partyzanckim "Mstitiel" i "Borba" zboże i bydło. Sami jednak ograniczają się tylko

do agitacji, mają zamiar czekać, organizować się i uzbrajać, gdyż - ich zdaniem - nie nadszedł jeszcze czas na wystąpienie, front jest daleko i nie chcą daremnego przelewu krwi ludności polskiej." /5/

Jak widać z tego sprawozdania człowieka bądź co bądź najbardziej kompetentnego, jego ocena postawy Polaków i konspiracji polskiej w stosunku do Rosjan jest wyważona, ostrożna, ale jednocześnie wyraźnie pozytywna. Postawa ta będzie się zmieniała wraz z upływem czasu, wraz z krzepnięciem ruchu partyzanckiego i zmianą sytuacji politycznej.

W sposób naturalny, a więc odmiennie, ukształtował się na tym terenie polski i sowiecki ruch podziemny. Rosjanie od końca 1941 r. budują swoją organizację w oparciu o oddziały leśne, które powoli wzmacniają i zaopatrują z powietrza. Polacy zaś najpierw budują podstawy konspiracyjne w miastach i osiedlach, tworzą siatkę konspiracyjną, a dopiero w drugim rzucie tworzą oddziały leśne. Pisze o tym m.in. Janusz Prawdzic-Szlański, mając na myśli przede wszystkim rejon Nowogródzczyzny:

"Rosjanie zrzucali na tereny leśne grupy spadochronowe, rozbudowywali oddziały partyzanckie, Polacy odwrotnie najpierw budowali podstawy konspiracyjne. Rosjanie tworzyli także siatkę. Przystąpił specjalnie z Rosji NKWD-dziści budowali w terenie siatkę wywiadu, nastawioną na rozpracowanie czynnie pracujących członków polskiego ruchu podziemnego i likwidowali przywódców." /6/

To ostatnie zdanie odnosi się jednak raczej do okresu późniejszego. Na razie jesteśmy w 1942 r. Jest również rzeczą oczywistą, iż polskie oddziały, oparte przede wszystkim na ludności miejscowej, musiały z tą ludnością utrzymywać jak najlepsze stosunki. Tylko bowiem w sytuacji, kiedy partyzant mógł znaleźć w zaścianku, na wsi, w leśniczówce, strawę, wygodne postanie i bezpieczną kryjówkę, a przede wszystkim pewną informację - mógł przeżyć. Ale dwa ruchy partyzanckie na tym samym terenie - to za dużo dobrego, zwłaszcza dla ludności miejscowej, która musiała te tysiące nakarmić i ubrać. Oddziały sowieckie, złożone z bardzo różnego elementu /i to raczej nie miejscowego pochodzenia/ mniej się patyczkowały, często wymuszając i rekwirując to, co im było niezbędne do życia. Polacy byli bardziej wstrzemięźliwi, chociaż i tu różnie bywało. Świadczona wsi, w miarę jak ruch rozwijał się, a sytuacja materialna pogarszała, były dla niej ogromnym ciężarem. W pierwszej fazie wojny liczne oddziały napadały na wsie i często grabiły bez pardonu. Nieraz w ciągu jednej nocy zdarzały się przypadki kilku takich odwiedzin. Oprócz zorganizowanej partyzantki sowieckiej, pojawiły się również, w 1943 r., komunistyczne oddziały białoruskie, litewskie i żydowskie, które żyły z bandytyzmu i nakładanych siłą kontyngentów żywności, stwarzając dla mieszkańców tych ziem dodatkowe obciążenie. /7/

Powstał więc problem ochrony przed napadami i rabunkiem ze strony luźno chodzących grup sowieckich, w poszczególnych osiedlach tworzone więc własne oddziały samobrony. Powstawały rów-

niez zazwyczaj problemy podziału stref wpływów, kontroli nad terenem itd., wszystkie te kwestie były w terenie rozwiązywane na ogół kompromisowo, z pewnymi zadrażnieniami, ale bez większych konfliktów.

ODDZIAŁ KMICICA

Antoni Burzyński uciekł z Wilna przed litewską Sagumą, w której ręce wpadł przypadkowo, a że takich "spalonych" członków konspiracji było coraz więcej, trzeba było coś z nimi zrobić. Chodziło również o zademonstrowanie zbrojnej obecności na tych terenach. Antoni Burzyński /ps. Kmicic/ utworzył na przełomie 1942/43 r. organizację terenową w rejonie: Duniłowicze-Miadzioł-Wiszniów-Swir-Michaliszki-Postawy, przy współdziałaniu inspektora Obwodu C /powiaty postawski i dziśmiński/ mjr. Stefana Święchowskiego /ps. Sulima, Kalina/, który ukrywał się w zaścianku Jazgunowszczyzna oraz przy pomocy rtm. Józefa Soroko /ps. Siwy/, właściciela zaścianka Leonowo.

Świrska sieć konspiracyjna powstała dużo wcześniej, bo już w 1940 r. Kadłubowy batalion tej sieci /"Światosław"/ utworzony został jeszcze za czasów sowieckiej okupacji i dowodził nim Józef Romejko /ps. Klin/, a funkcje dowódców kompanii w batalionie sprawowali: Antoni Rymsza /ps. Maks/ i Aleksander Pomas /ps. Protazy/. Organizacja miała swoje rozgałęzienia. W zaścianku Radziusze działał Mikołaj Radziusz, w Kobylniku - Sylwester i Tadeusz Jachimiakowie oraz rodzina Błażewiczów, Władysław Celuch i inni, zaś w Kupie nad Naroczą - bracia Głowaccy. Łącznikiem z komendą Okręgu była Wanda Kolaszińska /ps. Babcia/, postać niesłychanie barwna i ciekawa.

W styczniu 1943 r. w Niećkach, u Józefa Romejko, odbyło się spotkanie z por. Antonim Burzyńskim, w którym uczestniczył także Antoni Rymsza i na którym omawiano ideę utworzenia oddziału.

W dzień Zwiastowania Najświętszej Marii Panny, 25 marca 1943 r., Kmicic zaprzyściągł w domu państwa Kursewiczów czterech swoich pierwszych partyzantów: Akację, Graba, Alfonsa i Olka /syna płk. S. Szułejki/ i tego samego dnia wyruszył, przez zaścianek Cielaki i zamarznięte jeszcze jezioro Narocz, do schroniska Niesłuczy. Następnego dnia przybył do zaścianka Leonowicze koło Swira, gdzie w domu u państwa Kowiako spotkał się z Antonim Rymszą /Maksem/ i jego ludźmi. Po kilku dniach Maks wyruszył ze swoim konnym oddziałkiem w kierunku Kiemieliszek i Łyntup, w celu zebrania ukrytej broni, a Burzyński, z resztą oddziału, zaszył się w zaścianku Dobrzyń u państwa Mackiewiczów.

Na początku była to garstka żołnierzy, niewielki oddział, który jednak szybko rozrastał się, zdobywając sławę w okolicy, we wsiach, zaściankach i miasteczkach swoimi brawurowymi akcjami. Pierwszą, znaczącą akcją był atak na niewielką sta-

cję kolejową Geladnia /koło Michaliszek/. Kmicic wszedł w porozumienie z Józefem Wiśniewskim /ps. Ostróg/, zatrudnionym na tej stacji i dokonał ataku na dworzec i magazyny. Zniszczono urządzenia stacyjne, zdobyto zapasy i pewną ilość broni, a sam Wiśniewski, wraz z kilkoma ludźmi, dołączył do oddziału.

Odpoczywający po akcji w zaścianku Józefowo koło Śwęcian oddział został zaatakowany przez silną grupę Litwinów i musiał po walce wycofać się, przez bagienny las, do wsi Kraski i stamtąd do zaścianka Leonowo, do rtm. Józefa Soroki, gdzie tradycyjnie już znajdował schronienie.

Jest piękna wiosna 1943 r., oddział stacjonuje w Ludwinowie. Przybywają doń coraz to nowi ludzie: Władysław Chojecki /ps. Podbięta/ ze swoimi ludźmi, Zbigniew Rudzki /ps. Bachus/, Kazimierz Wróblewski /ps. Janusz/ nauczyciel z Kobylnik, Bolesław Bzażewicz /ps. Budzik/, którego brat /ps. Świt/ przygotowuje już w tym czasie akcję na Duniłowicze.

Odbывая się rozmowy z wysłannikami przybyłymi z Okręgu. Wychodzą patrole organizujące broń i amunicję. Trwa szkolenie ludzi. W pobliskich miejscowościach nawiązuje się współpraca z policją białoruską, która także tworzy własną konspirację. Kilkunastu takich partyzantów z policji białoruskiej w Miadziole przyłącza się do oddziału, m.in. Julian Kończak /ps. Hermes/, Roman Brycki /ps. Czarny/, Antoni Zwieruchno /ps. Koliber/. Franciszek Polakiewicz /ps. Ben Hur/. Dołącza do oddziału również nauczyciel, ppor. rez. Zygmunt Niciński /ps. Twardowski/, z córką Danutą i Wiktor Wosiłojc /ps. Tata/ z żoną Marią /ps. Mama/ i córką Jachną.

Na początku lipca odbywa się długo przygotowywana likwidacja posterunku w Duniłowiczach. Akcję przeprowadzono wzorowo, przy udziale kilku policjantów, którzy po akcji wstąpili do brygady. Przebiegła ona bez strat własnych, zdobyto wiele broni i zapasów, zlikwidowano dwóch Niemców i kilku kolaborantów. W czasie akcji posługiwano się językiem rosyjskim, aby upozorować, iż atak przeprowadzała partyzantka sowiecka i w ten sposób uchronić ludność polską przed represjami.

Po akcji na Duniłowicze brygada liczy już 150-200 ludzi. Mają miejsce inne potyczki. Oddział Maksa /15 ludzi/ zaatakował na szosie Michaliszki-Konstantyków, koło majątku Stracza, kolumnę niemiecką i zniszczył opancerzone auto. Niemcy stracili 7 osób, zaś oddział Maksa, po rozproszeniu, wycofał się w kierunku Niedrozzli. Do potyczki z Niemcami dochodzi również koło Mikołców, na szosie z Miadzioła do Kobylnika. Podjęto także nieudaną próbę likwidacji burmistrza Koszaka w Miadziole. Zamach ten, przeprowadzony w dzień targowy przez kilku ludzi pod dowództwem Romana Bryckiego /ps. Czarny/, kończy się ucieczką przez jezioro Miastro, na którym z rąk policjantów białoruskich ginie Zygmunt Wiśniewski /ps. Stary/.

Nie sposób wyliczyć wszystkich zbrojnych potyczek oddziału. Do bardziej spektakularnych należało rozbrojenie garnizonu niemieckiego w Żoździszkach, którą to akcją bezpośrednio dowodził Kmicic. Była ona również starannie przygotowana. Najpierw do Żoździszek udało się kilku partyzantów, którzy przyłączyli

się do białoruskiej policji. Mieli oni za zadanie wspomagać od wewnątrz atakujących partyzantów. W dawnym konwikcie Jeżuitów, otoczonym murem, stacjonowało 50 Niemców i 80 białoruskich policjantów. W miasteczku znajdowały się spore magazyny, a w pobliżu był strategiczny most na Wilii. Nad ranem, 15 sierpnia, po przecięciu połączeń telefonicznych przez oddział konny Maksa, partyzanci, przebrani za Niemców i policjantów, rozbroili policję białoruską. Zdobyto dużą ilość broni, amunicji i żywności. Podpalono też most, który jednak ludność ugasiła. Oddział powrócił bezpiecznie do bazy, właściwie bez strat.

Baza znajdowała się wówczas między jeziorem Narocz a jeziorem Blado, ok. 5 km na południe od wsi Hatowicze, na wzniesieniu wśród bagien, niedaleko ujścia rzeki Naroczanki do jeziora. Położona w lesie, stanowiła miejsce postoju i leże oddziału. W dużym szałasie mieściła się kancelaria, w mniejszych biwakowali partyzanci. Kilkaset metrów dalej znajdowała się zimowa baza B, gospodarcza, gdzie wykopano ziemianki. Baza ta przylegała niemal do obozu sowieckiej partyzantki, z którą Kmicic utrzymywał poprawne stosunki. Wzajemnie się odwiedzano, planowano nawet wspólną akcję na Konstantynów, do której jednak nie doszło. Wspólne były posterunki i czujki.

BRYGADA MARKOWA

Dowódcą I Wileńskiej Brygady Partyzanckiej był Fiodor Markow, nauczyciel ze Święcian, dobrze znany Burzyńskiemu jako przedwojenny komunista, a zarazem kolega, mimo dość dużej różnicy wieku. Przy tej brygadzie stacjonował Wilejski Podziemny Komitet Obwodowy KP/b/ Białorusi i obwodowy sztab partyzancki z sekretarzem Iwanem Klimowem na czele. W 1943 roku został utworzony tam również obwodowy komitet Komsomółu z Piotrem Maszerowem. Obwód dzielił się na trzy strefy partyzanckie: południowo-wschodnią, północną i centralną. W końcu 1943 r. - jak podają źródła sowieckie - w strefach tych działało 16 brygad partyzanckich i 7 samodzielnych oddziałów liczących ogółem 9400 ludzi. /8/ Nawet jeśli są to liczby, zawyżone było to w 1943 r. dużo silniejsze zgrupowanie, niż jeszcze stosunkowo nieliczna w tym czasie partyzantka polska.

Można powiedzieć, iż oddział Kmicica znajdował się niemal w paszczy lwa. Doszło jednak do milczącej ułożenia wzajemnych stosunków, do stanu zbrojnej neutralności i omijania rejonów koncentracji sąsiada. /9/ Ale bliska obecność rosnącego w siłę oddziału Kmicica musiała budzić zainteresowanie i jednocześnie niepokój sztabu sowieckiego.

Zmieniała się również z czasem sytuacja na frontach. Po zwycięskiej bitwie pod Stalingradem inicjatywa przechodzi w ręce dowódców Sowietów. Niemcy zaczynają się cofać. W tej sytuacji coraz większego znaczenia nabiera ruch partyzancki na niemieckim zapleczu. Rosjanie wzmacniają swoje oddziały

również na Wileńszczyźnie, chociaż są one tutaj stosunkowo niezbyt liczne.

Zmiany następują nie tylko na frontach, ale także i w wielkiej polityce. W styczniu 1943 r. rząd sowiecki w nocy skierowanej do rządu polskiego powiadomił go, iż na mocy prawa obowiązującego w ZSRR, mieszkańcy ziem włączonych do ZSRR w 1939 r. stali się obywatelami sowieckimi i za takich odtąd będą uważani. Tym samym władze sowieckie nadały rangę prawną zmianie granic, dokonanej na podstawie tajnej klauzuli układu zawartego z Rzeszą Niemiecką w sierpniu 1939 r. /10/ Polska opinia na Zachodzie przyjęła to jako dowód imperialnych zamiarów Rosji, która nie zamierzała się liczyć z interesami Polski.

W lutym-marcu konflikt polsko-sowiecki zaostrzył się, w więzieniach znaleźli się pracownicy polskich placówek w ZSRR, zlikwidowano instytucje opiekuńcze, które jeszcze istniały po wyjściu armii Andersa na Bliski Wschód. Nastąpiło faktyczne zawieszenie polsko-sowieckich rokowań, prowadzonych w Moskwie przez ambasadora Tadeusza Romera. Jednocześnie w lutym 1943 r. Stalin podjął decyzję o wydawaniu pisma "Wolna Polska" i stworzeniu zaplecza dla tego pisma w postaci Związku Patriotów Polskich. To nic, że była to tylko mała liczebnie grupka, ważne, że miała wielkiego protektora. W kwietniu następuje zerwanie stosunków dyplomatycznych między rządem polskim a Sowietami. Pretekstem była sprawa katyńska, ściślej - prośba skierowana do Międzynarodowego Czerwonego Krzyża o przeprowadzenie dochodów w tej sprawie. Na tym tle ZSRR oskarżył rząd Polski o kolaborację z Niemcami. 30 czerwca następuje aresztowanie przez Niemców Grota-Roweckiego, Komendanta AK w Warszawie, a 5 lipca w katastrofie lotniczej nad Gibraltarem ginie premier i Wódz Naczelny Władysław Sikorski. Trudno o większe nagromadzenie fatalnych wydarzeń.

"WSZYSTKIMI SPOSOBAMI..."

To jest tło, na którym dopiero można zrozumieć wszystko, co w następnych tygodniach zaczęło się dziać w stosunkowo zacisznym zakątku nad jeziorem Narocz, między bagnami, gdy echa wielkiej polityki dotarły do sztabu wojsk partyzanckich. Ale na chwilę pozostawmy jeszcze w Moskwie. 22 czerwca 1943 r. na plenum KC KP/b/ Białorusi /które obradowało w Moskwie/ podjęto uchwałę "O przedsięwzięciach w zakresie dalszego rozwijania ruchu partyzanckiego w zachodnich obwodach Białorusi", a następnie rozeszono do wszystkich podziemnych komitetów obwodowych pismo okólne "O wojskowo-politycznych zadaniach pracy w zachodnich obwodach Białorusi". W piśmie tym KC KP/b/ Białorusi wskazywał:

"...podziemne partyjne i komsomolskie organizacje w swojej polityce w stosunku do burżuazyjnych nacjonalistów powinny kierować się następującymi ustaleniami: 1. Zachodnie obwody radzieckiej Białorusi stanowią integralną część Republiki Białoruskiej. Na zajęętym przez Niemców terytorium Białorusi dopuszczalna jest

tylko działalność grup, organizacji i oddziałów, które kierują się interesami mas pracujących państwa radzieckiego. 2. Istnienie różnorodnych organizacji kierowanych przez polskie burżuazyjne ośrodki należy traktować jako bezprawne wtrącanie się do spraw naszego kraju. 3. Nasze główne zadanie sprowadza się do tego, aby szerzej rozwinąć radziecki ruch partyzancki, wciągając do niego wszystkie warstwy ludności, w tym i Polaków. Nacjonalistyczne oddziały i grupy tworzone przez polskie koła reakcyjne należy izolować od ludności przez tworzenie radzieckich oddziałów i grup składających się z ludzi pracy narodowości polskiej. 4. Wszystkimi sposobami zwalczać oddziały i grupy nacjonalistyczne." /11/

Uchwała ta głosiła monopol partyzantki sowieckiej na obszarach północno-wschodnich, między granicą ustaloną w Traktacie Ryskim, a linią uzgodnioną w umowie Hitler-Stalin w 1939 r. oraz nakazywała bezwzględna walkę z oddziałami AK, lojalnymi w stosunku do Rządu w Londynie. /12/

Każda metoda była dobra. Mogło nią być demuncjowanie polskich oddziałów i oddawanie ich w ręce Gestapo, a spora część pracowników NKWD po zmianie okupanta przeszła na służbę niemiecką. Mogło nią być podstępne rozbrajanie oddziałów dotychczas współpracujących z partyzantką sowiecką. Niczego zresztą nie pozostawiono na żywioł. Oto Szef Centralnego Sztabu Ruchu Partyzanckiego, P. Ponomarienko /po wojnie ambasador ZSRR w Warszawie/, wydaje słynny rozkaz bojowy do oddziałów partyzanckich Brygady im. Stalina z 30 listopada 1943 r., który wpadł w ręce polskie w okręgu Nowogródzkim, a który nakazywał rozbrajanie oddziałów polskich "legionistów" w dniu 1 grudnia 1943 r., internowanie żołnierzy, a w razie oporu rozstrzelanie. /13/ Takich rozkazów musiało być więcej i mogły być one dużo wcześniejsze. Świadczą o tym fakty.

22 sierpnia 1943 r. odbyło się w bazie nad jeziorem Narocz podniosłe spotkanie. Dzień Żołnierza /15 sierpnia/ obchodzono tutaj o tydzień później, a uroczystość przesunięto z powodu akcji na Żodziszki. Pełny sukces przedsięwzięcia nadawał temu świętu jeszcze bardziej podniosły charakter. Przybył na imprezę mjr Stefan Święchowski /ps. Sulima/, pełniący funkcję inspektora odcinka C /powiat postawski i dzielnicki/ z Komendy Okręgu Wileńskiego. On też wygłosił patriotyczne, płomiennie przemówienie. Przekazano uroczyste sztandar ze szkoły w Maciosach, który miał teraz służyć partyzantom i który wciągnięto na maszt. /Sztandar ten uratował się, przywiozły go po wojnie do kraju córki rotmistrza Józefa Soroki z Ludwinowa./ Przybyli także członkowie organizacji terenowej i przedstawiciele społeczeństwa. Było to jakby ukoronowanie całej dotychczasowej działalności oddziału Kmicica.

Fakt, iż taka impreza mogła się odbyć, świadczył dobitnie o zmieniającej się sytuacji. Niemcy nie byli już w stanie kontrolować całego terenu, ograniczając się do panowania nad miastami i ważnymi punktami strategicznymi. Obsadzali tzw.

Stützpunkty i dozorowali linie komunikacyjne, od czasu do czasu organizując krwawe wyprawy dla ściągania kontyngentów żywnościowych, a także wypadły przeciwko oddziałom partyzanckim, jeśli za bardzo założyły im za skórę. W nocy nie odważali się jednak wysuwać nosa poza swoje bunkry, a w dzień tylko w grupie i w uzbrojonych oddziałach. Las, bagna i niedostępne moczary, to były tereny, którymi niepodzielnie władali partyzanci.

Święto minęło i w oddziale Kmicica życie wróciło do normy. Liczne patrole wyszły na swoje zajęcia. Jedni po obrok dla koni, do młyna, inni po spodziewanych wysłanników z Wilna, jeszcze inni na rozpoznanie. Antoni Burzyński prowadził rozmowy z Markowem na temat wspólnej akcji na garnizon niemiecki w Miadziole.

ZDRADA

26 sierpnia 1943 r. komendant oddziału miał udać się rano na dalszy ciąg rozmów z partyzantami sowieckimi. Sanitariuszka "Lalka" /Lidia Lwow, późniejsza żona Łupaszi/ zaniósła mu rano śniadanie, zapamiętała, iż powiedział jej smutno, że czeka go ciężki dzień i że czuje się bardzo samotny. Nie wiedziała wtedy, co te słowa znaczą, ale dobrze je zapamiętała. Do sowieckiej bazy udali się razem z komendantem ppor. J. Wiśniewski, Ostrog - szef sztabu, ppor. Zygmunt Niciński /ps. Twardowski/, ppor. Wiktor Wosiłojec /ps. Tata/ i ppor. Jerzy Ziemiński /ps. Prus/ oraz Sylwester Jachimiak. W czasie rozmów, kiedy wszyscy byli pochyleni nad mapami, Polacy zostali zniemacka zaskoczeni z tyłu i rozbrojeni, a następnie aresztowani. Przesłuchiwano każdego osobno. Z tej grupy, liczącej razem z obsługą dziesiątki osób, uratowały się tylko trzy: Ostrog, Twardowski i Tata. Wszystkich pozostałych rozstrzelano.

Tymczasem w bazie polskiej nikt nie wiedział, co się stało z dowódcą. Około godziny 14.00, tego samego dnia, zjawili się w obozie Rosjanie. Wjechali bryczką m.in. komandir Sudarikow i komandir Szankow; byli to ludzie znani polskiemu partyzantom, wpuszczono więc ich bez przeszkód. Był z nimi któryś z członków delegacji polskiej, ale nie udało się ustalić, kto to był. Rosjanie zarządzili natychmiastową zbiórkę wszystkich żołnierzy, bez broni! To wzbudziło niepokój szefa bazy Edwarda Kilczewskiego /ps. Ostrowski/, który krzyknął: Chłopczy, z bronią do mnie! Ale w tym momencie skierowały się w niego pepesze sowieckich komandirów i Ostrowski rozkazał: Rzucić broń! Rozległy się strzały, otaczający oddział partyzanci sowieccy otworzyli ogień ponad głowami Polaków. Słychać było spadające gałęzie. Wszystkim kazano położyć się na ziemi. W tym momencie stojący na warcie Franciszek Szurpicki /ps. Brzózka/ nie wytrzymał nerwów i rozerwał się granatem. Wybuch urwał mu głowę i oble ręce. Z gałęzi zwisały jego wnętrzności.

Zaskoczenie było całkowite i poza tym jednym desperackim odruchem wszystko odbyło się gładko. Przewaga żołnierzy sowieckich była wielka, bowiem obok oddziałów Markowa ściągnięto

także ludzi z innych brygad. Partyzantów polskich rewidowano pojedynczo i wyprowadzano, każąc się kłesać w przeszukanych najpierw szalaszach. Po jakimś czasie przybył do bazy Fiodor Markow. Jeńców wyprowadzono z szalaszów i kazano im usiąść. Przemówił do nich Markow:

"Dostałem rozkaz z Moskwy, żeby polski oddział "obezbroić", wykonując ten rozkaz "obezbroiłem" was, a ponieważ obeszło się bez większych incydentów, to znaczy, że wyście zrozumieli, że wasze dowództwo partyzantki polskiej prowadziło wrogą politykę w stosunku do Związku Radzieckiego. Więc nie macie się czego obawiać. Nikomu z was nic się nie stanie. Daję wam na to oficerskie słowo honoru. Dostaniecie broń i nowe dowództwo".

Następnie kazano ustawić się dwójkami, po obu stronach każdej dwójki stanęło z boku dwóch partyzantów sowieckich z pepeszami i cały oddział przeprowadzono do bazy gospodarczej, która także była już rozbrojona i otoczona gęstym kordonem wart. Zapadł zmierzch. Rosjanie kazali się wszystkim położyć na ziemi w odległości kilku metrów od siebie, co kilka kroków stał wartownik. Całą noc płonęło ognisko.

W następnym dniu, od rana, rozpoczęły się przesłuchania. W baraku siedzieli dwóch śledczych, tłumaczem był, przybyły niedawno do oddziału Kmicica, komendant policji białoruskiej z Miadziocza, Smoleński. Przesłuchiwanym dzielono na dwie grupy. Jednym pozwolono niemal swobodnie poruszać się po bazie, otoczonej jednak ścisłym kordonem, innych kierowano na niewielki pagórek pod sosną. Tych pilnie strzeżono. Pod sosną znalazło się około 80 osób. W ostatniej chwili udało się odłączyć od tej grupy Szpagatowi, Drugiemu i Ursusowi. Pozostałych nikt nigdy już więcej nie zobaczył. Odprowadzono ich do bazy sowieckiej i ślad po nich zaginął. Wszystko wskazuje na to, iż zostali rozstrzelani w lesie, niedaleko bazy litewskiej partyzantki. Również do bazy sowieckiej doprowadzeni zostali z domów i rozstrzelani: rtm. Józef Soroko z Ludwinowa, Piotr Błażewicz z Kobylnika, Henryk i Tadeusz Głowaczy z Kupy oraz Nikodem Proteas ze wsi Horby.

OSTATNI ŚLAD

Co się stało z Kmicicem, nie wiadomo. Lidia Lwow /ps. Lałka/ opowiadała, iż zabrano ją do bazy sowieckiej, gdzie najpierw siedzieli w bunkrze z Józefem Wiśniewskim i Michałem Klewiado. Przesłuchiwał ją oficer, zwany Dziadzią Wanią i namawiał, aby przyłączyła się do nich, dowodząc, iż jest Rosjanką z pochodzenia. Kiedy odmówiła, zaprowadzono ją do innej ziemianki, w której siedział Kmicic oraz nieznanymi jej młody człowiek. Kmicic nie odzywał się. A młody człowiek co jakiś czas wpadał w furję i wykrzykiwał, że jest niewinny, tupał i bił pięściami w ścianę. Minęła noc i dzień. Następnego dnia młody człowiek, krzycząc z białoruska po polsku, otworzył drzwi i usiłował wybiec. Posypały się strzały. Ran-

nego zabrano. Kiedy zostali sami, Kmicic zaczął rozmowę. Uważał, że ów młody człowiek mógł być prowokatorem, który miał dowiedzieć się, o czym będą mówić ze sobą. Powiedział Lalce, że spodziewa się, iż będą jeszcze z nim prowadzić rozmowy i być może nawet zabią go do Moskwy. Dwa razy przynosili mu jakieś lekarstwa. Przed zachodem słońca zabrali go z ziemianki, do której więcej już nie wrócili. Lalka spała jeszcze w ziemiance, ale warty sprzed niej zabrano. Rano powiedziano jej, że jest wolna i może wrócić do swoich. Zabrała się z polskimi partyzantami, którzy przywieźli rannego do polowego szpitala. Tego samego ranka spotkała jeszcze Białorusinkę, która pracowała w kuchni. Powiedziała ona, że człowiek, z którym Lidia siedziała w ziemiance sowieci zabrali do bazy liwowskiej, gdzie zwykle przeprowadzane są egzekucje.

I to jest ostatni ślad po Kmicicu. Istnieje jeszcze inna, nie sprawdzona wersja, którą opowiadała bratowa Kmicica, Helena Burzyńska. Po wojnie odwiedziła ona Świr i spotkała tam znajomego Żyda, byłego partyzanta z brygady Markowa. Z jego relacji wynika, iż Kmicica długo torturowano, że zawieszono go za związane do tyłu ręce na konarze drzewa, a gdy już wisiał, przypalali mu ogniem pięty i zdzierali pasami skórę. Miał umrzeć w czasie tortur. Zakopano go pod drzewem, na którym skończył, na terenie bazy sowieckiej. Wersji tej wykluczyć nie można. Wskazuje ona w każdym razie na atmosferę okrucieństwa tamtych lat, na obyczaje, które nie wykluczały takiego barbarzyńskiego rozwiązania. To, że Kmicica zabito, przyznali później sami Rosjanie w trakcie rozmów z polskimi partyzantami.

TRAGEDII CIĄG DALSZY

Dalsze losy resztek oddziału Kmicica, a więc tych, których nie rozstrzelano, były następujące: 27 sierpnia F. Markow przedstawił zebranym żołnierzom nowego dowódcę. Miał nim być kpt. Wincenty Mroczkowski /ps. Zapora/, który - według relacji Antoniego Rymszy, podoficera z 19 PAŁ-u - był w istocie ogniomistrzem z 19 PAŁ-u, stacjonującego w Nowej Wilejce, zwolnionym z wojska dyscyplinarnie. Markow poinformował ich także o tym, że od tego momentu będą podporządkowani władzom polskim w Moskwie, którym przewodniczy Wanda Wasilewska. Oddział, który liczył 64 osoby, miał nosić imię Bartosza Głowackiego. Rozdano im rozkalibrowane karabiny, po 5 naboji i pozwolono wrócić do bazy.

W jaki sposób Wincenty Mroczkowski znalazł się w Brygadzie Markowa, nie wiadomo. Zdaniem Wacława Beynara /ps. Orszak/, który przybył z nim do bazy, był on stróżem w pobliskim nadleśnictwie i skłynął z wyrobu wybornego bimburu. Po spaleniu nadleśnictwa utworzył z miejscowej młodzieży niewielki oddział imienia Tadeusza Kościuszki i z tą grupą grasował w sąsiedztwie partyzantki sowieckiej w powiecie brasławskim i postawskim.

W tym czasie również Niemcy utworzyli ze swoich konfidentów niewielki oddział, który zbierał informacje o zachowaniu się ludności, a przedstawiał się jako oddział sowiecki. W ten spo-

sób badano zachowanie ludności i identyfikowano współpracowników sowieckiej partyzantki. Po pewnym czasie nastąpiła pacyfikacja. Zaczęła się ona od powiatu postawskiego, a przeprowadzał ją oddział SS, Wehrmacht i miejscowa policja. Wsie okrażano, ludność zganiano do stodoł, albo większych domów i podpalano. Komu udało się uciec z płomieni, ginał od kuli. Inwentarz żywy i martwy ładowano na furmanki. Tak m.in. zginął ojciec Wacława Beynara. On sam, pracując w lesnictwie, musiał również uciekać i tak trafił do oddziału Mroczkowskiego. W Klonowym Ostrowie, gdzie czekał z żoną, córką i synem Mroczkowskiego na jego powrót, spotkał przypadkowo Mieczysław Kitkowski /ps. Kitek/, dowódcę II plutonu u Kmicica, który przybył ze swoim oddziałem, aby zabrać "spalonych" ludzi z terenu i przyprowadzić ich bezpiecznie do bazy. Po dłuższej rozmowie i przedstawieniu sytuacji Wacław Beyner postanowił wstąpić do jego oddziału i został na miejscu zaprzysiężony.

- Pewnego ranka - opowiada Wacław Beynar - zjawili się kilkunastu sowieckich partyzantów, którzy aresztowali Kitka i zmusili do złożenia broni. Od nich też dowiedział się Kitek, że baza została zdobyta przez Rosjan, a oddział rozbrojony. Przez kilka dni Kitek i jego ludzie oraz Orszak z rodziną Mroczkowskiego znajdowali się pod dozorem sowieckich partyzantów. Po powrocie Zapory wszyscy razem udali się do bazy.

W trakcie rozbrajania bazy uciekli, pasący krowy, Kuczyński z Niesłuczy i kilku innych partyzantów, m.in. Henryk Mackiewicz /ps. Dziecioł/, którzy zaalarmowali organizację terenową w Kobylniku i okolicach. Wysłanych na patrol partyzantów z oddziału Kmicica, którzy nie wrócili 26 sierpnia do bazy, ostrzegano, aby już tam się nie pojawiali. Wśród tych, którzy nie byli obecni w bazie w czasie rozbrajania, był 9-osobowy patrol Żbika, który prowadził z Wilna Zygmunta Szendzielarza /ps. Łupaszko/, a także Longina Wojciechowskiego /ps. Ronin/, Zbigniewa Trzebskiego /ps. Nieczuja/ i Edwarda Swolkienia /ps. Saszka/, szwagra Łupaszki. Przybywali oni z Wilna, aby objąć szefostwo oddziału Kmicica.

W Zanaroczcu ludność ostrzegła tę grupę, opowiadając o tym, co wydarzyło się w bazie. Kiedy patrol Żbika zaczął się wycofywać, obecni w Zanaroczcu sowieci usiłowali zatrzymać go siłą. Wówczas Łupaszko, który dotychczas nie ujawniał się, objął dowództwo nad oddziałkiem i otworzył ogień do Rosjan, a następnie odskokzył do Niedroszli. Rosjanie usiłowali przez partyzantów z bazy wyjaśnić kolegom z patrolu Żbika, że "wszystko jest w porządku", że oddział polski dalej istnieje i namawiali ich, aby wrócili do bazy, ale Łupaszko nie dał się nabrać na ten podstęp. Przy okazji tej wyprawy pojedynczej uciekli od sowietów: Ursus, Długi, Okoń i Fas, przyłączając się do Łupaszki.

Minął tydzień, zaczął się drugi. Oddział Mroczkowskiego-Zapory stopniowo topniał, wychodzące po żywności patroly już nie wracały. W sumie oddział im. Bartosza Głowackiego istniał nie więcej niż trzy tygodnie. We wrześniu, oddani pod

komendę Zapory. żołnierze Kmicica, wzięli udział we wspólnej z Sowietami akcji na Miadzioł. Nie przyniosła im ona chwały. Polacy wyznaczeni zostali do rozbicia mleczarni i zarekwirowania masła i miodu, co się im w pełni udało, ale przy okazji wyszła cała różnica w sposobie postępowania obu oddziałów. Rosjanie, po zdobyciu miasteczka, całkowicie je spłądowali, paląc szkołę i kościół, przy czym szafowali również własnym żołnierzem. Zginęło około 50 partyzantów sowieckich, którzy natrafili na silne, nie rozpoznane wcześniej, zasieki z drutu kolczastego. Polacy szli z tyłu i w ataku bezpośredniego udziału nie wzięli.

Zapora tracił ludzi, ucieczki się mnożyły. Rosjanie mieli coraz mniej zaufania do tej resztki, która jeszcze pozostała. Pewnego dnia grupa partyzantów z Kitkiem na czele zmusiła do ucieczki również samego Zaporę, wyprowadzając go podstępnie z patrolem w pole. Zorientowawszy się w sytuacji, Zapora zmienił front i przyłączył się do uciekających, twierdząc, iż jest Polakiem, a u Markowa znalazł się przypadkowo. Dowodził, iż chętnie podporządkuje się wysłanemu z Wilna przez Komendę Okręgu por. Zygmuntowi Szendzielarzowi - Łupaszcze.

W Niedoroszli z resztek oddziału Kmicica powstał załazek V Brygady AK, zwanej także Brygadą Śmierci. Zapora został w niej dowódcą plutonu, ale szefostwo nie darzyło go zaufaniem i przez cały czas znajdował się pod baczna obserwacją. Obserwowano także podejrzaną o współpracę z sowiecką partyzantką lekarkę, Rosjanek, która zgłosiła się do Łupaszkii, twierdząc, iż uciekła z niemieckiego obozu. Na przełomie grudnia i stycznia 1944 r. w czasie próby ucieczki Zapora został zastrzelony. Zginął od strzału por. Jana Kozłowskiego /ps. Bohun/. Zapora był niewątpliwie postacią tragiczną, nie umiejąc dokonać wyboru. Szantażowany przez Rosjan faktem, iż posiadali w swoich rękach jego rodzinę, mijał się między jednym i drugim oddziałem. Zgubił go brak charakteru.

Czasy były coraz bardziej niespokojne. Niemcy częściej organizowali wyprawy pacyfikacyjne i sowiecka baza nad jeziorem Narocz znajdowała się w poważnym niebezpieczeństwie. Rosjanie rewantowali się, pałac m.in. właśnie nadleśnictwo, w którym pracowali Orszak i odległe od nadleśnictwa miasteczko Zamosze, wraz z kościołem i cerkwią, oraz miasteczko Jody. Nie było dnia, żeby nie płonęły wsie, dwory, zaścianki. Jedni palili w dzień, drudzy w nocy. Normalne życie stawało się koszmarem. Kto mógł uciekał albo do lasu, albo do większych miast.

FRAWDY I FIKCJE

To, co uderzające w historii oddziału Kmicica, to przede wszystkim ufne przekonanie, że z partyzantką sowiecką można się dogadać, mimo przeszłości, jaka nas dzieliła, wiara, że w obliczu wspólnego wroga możliwa jest współpraca. Po drugie, uderzająca łatwość, z jaką ludzie przechodzili z jednego oddziału do drugiego. Zręczność kadr, powiedzielibyśmy w języku dzisiejszym, łatwość zmieniania barw i chorągwi.

Historia obeszła się okrutnie z pierwszym partyzanckim oddziałem polskim na Wileńszczyźnie. Nie ma nie tylko żadnej monografii poświęconej Kmicicowi, ale wszystko, co o nim napisano jest kłamstwem. Antoni Burzyński i bohater Związku Sowieckiego, Fiodor Markow, wiele o sobie nawzajem wiedzieli, dzieliła ich co prawda różnica wieku i zapatrywania polityczne, ale Burzyński chciał odrzucić te podziały, chciał przejść ponad nimi, uważając, iż w okresie okupacji łączący nas powinna inna nienawiść. Wierzył, że współdziałanie jest możliwe. Wybudował swoją bazę w bagnach wspólnie z oddziałem Markowa, po sąsiedzku. Został podstępnie zwabiony w pułapkę, aresztowany i rozstrzelany. Markow zasłonił się rozkazem Moskwy, a rozkaz wykonać musiał. W kąć poszła wczesniejsza, niewątpliwa wzajemna sympatia, szacunek dla towarzysza broni.

Losy oddziału Kmicica, dramatyczne zakończenie współdziałania polsko- sowieckiego, rozeszły się szerokim echem po Wileńszczyźnie. W końcu podstępne rozstrzelanie 80 osób było, nawet jak na surowe obyczaje tamtych czasów, wydarzeniem niecodziennym, budzącym grozę. Ludzie, którzy przeżyli zdradzieckie rozbicie w bazie, a którzy potem tworzyli trzon V Brygady Śmierci, nieśli tę swoją gorzką świadomość dalej. I historia tej brygady, bez wiedzy o tym, co stało się z oddziałem Kmicica, jest niezrozumiała. Prowokacyjne rozbicie i likwidacja oddziału Kmicica umacniały przekonanie, iż współdziałanie z Rosjanami nie jest możliwe, że z tej strony czeka nas tylko i wyłącznie podstęp, zdrada, ślepa nienawiść.

Historia zdrwiła sobie z Kmicica również w innym sensie. W komunistycznej literaturze wspominkowo-historycznej odnotowany jest fakt utworzenia oddziału Bartosza Głowackiego i jego "dzielnego dowódcy Mroczkowskiego". Jeszcze w czasie wojny, w wydawanych w ZSRR "Nowych Widnokręgach", reporter pisał, że "bohaterki Mroczkowski został podstępnie zwabiony do obozu jednego z oddziałów "legionowych" i tam nocą w lesie powieszony". /14/ Ten sam publicysta chwali Kmicica, uważając, iż ten oddział powstał wbrew sanacyjnemu kierownictwu i zmusił to kierownictwo do zmiany taktyki w połowie 1943 r., ale intencje kierownictwa były takie: "...skoro Polacy tak bardzo chcą czynnej walki z Niemcami, trzeba stworzyć pożory tej walki, jednocześnie zaś kierować działalność oddziałów głównie przeciw partyzantce sowieckiej". /15/ Dla zilustrowania tych obu tez publicysta "Nowych Widnokręgów" posłużył się historią oddziałów Kmicica i im. Bartosza Głowackiego, zapomniał tylko powiedzieć tego, co najważniejsze, iż oddział im. Bartosza Głowackiego powstał z tego, co pozostało po dokonanej przez sowieków masakrze oddziału Kmicica, że został on stworzony siłą, pod przymusem i że rozpadł się nie z powodu prowokacji, ale dlatego, że żołnierze z niego uciekli. Te same tezy i te same błędy powtarzano później za tekstem "Nowych Widnokręgów". Popełnił je również Mieczysław Juchniewicz, przyznając co prawda, że oddział Kmicica został przez brygadę Markowa rozbrojony /16/, ale przemilczając całkowicie, jak powstał oddział im. Bartosza Głowackiego i

zrzucając winę za jego rozpadnięcie się na "podstępne zamordowanie dowódcy przez partyzantów Łupaszkę" /17/.

WARIANT "KMICIC"

W 1943 r. współpraca pomiędzy polskimi i sowieckimi oddziałami stawała się praktycznie niemożliwa. To, co było jeszcze możliwe w latach 1941 i 1942, kiedy dochodziło do współpracy na szczeblu lokalnym, po zmianie sytuacji na froncie i po powołaniu ZPP, stało się nierealne. Niestety, żądzenia w tej kwestii kosztowały nas bardzo drogo. Tymczasem, jak pisał wspomniany tu publicysta "Nowych Widnokręgów":

"Dla bojowników wolności, dla tych, którzy bili niemieckich najeźdźców, największym niebezpieczeństwem na Wileńszczyźnie byli, powtarzam - nie Niemcy, nie litewscy czy białoruscy zdrajcy hitlerowscy, lecz polskie "legiony". I to nie tylko dla oddziałów radzieckich partyzantów. Ze szczególną pasją i nienawiścią dowództwo "legionów" prześladowało patriotów Polaków, którzy nie chcieli się poddać ich nikczemnemu kierownictwu, którzy na własną rękę prowadzili czynną walkę z Niemcami i utrzymywali przyjazne stosunki z partyzantką radziecką". /18/

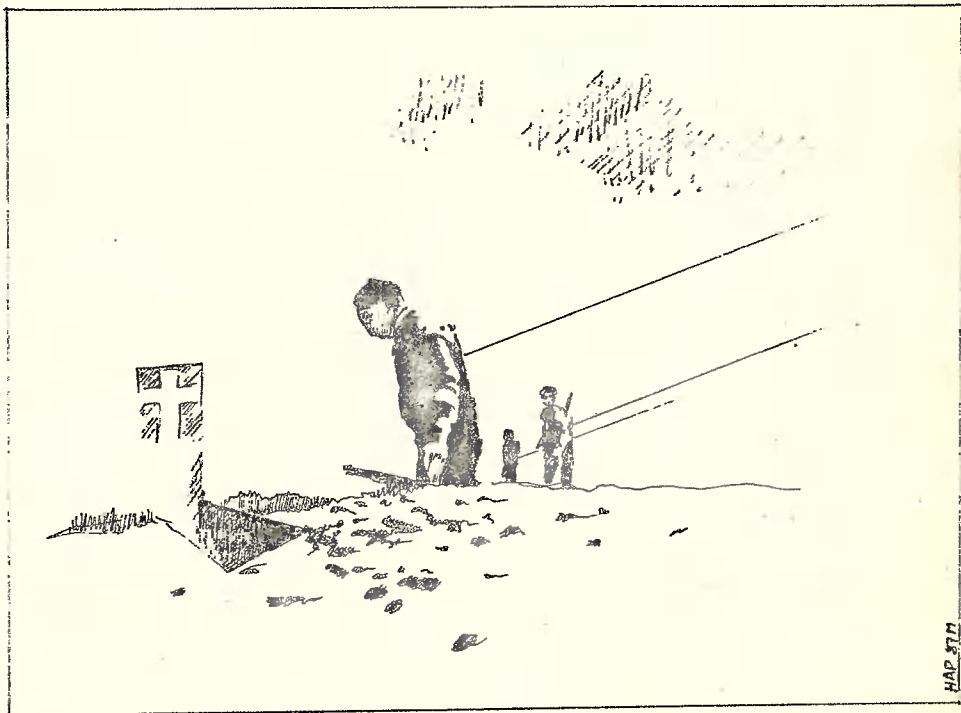
Front się zmienił, wrogiem numer 1 stawał się nie Niemiec, ale polski partyzant. Nad wileńską Armią Krajową zawisło wielkie niebezpieczeństwo, chociaż jeszcze nie zdawano sobie z tego sprawy. Jeszcze się żuczono, że sprawa polskich ziem kresowych nie została definitywnie rozstrzygnięta. Historia pierwszego partyzanckiego oddziału "Kmicica" miała się wiele razy powtarzać, wariant bowiem został wypróbowany już w 1943 r. i zdał egzamin.

Marek Orzelski

Przypisy:

1. Stanisław Nowicki: Pół wieku czyśóca. Rozmowy z Tadeuszem Konwickim. Wyd. Aneks, Londyn 1986.
2. Życiorys oraz kronikę brygady opracował Henryk Sobolewski /ps. Sobol/, były żołnierz V i VI Brygady Wileńskiego AK. Maszynopis.
3. Polskie Siły Zbrojne w Drugiej Wojnie Światowej. T. III: Armia Krajowa.
4. Józef Mackiewicz: Fakty, przyroda, ludzie. Wyd. Kontra, Londyn 1984, s. 102.
5. Mieczysław Juchniewicz: Polacy w radzieckim ruchu podziemnym i partyzanckim 1941-1944. MON, Warszawa 1973, s. 141.

6. Janusz Prawdź-Szlaski: Nowogródzczyzna w walce 1940-1945. Oficyna Plastyków i Malarzy, 1976, s. 108.
7. Polskie Siły Zbrojne...., t. III, Armia Krajowa, s.529
8. Juchniewicz: Polacy w radzieckim ruchu..., s. 228.
9. Roman Korab-Żebryk: Operacja wileńska AK. PWN, Warszawa 1985, s. 17.
10. Krystyna Kersten: Narodziny systemu władzy w Polsce 1943-1948. Libella.
11. Juchniewicz: Polacy w radzieckim ruchu..., s. 300.
12. Jan Erdman: Droga do Ostrej Bramy. Wyd. Kurs, 1986.
13. Pełny tekst tego rozkazu znajdzie się w wydaniu książkowym.
14. Jan Frey: Kartki przesiąknięte bratnią krwią. "Nowe Widnokreśli" nr 20. Ze wspomnień byłego dowódcy polskiego oddziału partyzanckiego na Wileńszczyźnie.
15. Tamże.
16. Juchniewicz: Polacy w radzieckim ruchu...
17. Tamże.
18. Jan Frey: Kartki przesiąknięte...



Jerzy Narbutt

DO PRZEMĄDRZAŁYCH

Ten strój ułański
zmieniony w rzeszoto
z kpiną waszą
podarty w kawałki
ten strzęp zetlały
z katyńskiego dołu
ten sukna kawał
ze dna Atlantyku
ten kombinezon
zwęglony nad Anglią
ten dres powstańczy
z akowską opaską
tę furażerkę
przepoconą lasem
ten pas szczerlały
rogatywkę
nić

to czego dotknąć nie śmiem nawet w snach
to chcę wam wyrzecć

zostawcie ten
rach

Głos tego, który przeżył

Wobec ożywionej ostatnio dyskusji i artykułów podejmujących trudną problematykę stosunków polsko-żydowskich, zamieszczanych przede wszystkim na łamach prasy katolickiej, a także prasy podziemnej, publikujemy tłumaczenie artykułu prof. Normana Daviesa z "New York Review Books" /20 Nov. 1986/. Jest to, co prawda, recenzja dobrze znanej w Polsce książki Hanny Krall "Zdażyć przed Panem Bogiem" /która ostatnio ukazała się w USA pt. "Osłanianie płomienia"/, ale Norman Davies analizuje ją właśnie w kontekście toczącej się /również i na świecie/ dyskusji o wzajemnych stosunkach Polaków i Żydów. Jego recenzja stanowi tym samym istotny do niej przyczynek, ważny zwłaszcza ze względu na spokojny i rzeczowy ton rozważań autora. Bo tylko w ten sposób, pozostawiając z boku urazy i napiętności, można przybliżyć się do prawdy, która tak potrzebna jest obu stronom dla przezwyciężenia obopólnych nieporozumień wobec wspólnego tragicznego dziedzictwa.

Zachowujemy tytuł oryginału. /red./

Marek Edelman jest jednym z niewielu głównych świadków zagłady, który nie pojawia się w filmie Claude'a Lanzmana "Shoah", choć widział on więcej niż inni świadkowie. W 1942 roku stał codziennie przy bramie koło Umschlagplatz w Warszawie i patrzył, jak 400.000 ludzi szło na śmierć. Marek Edelman pracuje nadal jako chirurg-kardiolog w Łodzi. Lanzman zrobił z nim wywiad, ale zdecydował się nie pokazywać go w swoim filmie. Wśród różnych poruszanych problemów, Edelman zastanawia się, czy walkę w warszawskim Getcie w 1943 roku można naprawdę nazwać powstaniem. Określa też syjonizm i państwo Izrael jako "historyczne niepowodzenie", a Polaków, wśród których spędził całe życie, określa jako "ludzi tolerancyjnych". /Sam, jako chirurg-kardiolog, poświęcił się ratowaniu życia Polaków./ "Ludzie spodziewają się, że będę mó-

wił z nienawiścią i patosem" - zauważa. On jednak tak nie potrafi.

"Cszanianie płomienia" - rozmowa z dr. Markiem Edelmanem, jest spóźnionym angielskim tłumaczeniem niewielkiej objętościowo książeczki, która najpierw ukazała się w Warszawie w 1976 roku pt. "Znać przed Panem Bogiem". Jest to notatnik Banny Krall, warszawskiej dziennikarki, również pochodzenia żydowskiego, która obecnie związana jest z kręgami opozycyjnymi. Nie jest to zwykła prezentacja wspomnień historycznych Edelmana, ale raczej próba zapisu rekonstrukcji zapamiętanych przez niego faktów ze wszystkimi meandrami, charakterystycznymi dla fragmentarycznych wspomnień, z moralizowaniem, ale również i próbą racjonalizacji. Książka ta złożona jest z różnych epizodów; Edelman przeskakuje z tematu na temat, od okropności lat wojny do krytycznego punktu, w jakim znalazła się współczesna chirurgia serca. W doskonałym wstępie do tej książki Timothy Garton Ash podkreśla ów kontekst, który będąc pod uwagę zainteresowane strony czytające ten wywiad, a zwłaszcza "ów nadzwyczajny rozdział, jaki istnieje między pamięcią polską i żydowską", chodzi o ów uraz, który doprowadził dwa narody do zapomnienia ich wspólnego dziedzictwa i pamiętania w selektywny i wzajemnie wykluczający się sposób o ich wojennej agonii. Tłumacze - Joanna Stasińska i Lawrence Weschler - starają się oddać ten sam tok myślenia i zastanawiają się, czy przyjdzie czas, gdy pojawi się wreszcie "wspólna historia Polaków i Żydów".

Marek Edelman urodził się w Warszawie, w 1921 roku, jako syn Żydów, którzy przenieśli się z Białorusi na Zachód, do niepodległej Polski. Legenda rodzinna głosi, że dwunastu jego wujów ze strony matki /członków partii eserów/ zostało zamordowanych przez bolszewików. Był więc wychowany w przekonaniu, że "komunizm jest po prostu dyktaturą, która zabija ludzi". Decydujący wpływ na syna miała matka; była aktywną socjalistką, członkiem Żydowskiej Ligi Robotniczej, "Bundu". Młody Marek przejął zainteresowania i ideały, które wyznawała. Podczas okupacji nazistowskiej walczył w powstaniu w Getcie w 1943 roku /skąd uciekł kanałami przy pomocy ludzi spoza murów/, a następnie brał udział w Powstaniu Warszawskim w 1944 roku. To, że przeżył, uważa za rzecz "absurdalną". Po wojnie odnalazł swe powołanie w zawodzie lekarskim i przez ostatnie 30 lat pracował jako kardiolog w Łodzi. W 1968 roku na krótko stracił pracę, ale wkrótce go do niej przywrócono. W 1980 i 1981 roku stał się jedną z głównych postaci ruchu "Solidarności" w Łodzi. Za jego wybitne zasługi - jako bohaterowi wojennemu i żydowskiemu żołnierzowi walczącemu w polskim ruchu oporu - wyrażono mu publicznie specjalne uznanie podczas jedynej Zjazdu "Solidarności", jaki odbył się we wrześniu 1981 roku.

W dwa lata później, w okresie stanu wojennego, gdy władze komunistyczne zorganizowały z wielką pompą uroczystości w 40 rocznicę powstania w Getcie, Edelman odmówił wzięcia w nich udziału. W swym liście otwartym z lutego 1983 roku wyjaśniał, iż oczywiście wydaje mu się powiązanie ideałów godności i wolności, w imię których walczyli i bojownicy w Getcie i bojownicy

cy "Solidarności". Czczenie więc tych pierwszych, podczas gdy "Solidarność" jest skuta łańcuchami, uznał za akt "cynizmu i pogardy".

Od tamtego czasu dużo pisał w podziemnej prasie w Polsce i często zapraszano go na nieoficjalne spotkania i prelekcje w kościołach. Jest postacią fascynującą młodszą generację Polaków, ponieważ jest żywym pomostem pomiędzy nieznanym już światem przedwojennego Żydostwa polskiego a "Solidarnością". Życie i ideały Edelmana zdecydowanie przeciwstawiają się stereotypowym poglądom, że Polacy i Żydzi nie mają ze sobą nic wspólnego, oprócz przypisywania sobie nawzajem różnych win.

Opinie wypowiedane przez Edelmana są niezrozumiałe, jeżeli nie odniesie się ich do ideałów "Bundu", w których wzrastał. Bundowcy należeli do głównego nurtu żydowskiego socjalizmu na początku XX wieku. Stawiali sobie za cel zbudowanie bardziej oświeconego i sprawiedliwego społeczeństwa na terytorium, gdzie mieszkają wtedy większość wszystkich Żydów na świecie, tj. pod rządami cara na historycznych ziemiach polskich. /Po 1921 roku działali oni przede wszystkim w Rzeczypospolitej Polskiej, ponieważ po drugiej stronie nowej granicy z ZSRR byli prześladowani i ich ruch został faktycznie zduszony./ W nurcie licznych polityków żydowskich bundowcy stali w opozycji wobec tradycjonalistów, religijnych konserwatyistów i rosnącego w siłę ruchu syjonistycznego. Wewnątrz zaś samej grupy żydowskich socjalistów, sytuowali się między adherentami peryferyjnych ugrupowań marksistowskich i komunistycznych oraz różnymi grupami socjalistów-syjonistów, którzy potem odegrali tak ważną rolę w pierwszych latach istnienia państwa Izrael. Bundowcy byli programowo areligijni i popierając kształcenie Żydów oraz ich związki zawodowe, starali się odsunąć masy żydowskie od kontroli ze strony ich przywódców religijnych i prawa judaistycznego. Bundowcy przeciwstawiali się również ostro nacjonalizmowi i szowinizmowi we wszelkich formach i w ten sposób stali się głównym rywalem ruchu syjonistycznego.

Patrząc wstecz, stwierdzić należy, iż stanowcze potępienie przez "Bund" nacjonalizmu stanowiło prawdopodobnie najbardziej wartościowy element ich programu. Podobnie jak główna Polska Partia Socjalistyczna, z którą "Bund" blisko współpracował, ruch ten walczył o taką przyszość, kiedy nie będą już odgrywały roli podziały etniczne i kiedy Polacy, Żydzi, Ukraińcy, Litwini i Rosjanie będą żyli w harmonijnej symbiozie.

Tymczasem jednak mieszkali w kraju, w którym każda z narodowości ulegała silnym wpływom prawicowo-radykalnym i etniczemu nacjonalizmowi oraz w którym systematycznie podsycano wzajemne antagonizmy. W latach trzydziestych, gdy społeczność niemieckie w Europie optowała za nazizmem, wśród Polaków duże wpływy zyskała szowinistyczna endecja Dmowskiego, wśród Ukraińców - OUN, zaś wśród Żydów - syjonistyczni rewizjoniści Żabotyńskiego, którzy zaczęli występować z agresywnymi żądaniem.

Wszystkie te grupy, choć były do siebie podobne, jednocześnie wzajemnie się nienawidziły i każda z nich budowała własne, terrorystyczne oddziały do walki o własną ojczyznę, w której by dominowały one same. "Falanga" Piaseckiego w Polsce, na przykład, i ubrane w brunatne koszule oddziały Betara pod dowództwem Menachema Begina - uważały się niewątpliwie za śmiertelnych wrogów. Tymczasem były jakby lustrzanym odbiciem: byli takimi samymi bałwochwalcami i budowali sobie takie same narodowe kapliczki. "Bund" je potępiał, a one nazywały jego członków faszystami.

Wychowanie Edelmana w ideałach "Bundu" tłumaczy większość jego późniejszych poglądów i zachowań. Wyjaśnia też, dlaczego wśród Żydowskiej Organizacji Bojowej w Getcie, grupa jego młodych bojowników grzebała swoich zmarłych szepcząc strofy "Międzynarodówki". Tłumaczy również, dlaczego w szeregach polskiego podziemnego ruchu oporu wiązał się on raczej z AL niż z AK. Wyjaśnia też, dlaczego w 1945 roku Edelman zdecydował się zostać w Polsce... "Widzi Pani - powiedział Hannie Krall - przed wojną mówiłem moim kolegom-Żydom, że tu jest ich miejsce. Że tu zbudujemy socjalizm. Więc jak można było przypuszczać, że stąd wyjadę?"

Przynależność do "Bundu" wyjaśnia jednak przede wszystkim nieszychaną awersję Edelmana do komunizmu w sowieckim stylu. Inaczej niż tysiące polskich Żydów, którzy stracili twarz przez z...ązanie się z okrutnym, powojennym reżimem stalinowskim, on, prawdziwy bundysta, trzymał się od komunizmu z daleka. Podobnie też, jak inni demokratyczni socjaliści oraz wszyscy ludzie pracujący w Polsce, musiał czekać aż 35 lat na spełnienie się swych marzeń, co nastąpiło dopiero w okresie "Solidarności", w latach 1980-1981.

Niewątpliwą ironią historii stał się fakt, iż ze wszystkich nacjonalistycznych ekstremistów przedwojennej Polski grupa Begina była jedyną, która zdobyła władzę polityczną. Bundysty, przeciwnie, nie mieli przed sobą żadnych perspektyw, ponieważ prawie wszyscy członkowie "Bundu" pochłonięci zostali przez Holocaust, a ich program nigdzie poza Europą Wschodnią nie miał właściwie praktycznego zastosowania.

Edelman i jego poglądy z pewnością nie przypadłyby do gustu rozmaitym profesorom, badaczom antysemityzmu, w których wykłady obfitują teraz uniwersyteckie campusy Ameryki. Wielokrotnie bowiem, podczas licznych spotkań, opowiadał on szczegółowo o swoim przesłaniu, gdy spotykał ludzi, którzy chcieliby tylko potwierdzenia z góry przyjętych przez siebie sądów. Zaczęło się to wszystko zresztą zaraz po powstaniu w Getcie. "Ci ludzie patrzyli na niego w całkowitej ciszy, aż w końcu jeden z nich powiedział: - Musimy spróbować go zrozumieć. To nie jest normalny człowiek. To ludzki wrak". Potem, w latach sześćdziesiątych, Edelman udzielił owego słynnego wywiadu na temat powstania w Getcie, po którym oskarżono go, iż "odarł wszystko z wielkości". Opowiadał bowiem m.in. historię, jak Mordka Anielewicz, późniejszy przywódca powstania w Getcie, szczotką umazaną w czerwonej farbie malował skrzela ryb, sprzedawanych przez jego matkę na straganie, by wyglądały na świeże.

Potem było spotkanie z amerykańskimi przywódcami związków zawodowych, którzy chcieli dać jakieś fundusze dla ocalałych bojowników z Getta, wobec których Edelman popełnił pamiętną gafę: "Czy rzeczywiście sądzicie, że można to było nazwać powstaniem?" - zapytał. A potem był pisarz amerykański, który zmuszał go do tego, by potwierdził, że w Getcie walczyło 500-600 osób. "Nie - odpowiedział na to Edelman - było nas tylko 220".

Wypowiedzi Edelmana, zwłaszcza na temat heroizmu walczących i bohaterstwa jego samego, są często bardzo opryskliwe. To, przeciwko czemu oponuje, to fakt, że niektóre nazwiska czy akcje z Getta celebrowane są tylko po to, by służyły celom osób celebrujących. "Co za pech! Ten jeden jedyny, który przeżył, nie był przecież bohaterem! A dlaczego był nim Korczak? - pyta Edelman. - Ponieważ poszedł na śmierć ze swym sierocińcem z własnej i nieprzymuszonej woli. Ale np. Pola Edfszyc, która też poszła na śmierć razem z matką, której nie chciała opuścić - kto dzisiaj o niej wie?" Edelman mówi o bohaterach ze szpitala w Getcie - o pielęgniarce, która z litości udusiła nowonarodzone dziecko i o lekarzu, który rozdał własny cyjanek swoim małym pacjentom. Wspomina też o zbiorowym samobójstwie w domu przy ul. Miłej 18: "Tacy honorowi ludzie. Tacy bohaterzy. Tacy polscy." i wychwala odwagę tych, którzy nie stawiali oporu. "Ci ludzie szli na śmierć spokojnie i z godnością. Jest to straszna rzecz, gdy się tak idzie spokojnie na śmierć. Jest to o niebo trudniejsze, niż gdy się idzie krzycząc". Edelman przyznaje się też otwarcie do swych własnych, zupełnie nieheroicznych czynów. Gdy schodził do kanału, żeby uciec z Getta, jedna z tamtejszych prostytutek, która również przeżyła powstanie, chciała z nim zejść do wżazu. On jednak zawrócił ją: "W Getcie powinni zostać tylko męczennicy i Joanny d'Arc, rozumiesz?".

Komentarze Edelmana na temat Boga i religii są jeszcze bardziej ambarasujące. Bóg - jego zdaniem - uosabia kapryśną siłę zła. Bóg usiłuje wyrwać mu jego chorych na serce pacjentów... "Bóg usiłuje zdmuchnąć płomień świecy, a ja szybko usiłuję go osłonić, korzystając z jego chwilowej nieuwagi." Celem życia Edelmana - jak on sam mówi - jest "zdażyć przed Panem Bogiem". Ludzie, którzy pokładają wiarę w Bogu, sami proszą się o kłopoty. Religijni Żydzi w Getcie, którzy bez zastrzeżeń zgadzali się z wolą Boga, nie znajdowali pocieszenia. Kościół rzymskokatolicki w Polsce "był czarną sotnią" i instrumentem prześladowania. "Tylko ludzie stłabi są humanitarni - ludzie silni rzucają się innym do gardła." Dzielne więc, wobec tych stwierdzeń, może wydawać się, że Edelman nie potępia religijności powojennej Polski, widząc w niej skuteczny polityczny wybieg, środek zaradczy. "Polska nigdy nie była krajem zbyt religijnym - mówi. - Dziś każdy wierzy w Boga po to, by wywierać nacisk na Czerwonych".

Stosunki polsko-żydowskie są w tej książce, w gruncie rzeczy, mało eksponowane. Edelman mówi jednak o kolaboracji, tj. o żydowskiej policji, która - zgodnie z planem nazistowskiej akcji specjalnej z 1942 roku - spędzała codziennie

10.000 Żydów na eksterminację. Bojownicy Getta zabili później niektórych z jej członków. Gdy mówi o swoich kolegach-weteranach, nie zawsze jasno wyraża się, czyją stronę trzymali oni w aryjskich podziachach. Kiedy zaś wspomina o pobiciu go przed wojną na Nowym Świecie w Warszawie przez bojówkę ONR, wyjaśnia, że ludzie, którzy zabłąkali się do dzielnic żydowskiej, również ryzykowali, że ich ktoś pobije. Gdy zaś wspomina o tym, jak go przyjęto w polskiej organizacji podziemnej, opowiada też i o tym, jak w jednej z jednostek chciano go zastrzelić jako żydowskiego szpiega oraz o młodym Polaku, który stanął w jego obronie.

Jeśli chodzi o problem pasywności Żydów wobec Holocaustu, Edelman jest ostrożny w ferowaniu sądów. Po raz kolejny broni milionów, które, przeciwnie niż on, szły spokojnie na śmierć. Wpada w gniew, gdy wspomina o osobach, które za to potępiają Żydów, tak jak np. ów profesor amerykański, który powiedział mu: "Szliście na śmierć, jak barany". Edelman jednak twierdzi: "To były inne czasy. To była zupełnie inna moralność. Oczywiście, był instykt. Zabić tych, którzy ciebie chcą zabić. To była jedyna moralność". Rodziny mieszkające w jednej części Getta próbowały prowadzić "normalne" życie w czasie, gdy trwało "oczyszczanie" innych dzielnic Getta /choć, oczywiście, nigdzie w Getcie życie nie było "normalne"/. Rodziny mieszkające w innych częściach Warszawy próbowały również zachowywać się "normalnie", gdy płonęło Getto /choć i tam nie było "normalne"/. Edelman wspomina też dziecięcą karuzelę, stojącą w cieniu murów Getta /o której zresztą Czesław Miłosz, jakby gnębiony wyrzutami sumienia, napisał znany wiersz pt. "Campo di Fiori"/. Gdy pytano go wprost o sprawę pomocy ze strony "aryjczyków", Edelman powiedział bez ogródek: "Po pierwsze - nie mogli pomóc, a po drugie - nie chcieli. Poza tym, nie ufali nam. Naprawdę nie można zmierzyć tej istniejącej wtedy wielkiej niechęci".

Istotnie, nie da się zmierzyć niechęci. Ale niechęć nie występowała tylko po jednej stronie. Większość Polaków nie ufała Żydom, ale i większość Żydów nie ufała Polakom. Przez wiele lat w okresie przedwojennym bojownicy z obu społeczności usilnie pracowali nad tym, by zniszczyć takie wzajemne zaufanie.

Wszystko to jest zbyt ludzkie, by obciążać kogoś winą. Edelman zwykł był spierać się po wojnie z jednym z młodych Polaków, Kazikiem, który wyciągnął swoją grupę z kanałów na ulicy Prostej, choć osiem osób z tej grupy zmarło. W końcu Kazik powiedział: "Przestań już. W końcu odpowiedzialni byli Niemcy. Słyszac to, co opowiadają różni ludzie, można przeoczyć fakt, że ofiarami nazistów byli zarówno Polacy, jak i Żydzi".

Jest jeszcze jeden problem - samobójstw. Zwraszca to popamiętanie przez Adama Czerniakowa, prezesa Judenratu i przez Anielewicz, przywódcę powstania w Getcie. Edelman, lekarz, nie pochwała samobójstwa. Trzeba zawsze zaryzykować życie. Ale zarazem takiego aktu nie potępia. Wreszcie wszystko, co mówi o Czerniakowie, to to, że "nie powinien robić ze swojej śmierci prywatnej sprawy". /Można też tu wspomnieć o Samuelu Zygelbojnie, bundyście, członku Polskiej Rady Narodowej w Londynie,

który popełnił z rozpaczy samobójstwo, gdy Amerykanie i Brytyjczycy nie zareagowali na raporty o zagładzie Żydów w Polsce. Na grobie Czerniakowa widnieją trzy linijki z wiersza Norwida:

"Więc mniejsza o to, w jakiej spocznieś urnie
bo grób twój jeszcze odemkną powtórnie,
inaczej głosić będą zasługi..."

W świetle tych wszystkich uwag wydaje się niezwykle pilnym zadanie, by dokonać ponownej oceny skomplikowanych warunków, jakie występowały w Polsce w okresie wojny, póki można jeszcze uzyskać świadectwa podobne do tego, jakie daje Edelman. Mimo bowiem milionów wypowiedzianych słów, problem ten wciąż nosi piętno etnocentryzmu. Można z emfazą odrzucić szaleńcze poglądy szkoły samozwańczych "rewizjonistów", czy "antyeksternacjonalistów" i nadal wygłaszać konwencjonalne, etniczne stereotypy, że Niemcy byli mordercami, Żydzi - ofiarami, a Polacy stali z boku, byli tylko widzami i kolaborowali z Niemcami. Nie lepiej też jest wypisywać konkurencyjne prace na temat "zapomnianego Holocaustu", "Holocaustu ludzi niemożliwego wyznania" lub "Holocaustu Słowian", bo ten rodzaj kompensacyjnego podkreślenia ludebójstwa jest już spóźniony. W obu tych przypadkach stosowanie wyłącznie martyrologicznego podejścia do tych spraw - niezależnie od tego, czy odnosi się to do Żydów, czy też do nie-Żydów - służy tylko do pomniejszania ofiar i nakreślenia w perspektywicznym skrócie ogromnie złożonego świata Europy Wschodniej, w którym żyli oni wszyscy. Nie można też rozdzielać nazistowskich od analogicznych zbrodni sowieckich, które sowietci popełniali na jeszcze większą skalę, często na tych samych terytoriach. Tak więc, na przykład, jeżeli chce się zrozumieć szeroko rozpowszechniony polski antysemityzm, występujący na terytoriach okupowanych przez Niemców w latach 1941-1944, nie można równocześnie pominąć wypadków, które występowały dwa lata wcześniej w strefie okupowanej przez Rosjan. Między rokiem 1939 i 1941 współpraca wielu Żydów z najeźdźcami sowieckimi, którzy szybko zorganizowali masowe deportacje do gułagów, była często postrzegana w Polsce jako dowód zakorzenionej wrogości żydowskiej do Polaków. Raporty AK na temat tego gorszącego zachowania się Żydów dotarły do Londynu we wrześniu 1941 roku.

Ludzie czują obecnie jakąś przemożną potrzebę ucieczki od interesowania się wąską sferą spraw czysto etnicznych, od wynalezionych przez nazistów kategorii rasowych, od bojaźliwości aliantów z czasów wojny i szukają bardziej obiektywnego spojrzenia na doświadczenia ludzi, o których tu mówimy. Jeżeli ludzie mają być sądzeni za swoje niedociągnięcia i słabości, to muszą być sądzeni według tych samych kryteriów. Jeżeli mają być badane mechanizmy, to tylko w całej swej złożoności i przy uwzględnieniu wszystkich okoliczności. Nie oznacza to oczywiście, że jedna czy druga grupa nie może twierdzić, iż była wyjątkowa. W końcu zginęło ponad 90 proc. polskich Żydów.

Wspomnienia Edelmana nie mogą, rzecz jasna, wyjaśnić wszystkich problemów, charakterystycznych dla Polski okresu wojny. To jednak, co jest w nich bezcenne, to ów brak urazów i jego pełna dumy uciążliwość. Po prostu nigdy nie mówi tego, czego ludzie od niego oczekują - a już najmniej tego, czego oczekują od niego jego kompatrioci - Żydzi.

By zrozumieć i ocenić komentarze Edelmana, nieodzowne jest uwzględnienie całej wielonarodowej historii Polski. Niestety, we współczesnej mitologii żydowskiej, zwłaszcza tej istniejącej w Ameryce, Polskę wspomina się przede wszystkim jako piekło, z którego uciekły wszystkie żydowskie rodziny, które przeżyły wojnę. /A przecież zaledwie sto lat temu na historycznych ziemiach polskiej mieszkało 80 proc. wszystkich żyjących na świecie Żydów./ Polskę wspomina się tylko jako ziemię zamieszkałą przez antysemitów i nawiedzaną przez codzienne pogromy. Mit ten był instrumentem w rękach ruchu syjonistycznego, służącym do perswadowania masom żydowskim, by opuściły Polskę i udały się do Palestyny. Te same argumenty przytaczali skrajni polscy nacjonaliści, gdy prześladowali syjonistów - ponieważ oni także długo pracowali na odseparowanie obu narodów.

I dziś owo odseparowanie jest już faktem i rozdział jest całkowity. Teraz istnieje czysto polska Polska i czysto żydowski Izrael. Żadna ze stron specjalnie się sobą nie interesuje, chociaż niektórzy, tacy jak np. Edelman, wciąż przypominają o dawnych aspiracjach mas polskich i żydowskich, które miały obzyszczenie do tych występujących po obu stronach gorliwów-ekstremistów i które po prostu chciały żyć razem w spokoju na ziemiach, gdzie się urodziły.

Do jakiego stopnia Edelman może być uważany za reprezentanta polskiego Żydostwa - jest to sprawa, o której można dyskutować. On sam czasami wyraża się lekceważąco o ruchu syjonistycznym w Polsce, uważając, iż był on marginesowy i twierdząc, że te 50.000 ludzi w 3,5-milionowej rzeszy żydowskiej był kroplą w morzu. Ale współcześni syjoniści przypisują temu ruchowi o wiele większe znaczenie. Trzeba jednak zgodzić się z wyczuwalną wrażliwością Edelmana na świat, który już zaginął. Żydzi skoncentrowani byli na terenach między Wisłą a Dnieprem, innymi słowy - na historycznych ziemiach polskich. Żydzi z Ameryki czy z zachodniej Europy nie stworzyli kultury żydowskiej. Problem jednak polega na tym, że "dzięki" nazistom nie pozostał prawie nikt, kto mógłby opowiadać o tym zaginionym świecie.

Nawiązując do obecnego zainteresowania problematyką żydowską w Polsce, widoczną zwłaszcza w prasie katolickiej, młody człowiek z prasy podziemnej, który przeprowadzał wywiad z Edelmanem /"Czas" z 2 XII 1985 r., Poznań - przyp. red./ zapytał go: "Co znaczy być Żydem?". "Tutaj, w Polsce? - odpowiada Edelman. - Znaczy to być razem z ludźmi uciskanymi, a nie z władzami - ponieważ one zawsze biły Żydów, a dziś bita jest "Solidarność". Nie ważne zresztą, kto był bity, sądzę bowiem, że zawsze powinno się brać stronę pokrzywdzonego."

Przełożyła: MAGDA

Nadzieńda Mandelsztam

Usprawiedliwienie czasu

Długo pracowałam za kawałek czerstwego chleba i zawsze po powrocie z urlopu - na pierwsze polecenie - posłusznie zapisywałam się do kółka filozoficznego. Nazywało się to "podwyższaniem kwalifikacji" i było wymagane od wszystkich, którzy chcieli dostawać pobory. Co roku wbijali mi do głowy czwarty rozdział "Krótkiego kursu", a ponieważ kółka dla wykładowców wyższych uczelni były na "wyższym poziomie", wykładowca przyskany przez katedrę filozofii rozprawił się mimochodem z całą filozofią światową. Czasami na Kanta poświęcał dwadzieścia minut. /Hegla przenieśli, z rzadka wspominali o Platonie, natomiast poważali materialistów greckich, opowiadali o lecącej strzale i wszystkim, co płynie.../. Wyśmiewano się z Kanta i niszczone go razem z imperatywem kategorycznym. W oficjalnej ideologii fatalny imperatyw został zastąpiony - zdaje się - przez klasową solidarność, a w praktyce specjalności od ludzi, którzy nami rządzą, stawiali na instynkt samozachowawczy i rozumny egoizm wyspekulowany przez jeden z nurtów literatury rosyjskiej. Zresztą, mogą mylić się, jeśli nawet rozumny egoizm zrodził się nie u nas, a na Zachodzie, z przyzwyczajenia przyznanej priorytet naszej literaturze. Nieważne, gdzie się zrodził, radości wiele nie przyniósł...

W drugiej połowie lat pięćdziesiątych "Czwarty rozdział" zblaknął i Kanta zaczęto traktować żaskawiej, ale i w tych legendarnych czasach nikomu nie mogło nawet przyjść do głowy, że człowiek ma duszę i każdy wiedział, że do kółka filozoficznego każe mu chodzić instynkt samozachowawczy. Wychowanie dawało wspaniałe rezultaty. Uczestnicy kółek podnosili rękę i gładko recytowali wyuczone formuły. Wielu i dziś popisuje się tą erudycją i nie może zdecydować się na rewizję formułek. Po co traćć niepotrzebnie siły, skoro i tak wszystko wiadomo...

W tych gorzkich dniach rzeczywiście wydawało się, że imperatyw kategoryczny jest bzdurnym wymysłem gabinetowego uczonego, który nawet nie powąchał życia. Każdy ratował się w pojedynkę, zamykał się w sobie, w każdym sąsiedztwie czy współpracowniku widział donosiiciela i zdradcę. W takich warunkach prawie niemożliwe stało się ujawnienie w człowieku

pierwiastka dobra, ale gdyby był w nim, nie trzeba go niszczyć. Ze wszystkich żywych istot tylko człowiek zdolny jest do przestępstwa, ale nikt oprócz niego nie może pokonać instynktu samozachowawczego i tym samym stać się człowiekiem. Choćby takich ludzi było mało, jednak fakt, że istnieją, rodzi nadzieję - jeszcze jesteśmy ludźmi i potrafimy podporządkować instynkty pierwotne czemuś wyższemu, co jest w nas zakodowane i tylko przytknięte przez szum bieżącego życia.

Dla mnie szczególnie cenne są te przypadki, które dokonują się naturalnie - bez pozy, słów i deklaracji. W naszej epoce człowiek jest drżącą trzcina i nie może udawać bohatera. Wzniosłe pojęcia - męstwo, bohaterstwo, prawda, honor - zmieniły się w urzędową sztampe. Używa ich dziennikarska hołota i mówcy wygłaszający plemiennie mowy - po uprzednim uzgodnieniu każdego słowa z władzami. Wzniosłe słowa całkowicie straciły wartość i nie ma ich w tym przypadku, który wzbudza moją nadzieję. Pisać będę o upartej dziewczynie, która nie chciała się ugiąć i zawierzyć instynktowi samozachowawczemu. Dziewczyna, widocznie, wywierała wrażenie na ludziach, którzy stykali się z nią w barakach obozowych. Pisz o niej E.S. Ginsburg. W celi na Butyrkach jakaś Niemka pokazywała bliźni po pobiciu na Gestapo i inne z przesłuchań na Łubiance. Współwięźniarki, które na wolności należały do niszczonej, żelaznej kohorty, od razu zaliczyły ją do "agentek imperializmu". Ginsburg chciała z nimi dyskutować, ale powstrzymała ją młodziutka dziewczyna: "Nie dyskutujcie z nimi. Przecież widzicie, że to fanatycyści..." Dziewczyna zachowała rozsądek i coś jeszcze i to określiło jej los na wiele lat.

N.N. trafiła na Łubiankę, gdy była dziewczyną, właściwie dziewczynką. Przyczyn było wiele: pochodzenie równocześnie obywatelskie i rewolucyjne, biografia - urodziła się i wyrosła za granicą w środowisku emigracyjnym z okresu przedrewolucyjnego - i najważniejsze - szczerść i umiłowanie wolności. Każda z nich mogła być przyczyną zguby i była równoznaczna z przestępstwami kryminalnymi. Czasem nieszczęście przechodziło obok - wszystkich się nie posadzi. Przecież brali tych, którzy nawinęli się pod rękę - gwoli pouczenia innych. Niejednego za grupki charakter wysyłał do Łagru, a inny zostawał w domu. Wszystko zależało od trafu i przypadku. Zdziwiałe, że wielu ocalałych nie zdawało sobie sprawy, jakie mieli szczęście. Na tym polega terror - bierze się kogo popadnie, by zastraszyć pozostałych na wolności. N.N. nie udało się - wsadził ją do więzienia miły chłopak, partner z tańców, czy innych zabaw. Chłopiec pochodził z rodziny inteligentkiej, która wyznawała legalny marksizm. Prawdopodobnie od dzieciństwa słyszał o rozumnym egoizmie i kiedy wezwali na Łubiankę, w praktyce zastosował idee teoretyczne. Mówiąc prościej, ugiął się przed groźbami i obietnicami i sprzedał ledwo znajomą panienkę. Nie żądano wiele: nazwiska, adres, krąg znajomych i ze dwa, trzy powiedziane przez nią zdania. Jeśli taki chłopak miał subtelną duszę, mógł się pocieszać, że nie wiedział o żadnych przestępstwach panienki, dlatego nie mógł jej wydać. Wspominał po prostu, że na przyjęciu N.N. paplała z takim a takim /może nawet cudzoziemcem/, a jemu, chłopcu z dobrej rodziny, powiedziało to i to...

Mógł uważać, że nie jest to donos i mieć spokojne sumienie... Wiem, że życie przeżył spokojnie, nie był poddawany represjom i kiedy w nowej epoce spotkał N.N., która wróciła i została zrehabilitowana, nie zmieszał się. N.N., ponieważ jest lekkomyślna, nie zaczęła wypominać przeszłości i tylko paru przyjaciółkom opowiedziała o miłym spotkaniu.

Nie wiadomo, czy tylko N.N. była ofiarą inteligentnego chłopca. Teraz nikomu już nie zaszkodzi, ponieważ cały aparat został "odmłodzony", a i bohaterowie starego dramatu poszli na emeryturę. N.N. nie zamierza mścić się i indywidualnie spokojnie dożywa życia - rozumny egoizm nie zawiodł. Masy rozumnych egoistów, którzy wyszli na kategorię przyjaźni i znajomych, chodzą po ziemi, przyjmują gości, kupują meble i nic nie zakłóca im życia. Większość powracających z łagrów splunęła i zapomniiała o zdrajcach. Niejaki D. przez wszystkie lata spędzone w obozie marzył, żeby przynajmniej spuścić manto miernemu dziennikarzynie, żeby któregoś siedział. Po powrocie D. zaszedł do redakcji i przywołał palcem dziennikarzynę. Wyszli na ulicę, facet zaczął piszczeć, że ma żonę i dzieci. D. machnął ręką, zaprosił zdrajcę do knajpy, rozpił z nim butelkę i darował winy. W innym przypadku paru ludzi, których wsadziła ta sama kobieta, niewątpliwie profesjonalna cicha, postanowiło w urodziny złożyć jej wizytę i zdemaskować przed gośćmi. Kobieta otworzyła drzwi i kiedy zobaczyła na progu posępnych ludzi, na których losy tak wpłynęła, przeraziła się i łapiąc się za serce ciężko usiadła na krześle stojącym w przedpokoju. Mściciele, zobaczywszy jak zbladła, zaczęli się krzątać, pobiegli do kuchni po wodę, poczekali aż się uspokoi i odeszli z niczym. Znakomitemu Elsbergowi rzeczywiście nie powiedoło się - nagle głośno zaczęli o nim mówić i nawet próbowali go wyrzucić ze Związku Pisarzy. Mówią, że całą burzę rozpętał nie ten człowiek, którego posłał do więzienia, ale ktoś, kto oblał dysertację. Mścił się za swoje niepowodzenie na Elsbergu, zaś aspiranci stali za nim murem, ponieważ mieli nadzieję, że z jego pomocą wyjdą na ludzi. Nie jestem zwolenniczką zemsty - przez pół wieku w naszym kraju mścili się nie tylko na poszczególnych ludziach, ale i na całych grupach społecznych i klasach i wszyscy dowiedzieli się jak straszliwa jest zemsta. Ale mimo wszystko myślę, że nie zaszkodziłoby, gdyby kraj "pознаł swoich bohaterów", po to, by w przyszłości trudniej było ich werbować. Nie trzeba ich zsyłać i zabijać, ale pokazać palcem i wymienić z nazwiska. Jednak zabójcy i zdrajcy znajdują się pod ochroną władz, ponieważ "mylili się" wraz z nimi. Stopniowo wymrą, a z nowych pokoleń wykonają się nowe kadry zabójców i zdrajców, ponieważ ani zabójstwo, ani zdrada nie zostały osądzone, a to, co ukryte, tylko na trochę odkryto i schowano. Rozumny egoizm rzeczywiście nie zawiodł.

N.N. trzymano na łubiance i sprawa dobiegała końca. Do skończenia śledztwa brakowało drobiazgu - paru nazwisk wymienionych w śledztwie. Uważa się, że przestępca jest niepełnowartościowy, jeśli nie ma wspólników. Aby nadać spr-

Wie ostateczną i ładną formę, a to ceniono, należało śledczemu wyjawić nazwiska choć pięciu współników, ale uparta N.N. nie chciała się na to zgodzić. Poza estetyką śledztwa były ważniejsze przyczyny - nawet w okresach najbardziej niepohamowanego terrorku do aresztowania potrzebny był jakiś punkt zahaczenia - donos, informacja pochodząca od cichego, a najlepiej nazwisko wymienione w "śledztwie"... Piszę to słowo w cudzysłowie, ponieważ nie można nazwać śledztwem tego, co działo się po nocach w tajemniczym domu, choć śledczy "przestrzegał praworządności" /też w cudzysłowie/, to znaczy prowadził protokół, dobierał paragraf, zbierał podpisy wymagane pod wyrokiem. Niektórych skazanych wożono nawet na rozprawę sądową, która trwała kilka minut i nim człowiek zdążył otworzyć usta, dostawał czapę, albo dwadzieścia lat. Zastanawialiśmy się, po co tracać czas na skrupulatne opracowanie milionów spraw, które wkładają do teczek i odsyłają do archiwum akt wieczystych. Czyżby ktoś spodziewał się, że przyszyły historyk badając archiwa uwierzy w cały ten galimatias? W okresie rehabilitacji wiedzieli, co warte są protokoły i przyznanie się do winy i dlatego prokuratorzy starali się zalegalizować przerwane sprawy lub rehabilitacje, choć zainteresowanym nie pokazywali dokumentów. Dlatego nie dowiedziałam się, co działo się z Mandelsztamem w 1938 r. Prokuratorka szybko przejrzała cieniutką - były tam ze dwie kartki - teczkę, zasłoniła ją przede mną i powiedziała "powtórna" i "sprawy nie ma" i pocztą przysłane mi zaświadczenie o umorzeniu sprawy z powodu "braku znamion przestępstwa". Posiedzenie sądu "umarzającego sprawę" odbyło się 29 sierpnia 1956 roku, a więc w osiemnaście lat od skazania na zsyłkę, a ściślej od śmierci Mandelsztama. Z "zaświadczenia" /nie dostąpił zaszczytu rehabilitacji/ dowiedziałam się, że wyrok został podpisany przez Posiedzenie Specjalne dnia 2 sierpnia 1938 r. W poprzedniej epoce nawet daty były tajemniczą państwową i nikt ich nie znał. A więc, uważa się, że sprawa została zakończona, ale niech się nie cieszą i wspomną słowa Mandelsztama: "Sądownictwo jeszcze się nie skończyło i, zapewniam was, nigdy się nie skończy. To, co było przedtem, to tylko uwertura...". Sprawa Mandelsztama została zalegalizowana, ale okazało się, że sprawy nie ma.

"Wspólnicy", to znaczy nazwiska i adresy znajomych potrzebne były po pierwsze ze względu na ładną formę, po drugie - nakaz aresztowania zostaje wystawiony na konkretnego człowieka, a przy rozmachu, który u nas wzięto, brakowało nazwisk. Ilościowy plan likwidacji ludzi przychodził z góry. Każdy starał się wykonać plan i otrzymać wyższą pensję. Wykonanie planu jest obowiązkiem patrioty. Wymienione w czasie śledztwa nazwiska były albo wykorzystane od razu, albo trzymane je w zapasie na wypadek deficytu. Nazwiska "wspólników" należą do gospodarstwa śledczego. Uzupełnia je, a w razie potrzeby czerpie z zapasów. Gospodarstwo nie należało do człowieka, ale do urzędowego biurka - jeśli śledczego "spisywali na straty", a zdarzało się to często, na jego miejsce siadał inny szary człowiek bez twarzy i wykorzystywał wykazy, które zostawił poprzednik. Maszyna pracowała bez zakłóceń. Teraz stoi naoliwiona i wyremontowana. Czy puszcza ją znowu na pełnych obrotach?

Żaden śledczy - poza bratem Furmanowej, który powiedział mi: "Będzie człowiek, sprawa się znajdzie" - nie dzielił się ze mną tajemnicami swego rzemiosła. Natomiast setki ludzi o-
powiadały mi, jak przebiegały ich sprawy. Gdy zsumowałam ich
opowiadania, widzę, że śledczy najskuteczniej zaskakiwał
świeżo aresztowanego /obróbka psychologiczna, która zaczyna-
ła się od siedzenia w boksie i obrzydliwej rewizji/, kiedy
wymieniał nazwisko zesłanego znajomego lub przyjaciela. A-
reszt i zesłania wzbudzały w kręgu znajomych paroksyzm pani-
cznego strachu. Były do tego podstawy - choroba była natręt-
na i zaraźliwa... Śledczy nie mógł posługiwać się nazwiskiem
cichego lub donosiciela - chronił "kadry". Kto jest cichym,
mogliśmy się tylko domyśleć na podstawie wyników jego pracy
/znikanie ludzi/. Nazwisko osądzonego było skarbem, którym
śledczy umiejętnie się posługiwał. Każdy sąsiad pocieszał
się, że "nie ma dymu bez ognia" i skoro sąsiada aresztowali,
to widocznie był w coś zamieszany. Taki mądrala od razu tra-
cił głowę /i ja bym straciła/, gdy śledczy zaczynał od pyta-
nia: "Na pewno się już domyśliliście, dlaczego tutaj jeste-
cie?" i wymieniał nazwisko znajomego, który zniknął. Przed
aresztowaniem biedaczek uważał, że jest "czysty jak szkło",
ale na pierwszym przesłuchaniu uginały się pod nim nogi, po-
nieważ czuł, że do cna skompromitował go związek z przestęp-
cą. Tracił zdolność samoobrony i sprzeciwu i sędzia mógł z
nim robić, co chciał. Myślę, że nikogo nie mogła uratować
nawet najbardziej umiejętna samoobrona, ale człowiek ginąć
mógł mimo wszystko zachowując ludzką godność, a to nie tak
mało. Teraz boję się tylko "zastrzyku z nowym lekarstwem",
który może pozbawić mnie woli i samokontroli. Jeżeli trafię
do tego przeklętego miejsca i zaozgnę mówić, proszę pamiętać,
że to zastrzyk. Jak to się stało, że nauka zwraca się prze-
ciw ludziom?

O strachu wywołanym aresztowaniem znajomego można opowia-
dać tysiące historii. Zapamiętałam historię dziewięciolet-
niej dziewczynki - na wiadomość o aresztowaniu przyjaciela
rodziców natychmiast podeszła do półki z książkami, wyjęła
parę tomów należących do aresztowanego, wyrwała kartki z je-
go nazwiskiem i wrzuciła do pieca. Dziewczynka nie raz wi-
działa, że rodzice niszczą wszystkie ślady znajomości - lis-
ty, kartki w notesach z adresami i numerem telefonu. Mówią,
że została cicha. Jeżeli to prawda, przyczyną był niewolnic-
zy strach. Nigdy nie miałam notesów z telefonami, teraz je
mam. Czy nie pora wyrzucić je do klozetu - pieców już nie
ma...

Kiedy z młodzieńckiej N.N. wyciągali pięć nazwisk, strach
spętał cały kraj. Tylko kompletny idiota mógł się nie bać.
Był to rok trzydziesty siódmy. Terror osiągnął apogeum.
Drżeli nawet ludzie, którzy wspinali się po drabinie służbo-
wej i zajmowali opuszczone miejsca. Zagłada jednych to ka-
riera dla drugich. Takie jest prawo i mądrzy ludzie starali
się wykorzystać je dla siebie i swoich dzieci. Musieli się
jednak bać, ponieważ wiedzieli, czemu zawdzięczają swój
wzlot. Ukrywając drżenie błaznowali, pajacowali i dokonywali
wszelkich przestępstw, aby tylko zachować życie. Byli zdolni
do wszystkiego.

Widziałam fotografię N.N. zrobioną na krótko przed aresztowaniem. Twarz typowo rosyjska, nawet nie młoda, ale bardzo dziecienna, czysty i harmonijny profil, poważne oczy i mocno zaciśnięte wargi. Takie twarze można było spotkać w środowisku i ziemiańskim, i chłopkim - zwłaszcza wśród młodych poszukiwaczek prawdy i sekciarek. Jest w tych twarzach coś tragicznego i beznadziejnego, jak gdyby przyszłość rzuciła na nie cień. N.N. nie była jednak ani sekciarką - ani poszukiwaczką prawdy. Bardzo współczesna i nieskłonna do abstrakcyjnych rozmyślań rzuciła się zachłannie w wir życia i wirowała jak szalona. Została jej to do dziś - żyje w takim tempie, że nigdy nie ma czasu. Nikt nie może naaycić się przyjaźnią N.N. i mnie, tak jak wszystkim, zawsze jej brak.

Mój cudzoziemski przyjaciel z zainteresowaniem przyglądający się ludziom rosyjskim, których nie mógł zrozumieć, zapytał N.N. czy ma zamiar opisać swoje przeżycia. Odpowiedziała: "nie". Zdziwił się: "dlaczego?". Powiedziała, że jest zajęta. Zainteresował się: "czym?" i dostał odpowiedź: "żyję...". Odpowiedź jest zgodna z rzeczywistością. Prawdopodobnie w młodości jej żądza życia była równie silna jak dziś. N.N. pomogła mi uwolnić się od resztek skrupowania i strachu, co nie jest wcale proste. Na przykład Adamatowa znajdowała się we władzy strachu do końca swoich dni. W szpitalu, gdzie leżała przed śmiercią, wysłuchiwała nowości w sprawie Siniawskiego i Daniela i zaoczęła się bać, że spotka ją to samo, ponieważ wydrukowała za granicą "Requiem". Dzięki N.N. pokonałam strach, choć wiem, że może zdarzyć się wszystko. Teraz wymagają od nas niewiele - nie ruszają nas, jeśli ukrywamy przestępstwa minione i obecne. Powinniśmy udawać, że jesteśmy niewinni jak niemowlęta i niezłomnie wierzymy, że nasi wodzowie chodzą w białych szatach. Nie wolno nam tylko działać, mówić, a tym bardziej pisać. W porównaniu z przeszłością żyjemy jak w raju, ale nie wiedzieć, dlaczego ten raj nas nie zadawala. Jak piesek dla żartów mamy ochotę czasem poszczekać. Porą zrozumieć, że szczekania "nie przewidziano".

Zapamiętałam rozmowę z N.N., którą prowadziliśmy na ulicy Hercena na drodze z Konserwatorium. Działo się to w końcu lat pięćdziesiątych. Powiedziała, że zamierza żyć, jak się jej spodoba. Nie będzie liczyć się "z nimi" i dostosowywać do ich żądań... Wtedy niewielu jeszcze dokołało uwolnić się od hipnozy, ale taka jest siła tej kobiety, że obcowanie z nią wyzwała wewnętrzne siły obumarłych ludzi. Zrozumiałam, że nadrabia lata stracone w łagrach i na ohydnej zsyłce, kiedy nie śmiała podnieść głowy. Mimo woli zastanowiłam się nad sobą - przecież powinienam nadrabiać lata milczenia i bierności. Nagle poczułam się wolna. Nie wiem, jak to się stało, ale stało się na ulicy Hercena po tym, co mi powiedziała.

Skąd u N.N. niezależność i wewnętrzna wolność?... Jest dzieckiem zwykłego czasu, w nic nie wierzy, w szczególności śmieje się, gdy słyszy, że pojęcia wartościujące są niezmiennne. Jest to, wedle niej, fikcja, a dobro i zło to kategorie abstrakcyjne, nad którymi nigdy się nie zastanawiała. Pojęcia te nie mieszczą się w jej trzeźwym umyśle. Pytałam ją: "Dla-

czego więc postępujecie dobrze, a nie źle?". Odpowiedziała bez zastanowienia: "Ponieważ mam na to ochotę...". Poddaje się wobec takiej samowoli. Bohaterstwo jest jej obce, ofiarność - niepotrzebna mitręgą, ale dzięki wolności wewnętrznej zdelna jest do czynów, na które, w jej języku, brak słów.

W czasie śledztwa N.N. z uporem odrzucała propozycje śledczego, dzięki którym mogłaby uniknąć obżgu. Wyrok był przygotowany, ale brakowało pięciu nazwisk. Śledczemu o mało co nie zabrakło czasu. Sprawy są prowadzone według grafiku i każda musi odbyć się w określonym czasie. Postanowił zastosować środki nadzwyczajne i przekazał uparciuchę koledze, Azerbejdżaninowi, słynnemu mistrzowi uproszczonych przesłuchań, czy jak mówiono kiedyś "mistrzowi katowskiemu". Wśród więźniów krążyły o nim legendy. Mówili, że torturuje własnoręcznie i potrafi wydobyc każde zeznanie. W "Rozmowie z Dantem" Mandelsztam napisał, jak władza posługuje się zastraszczeniami opowiadaniem o więzieniach. Jest to przygotowanie psychologiczne, które ułatwia śledczemu jego nużącą acz dobrze opłaconą pracę. Takie opowiadania były u nas popierane, choć niekiedy można było za nie dostać wiele lat, albo czapę, jak za działalność wywrotową.

W gabinecie słynnego śledczego N.N. stała długo. Więźniowie często musieli stać dopóty, dopóki nogi nie zmieniły się w spuchnięte kiody. N.N. stała niedługo - tylko w czasie rozmowy śledczego z damą. Było to w sobotę - jedyny dzień w tygodniu, w którym nie prowadzono nocnych przesłuchań. Śledczy rozważał z damą gdzieżby pójść wieczorem. Mówili o teatrach - co grają, o kinie, klubach, restauracjach... Czy była to obróbka psychologiczna - dobrze jest żyć na wolności, tańczyć, jeść, chodzić do teatru - a może odkarmione bydlę po prostu odpoczywało i zabawiało się w obecności przyszej ofiary?... Trudno nam pojąć i ocenić działanie tych ludzi, bo wiemy o nich za mało, tyle tylko, że nami pogardzali. Niewątpliwe jest jedno - każdy zamknięty i wyizolowany krąg rozwija się, tak jak złodziejski, wedle własnych praw i wbrew interesom całego społeczeństwa. Taki krąg czci swego przywódcę i swe zgromadzenie, trzyma sztamę /do czasu/, chroni tajemnicę, unika kontaktów z osobami z zewnątrz i czasami, z niewiadomych powodów unicestwia się wzajemnie. Patrzyliśmy na nich ze strachem i ze wstrętem, a oni na nas z góry. Kat zawsze gardzi swoją ofiarą. Umęczony człowiek w opadających spodniach, z którym może zrobić co chce, czy kobieta o ziemistej więziennej ocerze z trudem stojąca na spu-ohniętych nogach wydadzą mu się żałoźni i marni. Uważają, że jest śmieszne to, co dla nas jest piękne. Znałam młodego filologa, który ożenił się z córką wysoko postawionego czeki-ty w jednej z republik. W czasach Chruszczowa mieszkali w wynajętym pokoju w Moskwie - miał urlop na pracę nad dysertacją - i na ścianie powiesił portret Achmatowej. Żonę odwiedzi przyjaciele z czasów dzieciństwa - dzieci czekistów u-śniętych za okrucieństwo. Młode latorośle zostały wezwane do Moskwy i w specjalnej akademii uczyły się fachu ojców. Nie potrafili spokojnie, bez drwin przejść obok portretu Achmatowej. Śmieli się z niej. W ich zamkniętym kręgu takich

nie było. Łatwiej zrozumieliby hitlerowską Frau. Tacy ludzie mają gust internacjonalistyczny. Powiadają, że mieli specjalne "daczę" i tam, w swoim kręgu, mogli napić się i pogłogować ze swoimi "damami". W gabinecie Azerbejdżanina stała N.N. - kobieta innego rodzaju i czekała na swój los.

Po skończeniu rozmowy przez telefon śledczy zwrócił się do N.N. Wyjaśnił, że potrzebne jest tylko pięć nazwisk, takie jest minimum. Jeśli ich nie wymieni, wyśle ją do Lefortowa, gdzie sam "zajmie się" jej sprawą... Tutaj na łubiance może wymienić kogo chce, może sama wybrać, a w Lefortowie będzie szczęśliwa wymieniając nazwisko własnego ojca, by zyskać chwilę wytchnienia. W obu wypadkach wyrok jest jednakowy - osiem lat. Jeśli pójdzie do łagru z łubianki, odsiedzi wyrok, wyjdzie, podleczy się i znów będzie kobietą. W Lefortowie zmieni się w staruchę, która nie będzie do niczego zdolna. Z Lefortowa wychodzą ludzie rozbici i do niczego... /Znałam dwie siostry, między którymi był rok różnicy. Jedna z nich przeszła przez Lefortowo. Po wyjściu wyglądały jak matka i córka./ Mówiły mi, że w tych czasach łubianka przypominała szpital przyfrontowy - krzyki, jęki, poranione ciała i nosze... Do Lefortowa wysyłali na bardziej wymyślne tortury. /Mówią, że były miejsca straszniejsze niż Lefortowo/. W więzieniach mówiło się - "wysłali go do Lefortowa, żeby podpisał". Mało kto wychodził stamtąd zdrowy na umyśle. Nie zetknęłam się z takimi. A zatem N.N. czekała Lefortowo. Nasłuchiwała się już, co dzieje się w tym legendarnym więzieniu. Śledczy podszedł do N.N., położył ręce na jej ramionach, zajrzał w oczy i poradził, żeby była rozsądna i dobrze się zastanowiła. Dał jej dwie godziny do namysłu, zdążyła zauważyć, że ma owłosione ręce. Kiedy opowiadała mi o rękach, przypomniałam sobie, że Mandelsztam bał się ohydnych rąk swoich potężnych współczesnych.

N.N. odprowadzili do celi. Usiadła na pryczy i zaczęła się zastanawiać. Chciała znaleźć kompromis. Przypominała sobie po kolei znajomych - kogo wybrać, żeby nie trafić do Lefortowa. Okazało się, że nie ma człowieka, którego mogłaby wymienić nawet gwoli własnego ocalenia - jeden miał dzieci, drugi był chorowity, trzeci miał żonę - czy można ich rozłączyć? Minęły dwie godziny i znów zaprowadzili ją do gabinetu. Milczała, a śledczy czekał. W końcu zapytał, czy się namyśliła. Odpowiedziała: "Wysyłajcie do Lefortowa... W Lefortowie wymienię nazwisko własnego ojca - wydusicie je ze mnie. Tutaj - dobrowolnie - nie mogę nikogo wymienić...". /"Nie powiedziałam - nie chcę - ale - nie mogę" - niedawno powtórzyła N.N. "Nie mogę" wydaje się jej nie tak wzniesłym aktem jak "nie chcę".../

Śledczy złożył jej szyderscy ukłon i znów zaprowadzili ją do celi. Związała rzeczy w węzełek, siadła na pryczy czekając na wezwanie i przewiezienie do Lefortowa. Klawisz zajrzał przez judasz i kazał położyć się. Powiedziała, że zaraz wyślą ją do Lefortowa. "Jak będzie rozkaz, obudzimy". Położyła się i usnęła.

N.N. przesiadła na łubiance jeszcze miesiąc nieustannie czekając na wysłanie do Lefortowa, ale wywieźli ją prosto do

obożu. Zgadywałyśmy, dlaczego... Powiedziałam, że może N.N. spodobała się śledczemu i użalił się nad nią, ale rozważała się - po co mu aresztantka, przecież każda ślicznotka uzna za zaszczyt dać mu to, co potrzebne... Ślicznotki ceniły siłę i potęgę naczelników, ich miejsce w społeczeństwie i przydziały. Ci panowie mieli ogromny wybór, a kobiety nie ulepsza ani praca, ani stanie w kolejkach, a tym bardziej więzienie. Czy ludzie zauważyli, że zając uciekając przed przesładowcą nie traci piękna? Może dlatego, że jest stworzony do ucieczki. Człowiek, który biegnie, ratuje się, robi uniki, drży, jest śliski, ponieważ jest stworzony do wolności i wolnego wyboru. N.N. chciała, ale nie mogła wymienić pięciu nazwisk. Był to akt wolnego wyboru, czyn ludzki, dlatego pozostała człowiekiem, z całą swą istotą odczuwa życie.

N.N. przypuszcza, że uratowała ją sobota. Byli przecież tak zawałeni robotą, zwłaszcza w okresach terroru, że nie mieli chwili odpoczynku. Owłosiony spieszył się na randkę i zapomniał wydać rozkaz. Wszak nawet mistrz uproszczonych przesłuchań bywa roztargniony i zmęczony. Czy można powiedzieć, że jest człowiekiem i nic co ludzkie nie jest mu obce? Błaha sprawa - złapali i zmiełli dziewczynkę. Sprawa Mandelsztama też była błaha - wedle ich skali i wyobrażeń... Ważne były jedynie sprawy związane nie z prawdą, a potencjalną walką o władzę, inne się nie liczyły... Nie warto się było z nimi guzdrać. A straszili wszystkich. Groźby działały nie gorzej od tortur.

Nie każdego z nas rozpracowywał znakomity śledczy o owłosionych rękach i nie każdemu groziło Lefortowo, ale wisiąco nad każdym i ludzie żyli ze świadomością, że istnieje i w każdej chwili można znaleźć się w jego piwnicach. Jako chwył wychowawczy istnienie Lefortowa i Łubianki dało wstrząsające wyniki w paru przyszłych pokoleniach. Odbiera wolę i potrzebę wyboru, pozbawia człowieka zwykłych cech ludzkich. Wszyscy szliśmy na małe kompromisy, wielu - ściślej większość - nie cofała się przed dużymi. W plemienu pierwotnym człowieka pętały obyczaje i rytuały, ale wszystko to miało na celu utrwalanie wspólnoty. Chrześcijaństwo przyniosło ludziom wolność. Ci, którzy poznali wolność, odwrócili się od niej i wybrali ateizm, tuziny sceptycznych frazesów i pseudoracjonalistycznych formuł żaloznego racjonalizmu. Wyraźna jest współzależność między zanikiem wewnętrznej wolności i wolności wyboru a odejściem od chrześcijaństwa, ale nie widzą jej ślepi i ci, którzy nie chcą patrzeć. Tymczasem jest to najważniejsze znamię epoki, które zademonstrowano ludziom w sposób niezwykle poglądowy... Nie ma nic gorszego od tego widowiska. Pozostaje po nim tylko wstyd i wstręt. Jedynym ludzkim uczuciem Zagodającym życie jest współczucie ludziom, ale do tego nie wszyscy są zdolni. Czy współczuł mistrz uproszczonego przesłuchania? Komu współczuł? A my - rozproszeni po świecie, zmęczeni ludzie, którzy utracili nadzieję - czy mieliśmy siłę, by komukolwiek współczuć? Wydaje się, że nie mieliśmy zupełnie nic oprócz woli życia, potrzeby, by nie bacząc na nic przeżyć straszny okres i zobaczyć, co będzie dalej. Nie dowiem się już, co będzie dalej, ponieważ

teraz jest chwila wytchnienia.

Proponowano nam prosty i jasny wybór. Nigdy tego aż tak wyraźnie nie stawiano: z Łubianki albo prosto do łagru, albo do celi tortur. Ci, którzy wybrali śmierć, byli skazani na milczenie, ale nie wszyscy zginęli. Jest paradoksem, ale ci, którzy stawiali na pomyslność ginęli masami, choć z pozoru mieli więcej szans na ocalenie, niż ci, którzy odmawiali wymienienia pięciu nazwisk. Likwidowali więcej "swoich" niż obcych, czyli "nas". Wiem, kim jesteśmy "my"... To ci, którzy wymieniali pięć nazwisk dopiero na torturach, a nie dobrowolnie, nie na pierwsze wezwanie. Dopóki istnieją ludzie próbujący przekonać instynkt samozachowawczy jest jeszcze nadzieja i życie trwa nadal.

Wśród obcych stawiających na szczęście i wierzących w instynkt samozachowawczy byli również ludzie, którzy dawali się zakatować, ale nie podpisywali zeznań przeciw tym, których szanowali i cenili. Słyszałam o kobiecie, która zginęła w więzieniu, ponieważ odmówiła podpisania zeznań przeciw Mołotowowi. Wielu ludzi rozstrzelano, ponieważ nie można ich było postawić przed sądem, by złożyli nieprawdopodobne zeznania. To znaczy, że wśród zwycięzców byli ludzie wierzący w swą sprawę. Nie uświadamiali sobie, co robią i dokąd prowadzą ludzkie masy.

Mówią, że mistrz uproszczonego przesłuchania żyje i nadal działa na swojej niwie. W najcięższych czasach pracował zgodnie z prawem i instrukcjami. Nawet na zwykłe pobicie marnego aresztanta dostawał sankcję od naczelnika. Ani on, ani jego naczelnicy nie wzbudzają we mnie gniewu, ale brak mi moralnej siły, by ich żałować. Przecież też dokonali wyboru. Okrucieństwo tkwiło w ich naturze, ale nie tylko nie próbowali go przekonać, ale wszelkimi sposobami starali się rozbudzić i umocnić to, co było w nich ciemne i straszne.

/ "Archipelag" nr 6/33/, Berlin Zachodni/

Szczyt znaczy szczyt

Zniszczyć - co niezależne, z wolnego ducha płynące. Co się da - przykwaszczyć, podrobić intencje, dorobić fałszywe motywacje, zakłamać i obwieścić jako swoje. W orwellovskim świecie wszystko jest możliwe. Chociaż nie - możliwe jest tylko to, co jest konieczne dla utrwalenia papierowej i na strachu opartej potęgi Państwa - Demiurga. W orwellovskim świecie poezuszeństwo nie wystarczy. Jak długo bowiem człowiek nie cierpi - powiada bohater Orwella - nie możesz sprawdzić, czy wykonuje on

twoją wolę, czy tylko swoją własną. Władza jest to darcie ludzkiej świadomości na strzępy i układanie z tych strzępów świadomości innego typu, według twojej woli.

Chodzi przy tym o świadomość wszystkich poddanych. Obywatele, funkcjonariuszy, poetów wreszcie. System ma być szczelny. Żadnych wyjątków - więc poetów również. A może zwłaszcza poetów?

X X X

Spółdzielnia /?/ Wydawnicza "Czytelnik" wydała ostatnio wybór wierszy poetów rosyjskich pt. "Akme znaczy szczyt". Na stronie tytułowej jednolitą czcionką podtytuł: "Gumilow, Achmatowa, Mandelsztam w przekładach Leopolda Lewina". Jednakże nie o megalomanię tłumacza tu chodzi. Rzecz w tym, iż ten tom poezji jest kłamstwem, hipokryzją i sprzeniewierzeniem zarazem. Wydawcy i tłumacza. Tego ostatniego zwłaszcza.

Przypomnijmy kilka faktów nie zawsze znanych powszechnie. Grupa poetycka akmeistów powstała w Rosji na kilka lat przed rewolucją bolszewicką. Warsztatowe nowatorstwo, lapidarny i piękny język, stałe podkreślanie śródziemnomorskich korzeni kultury europejskiej oraz bezdyskusyjny talent członków grupy, dawał nadzieje na zaistnienie fascynującego zjawiska w kulturze światowej. Nadzieje te przerwała rewolucja bolszewicka. Szytymne wymogi politycznego autorytetu oraz nakaz proletariackiej estetyki jak walec przetoczył się po kulturze rosyjskiej niszcząc po drodze to, co było najbardziej wartościowe.

Trudno było jednak wderzeć się w umysły wszystkich poetów. Akmeiści, stale spychani na margines, pozostawali sobą. Sobą dla siebie. Nie wydawani, opluwani, szczeni. Mikołaj Gumilow stalinizmu nie doczekał, ale doczekali Anna Achmatowa i Osip Mandelsztam - jeden z największych poetów rosyjskich, jak go określa współczesna, bynajmniej nie sowiecka, krytyka literacka.

Tragiczne życie, poniewierka i śmierć tego poety urosły do rangi symbolu i są krzyczącym do dziś dziełem oskarżeniem sowieckiego despotyzmu. Despotyzmu, który poetów skazywał na powolne konanie lub doprowadzał do desperackiej samobójczej śmierci. Proces Mandelsztama i akmeistów rozpoczął się nazi jutrz po dokonaniu przewrotu bolszewickiego i zaprowadzeniu państwa powszechnej szczęśliwości. Był to proces kafkowski. Nikt nigdy i nigdzie nie sformułował oskarżenia przeciwko poecie. Nikt nie dał mu prawa do obrony, nie powołał świadków. Zresztą gdyby nawet, to obrona była bez szans, zaś świadkowie - sterroryzowani wszechobecną psychozą gułagu - milczeliby zapewne, potwierdzając tym winę poetów.

A wina ta była ciężka, bo stała za nią premedytacja. Otóż akmeizm istniał. I to istniał w pragnieniu tego minimum godności, które każe człowiekowi widzieć świat po swojemu i swoim opisywać go językiem. Czy bał to język sprzeciwu, buntu, niezgody na dziejące się wówczas zło? Nie. Zarówno Man-

delsztam, jak i Achmatowa, w politykę się nie angażowali. Żyli w swoim świecie znaczeń, w świecie przyrody i uczuć ludzkich, tych najprostszych, najelementarniejszych. Ale to również było zrazu przestępstwem, później, w miarę gęstnienia terroru, stało się zbrodnią.

Kolejnym sukcesem sowieckich piatiletetek towarzyszył głód i tułaczne życie poetów. Mandelsztam, wraz z żoną Nadieżdą, żyli w coraz większej biedzie. O wydaniach wierszy nie można było nawet marzyć. Nie było w nich nic, co mobilizowałoby do niewolniczego wysiłku. Mandelsztam tworzył dla garstki przyjaciół, dla siebie.

Tak nadszedł tragiczny listopad 1933, kiedy to poeta napisał wiersz, który miał go kosztować życie. Zacytujmy ten niewielki utwór o Stalinie w całości, jako że próżno go szukać w antologii Lewina.

Żyjemy tu, nie czując pod stopami ziemi,
Nie słysząc i na dziesięć kroków, co szepczemy,

A w półszólkach, półrozmówkach naszych
cień górala kremłowskiego straszy.

Palce trzuste jak czerwie w grubą pięść układa
Słowo mu z ust pudowym ciężarem upada.

Śmieją się karalusze wąsiska
I cholewa jak słońce rozbłyska.

Wokół niego bałastra cienkoszyich wodzów:
Bawi go tych uszkuńnych półludzików mozół.

Jeden łka, drugi czka, trzeci skrzeczy,
A on sam szturcha ich i szorzczy.

I ukas za ukazem kuje jak podkowę -
Temu w pysk temu w kark temu w brzuch, temu w głowę.

Miodem kapie każda nowa śmierć
Na szeroka, czotyńska pierś.

/przekład Stanisława Barańczaka/

Wiersz ten odczytał poeta tylko raz w gronie kilkunastu przyjaciół. To wystarczyło, by proces poety przed totalitarnym, anonimowym trybunałem doznał znamienitego przypieszenia. Ostracyzm wobec Mandelsztama sięga już zenitu. Garstka przyjaciół kureczy się do paru osób. Nie ma z czego żyć.

Wszyscy czekają już tylko na to, kiedy przyjdą. Przyszli nocą w maju 1934 roku. Śledztwo, łubianka i zesłanie na budowę kanału, czyli kara śmierci na raty. Ale staje się cud. Stalin łagodzi karę. 3 lata osiedlenia się na Syberii mają zastąpić powolne honorarie przy niewolniczej pracy. Trzy lata w Woroneżu, to "Zeszyty Woroneżskie" i szereg innych wierszy. Nadieżda przepisuje je, ukrywa i uczy się na pamięć. Przecież w każdej chwili mogą znowu przyjść i wszystko zniszczyć, tak jak za pierwszym razem. Potem powrót do Moskwy, na poniewierkę, przy

której dotychczasowa bieda wydaje się luksusem. I znów uczenie się wierszy na pamięć, ręczne przepisywanie - Achmatowa mawiała, że żyje w epoce przedgutenbergowskiej - i strach, wszechogarniający strach, przebijający tu i ówdzie z poetyckich strof.

Wreszcie los spełnił się do końca. Znowu przyszedli w maju i znowu nocą. Znowu zabrali wszystkie rękopisy. Tyle tylko, że - dzięki Bogu - jednego nie przewidzieli. Żona poety знаła część wierszy na pamięć.

Ostatni raz widziano Osipa Mandelstama w łagrze Wtoraja Rieczka pod Władywostokiem. Był w transporcie na Kokymę. Długo, długo później Nadieżda otrzymała oficjalne zawiadomienie, że zmarł na paraliż serca. Jak zmarł, kiedy dokładnie i gdzie go pochowano - nie wiadomo do dziś. Czy była to śmierć z wyczerpania, niechciana, z którą do końca brał się za bary? Czy może inna, błogosławiona, wymodlona śmierć wybacicielka? A może to była śmierć przypadkowa, taka o jakiej napisał Aleksander Sołżenicyn: "... strażnicy, którzy strzelali byli pijani i jeszcze rankiem poruszała się cienka warstwa ziemi, którą przysypany był wielki dół...".

X X X

Tak więc "...Mandelstam, jak Mozart, nie ma grobu. Jego grobem jest pamięć ludzkości..." - pisze Ryszard Przybylski, autor znakomitego i uczciwego eseju o poecie, wydanego w parryskiej "Libelli". I tej pamięci nie godzi się zamazywać, retuszować, wykorzystywać dla koniunkturalnych celów. Nie tylko dlatego, iż tragizm istnienia poety domaga się choćby i tego drobnego zadośćuczynienia, jakim może być garść prawdy o nim, jego dziele i losie. Również, a może przede wszystkim dlatego, iż taka była ostatnia wola jego wiernej towarzyski cierpienia - Nadieżdy Mandelstam.

Trudno zaiste przypuszczać, aby ludziom interesującym się poezją akmeistów nie był znany przejmujący dokument epoki, jakim są "Wspomnienia" i "Druga Księga" Nadieżdy Mandelstam, zwłaszcza zaś "Mój testament" - ostatnia wola poety, wypowiedziana przez jego żonę. Nadieżda opublikowała ten testament na 14 lat przed swoją śmiercią. "... Zwracam się do Przyszłości, która dokona podsumowania - pisze Nadieżda - i proszę Przyszłość, nawet jeśli dziś jest ona za górami, by spełniła moją wolę. Mam prawo do wyrażania swej woli, ponieważ całe życie poświęciłam zachowaniu garści wierszy poety, który zginął. Nie jest to pospolite prawo wdowy i spadkobiercy, ale prawo współtowarzysza czarnych dni...".

Czy można zaprzeczyć moralnemu i formalnemu prawu do rozporządzenia dziedzictwem poety? Można, i czynił to Związek Pisarzy Sowieckich oraz nieliczni edytorzy za żelazną kurtyną, wydając drugorzędne wiersze poety z kłamliwymi komentarzami. A więc naprawdę można? Otóż nie. Nie można. Nie sposób tego uczynić, gdy pamięć ludzkości jest grobem poety. Zaś wszelkie usiłowania - z jakichkolwiek zresztą intencjami - mogą być tyleż dla kultury gnębielskie, co i

bezsilne. "...Nie oprawcy powinni dziedziczyć po galerniku, lecz ci, co byli z nim skuci jednym łańcuchem..." - napisała Nadieżda w testamencie i to zdanie winno być mottem każdego tomu wydanych dzieł poety.

Krytycy, tłumacze i wydawcy, sięgający po tę tragiczną i cudem, wbrew Demiurgowi-Państwu, ocalałą spuściznę, powinni pamiętać o słowach testamentu Nadieżdy: "...zwracam się do Przyszłości, która jest jeszcze za górami, z prośbą, by ujęła się za zmarłym więźniem obozowym i zabroniła państwu tknąć dziedzictwo po nim, niezależnie od praw na jakie by się powoływało. Ten ulotny dobytek trzeba uchronić przed zamachem państwa, jeśli prawnie lub wbrew prawu nim zarządza. /.../ Tym bardziej w przypadku, gdy pamięć o człowieku żyje w ludzkich sercach, a państwo czyni wszystko, by tę pamięć zatrzeć..."

X X X

Polska recepcja poezji akmeistów w ogóle, a Osipa Mandelstama w szczególności, była zrazu wrywkowa. Zmieniło sytuację zaistnienie samizdatów w ojczyźnie poety i drugiego obiegu w Polsce. Wdzięczna ludzka pamięć przechowuje Mandelstamową spuściznę. Pamięć przechowuje także prawdę o losie poety i stalinowskim spełnieniu.

To wszystko - dzieła poety i wspomnienia jego żony - zaświadcza raz po raz o bezsilności tyranii, bezsilności, którą przewidział w przenikliwej wizji prześladowany poeta, kiedy na zesłaniu w Woroneżu pisał:

Pozbawiając mnie mórz, rozmachu i rozbiegu,
Dając pod stopę ziemi przymusowy akr,
Jakiście osiągnęli zysk? Niewiele tego:
Nie odbierzecie mi poruszeń moich warg.

Spuścizna poety i ponury obraz czasów bez sumienia i nadziei, jaki maluje we wspomnieniach towarzysząca jego krzyżowej drogi, spuścizna przywrócona polskiemu czytelnikowi przez wydawnictwa drugiego obiegu, poza wartością estetyczną, wartością sztuki samej, jest jeszcze innym spełnieniem. Czyni mianowicie zadość bolesnej prośbie testamentu "...by nie zapomniano, że zamordowany zawsze jest silniejszy od mordercy, a proszący człowiek wyżej stoi od tego, który chce nim władać..."

X X X

"Kilka słów zamiast wstępu", którymi Leopold Lewin opatruje wspomniany wybór wierszy Gumilowa, Achmatowej i Mandelstama, wskazuje na to, że tłumacz w stosunku do poety jest o wiele bardziej mimowolnym wykonawcą testamentu Józefa Stalina, niż Nadieżdy Mandelstam. Niestety.

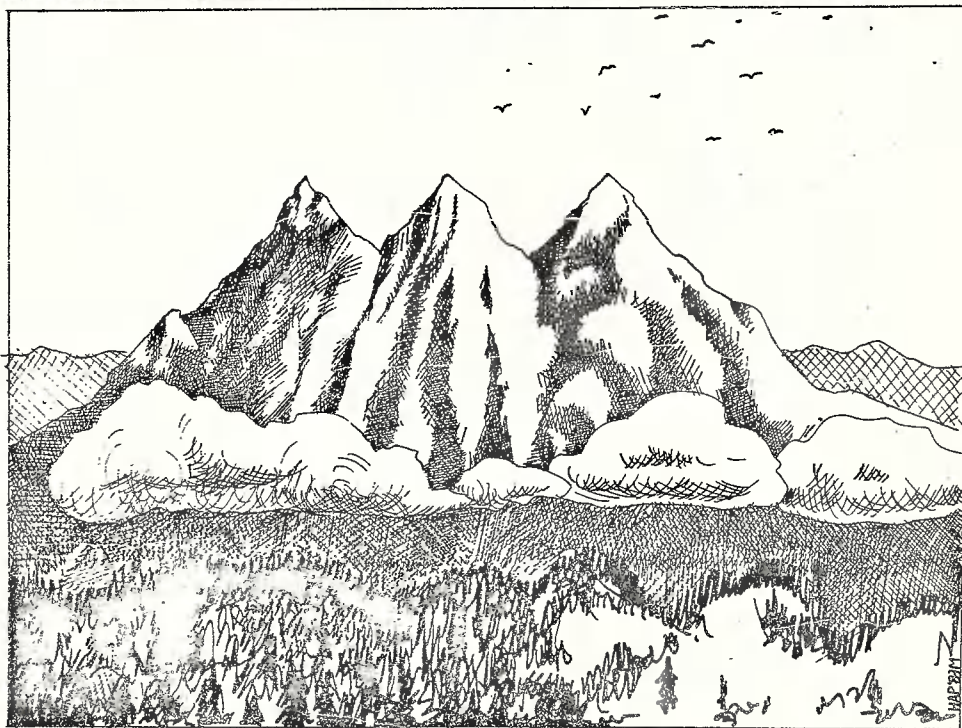
Milczenie miało, być może, wartość alibi w epoce wciskającego się zewsząd strachu. Ale ta epoka minęła. W każdym razie należy do przeszłości na tyle, na ile mógł, dla przykładu, Ry-

szard Przybylski wydać ogromny esej o poecie pt. "Wdzięczny gość Boga". I w nim, po wyrażeniu wdzięczności tym, którzy pomagali mu w pracy, napisać: "...Zło, które mi przeszkadzało, jest plugawe, ale bezsilne...". W tym krótkim zdaniu znajduje się jakże przejmujący i czytelnny hołd dla poety, którego tłumacz Spółdzielni "Czytelnik" chyba zupełnie nie zrozumiał. Podobnie zresztą, jak zaszczonego Gumilowa i prześladowanej Achmatowej.

Dlatego chyba właśnie tłumacz skwapliwie zgodził się na drukowanie w wierszach tej ostatniej słowa "Bóg" z małej litery. Ale nawet mali ludzie piszący "Bóg" małą literą, nie mogą być chyba na tyle mali, aby nie wiedzieć, że poezji zniszczyć nie sposób. Jeśli się bowiem zniszczy poezja, to zniszczy się również człowieka, ponieważ poezja znajduje się tylko w człowieku. Nigdzie indziej.

Akme znaczy szczyt. Tak jest zatytułowany czytelnikowski wybór. "Kilka słów zamiast wstępu" jest też swego rodzaju szczytem.

/A.C./



FAKTY - SYGNAŁY - OPINIE

"SOLIDARNOŚĆ" NIE JEST ZŁAMANA

Wywiad z Lechem Wałęsą dla "Le Figaro"
w tygodniu poprzedzającym wizytę Jana Pawła II w Polsce

- Papież złoży już trzecią wizytę w Polsce. Jak widzi Pan tę wizytę i o ile będzie się ona różnić od poprzednich?

L.W.: - Spróbuję porównać wizyty Ojca Świętego do ewolucji naszego ruchu. Pierwsza wizyta Jana Pawła II była czymś wręcz nie do wyobrażenia. Było to ośnienie, eksplozja. Oznaczała ona przebudzenie się sumień, obudzenie emocji. Pierwsza faza "Solidarności" była również kolorowa i pełna emocji. W owym czasie jednak społeczeństwo nie było jeszcze gotowe, nie mieliśmy jeszcze programu.

Druga wizyta Papieża również współgrała z drugim etapem "Solidarności". Oznaczała dla nas refleksję nad tym, co przeżyliśmy, czego dokonaliśmy i nad popełnionymi błędami, które oczywiście były. Trzeci przyjazd Papieża będzie również okazją do przemyślenia trzeciej fazy naszego ruchu. Będzie On między nami i nasze społeczeństwo musi wyciągnąć korzyści z tej Jego obecności. Słowa, które wypowie - będą ziarnem. Nikt jednak nie może powiedzieć, czy to ziarno padnie na ziemię, czy też na kamień. Ojciec Święty tym razem oferuje nam możliwość sprawdzenia naszego chrześcijaństwa i potwierdzenia naszych chrześcijańskich ideałów. Szukaliśmy rozwiązań, by wyjść z impasu, to znaczy ze stanu nienormalności - ponieważ nasza sytuacja jest absurdalna - i znów osiągnąć stan normalności. Nadal jeszcze tych rozwiązań szukamy. Jak opuścić drogę, która prowadzi donikąd, jak znaleźć i pójść drogą, która wiedzie do społeczeństwa zdolnego do życia, pluralistycznego i skutecznego w działaniach? Papież nie odpowie, oczywiście, na te pytania, ale Jego obecność pozwoli nam ośmielić się, by je sobie postawić.

- Czy wierzy Pan, że społeczeństwo polskie jest jeszcze zdolne znaleźć takie odpowiedzi, czy nie sądzi Pan, że jest zniechęcone i złamane?

L.W.: - Nie, nie i nie. Zmienił się kontekst i my się także zmieniliśmy, ale nie jesteśmy złamani. W stosunku do 1980 roku nasze społeczeństwo nie jest już mesjanistyczne i nie przesyła

już proroczych orędzi, tak jak to wtedy robiliśmy. Szukamy nowych rozwiązań. Nie mogą być one z góry określone i zdefiniowane.

Wie Pan, chcę powiedzieć coś o klimacie. Tutaj nie można, na przykład, posadzić bananowych drzew, bo klimat na to nie pozwala. Nie możemy więc stosować metod i przyjmować rozwiązań, które pod innym niebem dają dobre wyniki. Można robić rewolucję, gdy są pełne sklepy. Można dzielić bogactwo, ale my jesteśmy biedni. Niektórzy ludzie myślą, że można zmienić system, inni mówią, że to niemożliwe. Sądzę, że aby wyjść z tego stanu nienormalności, trzeba wykorzystać wszystkie istniejące szanse.

- Czy mógłby Pan sprecyzować pojęcie tych szans, którego Pan użył? I jaką obrac drogę, by wyjść z tej "nienormalności"?

L.W.: - Znow odpowiem Panu stosując przenośnię. Jeśli weźmie Pan akwarium z rybkami, może Pan z tych ryb ugotować zupę, ale już żywych ryb nie będzie. Tak samo można zrobić rewolucję, ale nikt z niej żywy nie wyjdzie. Istnieje droga zmian gwałtownych i droga ewolucji. Jest pług i wozy, i nie może być tak, żeby pług je ciągnął. Trzeba się uczyć, i to przez długie lata, budować system ekonomiczny, który już nie będzie absurdalny oraz prawdziwą demokrację, która nie będzie tylko pustym słowem, ale prawdziwą, pluralistyczną demokracją. Gdzie my jesteśmy? Z historycznego i logicznego punktu widzenia, system w którym żyjemy nie przyniósł żadnych rozwiązań. Dla nas podstawowym pytaniem jest wiedzieć, czy ten system jest reformowalny, czy też nie. Jeżeli nie - idziemy w kierunku konfliktu, strasznej rewolucji. Aby uniknąć starcia, trzeba więc, by mogło ewoluować całe społeczeństwo. Z tym, że formalnym warunkiem każdej ewolucji jest pluralistyczna organizacja społeczeństwa.

Największą przeszkodą na drodze do pluralizmu jest biurokracja. Nie mówię, że nic się u nas nie zmienia. Biurokracja usiłuje się reformować, ale hamowana jest przez swą własną bezwładność - sama się pożera. Musimy i możemy uświadamić jej tę absurdalną sytuację i wpływać na nią przez konkretne działania.

- Czy sądzi Pan, że zjawisko pt. Gorbaczow może przynieść jakieś korzyści Polsce?

L.W.: - Gorbaczow, podobnie jak i ja, przyjął tę samą drogę - drogę ewolucji. Po raz pierwszy w ZSRR mówi się o reformach. Ale jak dotąd są to tylko słowa. Jako robotnik, doceniam intencje Gorbaczowa. Na razie jednak wszystko odbywa się tak, jak gdyby odkręcono kurek, ale wannę trzymano nadal zakorkowaną. Woda leci, ale stoi w bezruchu. Ludzie wychodzą z więzień, ale drepczą w miejscu.

- Jak więc odkorkować wannę?

L.W.: - Poprzez pluralizm. Pluralizm legalny, polityczny i ekonomiczny. Jednakże ten pluralizm nie powinien doprowadzić do stanu anarchii. Trzeba ustalić pewne bariery, jakieś

poręcze ochronne. Będą one tymczasowe, ale są konieczne. Do stworzenia pluralizmu potrzebne są dwa warunki. Pierwszy - to wewnętrzny consensus. Drugi zaś... Tylko taki autorytet jak Ojciec Święty może wyznaczyć granice dla nas wszystkich i określić te konieczne bariery ochronne, te prowizoryczne granice dla nas wszystkich, granice, których należy przestrzegać.

- Czy grając o taką stawkę, o ewolucję, "Solidarność" jest nadal jeszcze wiarygodnym partnerem, czy jej struktury są jeszcze wystarczająco solidne?

L.W.: - Nie mogę z dziennikarzami omawiać struktur "Solidarności"... Pewne rzeczy nie powinny być powiedziane, czy odkrywane. Bardzo łatwo to zrozumieć. Dla was "Solidarność" to jest wciąż 1980 rok - kolory, sztandary, wzburzenie, wielkie poruszenie, emocje, hałas i manifestacje uliczne. A ten czas już minął i nie istnieje. Wy tymczasem z tego wyciągacie na Zachodzie wnioski, że "Solidarność" chyli się ku upadkowi. Zresztą ludzie nie interesują się działalnością podziemną, która długo trwa. Żyjemy właśnie na takim etapie i jest on najtrudniejszy, ale bez tej pracy od wewnątrz nie da się zrealizować żadnej ewolucji. Rząd w Polsce już zresztą zaadaptował pewne rozwiązania, które proponowaliśmy. Dziś naszych zwycięstw nie odnosimy na ulicy. Nie ustala się programów, rzucając kostkami bruku. Nie realizuje się ich poprzez manifestacje. Są nasze ambicje i istnieje wąski margines istniejących możliwości. Nie chciałbym, żeby Pan pomyślał, że rząd w Polsce nie ewoluuje. Tak jak powiedziałem - inspirują go nasze projekty i działania. Ale jeśli chodzi o szybkość, trzeba by trzystu lat, aby odczuć jakies efekty. Tak więc Wałęsa, na przykład, pracuje na dwóch poziomach, mówiąc, pokazując i odpowiadając wam. Na drugim zaś - działając tam, gdzie trzeba działać, z tym, że ten drugi poziom jest niewidoczny, nie może oficjalnie zaistnieć.

- Ale chciały Pan, by istniała pewna forma organizacji obywateli. Jaka organizację Pan preferuje?

L.W.: - Najbardziej dla nas pożądana, a również najprostsza droga to ta, byśmy doszli do pluralistycznej organizacji społeczeństwa. Jest rzeczą niewiarygodną, że w centrum Europy /a Polska jest narodem w centrum Europy/ żyją dziś ludzie tak różniący się w swoim życiu prywatnym i w swej kulturze, i że nie istnieje, oprócz oczywiście Kościoła, żadna niezależna od państwa organizacja. Nie można znaleźć argumentu na to, że w tym kraju nie ma miejsca na pluralizm.

- Niektóre osoby, spośród tych, które dziś w Polsce rządzą, uważają, że w kraju panuje bałagan i nieład.

L.W.: Byłoby nadużyciem utrzymywanie, że w Polsce istnieje tendencja do anarchii i do samodestrukcji. Prawdą też jest, że okres dochodzenia do systemu pluralistycznego miał swoje "delikatne" fazy, ale mądrość i dobra wola ludzi zapobiega wszelkim tendencjom działania w kierunku chaosu i anarchii. Mamy zresztą w tym względzie swoje plany i jesteśmy gotowi rozmawiać o tym i podporządkować się pewnym koniecznym wymogom. I nawet staramy się respektować pewne granice, które zostały wyznaczone przez kompetentne organizacje, np. MOP.

- Więc Papiież będzie w Gdańsku?

L.W.: - Sukces Jego wizyty nie zależy od Niego, ale od nas samych i od naszej mobilizacji.

Trum.: Abe

K I T

Kit jest rodzajem masy, którą okłada się rant szyby, przykrywając gwoździe utrzymujące szkło w ramie, zalepia szpary. Mówimy również w przenośni, że jest coś do kitu czyli "dó niczego". Ale kit, to także metafora, nazwa lepszcza wciskanego nam natrętnie do mózgów, zapychającego szare komórki papką sączoną uparcie przez tzw. masowe środki przekazu. Barwa tej masy jest również czerwona, jak prawdziwego kitu do okien.

Wizyta Jana Pawła II w Polsce była okazją do omamiania umysłów na potęgę. Od pierwszego do ostatniego dnia byliśmy codziennie bombardowani tym specyficznym rodzajem propagandy, w której główną rolę gra manipulacja obrazem, komentarzem, głosem, oklaskami; czasem zręczna, przewrotna, czasem prymitywna i nachalna. Oto święte słowo s o l i d a r - n o ś ć zostaje przez generała Jaruzelskiego zawłaszczone i przyswojone. "Niech z naszej ziemi popłynie słowo solidarność - z tymi wszystkimi ludźmi, którzy cierpią nadal wskutek rasizmu i neokolonializmu, wyzysku i bezrobocia, przesiedowań i nietolerancji" - woła generał w swoim posłaniu nie do narodów Wschodu, jak wołano w Oliwie, ale do narodów Południa i Północy. Wykorzystuje więc n a s z symbol i n a s z e hasło. Będzie się teraz nim posługiwał, jak na urągawisko. Oto przykład manipulacji, jeden z wielu - przewrotny i obłudny, chytry.

Od pierwszego dnia wizyty wmawiano nam, iż doszło do spotkania dwóch mężów stanu, dwóch wielkich Polaków, z których jeden nosi śnieżno białą sutannę, a drugi generalski mundur. W cieniu tego pierwszego miał rosnąć ten drugi, miał się grać w jego blasku, zdobywać autorytet i poważanie mas, prostować swój sztywny kręgosłup. Sukces pierwszego miał uwiarygodnić drugiego.

Nie pozwolić ujawnić się prawdziwym uczuciom Polaków, nie dopuścić do żadnych spontanicznych manifestacji - oto cel tej całej machiny propagandowej i represyjnej. "Pielgrzymka Jana Pawła II po kraju - napisał komentator - była odbiciem odmiennej obecnej, lepszej, spokojniejszej, bardziej refleksyjnej atmosfery". Napisał to po wizycie, ale mógł równie dobrze napisać przed jej rozpoczęciem. Bo taka właśnie była dyrektywa, takie założenie. A jeśli rzeczywistość przeczyła tej tezie - źle dla rzeczywistości, trzeba ją poprawić, wyg-

ładzić, zdeformować, ukryć przed publicznością, zgromadzoną przy telewizorach i radiodbiornikach.

W tym celu zmobilizowano ogromne siły milicji, ZOMO, służb specjalnych. W Warszawie np. dokumentację fotograficzną manifestantów robili strażacy, pewnie przebrani SB-cy. W Gdańsku, na Zaspie widziano SB-ków, jak po uroczystościach zdejmowali z siebie w służbowych "nyskach" sutanny... Mieli zresztą tego dnia sporo dodatkowej pracy "w terenie" z wykapywaniem i zatrzymywaniem autobusów, wiozących delegacje robotników z całej Polski, którzy pragnęli wziąć udział w spotkaniu z Ojcem Świętym w kolebce "Solidarności", w Trójmieście. Na wiele dni przed przyjazdem Papieża rozpuszczano plotki jakoby w Polsce szykowano na niego zamach. Miał to zrobić jakiś Turek, jacyś czciciele diabła. Wymyślano niestworzone historie i puszczano w lud, aby go sparaliżować, uczynić podatniejszym na manipulację, zastraszyć.

Urban na konferencji prasowej po wizycie grzmiał na korespondentów zachodnich, że była to wojna propagandy zachodniej przeciwko Polsce, że w swych relacjach kładli nacisk na tę niespotykaną mobilizację sił porządkowych. Powoływał się przy tym na Holandię, w której ponoć na dwóch widzów przypadał jeden policjant. Było to jednak kiepskie porównanie. W Holandii były rzeczywiste siły, które chciały manifestować przeciwko Papieżowi, w Polsce takich sił nie było. Tego, czego ludzie chcieli to móc bezpiecznie iść pod swoimi sztandarami, ze swoimi haskami - nie przeciwko Papieżowi, ale razem z nim. Nie potrzeba więc było zmasowanych sił porządkowych; były one gromadzone nie po to, aby go chronić, ale aby przeciwstawić się jakiegokolwiek spontaniczności, a zwłaszcza zdusić w zarodku każdą manifestację "Solidarności". Nic dziwnego, że koszty strony rządowej oszacował Urban na ok. 7 mld złotych!

Władza wiedziała, że nie może - tak jak przy pierwszej wizycie - minimalizować masowego udziału tłumów wiernych przez sposób sprawozdawczości telewizyjnej. Wtedy - jak wiemy - operatorzy TV otrzymali szczegółowe instrukcje jak mają pokazywać Papieża - tylko samą sylwetkę, żadnych tłumów, żadnej młodzieży, jedynie osoby duchowne i starszaki. Miał to być obraz katolicyzmu ciemnego, wiejskiego, ludowego, starczego. Tego numeru nie udało się już powtórzyć, to była zgrana karta.

Sztab opracował więc inną wersję scenariusza. Obowiązywała dyrektywa: należy ten katolicyzm rozcieńczać, rozmydlać, zaś manifestacje wykorzystywać dla własnej propagandy, umiejętnie nimi sterować. W czasie transmisji telewizyjnych - zamiast pokazywać Papieża, tłumy, patników, młodzież, spotkania Ojca Świętego z ludźmi, jego przygodne rozmowy - nudzić natrętnym komentarzem o sukcesach socjalistycznego państwa, o dorobku lat minionych. Żadnego żywiołu, wszystko musi być kontrolowane, nad wszystkim musimy panować. Specjalna komórka powołana do czuwania nad każdym słowem powstała w KC, w wydziale prasy. Ci ludzie decydowali o każdym słowie, jakie szło na antenę i do gazety.

Na kilka dni przed przyjazdem Papieża kazano z audycji ra-

dniowych i z artykułów prasowych wykreślać wszystkie sformułowania o katolickim kraju i katolickim narodzie. Z audycji "W Jezioranach", w której bohaterowie mieli rozmawiać o wizycie, wszystko to skreślono dokumentnie.

Poczynając od przywitania na lotnisku, wyeliminowano z transmisji telewizyjnych wszystkie mikrofony usytuowane w pobliżu tłumów. Do tego stopnia, że nie słyszeliśmy nawet kompanii honorowej. Wszystko po to, aby nie dopuścić do jakiegos spontanicznego okrzyku, który dostałby się nagle na fale eteru, do jakiegos niekontrolowanego odgłosu tłumu. Oklaski do przemówienia gen. Jaruzelskiego dorabiano w studio! Oczywiście, kamery skrzętnie omijały wszystkie insygnia "Solidarności" - transparenty, plansze, znaczki, chorągwie. Nawet obraz, który złożono na darze Ojcu Świętemu w kościele Wszystkich Świętych w Warszawie, widzieliśmy w TV z tyłu, bo od przodu był na nim ks. Popiełuszko! Obraz TV miał pokazywać - i to na przekór faktom - że "Solidarność" nie istnieje. Zaś tych, którzy chcieli pod tymi flagami wystąpić, traktowano jak prowokatorów, którzy pragną wykorzystać wizytę "dla wywołania zamieszek i niepokojów", "prowokowania zajść", "naruszenia godnej atmosfery wizyty". Godna wizyta to taka - zdaniem władz - w której miliony członków "Solidarności" nie miały prawa przyznawać się do swej przynależności, nie miały prawa zbliżać się do swoich pomników i kościołów.

Setki ludzi zatrzymano, przetrzymywano godzinami, karano grzywnami, rewizjami, za to tylko, że mieli w klapie mały znaczek "Solidarności", że trzymali drzewce szturmówki albo maleńki transparent. Związek nie miał prawa wystąpić pod swoimi własnymi emblematami, pod swoimi znakami identyfikacyjnymi i żeby temu przeszkodzić, potrzebne były zmasowane siły esbecko-milicyjne.

Starano się także odsunąć od Papieża tłum, stworzyć mur między nim a społeczeństwem, lukę, w którą wiskały się służby porządkowe, bataliony milicji, ZOMO i kto tam jeszcze... Było to działanie perfidne i trudne do zdemaskowania, bo przecież jakieś zasady bezpieczeństwa były potrzebne i konieczne. Musiało dojść i doszło do współdziałania ludzi w sutannach i w niebieskich mundurach, jak napisał komentator, ale pod tym współdziałaniem ukrywała się głęboka niechęć wzajemna i główny cel służb specjalnych: walka z "Solidarnością".

Oczywiście, wszystkie te propagandowe zabiegi zubożyły telewizyjne relacje. Powstawały sytuacje śmieszne, wydawało się, że kamery obsługują amatorzy. Zamiast relacji na żywo z tego, co się działo na trasie, na placach, lotnisku, przed kościołami, czytano nam wypracowania przygotowane przez "Interpress" na tę okoliczność o tym, jak się Polska rozwija, tytady historyczne o prawie do Ziemi Zachodnich, informacje statystyczne o rozwoju budownictwa, rolnictwa i jak się chłopom w Polsce dobrze powodzi. W ostatnim dniu wizyty, kiedy toczyły się rozmowy w cztery oczy między Ojcem Świętym a generałem na lotnisku, zamiast pierwszych komentarzy sumujących wizytę, zamiast migawek, karmiono nas pokazami gry na

klawesynie.

Po wizycie w całej prasie codziennej, od "Życia Warszawy" do "Trybuny Ludu", ukazał się j e d e n komentarz Zdzisława Morawskiego, który użył swego imienia i nazwiska, bo komentarz napisano w KC...

Już w dwa dni po wyjeździe Ojca Świętego, we wtorek 16 czerwca, w wydziale prasy KC wysmażono dyrektywę obowiązującą całą - nie tylko codzienną - prasę, aby nad wizytą Papieża opuścić szlaban. Nawet w "Polityce" zdjęto komentarze redakcyjne i dopiero po interwencjach ukazał się jeden skromniutki komentarz oraz przemówienia pożegnalne generała i Papieża z Okęcia /powtórzone za PAP-em, co jest w praktyce tego tygodnika ewenementem/. Cóż, trzeba było czymś zapełnić opróżnione miejsce.

Jedną oficjalną wykładnię przebiegu wizyty, podlaną potociem bezsensownych statystyk, mającą obowiązywać urbi et orbi, przedstawił z trybuny sejmowej w końcu tygodnia szef Urzędu ds. Wyznań, osławiony skądinąd, Loranc:

"Wizyta najwyższego zwierzchnika Kościoła rzymskokatolickiego i głowy państwa watykańskiego na zaproszenie najwyższych władz Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej oraz Episkopatu Kościoła katolickiego w Polsce potwierdza trwałość i nieodwracalność stabilizacji kraju, normalizację jego stosunków międzynarodowych, daje dobitny wyraz prowadzenia otwartej polityki, skutecznie przewyższającej trudności polityczne, społeczne i gospodarcze wywołane kryzysem. Spotkanie na Zamku i rozmowa w końcowej fazie wizyty potwierdzają powyższe oceny i można przypuszczać, że wyrażają wolę obu stron, by rozwojowi tej polityki sprzyjać w nowych warunkach i w nowy sposób".

Czyli - wy swoje, my swoje. Rządowa ocena wizyty była gotowa jeszcze przed jej rozpoczęciem. Czarne jest białe. Białe jest czarne. I z tego punktu widzenia odpowiednio wcześniej przygotowana była oprawa propagandowa.

Jednak całe to ręczne sterowanie mogło się udać tylko pod warunkiem, że Papież dostosuje się do tego scenariusza. Stało się inaczej, Papież go zlekceważył. Nie przyjechał do gen. Jaruzelskiego i dał to odczuć już pierwszego dnia, i potem konsekwentnie każdego kolejnego. Przyjechał do swojej Ojczyzny, do swojego narodu i tak przede wszystkim trzeba widzieć i oceniać tę wizytę. Nic więc dziwnego, że wymieniając na pożegnanie najważniejsze chwile papieskiego pielgrzymowania w Polsce, Józef Glomp pominął spotkanie na Zamku z generałem, jak i ostatnią rozmowę w cztery oczy. Były to bowiem epizody raczej protokolarne, niż merytoryczne, gesty kurtuazyjne.

Papież rozmawiał z narodem tak, jak chciał i o czym chciał. Zaczął od lekcji demokracji w Zamku i udzielania reprimynd Jaruzelskiemu, potem rozmawiał z różnymi środowiskami: naukowców, twórców, ludzi morza, chłopów, niepełnosprawnych, robotników, każdemu z nich mając coś szczególnego do powiedzenia. Do ludzi morza mówił o s o l i d a r n o ś c i :

"To słowo "solidarność" zostało wypowiedziane tutaj, nad polskim morzem. Zostało wypowiedziane w nowy sposób, który jednocześnie potwierdza jego nową treść w imię przyszłości człowieka i ludzkości. Trzeba było wypowiedzieć to słowo "solidarność". Dziś płynie ono szeroką falą poprzez świat, który rozumie, że nie możemy żyć wedle zasady: wszyscy przeciw wszystkim, ale tylko wedle zasady: wszyscy dla wszystkich. To słowo zostało wypowiedziane tutaj, w nowy sposób, w nowym kontekście i świat nie może o tym zapomnieć. To słowo jest ważną chlubą, ludzie polskiego morza. I nie możemy iść naprzód, nie może być mowy o żadnym postępie, jeżeli w imię społecznej solidarności nie będą respektowane do końca prawa każdego człowieka, jeżeli nie znajdzie się w życiu społecznym dość przestrzeni dla jego talentów i inicjatywy, nade wszystko dla jego pracy. Tu, nad brzegiem Bałtyku, wypowiadał więc i ja to słowo, tę nazwę "Solidarność" ponieważ należy ono do stałego przesłania społecznej nauki Kościoła...".

Czy trzeba było powiedzieć wyraźniej, powiedzieć za siebie i w imieniu naszym, jak to Jan Paweł II podkreślił w jednej z homilii. Kierował swoje posłanie do wszystkich i do każdego. Centralną figurą w jego nauczaniu był człowiek, jako indywiduum. Oprócz całej głębokiej, ściśle religijnej nauki, jego pobyt miał być podtrzymaniem narodu w jego trwaniu, w uporze, w przywiązaniu do tradycji, historii, przywiązaniu do ideałów Sierpnia, czyli do idei "Solidarności" pojmowanej jako związek zawodowy i jako idea braterstwa. "Człowiek bowiem - nauczkał - musi mieć tę podstawową pewność, że jest miłowany, że jest afirmowany w całej prawdziwości swego człowieczeństwa. Wtedy tylko gotów jest przyjmować wymagania". A godność człowieka zależy od czterech podstawowych praw: prawa do pracy, prawa do wolności, prawa do sprawiedliwości i miłości. "Każde z nich odpowiada dogłębnie naturze człowieka i godności ludzkiej osoby. Każde z nich warunkuje prawdziwy postęp, nie tylko osobowy, ale też społeczny. I nie tylko duchowy, ale także materialny".

Takie są ramy ogólne, zasady kardynalne nauczania papieskiego, ale w Polsce wypełnione zostały konkretną treścią, którą władze chciały zignorować i zlekceważyć. Wypełniają je przywołania Ustaw Sierpniowych, które pozostają największą zdobyczą świata pracy i wzorem umowy zawartej pomiędzy rządzącymi i rządzonymi, przypomnienie o niezbywalnym prawie do swobodnego zrzeszania się w związkach, o prawie posiadania ziemi i gospodarowania na niej bez przeszkód i kiód rzucanych pod nogi, o prawie naukowca do własnego sądu, o prawie katolika do udziału w życiu społecznym i głoszenia swoich poglądów. Słowo papieskie przebiło się przez kordony milicyjne, przez zapory z kitu propagandy. Warto więc powrócić do tej nauki i jeszcze raz dobrze się w nią wsłuchać, już bez szumów i zniekształceń na wizji, fonii i w umysłach.

Feliks Stanisławski

INFORMACJA WEWNĄTRZPARTYJNA

nr 39/87 z dnia 11 czerwca 1987
telexem do 208 KZ i aktywu społeczno-politycznego

1. KW w Szczecinie i Gdańsku poinformowały o sytuacji w związku z wizytą papieża.

W Szczecinie wszystkie ulice, którymi przejeżdżał będzie papież zostały wyposażone w metalowe bariery /do ich montażu zużyto 50 km rur i 6 km lin/, do budowy ołtarza na Jasnych Błoniach zużyto 500 m³ drewna. Kler wywierał na wiernych naciski "dyscyplinujące" do dekorowania obiektów prywatnych, a nawet witryn sklepowych. Przewidując działania kościelne, na głównym ciągu komunikacyjnym miasta umieszczono trwałą wystrój propagandowy. Strona kościelna wywiesiła własne hasła, np. nad ul. Wyszyńskiego, obok katedry, przy hasle "Młodzież przyszłością socjalistycznej ojczyzny" pojawił się napis "Młodzież nadzieją Ojca Świętego". Kościół rozprowadził duże ilości materiałów dekoracyjnych o charakterze religijnym, w których dominuje wizerunek papieża i jego herb. Na trasie przejazdu pojawia się coraz więcej hasła, od typowo religijnych do aluzyjnych, np. "Pozdrawiamy papieża - orędownika praw człowieka". Duchowieństwo nasila akcję nakłaniania wiernych, by przybywali do kościołów i stamtąd, w sposób zorganizowany, udawali się na miejsca głównej celebracji.

Przewidywany przez kler udział mieszkańców z woj. i sąsiednich regionów w spotkaniu z papieżem ma wynieść od 700 tys. do 1 mln. osób, oceny KW oscylują w granicach 600 tys.

W Szczecinie przeprowadzono kilka rozmów profilaktyczno-ostregawczych z osobami, które mogą być kolporterami wrogich materiałów. Kolegium ds. wykroczeń przy prezydencie miasta ukarało w trybie przyspieszonym 1 osobą za sporządzanie materiałów, które mogłyby zakłócić porządek. Specjaliści dokonali pod kątem bezpieczeństwa przeglądu darów, które mają być wręczone papieżowi. Z 24 eksponatów 2 zawierają napisy związane z b. "S".

W Trójmieście kontynuowane są prace sztabowe, związane z wizytą papieża. Przeprowadzono kontrolę tras przejazdu oraz miejsc pobytu papieża pod kątem ich gotowości. W Trójmieście dekorowane są okna mieszkań, szczególnie licznie na Zaspie. Nasycenie dekoracjami przewyższa poziom innych masowych uroczystości kościelnych. Akcja dekoracyjna ma charakter zorganizowany przez kler i przybiera w niektórych przypadkach formy presji, np. przez demonstracyjne nachodzenie mieszkańców. W dekoracji mieszkań występują niekiedy elementy polityczne, wyrażone przez eksponowanie znaku "V" i stylizowanego na byłą "S" liternictwa. Interwencje władz administracyjnych podejmowane w przypadkach dekorowania miejsc publicznych są uwzględniane.

W ocenie KW w Gdańsku w woj. wzrasta aktywność przeciwnika, o czym świadczą ujawniane koszulki z symbolem "S" i wrogimi hasłami. W rejonie osiedli Zaspia i Przymorze namalowano kilka

napisów "Solidarność walczy". Stwierdza się, że b. działacze "S" dysponują zaproszeniami na uroczystość w dzielnicy Gdańsk-Zaspa, skoncentrowanymi w jednym sektorze. Dodatkowym zagrożeniem jest sprawa przewidywanego "złożenia kwiatów i modlitwa papieża pod pomnikiem stoczniowców". Zdaniem KW, zachodzi obawa przemieszczenia się znacznej części uczestników mszy na Zaspie po jej zakończeniu pod ten pomnik. Istnieje niebezpieczeństwo próby przekształcenia przez ekstremę w dniach 11 i 12 bm. uroczystości kościelnych w manifestacje uliczne.

W związku z tymi zagrożeniami zebrał się sztab wojewódzki, na którym określono zadania i stosowne przedsięwzięcia. Odbyło się także spotkanie wojewody gdańskiego z bp. Gocławskim, podczas którego "w otwartej rozmowie" przedstawione zostały możliwe zagrożenia.

2. Po zakończeniu uroczystości w katedrze na Wawelu w dniu 10 bm. i odjeździe papieża uczestnicy, w tym grupa młodych ludzi, opuścili Błonie. Spośród nich wyłoniła się ponad 2 tys. osobowa grupa /głównie młodzieży/. Idąca na jej czele nieśli transparent z napisem "Solidarność - Nowa Huta". Wznoszono okrzyki: "Chodźcie z nami", "Mniej milicji, więcej chleba". Zamiarem grupy było przejście pod Wawel. Brak zainteresowania ze strony innych osób, spowodował wzrost agresywności grupy. Próbowano sprowokować MO, rzucając w kierunku sił porządkowych petardy, świece dymne i kamienie.

Zastosowane działania blokadowe spowodowały skierowanie grupy na obrzeża miasta. Blokady, legitymowanie członków grupy i perswazje funkcjonariuszy MO, a także interwencje księży i kleryków doprowadziły do rozejścia się grupy. Zatrzymano 63 osoby, z których 22 skierowane zostały na kolegia.

3. Dywersyjne rozgłoszenie radiowe nadal wiele miejsca poświęcają przebiegowi wizyty papieża Jana Pawła II w Polsce. W komentarzach zwraca się uwagę na wszystkie niuanse wizyty mogące stanowić "pożywkę" dla zachodniej propagandy. Mimo tych starań "Wolna Europa" musiała przyznać, że na lotnisku Okęcie w W-wie "powitanie było spokojne", wyważone, wśród dekoracji przeważały biało-żółte flagi, brak było cznak "Solidarności". Radio BBC zaś stwierdziło, że zabrakło podniecenia, towarzyszącego poprzednim wizytom papieża. Pozbawiona entuzjazmu reakcja tłumów. Ludzie powiewali chorągiewkami bardziej z obowiązku niż z przekonania. Na tle przebiegu wizyty wrogie rozgłoszenie snują różnego rodzaju spekulacje na temat rozwoju stosunków państwo-Kościół w Polsce. "Głos Ameryki podkreślił, że "w kołach kościelnych i rządowych przewiduje się, iż obecna wizyta papieża w Polsce doprowadzi do nowej ery stabilizacji w stosunkach między państwem a Kościołem", natomiast zachodni Niemiec rozgłoszenia DLF stwierdziła: "oficjalni gospodarze papieża oczekują, że jeśli wizyta będzie miała spokojny przebieg, przyczyni się do międzynarodowego prestiżu i znaczenia Polski w świecie". Analizowana jest również treść dotychczasowych wystąpień papieża w Polsce. "Wolna Europa" na ten temat stwierdza: "Papież

zdaje sobie sprawę, że nie można zmienić geopolitycznego położenia Polski, ale pragnie, aby w tych granicach Kościół był silny".

Wydział Polityczno-Organizacyjny KC PZPR

Z PRZECIEKU...

Na Okęciu fałszowano w TV proporcje dźwięku, żeby pominąć nie tyle ewentualne okrzyki, ile bardzo denerwujące "pienia". Istnieją bowiem dwa źródła dźwięku: tzw. ton międzynarodowy /dźwięk oryginalny wszystkiego, co się dzieje/ i mikrofony komentatorów - nie "spikerów". Ton międzynarodowy praktycznie zamknięto, a że mimo to słabe odgłosy śpiewów nanosiły się na mikrofony komentatorów - kazano im terkotać bez przerwy, żeby zagłuszyć pieśni i rozbić nastrój. Dało to efekt wspaniale komiczny: zakonnice i dzieci szeroko i starannie otwierały buzie, zupełnie jakby coś śpiewały, a słychać było oszaląły klekot komentatorów /w dodatku powtarzających się, bo ile można?/. W ten sposób pierwsza zauważalna kompromitacja nastąpiła p r z e d lądowaniem samolotu...

Zalecenia dla komentatorów: gadać bez przerwy, zakłócać nastrój. Traktować Papieża jako głowę państwa, która przyjechała do drugiej głowy, albo - w sytuacjach drugiej głowy nie obejmujących - szczególnie rozwodzić się o obrządku. Prócz wymieniańia osiągnięć socjalizmu, zalecane było namolne i wielokrotne omawianie wszystkich wyznań, jakie istnieją na terenie PRL.

Jeszcze raz dała się we znaki pogrudniowa weryfikacja kadr. W czasie mszy na placu Grzybowskim zalecenie gadania bez przerwy upadło, ponieważ niedouczone ubole, przyjęte w miejsce dawnych fachowców, umieściły stanowisko komentatorskie na I balkonie, bezpośrednio pod chórem i organami!

Najlepsze teksty wizyty: na Okęciu entuzjastyczny okrzyk komentatora: "Z samolotu wysiadła głowa Kościoła katolickiego" /na usta cisnęło się pytanie: "a reszta?"/ i po Zamku: "I sekretarz Komitetu Centralnego naszej partii przyjął papieża Jana Pawła II".

Z wszystkich uroczystości, zarówno transmitowanych, jak i nie transmitowanych na antenie ogólnopolskiej, do DTV wybierano te fragmenty homilii, które mówiły o konieczności pracy /oczywiście, z pominięciem warunków do jej spełniania/. Ogólne wrażenie na podstawie dzienników TV w czasie wizyty: Ojciec Święty jeździł po Polsce i namawiał, żeby wreszcie przestać bumelować. Być może za tę koncepcję ową, wyszydzana nawet w prasie oficjalnej /"Polityka", "Życie Warszawy"/, redakcja TV tydzień później uhonorowana została Nagrodą "Trybuny Ludu" 87.

Faktem jest, że tym razem chętnie pokazywano tłumy. Nie oznacza to jednak, że zrobili się uczciwi, tylko że wycwanili

się w manipulacji. Jeśli pokazywać ogromny tłum - co można zrobić tylko z dużej odległości i widać wtedy rój mróweczek, bez szczegółów - na zmianę z grupkami bez transparentów lub nawet z transparentami, nie zawierającymi brzydkiego słowa na "S", a potem znowu tłum, i znów inną nie podważającą pryncypiów grupkę, to każdy przeciętny telewidz będzie gotów przysiąc, że widział w s z y s t k o i że nic tam specjalnego nie było!

Natomiast jeden wóz transmisyjny został odkomenderowany dla potrzeb MSW. Jego zadaniem była praca "w drugą stronę", czyli rejestrowanie tych grupiek, które akurat nie nadawały się do opisanego wyżej montażu.

Na Zaspie wyjątkowo pilnie unikano zbliżeń w czasie Komunii św. ze strachu, że może nagle zjawić się w kadrze zwykły obywatel Wałęsa.

W dniu pobytu Papieża na Wybrzeżu najważniejszy DTW - o 19.30 - został oryginalnie skonstruowany: relacja z wizyty - najszerzej o Westerplatte, najwięcej o Zaspie - potem wojskowy felieton o wyzwalaniu Westerplatte przez Armię Czerwoną, potem nagle filmik o drukowaniu w wersjach polskiej i radzieckiej albumu o wojnie, a dopiero potem dalsze bieżące informacje dnia.

W informacji o spotkaniu u Św. Krzyża określenie "środowiska twórcze" zastępowano słowem "inteligencja" /jak takie twórcze, to powinno tworzyć, a nie po kościołach łązić/.

Grupa Czechów miała swój transparent i chorągiewki, Węgrzy natomiast woleli nie mieć nic wyróżniającego. Nie znam powodu. Może to po prostu głębsza normalizacja?

Wg informacji sejmowej Loranca prawie 5 mln osób wzięło udział w spotkaniach religijnych i ok. 1 mln 400 tys. witało na trasach. Jak oni to liczyli? Czy odliczyli ubeków i liczne inne służby, które Loranc wychwalał? Czy doliczyli tych, którzy nie mieli przepustek i korzystali z nagłośnienia poza terenem zamkniętym? A co z tymi, którzy, mając przepustki, nie przedostali się do procesji na Krakowskim Przedmieściu? Otóż odpowiedź jest prosta: wg Loranca wychodzi w sumie ok. 6 mln 400 tys. ludzi, w tym liczne służby - a oficjalna propaganda podała, że w obchodach wzięło udział ok. 7 mln popierających. Czyli: nie ukrywamy, że wiernych i innych było dużo, ale nie z a dużo!

Smaczek nt. Loranca /choć samo przekwalifikowanie kierownika Wydziału Ideologicznego KC na głównego specjalistę od religii już jest smaczkiem/: otóż człowiek, który przedstawił sejmowi informację rządu nt. wizyty jest tym samym Lorcancem, który jako prezes Radiokomiteu w listopadzie 1981 roku o d m ó w i ł przybycia na sejmową Komisję Kultury w sprawie narady nad działalnością podległej mu placówki /opis zdarzenia: u Danuty Pacyńskiej w "Rubikonie", a poza tym wszyscy pamiętamy/. Zrobił się z tego wówczas duży skandal ponieważ pierwszy i chyba jedyny raz oficjalnie odrzucono zaproszenie sejmu. A teraz facet wyszedł na swoje i zamiast

tłumaczyć się - odgórnie informuje, a wzgardzony sejm grzecz-
nie nagradza oklaskami i przyjęciem do aprobującej wiadomości.

Wszystkie uroczyścioci, równie¿ te nie transmitowane, były
przekazywane na żywo do KC. Następnego dnia po odlocie Papie-
¿a Biuro Polityczne wydało komunikat oceniający wizytę... Chi-
ńczyka. Istnieje uzasadnione podejrzenie, że w sprawie oceny
wizyty Ojca Świętego politbiuro oczekuje specjalistycznych
konsultacji ze źródeł pozakościelnych...

Cierpienia propagandzistów: bezpośrednio po wizycie mogliby
rozładować się przez dokożenie Papieżowi za Waldheima, ale mu-
sieli zrezygnować, bo nigdy spraw Waldheima nie tknęli. Taka
okazja się zmarnowała!

Kornik

JAK SOCJALIZM POKONAŁ LITERATURĘ?

W ustrojach totalitarnych, obojętnie jakiej maści, czarnej
czy czerwonej, literatura ma peñnić funkcję słu¿ebną wobec
władzy, jako integralna część aparatu propagandy. Pisarze mają
zatem, zgodnie z instrukcją władzy, potępiać lub wysławiać to,
co na danym etapie znajduje się w centrum uwagi politruków.
Wyraźnie i jasno przedstawił taki program zarówno Goebbels,
jak i Lenin, w Polsce zaś literaturze przydzielona została ro-
la orę¿a w ideologicznym arsenale ustroju na osławionym IV Wa-
lnym Zjeździe Związku Zawodowego Literatów Polskich w Szczeci-
nie, jesienią 1949 r. Zmieniono wtedy nazwę na Związek Litera-
tów Polskich i zakomunikowano literatom, że są "żołnierzami
ideologicznego frontu w historycznej walce o postę i pokój".

ZLP został rozwiązany 19 sierpnia 1983 r. i natychmiast po
jego likwidacji został powołany związek kadłubowy, skupiający
wyłącznie literatów popierających stan wojenny, likwidację
"Solidarności" i inne twórcze decyzje Wrony. Nowa organizacja
przywłaszczyła sobie cynicznie dawną nazwę /która, dla odróż-
nienia od prawdziwego Zet-El-Fe wymawia się ZLEF/, a na stano-
wisko prezesa desygnowana została Halina Auderska /obecnie
Wojciech Żukrowski/.

Ostatnim Prezesem Zarządu Głównego ZLP był Jan Józef Szcze-
pański, wybrany na tę zaszczytną funkcję w gorącym okresie 29
grudnia 1980 r., na ostatnim Walnym Zjeździe ZLP. I właśnie
dziejom tej kadencji poświęcona jest książka "KADENCJA" J.J.
Szczepańskiego. Jest to literatura faktu o wysokich walorach
zarówno artystycznych, jak i faktograficznych. Autor z podziwem
godną powściągliwością i spokojem relacjonuje przebieg drama-
tycznych zmagañ polskich twórców z "siłami pokoju i postępu",
co jest już moim ironicznym określeniem tępych, zakłamanych i
bezwzględnych w działaniu aparatczyków oraz wysługujących się
im ludzi miernego pióra i charakteru.

Okres posierpniowy był drugą w historii PRL próbą charakteru dla większości pisarzy, niezwykle okazją wyboru postawy moralnej. Pierwsza taka okazja była w 1968 r., gdy fala nacjonalistyczno-antysemicko-antyliberalna uderzyła w świat kultury, ze szczególnym nasileniem w ZLP. To przeciw Pawłowi Jasienicy piorunował z pianą na ustach Gomułka 19 marca, zędadając usunięcia go ze Związku i praktycznie cywilnej śmierci. Z marcowej próby ZLP wyszedł zwycięsko, nie bez osobistej zasługi Jarosława Iwaszkiewicza, który w ekstremalnych sytuacjach potrafił wykrzesać z siebie jakieś ślady przyzwyczajenia, co dodaje już na własny rachunek, gdyż autor "Kadencji" żywi dla swojego poprzednika nadmierny, moim zdaniem, szacunek i nie użyłby tak deprecjonującego określenia. W każdym razie solidarna postawa Zarządu Głównego ZLP spowodowała fiasko zamierzeń władzy "oczyszczenia ZLP z elementów syjonistycznych i kosmopolitycznych". Przeciw tym "elementom" gardłowali w samym ZLP zupełnie nie liczący się w literaturze osobnicy pokroju H. Gaworskiego. Nikt nie został z ZLP usunięty, czego Iwaszkiewiczowi nie mógł przez lata wybaczyć jeden człowiek - Wojciech Żukrowski. W dziesięć lat później, po kolejnym wyborze Iwaszkiewicza na prezesa, Żukrowski napisał doń list, który został przez adresata publicznie odczytany w redakcji "Twórczości". "Dziwię się Tobie, Jarosławie - pisał Żukrowski, co J.J. Szczepański cytuje z pamięci - że godzisz się prezydować temu zarządowi, złożonemu z kosmopolitów i niedoszlachtowanych Żydów"...

Wstrząs posierpniowy był znacznie większy niż marcowy, gdyż tym razem chodziło o zasadnicze "być albo nie być" literatury. Chodziło o to, czy polskie środowisko literackie zdobędzie się na solidarne działanie, zmierzające do zerwania knebla cenzury i odmonopolizowania ruchu wydawniczego, znajdującego się w ręku aparatu partyjnego. Wchodziła się walka o pluralizm w kulturze, o podstawę dla pisarza wolność - wolność słowa, a zatem i swobodę druku. Ale nie tylko sprawy bezpośrednio dotyczące literatury znalazły się w centrum uwagi pisarzy polskich. Chodziło o naprawienie krzywd fizycznych i moralnych wyrządzonych ludziom zarówno w Marcu '68, jak i zbrodni Grudnia '70 i Czerwca '76, chodziło o powrót prawdy do oficjalnej nauki historii, o przywrócenie językowi polskiemu w polskich szkołach funkcji języka oczyszczonego, nie zaś - jak dotychczas - narzędzia indoktrynacji i propagandy...

Nie ma w tym nic dziwnego, a raczej do oczywistości zaliczyć należy reakcję politruków, że domaganie się wolności słowa i druku, prawa do nauczania patriotyzmu, dumy i godności - potraktowali jako śmiertelne zagrożenie dla partii. Tak się bowiem złożyło, że za ideałami wolności i prawdy opowiadali się z reguły pisarze bezpartyjni, z małymi wyjątkami paru partyjnych, którzy we własnej organizacji uważani byli za renegatów, jak np. Tadeusz Drewnowski, Jan Pieszczałowicz, Marian Grześciak czy Edward Bałcerzan, którzy w tajnym głosowaniu weszli w skład nowego Zarządu Głównego.

Ale nie wybiegajmy w przyszłość. Zanim doszło do grudnio-

wego Zjazdu ZLP, trwała paratygodniowa walka z aparatem, który usiłował storpedować Zjazd, a w każdym razie "urobić" starymi metodami kija i marchewki maksymalną liczbę członków ZLP - przeciw "liberałom". Największą aktywność antywojewódzką wykazywał wówczas, co mu pozostało i w stanie wojennym, Andrzej Wasilewski, nagrodzony następnie funkcją sekretarza KC PZPR i szefa Wydziału Kultury.

W końcu władza zgodziła się na odbycie Zjazdu, wyznaczając absurdalny termin między Bożym Narodzeniem a Nowym Rokiem /28-29 grudnia 1980/, licząc na trudności dojazdu delegatów z terenu.

Jan Józef Szczepański wyznaje, że zgodził się kandydować niejako pod silną presją psychiczną kolegów, choć na przesłanie nie miał najmniejszej ochoty, a nawet nie czuł się na siłach sprostać tym obowiązkom, które nakładała nań owa funkcja, zwłaszcza w tak trudnym okresie.

Warto w tym miejscu uzupełnić zaniebdanie wydawcy, który nie opatrzył "Kadencji" notą biograficzną. Jan Józef Szczepański urodził się 12.01. 1919 r. w Warszawie. Uczestnik kampanii 1939, w czasie okupacji oficer AK w partyzantce. Po wojnie ukończył na UJ wydział filologii indoirañskiej. Członek zespołu "Tygodnika Powszechnego" od 1946 r. O mało zadebiutowałby w 1950 r., gdy to Jerzy Putrament w czasie wizytowania środowiska krakowskiego wziął od Szczepańskiego opowiadanie o partyzanckiej treści. Zamiast jednak do literatury, trafił J.J.S. na bezpiekę, gdzie przesłuchiowano go "na okoliczność"... miejsca zakopania broni! I tu warto podkreślić rys charakteru Szczepańskiego, który wyznaje w swej książce, że nigdy nie spytał Putramenta o kulisy tego incydentu, nie chcąc stawić go w kłopotliwej sytuacji. Od siebie dodam, że na to, aby zachowywać się szlachetnie, lub choćby nader taktownie wobec takich gangsterów, do jakich zaliczał się Putrament, trzeba rzeczywiście mieć w sobie wiele cnót chrześcijańskich...

Debiut książkowy w 1954 r.: "Portki Odysa"; za "Polską jesień" nagroda im. Hemingwaya, nagroda im. M. Lepeckiego za "Przed nieznanym trybunałem" 1975. Z książek tego autora, szczególnie przeze mnie cenionych, wymienię jeszcze "Wyspę" i "Ikara".

Pierwszą deklaracją autorstwa J.J. Szczepańskiego, uchwaloną na grudniowym Zjeździe, nowo wybrany prezes opowiedział się jednoznacznie po stronie "politycznych aferzystów" i "reakcyjnej mafii" /jak w "Sztandarze Młodych" ocenił skład Zarządu Głównego niejaki Bohdan Maciejewski, były cenzor i telewizyjna gwiazda jednego sezonu/. Warto zatem przytoczyć ową deklarację, która nigdy nie została w reżimowej prasie opublikowana. Oto ona w całości:

"Tworzenie dóbr kultury nie jest możliwe bez przyjęcia całkowitej osobistej odpowiedzialności za własne działania twórcy. Pisarz, artysta, naukowiec nie może być instrumentem służącym do doraźnego programowania postaw i opinii społeczeństwa. Bez jego autonomii, bez możliwości niczym nie krępowanych po-

szukiwać - nie istnieje twórcze myślenie, nie ma autentycznej sztuki, nie ma rzeczywistego postępu. Manipulowanie literaturą, sztuką, nauką, prowadzi do zakłamania i stagnacji. Dlatego też, swobodę wypowiedzi, prawo do głoszenia prawdy, która na równi z językiem jest naszym twórczym - uważamy za podstawowy kanon naszej działalności. Prawda zawarta w wypowiedzi pisarza, w jego dziele literackim, jest uwarunkowana światopoglądem twórcy. Prawo jej głoszenia jest więc równoznaczne z prawem do własnej postawy filozoficznej, własnego widzenia zjawisk zachodzących w świecie i życiu narodu. Uznając, iż wielość światopoglądów jest bogactwem narodowej kultury i czynnikiem postępu - wypowiadamy się za pełną swobodą wyrażania ich w druku i w środkach społecznego przekazu.

Deklaracja Praw Pisarza, uchwalona przez Międzynarodowy Komitet Wykonawczy PEN w Sydney w grudniu 1977 roku i przyjęta jako dokument własny przez UNESCO, tak ujmując tę kwestię: W zgodzie z powszechną Deklaracją Praw Człowieka rządy wszystkich państw winny nieustannie i bacznie chronić wolność wyrażania się pisarzy bez względu na ich rasę, wyznanie, narodowość, lub poglądy.

Pragnąc być w zgodzie z własnym sumieniem, sumieniem twórców, uznajemy tę deklarację za dokument, który winien być obowiązujący w naszej polityce kulturalnej. Czujemy się bowiem jej współtwórcami."

Deklaracja powyższa, która - zdaniem Szczepańskiego - była "wyważaniem otwartych drzwi", stanowiła, rzecz jasna, wyzwanie rzucone strażnikom totalitaryzmu, którzy na dźwięk słowa "wolność" odbezpieczają rewolwery. Dalsze poczynania twórców, jak umowa zawarta między ZLP a "Solidarnością", powołanie Komitetu Porozumiewawczego Stowarzyszeń Twórczych i Naukowych, na czele którego stanął prof. Klemens Szaniawski, i współorganizacja Kongresu Kultury Polskiej - doszczętnie zniszczyły możliwość "porozumienia i dialogu" z władzą.

Jeśli ktoś jeszcze dziś ma złudzenia, że droga "dialogu i porozumienia" społeczeństwa z narzuconą mu władzą jest możliwa, winien dokładnie przestudiować losy ZLP i członków Zarządu Głównego w stanie wojennym. Przeszło połowa "Kadencji" jest temu okresowi poświęcona. Nie jest możliwe w tym krótkim omówieniu przytoczyć nawet części dokumentów, listów, odwołań itp., dotyczących ZLP. "Dialog" władzy ze środowiskami twórczymi zaczął się wszak od fali aresztowań oraz długotrwałych internowań ludzi wybitnych i nieposzlakowanych. Chodziło od pierwszych godzin stanu wojennego o sterroryzowanie i złamanie środowiska, stosując metody typowe dla Ochrony i innych totalitarnych policji politycznych. Jakże optymistyczna jest pointa tego procesu: nikt z liczących się w polskiej kulturze twórców nie dał się zastraszyć, złamać czy przekabacić, nie pomógł groźby ni prośby, obietnice i nęcące propozycje! I ci za drutami, i ci na wolności, z autorem "Kadencji" na czele,

którego nie ośmielono się jednak aresztować ze względu na międzynarodowe reperkusje - stali twardo na jedynym możliwym moralnie stanowisku: non possumus!

Niektórzy członkowie ZLP mają mniej lub bardziej cichy żal do prezesa, że nie był dość giętkim dyplomatą, nie znalazł możliwości lawirowania w partyjno-esbeckim labiryncie, aby za cenę ustępstw uratować Związek w kształcie zbliżonym do mianowanego. Książka J.J. Szczepańskiego jednoznacznie rozwiewa jakiegokolwiek sugestie, że kompromis był możliwy. Jedyną alternatywą wobec stanowiska politruków - reprezentowanych przez Andrzeja Wasilewskiego, Witolda Nawrockiego, Józefa Lenarta, Kazimierza Koźniewskiego i ukrytych za nimi Auderskiej i Żukrowskiego - była zdrada lub rozwiązanie ZLP. Zdrada nie tylko statutu, podstawowych deklaracji i zasad moralnych, ale i kolegów, którzy się nie poddali.

J.J. Szczepański, który się obawiał, czy sprostą zadaniom prezesa w okresie trudnym - sprawdził się wspaniale w najtrudniejszym.

Najpiękniejszym potwierdzeniem słuszności jego postawy wobec dyktatu partii - może być dzisiejsze skomlenie, dobiegające z kadłubowego ZLEP-u, o cofnięcie koła historii i przywrócenie autentycznego Związku Literatów Polskich. Okazało się, że ci, którzy poszli na kompromis i potrafili zadośćuczynić władzy - nie potrafili tworzyć literatury. Związek Łokajów Partii stał się jeszcze jednym potwierdzeniem tej prostej prawdy, wyrażonej w cytowanej Deklaracji Zarządu Głównego Związku Literatów Polskich, że "manipulowanie literaturą, sztuką, nauką, prowadzi do zakłamania i stagnacji".

Jan Omłot

Jan Józef Szczepański - "Kadencja", Wyd. "Oficyna Literacka" 1986, s. 329, cena 750 zł. Wydane bez wiedzy i zgody Autora.

200 x CDN

Sześć lat istnienia /a co to znaczy, dobrze wiedzą ci, którzy funkcjonują w II obiegu/ i 200 numerów - oto, najbardziej syntetycznie rzecz ujmując, dotychczasowy dorobek cenionego i sprawnie redagowanego tygodnika "CDN - Głos Wolnego Robotnika", sygnowanego przez MRKS. "Most" składa serdeczne życzenia jak najdłuższego trwania, jak największej skuteczności i jak najszybszego przejścia na poligrafię Domu Słowa Polskiego na Miedzianej!

CDN - oznacza, że Ciąg Dalszy Nastąpi, ale jaki on będzie? Jaki powinien być? W jubileuszowym numerze "CDN" próbuje od-

powiedzieć na te pytania kilku znanych publicystów. Zamiast jubileuszowej laurki, przedrukujemy fragmenty ich wypowiedzi:

"...trzy krótkie i mało oryginalne wskazania: co robić?

Po pierwsze - TRWAC, jak przykazał Ojciec Święty. Uchronić wszystko, co pozostało ze struktur "Solidarności", która zarazem - co jeszcze ważniejsze - nadal stanowi niezbędną i bezcenną MIT, jednoczącą większość ugrupowań niezależnych.

Po drugie - przez rozliczne inicjatywy "organizatorskie", choćby na pozór trzecioplanowe, przeciwdziałać atomizacji społeczeństwa i atmosferze kompletnej apatii, która rozplenia alkoholizm, egoizm i prywatę; zapobiegać psychomoralnej rozpocy, która czyni naród magną. I na tym polu postępanie Papieża ma kolosalne znaczenie.

Po trzecie - cierpliwie dążyć do cząstkowych choćby kompromisów z władzą, a ściślej: z tymi jej przedstawicielami, którzy się do kompromisu skłaniają. Porozumienie społeczne jest obecnie nieprawdopodobne. Ale możliwe jest ułożenie znośnego modus vivendi przynajmniej w sferze gospodarki, ochrony środowiska i zwalczania elementarnych plag społecznych. Taki rozejm byłby mniej zły, niż konfrontacja "na wszystkich azymutach".

No i jest jeszcze ewentualność najbardziej posępna: że nic się nie zmienia, bo rozmnożona kasta wojowników zakonserwuje stan jaki jest. I Polska zgnije."

/Wojciech Giełżyński/

"/.../ Ostatnia pielgrzymka Papieża do Polski przyniosła nadzieję w trwaniu tym, którzy trwania nie rozumieją jako bezruchu. I którzy odnajdują w Kościele przeetrzeń wolności, o jakiej mówił Ojciec Święty, bo najpierw zbudowali ją w sobie i wokół siebie. Nie od święta, lecz każdym dniem istnienia. W czasie pielgrzymki słyszało się okrzyki: "Weź nas z sobą!" i "Zostań z nami!". Oznacza to, że w najnowszych dziejach honoru w Polsce przekroczyliśmy już granicę zdrowego rozsądku. Szukamy schronienia wśród silnych, wierząc w kulturę polityczną budowaną na słabości. Tymczasem etyka "Solidarności" nakazuje tworzyć siłę i wielkość, która pozwala bronić słabszych bijąc to, co nas niszczy."

/Maciej Poleski/

"/.../ W tej chwili nie jest on /ruch społeczny "S" - przyp. red./ w stanie w jakikolwiek sposób wpłynąć na zachowania społeczne, te 10 milionów z 1981 roku, to już historia. Teraz musiałby on odzyskać poparcie w nowych warunkach. W tym celu, jeśli nie można nic robić, to trzeba mówić i być słyszczanym. By to osiągnąć trzeba mieć środki przekazu wykraczające poza ustabilizowane już ramy II obiegu, oraz mówić nie to, co się samemu uzna za słuszne i wskazane do podania, lecz to, co ludzie stanowiący potencjalną bazę ruchu chcieliby od niego usłyszeć. Oczywiście mówić rzeczy niespreczne z

własnym przekonaniem, takie, żeby zarazem być w zgodzie z własnym sumieniem i mieć wiarygodność.

Można założyć partię, która uzna się za posiadacza prawdy, do której zechce przekonać ludzi, lecz "S" jeśli chce się liczyć w społeczeństwie musi być związkiem, który mają ludzie pracy - a nie odwrotnie. Musi wiedzieć, że jego klientelę w tej chwili najbardziej obchodzą szeroko rozumiane warunki życia i coraz bardziej widoczne zagrożenia.

Nie znaczy to, że trzeba się odżegnywać od wizji samorządnej Rzeczypospolitej i od praw człowieka, lecz przede wszystkim trzeba dziś mówić o pracy, płacy, cenach, rynku, mieszkaniach, służbach socjalnych, środowisku. Na tym polu władza ma coraz mniej na swoją obronę, podczas gdy o modelu gospodarki można dyskutować długo i z różnych pozycji."

/Ernest Skalski/

*/.../ Nikt z Wielkiej Trójki /"S", Kościół, władza - przyp. red./ nie wywiera dziś przemożnego wpływu na polityczne postawy i wartości społeczeństwa. Stan taki był dotąd w PRL normalny, ale do Sierpnia społeczeństwo nie było świadome siebie jako politycznego podmiotu. Świadomości tej, utrwalonej politycznym doświadczeniem setek tysięcy "za Solidarności" i dziesiątków - jeśli nie setek - tysięcy "za wojny", rozwijanej po dziś dzień przez lekturę nadal ogromnych nakładów niezależnej prasy, społeczeństwo już nie utraci. Wyrazi się ona w poparciu udzielonym tym, którzy udowodnią, że mają rokusjący szansę powodzenia sposób na realizację przynajmniej części fundamentalnych społecznych żądań."

/Dawid Warszawski/

SKAZY NA "GŁASNOŚCI"

Rozmowa z Natanem Szczarańskim

Przed swą emigracją do Izraela w 1986 roku Natan Szczarański /39 lat/, znany żydowski dysydent, spędził 9 lat w sowieckich obozach pracy i więzieniach, stale skazywany za walkę o prawa człowieka. W Nowym Jorku, w maju br., wziął udział w konferencji poświęconej sprawie Żydów w ZSRR. Rozmawiał wówczas z Catherine Graham, prezesem Rady Waszyngtońskiego Związku Poczt i z grupą wydawców tygodnika "Newsweek". Oto wyjątki z tych rozmów:

"Newsweek": - Na łamach prasy wyrażał się Pan sceptycznie o "głasności". Jak ocenia Pan zatem strategię Gorbaczowa?

Szczarański: - Gdy Gorbaczow doszedł do władzy, wypowiedział historyczne stwierdzenie, iż jeśli ZSRR bardzo szybko nie naprawi funkcjonowania swojej gospodarki, wówczas odpadnie ze współzawodnictwa z Zachodem. I ta właśnie obawa leży u podstaw jego działań. Reformy jego przyniosły jednak, jak dotąd, nie-

wielkie zmiany, ponieważ nie mogą naruszać podstawowych zasad systemu. Gorbaczow musi otworzyć okna Rosji na Zachód po to, by móc sprowadzać nowe technologie, dostać kredyty i umożliwić tym samym prowadzenie nowoczesnych badań naukowych. Musiał on także dojść do porozumienia z Zachodem co do ograniczenia istniejących tam możliwości wykorzystania technologii sowieckich. Oczywiście jest też, że Gorbaczow jest ogromnie zainteresowany systemem SDI. Żąda sobie również sprawę z korzyści, jakie może przynieść ZSRR rozwiązanie kwestii praw człowieka. Jego "głośność" pomyślana jest więc tak, by była dostrzegana na Zachodzie i trzeba przyznać, że mu się to udało.

N.: - Jak - zdaniem Pana - jest silna opozycja antygorbaczkowska w Związku Sowieckim?

Sz.: - Pewny jestem, że nie ma on przeciwników w Biurze Politycznym i w KGB. Opierają mu się natomiast biurokraci, którym trudno jest przyzwyczać się do jego dynamicznych działań. Ludzie popierający Gorbaczowa mówią otwarcie o istnieniu zwalczającej go opozycji oraz o tym, jak niebezpieczna będzie dla Zachodu sytuacja, gdy ta opozycja dojdzie do władzy. Ja tymczasem sądzę, że jest to po prostu część gorbaczowskiej kampanii - umiejętnie prowadzonej w sferze public relations - która ma utrwać przekonanie, że jego pozycja jest wciąż słaba i zagrożona.

N.: - Czy jednak opozycja w stosunku do prowadzonej przez niego polityki wewnętrznej nie stanowi dla niego poważnego problemu?

Sz.: - Bez wątplenia tak. Reformy jego, jak dotąd, nie przyniosły żadnych rezultatów. Niektórzy przedstawiciele inteligencji popierają go, ponieważ mogą więcej napisać, obejrzeć więcej filmów. Natomiast ulica nie jest do niego zbyt przyjaźnie nastawiona, ponieważ kolejki są takie same, jak przedtem, sklepy są puste i w dodatku jest w nich mniej wódki.

N.: - A co Pan sądzi o apelu Sacharowa, nawołującym do popierania polityki Gorbaczowa?

Sz.: - Gdybym mógł się z Sacharowem i przedyskutować wszystkie te problemy - pewny jestem, iż jego pełna analiza sytuacji nie przypominałaby na pewno cytatów z gazet. Z drugiej jednak strony sądzę, że w jego poglądach znajdują pewne zmiany. Był on przecież człowiekiem, który desperacko pragnął, by jego kraj uległ jakimś przemianom. Nie chciał przecież emigrować. Teraz sytuacja uległa zmianie i chce on po prostu zachęcać do dalszych reform.

N.: - Czy Gorbaczow wypowiadał jakieś szczególne opinie na temat emigracji Żydów z ZSRR, czy też uważał to za jeszcze jeden problem z drugiej listy problemów, które wciąż napotyka?

Sz.: - Gorbaczow pewny jest, że Żydzi rządzą światem za chodnim i że istnieje międzynarodowy spisek żydowski. Czasami jest to nawet dobrze, bo pozwala mu to zrozumieć wagę te-

go problemu dla image, jaki chce sobie stworzyć za granicą. Z drugiej jednak strony jest on zdecydowanym przeciwnikiem fundamentalnych zasad, które głoszą, że ludzie mogą decydować o tym, czy mają żyć w danym kraju, czy też go opuścić.

N.: - Jakie są więc perspektywy emigracji sowieckich Żydów?

Sz.: - Z jednej strony zwiększa się liczba osób wyjeżdżających z ZSRR, ale z drugiej - pięć lub sześć lat temu, w ciągu jednego tylko roku wyjechało z ZSRR aż 50 000 Żydów. Tymczasem weszłym miesiącu opuściło ten kraj 700 osób, czyli obecnie emigruje zaledwie 8000 osób rocznie. Większy niepokój budzą jednak nowe przepisy sowieckie, które władze stosują, by zamknąć drzwi każdemu, kto nie ma za granicą najbliższych krewnych. Oznacza to praktycznie, że z tych osób, które już mają zaproszenia do Izraela - ponad 90 proc. nie może starać się o wizę. Gorbaczow twierdzi, że przepisy te wprowadzono ze względu na bezpieczeństwo państwa. Argument ten jest oczywiście absurdalny. Odmawiano np. paszportów ludziom, którzy 20 lat przedtem służyli w wojsku. W niedługim również czasie gros wszystkich dawnych dysydentów opuści prawdopodobnie Związek Sowiecki. Nie znajdują się natomiast nowi chętni, ponieważ - zgodnie z przepisami prawnymi - prawie nikt nie może starać się o paszport, a tych niewielu, którzy mogą, padnie ofiarą owego przepisu, głoszącego iż zagrażają bezpieczeństwu państwa.

N.: - Co sądzi Pan o propozycji, by emigrujący Żydzi jechali przez Rumunię i nie mieli tym samym możliwości dotarcia do Wiednia i do USA?

Sz.: - Jako członek ruchu syjonistycznego sądzę, że najlepszym miejscem dla Żyda, który pochodzi z Rosji, jest Izrael. Ruch syjonistyczny oznacza dla mnie, że chcę budować to państwo i uczynić je bardziej atrakcyjnym dla innych Żydów oraz że nie chcę, by ktokolwiek był tu transportowany wbrew swojej woli. Dostyc bowiem jest takich ludzi w Rosji.

N.: - A co sądzi Pan o pomycie zmuszenia Związku Sowieckiego, by wziął udział w międzynarodowej konferencji pokojowej?

Sz. - Główny pomysł naszego ministra spraw zagranicznych, Szymona Feresa, polega na tym, by zorganizować konferencję międzynarodową, która byłaby po prostu wstępem do bezpośredniej negocjacji. Nie wierzę jednakże, by Związek Sowiecki zaakceptował tak wyznaczoną mu rolę. Jeżeli jednak weźmie on udział w takich negocjacjach, to z tego powodu, że będzie chciał bronić interesów swojego sprzymierzeńca, Syrii.

N.: - Ostatnio mówiło się o odejściu od tzw. poprawki Jacksona-Vanika, tj. przepisów o handlu z 1974 roku, w których ów handel miał być pretekstem do umożliwienia Żydom emigracji z ZSRR. Jakie jest Pana zdanie na ten temat?

Sz.: - Jeżeli dopuścimy do zrezygnowania z przepisów Jacksona-Vanika w sytuacji, gdy rocznie emigruje z ZSRR przeciętnie 5000 osób, to tym samym usprawiedliwiać będziemy stosowaną przez ZSRR taktkę. Nadszedł czas, by stworzyć program, który osmieleli Gorbaczowa do zastosowania jakichś prawdziwie istotnych ulg w tym względzie. I dopiero wtedy, gdy problem emigra-

cji Żydów z ZSRR zostanie całkowicie rozwiązany, będziemy mogli zrezygnować z przepisów Jacksona-Vanika.

Oprac.: Magda

"MADAM"

Motto: "Nami rządzą lumpy i gnomy"

/Ernst Niezwestny, wybitny rzeźbiarz, obecnie na emigracji/

W Pieredełkinie pod Moskwą, ekskluzywnej miejscowości dla prominentów w bezklasowym społeczeństwie sowieckim, w okazałej daczce mieszka samotna kobieta. Ma 60 lat, wygląda zaś na 70-tkę. Jest stale pod wpływem alkoholu. Z nikim się nie kontaktuje, jedynie od czasu do czasu odwiedza ją córka z wnuczką /ponoć niezbyt chętnie/, gdyż starsza pani, oględnie mówiąc, nie jest komunikatywna i ma pewne dziwactwa... Po nocach przekopuje ogród daczki, szukając "swoich" skarbów, których j u ż nie ma, ale które, w postaci wspaniałej kolekcji brylantów, jeszcze tak niedawno istniały jak najbarziej rzeczywistości.

To H a l i n a B r e ż n i e w - ukochana córka "wielkiego leninowca", "płomiennego komunisty", "orędownika pokoju", którego śmierć "pograżyła w żałobie całą ludzkość", Leonida Ilicza Breżniewa.

W Lefortowie, słynnym z ponurej sławy więzieniu moskiewskim, w pilnie strzeżonej izolatce od szeregu miesięcy przebywa człowiek, który, jak to się mówi fachowo, "skutecznie współpracuje ze śledczymi", a którego zeznania j u ż spowodowały niejedno samobójstwo, liczne upadki i dymisje, zejścia z tego padołu "w niewyjaśnionych okolicznościach", a który... jeszcze nie powiedział wszystkiego! Nie jest głupcem. To ostatni mąż Haliny Breżniew, generał-lejtnant Czurbanow, b. zastępca ministra spraw wewnętrznych. Jego szef, w mundurze galowym i przy orderach, strzelił sobie w usta z broni myśliwskiej, zaś żona szefa wcześniej wyskoczyła przez okno, kiedy realna groźba zawisła nad całym "układem", złożonym z "prawdziwych komunistów", "oddanych partii towarzyszy" itp., kiedy zmarł ostatni przedstawiciel "mafii dniepropietrowskiej" - Czernienko, totumfacki Breżniewa i wiadomo było, że do głosu dojdzie konkurencja...

Halina Breżniew, wysoka, silnie zbudowana kobieta o grubych, męskich rysach twarzy i krzaczastych brwiach, bardzo przypominająca swego ojca, który uwielbiał córkę, ale miał też z nią stałe kłopoty... Uczyła się słabo, a na domiar złego była krnąbrna i /o zgrozo!/ za nic nie chciała wstąpić do Komсомоłu. Tatusz nawet osobiście jeździł do szkoły i prosił ak-

tywistów, aby wpłynęli na córkę, no bo "po prostu nie wypada".

Halina Breżniew już we wczesnej młodości zdradzała, rosnące z wiekiem, zainteresowanie mężczyznami i alkoholem /to zresztą rodzinne, bo i tatuś i młodszy brat byli nałogowymi alkoholikami - ten ostatni przed niedawnym przejściem na emeryturę w wieku 50 lat, był zastępcą ministra handlu zagranicznego... o-raz brylantami!/.

Pierwszym mężem Haliny był siłacz cyrkowy, z którym miała ona córkę - pupilkę Leonida Ilicza. Był on ponoć najprzystojniejszym człowiekiem w tym gronie i do końca miał wstęp na salony genseka; prywatnie, oczywiście, no bo czym mógł tam wykazać się niewykształcony, bezpartyjny, bez aspiracji aryystycznych i do tego abstynent! Drugim mężem natomiast został młodszy od niej o 20 lat iluzjonista cyrkowy. Również i on, niestety, nie zyskał większego uznania wśród partyjnych bonzów przewyższających go zdecydowanie kunsztem ukazywania otumanionym masom "przepastnych szczytów komunizmu" i w ogóle "świetlanej przyszłości".

Trzecim wybrańcem, to już kompletna afera, był 20-latek //, z którym Halina wzięła ślub, wymuszając zgodę na urzędnicze stanu cywilnego, wbrew przepisom, które mówią, że od chwili zgłoszenia się w urzędzie musi upłynąć jeden miesiąc. Krótko mówiąc, przyjechało natychmiast trzech panów z "pełnomocnictwami", ślub unieważniono, usunięto wszelkie ślady z rejestrów, niedoszły zięć genseka dostał nowy paszport, w którym znów figurował jako "wolny", urzędniczkę zaś ukarano.

A więc właściwie trzecim mężem Haliny został nieznanemu podpułkownik milicji Czurbanow, który szybko awansował /pewnie był zdolny i "oddany sprawie"/ do stopnia generała-lejtnanta i szefa Zarządu Politycznego MSW w randze wiceministra. Znudził się rychło Halinie, która popijała na umór i popisывała się publicznie: "Ja kocham Sztukę, a mam męża generała...".

Halina zmieniała więc kochanków, głównie spośród cyrkowców! Lubika też podróże zagraniczne, ale z tatusem wyjechała tylko raz, co skończyło się znanym skandalem. Następnie wyjeżdżała już z cyrklem /jakby "tamto" cyrklem nie było/ w charakterze... charakteryzatorki. W zasadzie miała etat w APN, czyli można powiedzieć, że była dziennikarką.

Jej ostatnia "wielka miłość" to Borys-Cygan, 29-letni były cyrkowiec, który, odkąd został kochankiem Infantki, przestał nawet udawać, że pracuje. Miał Cygan swój "dwór", którym zarządzał jego młodszy brat, "ojciec chrzestny" Haliny, gdyż to jemu właśnie zawdzięcza ona przydomek MADAM. Miał Cygan piękne mieszkanie w Moskwie i daczę pod Moskwą, i willę na Krymie. Miał białego mercedesa i karafkę pełną brylantów, którą trzymał w swoim moskiewskim salonie.

A co na to pan, przepraszam, towarzyszu generał Czurbanow? Czy nie był zazdrosny? Czy nie gorszył go, że musi dzielić małżeńskie łożo z bezpartyjnym Cyganem? Może i był, ale nie okazywał tego. Bolszewicy potrafią zacisnąć zęby i trwać. To, oczywiście, czysty przypadek, że Borysa-Cygana kilka razy cię-

Żko pobili "nieznani sprawcy".

I tak trwało "dolce vita" madam i innych. Aż umarł Leonid Ilicz i Andropow zaczął próbować podważać "strukturę".

Pechowy zwłaszcza był pewien Sylwester w gronie partyjnego high-life, na którym słynna treserka tygrysów, Bugrimowa /znowu ten cyrk!/, zaćmiła Madam i inne prominentne towarzyski swoją kolekcją brylantów, którą włożyła na siebie, jak się okazało dosyć nieopatrznie. W kilka dni później do wieszowca, w którym mieszkała treserka, trzech młodych panów przywiozło piękną choinkę, "prosto z lasu, od towarzysza..." - jak oświadczone nieco skonsternowanemu portierowi. Biedak nie dosłyszał wprawdzie nazwiska, ale wpuścił gości na górę /treserki, oczywiście, nie było w domu/, bo chcieli postawić choinkę pod drzwiami wraz z innymi prezentami. Kiedy po pewnym czasie zaniepokojony portier udał się na górę, zastał tam co prawda choinkę pod drzwiami, ale drzwi były otwarte, sejf w ścianie /mimo sygnalizacji alarmowej/ również, a po kasecie z brylantami ani śladu. Czysta, fachowa robota - orzekła specjalna ekipa śledcza. Postawiono hipotezę, że brylanty będą wywiezione z kraju /w celu przeszlifowania, na przykład/ i to wkrótce. Hipoteza sprawdziła się, kiedy na lotnisku Szeremietiewo zatrzymano /to była ryzykowna gra, której patronował zapewne sam Andropow/ pewnego "oddanego towarzysza", a przy nim znaleziono kilka skradzionych brylantów.

Śledztwo "wyszło" na... Borysa-Cygana, którego wezwano na przesłuchanie. Przyjechał w bogatym futrze, w futrzanych butach, z małym pieskiem na rękę. Został zatrzymany nakazem prokuratorskim /nie wyjaśniono, co się stało z pieskiem.../; ekorzystał z pozwolenia zatelefonowania do domu. Zadzwonił do Haliny. Niewiele to wszakże pomogło i Borys-Cygan zmarł wkrótce w więzieniu. Przypadek?

Niebawem żona Szczełkanowa, ministra spraw wewnętrznych, popełniła samobójstwo. Aresztowano jeszcze parę osób. Pożknął cyjanek generał-pułkownik Cwigun, zwagier Breźniewa i zastępca szefa KGB. Zamordowano w "niewyjaśnionych okolicznościach" pewnego admirała /też ponoć z "rodziny"/. Zastrzeilił się minister spraw wewnętrznych, Szczełkanow, a generał Czurbanow z początkiem bieżącego roku wylądował w celi w Lefortowie.

Halinie nakazano zwrócić wszystkie brylanty. Nawet te "kupione". W sejfach dyrektorów niektórych sklepów jubilerskich ponoć znajdują się jeszcze "pokwitowania" Infanki, bo nie zawsze miała gotówkę pod ręką, bądź zgoła nie miała ochoty płacić. Mógł przecież Romanow /nie, nie ten nieszczęsny car, zamordowany wraz z dziećmi w czasie przewrotu bolszewickiego/ "pierwszy" z Leningradu, zaciekle walczący o sukcesję po Breźniewie, opój i ignorant, "wypożyczać" obrazy z Ermitażu i j e d y n ą na świecie zastawę porcelanową, Katarzyny II na... ślub córki. Podchmieleni towarzysze potłuki co prawda to i owo, i już nie było co eksponować, ale resztki zwrócono narodowi...

A inny członek elity, Kozłow, odpowiedzialny za masakrę w Nowoczerkasku? A minister kultury Aleksandrow? A ambasador Ab-rasimow? Żeby już nie wspominać "padyszacha" Berii i jego ha-remu... A imię ich legion - "wybrańców ludu", "wiernych leni-nowców", "płomiennych komunistów", którzy zapisali się w ponu-rych dziejach partii bolszewickiej, jako pospolicci złodzieje, aferzyści i mordercy, żerujący na ideologii, pasożytujący na systemie, którego sami są twórcami i produktami zarazem.

Car Mikołaj II - "Krwawy", jak go nazywa historiografia ko-munistyczna - był do końca niezwykle skromnym człowiekiem. Lu-bił pracę fizyczną /piłowanie drzewa, zamiatanie śniegu/, któ-rą uprawiał ku zdumieniu nadzorców również więziony wraz z żo-ną i dziećmi. A córki cara, które całą wojnę pracowały w szpi-talach polowych w charakterze pielęgniarek? To też była e l i t a, która miała i swoje dziedzictwo niechlubne i swoje przy-wary, ale byli to przynajmniej ludzie k u l t u r a l n i, którzy znali g r a n i c e nieprzekraczalne, którzy mieli z a s a d y, kultywowane w oparciu o tradycję, przede wszyst-kim religijną. Jedyna naprawdę ponura sprawa - to mord /bo tak to trzeba nazwać/ Rasputina przez prominentnych sprawców /m.in. księżę Jusupow i członek Dumi Państwowej Puryszkiewicz/, w złudnej nadziei, że w ten sposób "zostanie uratowana Rosja". To były rządy niejako skazane przez Historię, ale w Rosji car-skiej nie rządziły "gnomy i lumpy", nie istniał mechanizm nie-naturalnej selekcji; istniała natomiast o p i n i a p u b l i c z n a, istniała w o l n a p r a s a, w tym b o l - s z e w i c k a... Madam, cyrkowcy, iluzjoniści, opoje w gene-ralskich mundurach i opoje w klimatyzowanych gabinetach KC nie mieliby szans... "Afera" Rasputina - to dramat rodziców nie-uleczalnie chorego następcy tronu, któremu mógł przynieść ulgę jedynie ten niewątpliwy szarlatan i ponura persona, wykorzys-tywana przez niektórych karierowiczów. Ale o Rasputinie pisała cała prasa! I to jak... Zaś za "bpis" dolce vita bolszewickich prominentów również dziś, w dobie pierestrojki i głośności, można dostać art. 70 - "za szkalowanie władzy radzieckiej" - 7 lat kagru i 5 zesłania lub odwrotnie /sąd wszakże niezależ-ny!/.

BRUTUS

PAK SOVIETICA: "KWESTIA ŻYDOWSKA"

Swego apogeum imperium rosyjskie sięgnęło, jak przyjęto u-ważać, za panowania Katarzyny II - "małej księżnej niemieckiej - wielkiej rosyjskiej szwiniarki", kiedy to rozstrzygnięto trzy istotne dla imperium kwestie: "kwestię polską", "kwestię ukraińską" i "kwestię tatarską". Mamy więc dość osobliwy zes-taw poczynań imperialistycznych: rozbiór - pozbawienie resztek autonomii - anektowanie. Zdawałoby się rzeczywiście, a jed-nak... Żadne imperium nigdy w swych mrocznych dziejach nie o-siaga stanu "imperialnej doskonałości", gdyż byłoby to sprze-

czne z istotą tego tworu państwowego i politycznego, którą jest permanentny ekspansjonizm na wszystkich szczytach, przy równoczesnej asymilacji, czyli wynaradawianiu /w konkretnym przypadku - rusyfikacji/ ujarzmionych narodów. Każde imperium zawsze miało i mieć musi swoje "kwestie" - stare i nowe.

Dzieje imperium rosyjskiego i jego kontynuacji pod postacią Pax Sovietica wymownie dowodzą, że z a d n a z wymienionych "kwestii" nie została rozwiązana. Tatarzy krymscy walczą - mimo represji - o powrót na swoje historyczne ziemie na Krymie. Ukraińcy zaś, już w XVII wieku przemianowani na "Małorusów" /od "Małorosji", czyli Małej Rusi/, stanowią 20 proc. ludności Rosji Sowieckiej, ale w Gułagu stanowią 40 proc. ogółu więźniów.

Polacy natomiast, to szczególnie dręcząca Rosjan "kwestia"... "Jeśli bowiem Polska odejdzie, zabierając swe ziemie, to dlaczego nie ma odejść Kurlandia, Liflandia, Finlandia? Dlaczego nie ma odejść Ukraina?... Carstwo kazańskie i astrachańskie może wówczas również się odłączyć, nie mówiąc już o Syberii... Rosja znajdzie się w takim stanie, że litość ogarniać będzie od samego na nią spojrzenia..." - pisał w czasie Powstania styczniowego, uchodzący za liberała rosyjskiego, Eugeniusz Ficystów.

Lecz, jak się rzekło, "kwestia" jest więcej. Wśród nich jest też "kwestia żydowska". Według rozmaitych źródeł niezależnych, ok. 400 tys. Żydów pragnie wyemigrować z Rosji Sowieckiej! Dotychczas, zwłaszcza w latach siedemdziesiątych, wyemigrowało na Zachód 250-300 tys. osób. Nie wszyscy do Izraela, nie wszyscy byli Żydami. Ale władze sowieckie uznały, że z "raju" mogą wyjść jedynie Żydzi, nawet jeżeli Żydami nie są. Stąd pewne trudności z dokładnymi statystykami.

Trudności w ogóle nasiliły się pod koniec lat siedemdziesiątych i na początku osiemdziesiątych, gdyż drastycznie zmalała liczba Żydów-emigrantów. Ponadto działa w Moskwie /bardzo wszakże nieskutecznie/ tzw. Komitet Antysyjonistyczny, w skład którego wchodzi nawet Żyd - bohater ZSRR, znana niegdyś baletnica i... Zresztą, jakie to ma znaczenie? Tyle wart w sensie propagandowym Komitet Antysyjonistyczny, co i Autonomiczny Birobidżański Kraj nad Amurem, którego żydowska ludność wynosi raptem 2 tysiące osób, które o Izraelu /poświadczył to niedawno Olgierd Budrewicz w "Perspektywach"/ nie chcą nawet słyszeć. Tak na marginesie - nie chcą też słuchać i sami nie opowiadają żydowskich kawałów!

Ale "kwestia" pozostaje, niestety. Ostatnio świat znowu był wstrząśnięty sprawą profesora Dawida Goldfarba - wybitnego sowieckiego mikrobiologa - "otkazznika", człowieka starego, ciężko chorego /cukrzyca, amputowana jedna noga, zagróżona druga/, który 7 lat walczył o prawo do emigracji, o prawo do połączenia z rodziną w USA. Opowieść to iście filmowa. Ale po kolei...

Jest taki niezwykły Amerykanin - Armand Hammer, "czerwony milioner", prowadzący handel z Rosją Sowiecką od początku

jej istnienia! A.H. znał osobiście w s z y s t k i c h przywódców sowieckich, od Lenina począwszy, a na Gorbaczowie skończywszy. Ile ma lat? Nie wiem, ale sądzę, że już blisko 100! Niemniej, nieboszczyk gensek Czernienko /młodszy od Hammera o ćwierć wieku/ wyglądał przy nim jak jego własny dziadek; gensek Gorbaczow może uchodzić za młodszego /ale nie za wiele/ brata amerykańskiego bogacza, który już za jego panowania kilkakrotnie odwiedził Rosję Sowiecką.

Właśnie do Armanda Hammera zwrócił się z prośbą o pomoc syn profesora Dawida Goldfarba. A.H. z kolei zwrócił się do swego przyjaciela Anatolija Dobrynina, byłego ambasadora sowieckiego w USA, obecnie sekretarza KC, "człowieka Gorbaczowa". Pierwsze podejście było spalone; Dobrynin powiedział, że jest to niemożliwe, ale... on spróbuje. Opowieść filmowa...

W ciągu kilku godzin /!/ A.H. otrzymał telefon: "sprawa załatwiona", Dawida Goldfarba zaś natychmiast przeniesiono do pojedynki /nie, nie... nie był w łagrze, lecz w lecznicy/, gdzie odbyło się konsylium z udziałem 30 lekarzy, na czele z profesorem Piotroskim, b. ministrem zdrowia ZSRR. Stwierdzono, że Goldfarb może jechać, a raczej lecieć osobistym samolotem Armanda Hammera. Następnego dnia w Wydziale Paszportowym pewien generał /!/ wręczył umęczonemu i płaczącemu ze szczęścia staremu człowiekowi paszport.

Kiedy po przybyciu do USA Dawid Goldfarb został poddany badaniom lekarzy amerykańskich okazało się, że ma raka płuc! "To przerażające - stwierdził jeden z lekarzy - że przez tyle czasu nie można było stwierdzić tej oczywistej choroby...".

Opowieść filmowa... Gdzieś tam, ktoś tam z w y c z a j - n i e powiedział: "Towarzysze! To nie ma sensu, a nawet szkodzi nam ewidentnie..." Tak zapewne było. Lecz spróbujcie powiedzieć t a m coś tak z w y c z a j n e g o, tam, gdzie w s z y s c y zamiast mowy posługują się k o d e m, wykształconym w ciągu siedemdziesięciu lat istnienia Pax Sovietica - imperium, na którego obszarze pozostaje jeszcze wiele "kwestii" do rozwiązania, a najważniejszą z nich jest k w e s t i a r o s y j s k a... .

Michał Głiński

P.S.: W USA Armand Hammer nie jest szczególnie popularny. Sporo cierpkich uwag poświęcono mu w głośnej książce pt. "Na czerwonym dywaniku". Myślę wszelako, że niesłusznie. Przecież sam fakt, że istnieje i działa w tym wieku i z taką efektywnością dowodzi co najmniej skuteczności, witalności i trwałości s y s t e m u ! Gensecy przychodzili i odchodzili /poza jednym, wszyscy w niesławie/, imperium chorzało nieubłaganie; żadne reformy niczego nie zmieniły. A Armand Hammer handlował w najlepsze. Przecież nie dokładał do biznesu, bo i z czego. A może on... Ale dajmy spokój tym "kwestiom".

M.G.

Poniżej publikujemy autentyczną klasówkę z języka polskiego uczennicy I klasy licealnej jednej ze szkół warszawskich; którą przesłano nam do redakcji jako swego rodzaju dokument czasu, oraz opinię nauczycielki, której chwala za to, że zamiast donosu do dyrekcji odniosła się do wypracowania z całą powagą. Dopóki jest to możliwe, nie jest jeszcze tak źle... /red./

X X X

Wybrany temat: Użóć mowę oskarżycielską przeciwko świętoszkowi lub świętoszkom naszych czasów - wytworowi określonych stosunków społecznych.

Plan: 1/ Jakiego człowieka mogę nazwać świętoszkiem, 2/ Motywacja mojego stwierdzenia, 3/ Mój stosunek do ludzi tego pokroju, 4/ Świętoszek a otoczenie, 5/ Walka ze świętoszkami 6/ Ewentualny wymiar kary.

Wysoki Sądzie!

Jako oskarżyciel wytaczam proces przeciwko "świętoszkom" naszych czasów. Na początku chciałabym dokładnie wyjaśnić to pojęcie i poprzeć przykładami moje oskarżenie.

Uważam, że nie można dokładnie wskazać człowieka pokroju świętoszka, ale dotyczy to przede wszystkim poszczególnych grup społecznych. Należą do nich narzucające swoją wolę partie polityczne, które nie spełniają należycie swoich obowiązków i przez zakłamanie doprowadzają do ruiny swoje państwa, ludzie odpowiedzialni za środki masowego przekazu, którzy ukrywają lub przeinaczają różne fakty i wydarzenia, co pociąga za sobą nieświadomość obywateli kraju, a także bezradność w czasie prawdziwego zagrożenia.

W swej wypowiedzi chciałam nawiązać do sytuacji, jaka panuje obecnie w Polsce. Wydaje mi się, że w naszym kraju wyżej wymienione zjawiska nie są rzadkością. Jedną z rzeczy, które mnie bardzo irytują i o której dużo myślę, jest sposób postępowania naszej partii politycznej. Niestety, jeśli znajdzie się człowiek /a myślę, że trochę bym takich znalazła/, który interesuje się polityką, a nie odpowiada mu ideologia komunistyczna czy socjalistyczna, jest praktycznie spalony. Nie wolno mu swobodnie wypowiadać swoich myśli, nie może prowadzić dyskusji z członkami partii przeciwnych, nie może nawet swobodnie uczestniczyć w maszach za Ojczyznę, ponieważ od razu zostaje posądzony o zdradę narodową, niepatriotyczne zachowanie czy szpiegostwo na rzecz tych paskudnych imperialistów.

Nie wiem, czy członkowie PZPR-u uważają, że przez zastraszanie, obłudę i fałsz pozyskają sobie względy społeczeństwa.

Według mnie, jednym z podstawowych błędów postępowania naszej partii jest niezgodność z konstytucją. Dobrym przykładem tego jest pochód pierwszomajowy. Nigdzie nie jest napisane, że obecność na tego typu manifestacjach jest obowiązkowa. To dlaczego w tak wielu zakładach pracy ludzie dostają nakazy służbowe uczestnictwa w pochodzie? Myślę, że człowieka można zmusić do wszystkiego lub nakazać dużo rzeczy, jednak nie mo-

zna zabronić mu myśleć. Bardzo pasuje tutaj cytata doskonałego pisarza amerykańskiego Ernesta Hemingwaya, który powiedział, że "...człowieka można zniszczyć, ale nie można pokonać".

Drugim bardzo aktualnym problemem jest funkcjonowanie rozmaitych instytucji. Wydaje mi się, że sposób ich działania jest kompletnie wypaczony. Żeby załatwić jakąś niewiele znaczącą sprawę, trzeba stracić co najmniej jeden dzień, ponieważ w urzędzie, który powinien się akurat tym zajmować, nie ma odpowiednich druczków albo pani księgowa wyszła do sklepu po mięso, czy też zostały zmienione godziny lub dni pracy. Tego typu przykładów mogłabym wyliczyć bardzo dużo.

Na koniec chciałabym zaproponować kilka sposobów walki z tego typu problemami. Sądzę, że dobrze by było wyeliminować ze świata pozorantów, obłudników i cyników. Ludzi, którym zależy jedynie na własnych korzyściach, nie myślących w przyszłość, o następnych pokoleniach. Uważam, że pomocne temu mogłoby być głębsze zastanowienie się nad prawdziwymi wartościami człowieka, rozważane nie tylko z punktu świata materialistycznego. Na to, aby uniemożliwić działalność świętoszkom, potrzebna jest pomoc całego społeczeństwa. Dopiero zbiorowa walka może wywołać pozytywne skutki.

Wysoki Sądzie! Nie żądam żadnego wymiaru kary. Nie można przecież zamknąć za kratkami komunizmu, obłudy, fałszu czy kłamstwa. Jedynie nawołuję i proszę o powszechną walkę z tymi, którzy przeszkadzają nam w prawdziwym życiu, życiu godnym, do którego ma prawo każdy człowiek.

/podpis/

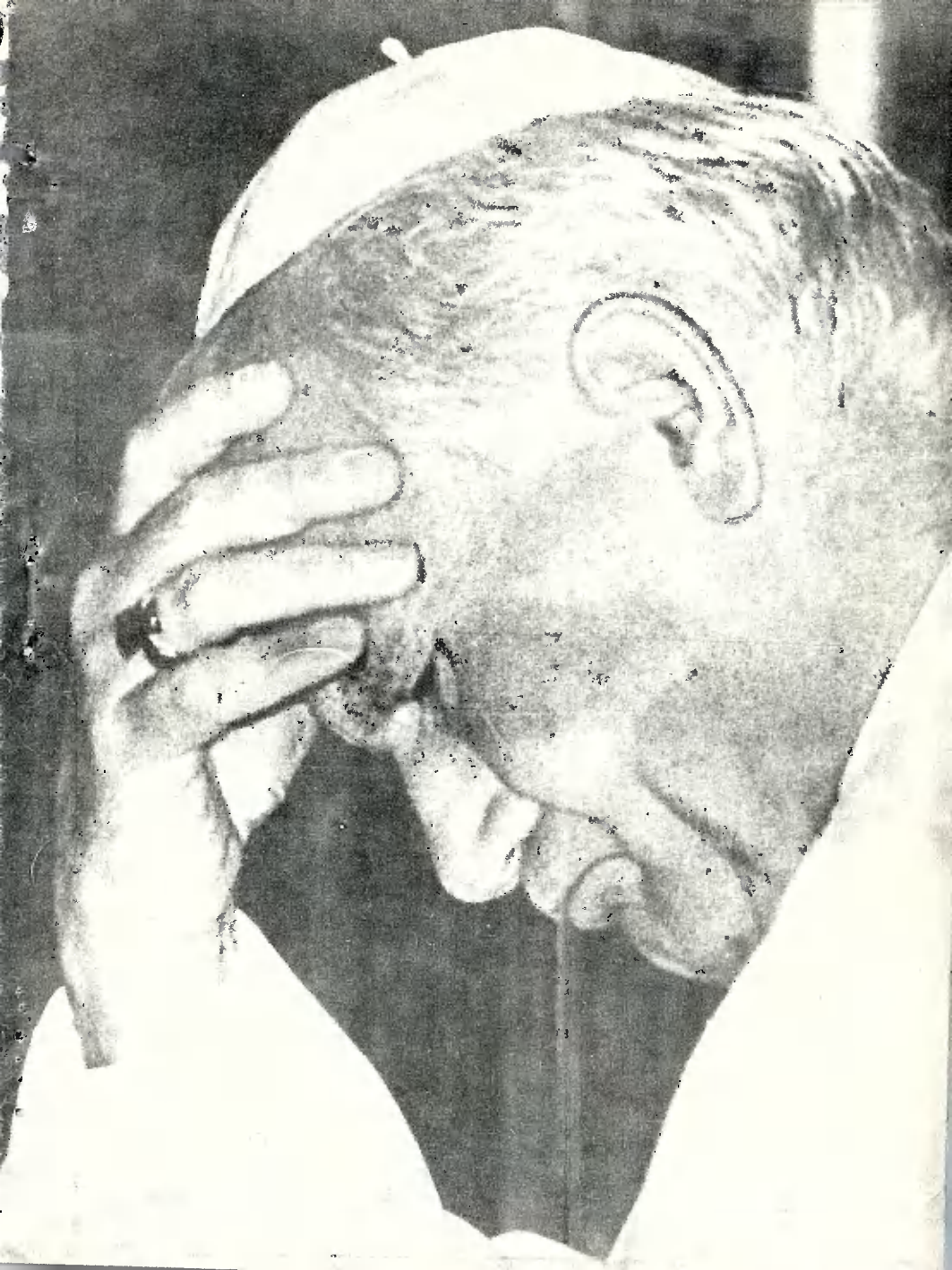
Opinia: Praca bardzo osobista, a przez to nieprecyzyjna /np.../ Styl wypowiedzi również nie pasuje do formy - mowy oskarżycielskiej /nie na miejscu są tu osobiste wtręty w rodzaju "wydaje mi się...", "irytuje mnie..." - oskarżyciel musi mieć pewność/. Natomiast problem obłudy życia społecznego, czy wykazanie, że "świętoszek" to produkt stosunków społecznych - ujęty bardzo powierzchownie. Nie ukazujesz jego mechanizmu, tylko rzucasz efektownymi przykładami.

Ocena: Dostatecznie plus.

X X X

=====
Dziękujemy Jackowi i przyjaciółkom za 50; Mata - 3.
=====

=====
Numer zamknięto 31 sierpnia 1987
=====





CHCEMY NASZEGO SEJMU
SOLIDARNOŚĆ









SOLIDARNOŚĆ ŻYJE
UCZY ŻYĆ GODNIE
MRK

BIŁSKO
1956
POLSKA

Solidarność

NASZA MOC NIE W SILE MILITARNEJ
SOLIDARNEJ



Dot. ZYGMUNT GALASIAK i inni.



Ułaskawić K. Ryskulbekowa

Atma-Ata 18.06.1987



most



700,-